

* * * * *

MAGDALENA KORDDEL

*Nigdy nie będziesz samotny,
bo gdzieś na każdego czeka*

**ŚWIATEŁKO
W OKNIE**



znak

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MAGDALENA
KORDEL



Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

Projekt okładki i ilustracje

Magdalena Palej

Redaktorka nabywająca i prowadząca

Dorota Gruszka

Opieka redakcyjna

Anna Szulczyńska

Adiustacja

Anastazja Oleśkiewicz

Korekta

Barbara Gąsiorowska

Marta Tyczyńska-Lewicka

© Copyright by Magdalena Kordel

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6794-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

Miasteczko. Końcówka października

Rzeszów. Przedgrudzień. Koniec października

Zesłoroczny grudzień

Grudzień. Za czasów Miśka

Grudzień. Drugi bezmichalny.

Przedgrudzień. Ostatni dzień tegorocznego października

Miasteczko. Przedgrudzień. Listopad

Rzeszów. Przedgrudzień. Listopad

Grudzień. Miasteczko

Wszystkim, dla których święta straciły czar.
Niechaj powróci.

Było ich trzy.

Dla każdej z nich nadchodzący grudzień był grudniem trzecim.

Pierwsza, dla której życie się skończyło dwa grudnie temu. A trzeci nadchodził.

Druga, która trzy grudnie temu odnalazła swoje miejsce.

Trzecia, która dwa grudnie temu musiała natychmiast dorosnąć. Trzeci właśnie nadchodził.

Było ich trzy.

Każda z nich prosiła o co innego, a jednak wszystkie pragnęły tego samego.

I być może dlatego, że tak dużo było tu trójek, liczba trzy – magiczna, wyjątkowa i posiadająca ogromną moc – poczuła się za nie odpowiedzialna i postanowiła otoczyć je opieką i skrzyżować ich drogi.

Choć przecież pierwsza i trzecia cały czas były tuż obok siebie, jedno i to samo lustro odbijało ich spojrzenia w swojej tafli, ten sam czajnik gotował dla nich wodę, na wieszaku ich czapki wtulały się w siebie uspokajająco. A jednak ich ścieżki już od długiego czasu się nie przecinały. Niby były na wyciągnięcie ręki, tęskniły za sobą, patrzyły na siebie, a jednak się nie widziały. Bywa...

Druga jeszcze nie miała pojęcia o istnieniu dwóch pozostałych. Ale była niezbędnym elementem wielkiego planu, którego spektakularny finał przewidziany był na grudzień.

Ten trzeci, który przygotowywał się właśnie do nadejścia.

A trzy duchy świąt: przeszły, obecny i przyszły, patrzyły na to wszystko z dużym ukontentowaniem.

Zapowiadał się wyjątkowy czas. Czas chaosu, komplikacji i wielkich emocji.

MIASTECZKO

KOŃCÓWKA PAŹDZIERNIKA



Z punktu widzenia osób postronnych właściwie nie działo się nic, co mogłoby wskazywać, że Klementyna stoi na progu katastrofy. Wręcz przeciwnie – na pozór wszystko szło rewelacyjnie. Cukiernia, którą prowadziła, działała jak w zegarku. Żadna z jej obaw dotyczących potencjalnego rozczarowania starszych mieszkańców Miasteczka się nie ziściła. A miała się czego bać. Wśród tych, którzy pamiętali jeszcze przedwojenne wypieki przodków Klementyny, krążyły legendy o smaku pralinek, o magicznych właściwościach lukrów, o zbawiennym wpływie na dusze nabywanego w tym magicznym miejscu ciasta drożdżowego. Słodkości z tamtej cukierni były remedium na całe zło.

Poprzeczka została więc zawieszona bardzo wysoko.

Nic dziwnego, że gdy otwierała lokal, przez lata zamknięty na głucho, czuła niepokój. Może nie był on w pełni uzasadniony, bo przecież i tak przyjmowała mnóstwo prywatnych zamówień i różowa kamieniczka w rynku, odkąd w niej zamieszkała, znów jak za dawnych czasów otuliła się słodkim zapachem. To, że na parterze nie było lokalu z cukiernią, nie przeszkadzało bynajmniej, żeby wokół roztaczała się woń pieczonego ciasta, roztopionej, gorącej czekolady i specjalności Klementyny: pierników. Nimi właśnie pachniało najwyraźniej. Z uchylonych okien płynął aromat specyficznej, niemożliwej do pomylenia z czymkolwiek innym mieszanki kardamonu, wanilii, cynamonu, imbiru, czekolady i goździków. Ci, którzy mieli bardziej wyczulone powonienie, wychwytywali w tej woni nutkę anyżu i ledwo wyczuwalną, ale obecną i niezbędną szczyptę gałki muszkatołowej.

I to był zapach uzależniający, drażnił zmysły przechodniów i przyciągał jak magnes. Odkąd Klementyna pojawiła się w Miasteczku, jego

mieszkańcy, przechodząc pod jej kamienicą i wciągając płynący z okien aromat, bez względu na porę roku myśleli o Wigilii, o świętach i bliskich. I zaczęli tęsknić, a z tej tęsknoty chwyтали za telefony i dzwonili do widywanych do tej pory okazjonalnie dawnych przyjaciół albo wyprowadzali z garażów samochody i jechali do mam, cioć, babć i dziadków. Choć przecież zanim z okien kamienicy popłynął piernikowy zapach, odwiedzali ich raz, góra dwa razy w roku.

A Klementyna, autorka całego zamieszania, kładąc wypełnione piernikami blachy na okiennych parapetach, gdzie ciastka stygły i twardniały, kompletnie nie była świadoma tego, że sprawia, że ludziom mięką serca.

I cukiernia, którą w końcu zdecydowała się znów powołać do życia, właśnie z piernikami kojarzyła się najbardziej. Pierniczki były tu dostępne cały czas. Część z nich ozdobiona tak, że idealnie pasowały do trwającej pory roku. Część bez żadnych upiększaczy leżała równo poukładana w ozdobnych pudełkach i swoim zapachem przypominała, że mała miłość, która rodzi się dwudziestego czwartego grudnia, nie odchodzi wcale wraz z zakończeniem świąt, ale zostaje z ludźmi na okrągły rok i z tygodnia na tydzień staje się coraz bardziej intensywna.

Przynajmniej tak to widziała Klementyna.

Klementyna czarodziejka od pierników.

Klementyna zaklinaczka ludzkich serc.

I, o zgrozo, właśnie te pierniki, które były jej specjalnością, w tej chwili powodowały u niej bezsenność i stały się przyczyną potwornego stresu, który oczywiście skrupulatnie ukrywała i nie pozwalała, by ktokolwiek z jej bliskich domyślił się, że coś ją dręczy.

Za nic nie zamierzała dopuścić do tego, by choćby część frustracji, która ją nękała, przeszła na jej córeczkę Dobrochnę ani tym bardziej na

babkę Agatę, która dopiero co odzyskała spokój. I jakby pogodziła się z rzeczywistością i z losem. A właśnie o takim dokładnie stanie rzeczy Klementyna marzyła nieomal przez całe życie i nie zamierzała ledwo co zadomowionego, kruchego spokoju płoszyć.

– Po moim trupie – mruknęła do siebie i cicho zamknęła drzwi do kuchni, dokąd właśnie przygnał ją niepokój, który nie pozwolił jej usnąć.

Postawiła czajnik na gaz, przygotowała błękitny kubek, wsypała do niego czarną herbatę z dodatkiem chili, czekolady i cynamonu, usiadła na drewnianym zydelku pamiętającym jeszcze czasy przedwojenne i popadła w zamyślenie.

W sumie gdyby spojrzeć na to obiektywnie i w kontekście całego roku, to nie było źle. A przynajmniej nie było tak do połowy października. Właściwie gdyby nie to, że bała się zapeszyć i wolała nie drażnić losu zbyt ostentacyjnym zadowoleniem, to można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że było bardzo, bardzo dobrze. Tak jak jeszcze nigdy do tej pory. Ostatni czas przyniósł ogromne zmiany, rozwikłał wiszące nad ich rodziną i siejące w ich życiu spustoszenie tajemnice. Sprawił, że i ona, i Pogubiona Agata, jak nazywano babkę, w końcu odnalazły swoją drogę, która nareszcie przestała zahaczać o spowitą cieniem przeszłość i ku ogromnej uldze wszystkich zainteresowanych na dobre zakotwiczyła się w teraźniejszości. Tworząc ich wspólny szlak. Wprawdzie nikomu nie przyszło do głowy, by Pogubioną Agatę zacząć nazywać Agatą Odnalezioną, ale najważniejsze było to, że właśnie nią się stała*. Wprawdzie los – jak to los – zadbał o to, żeby Klementyna za mocno się nie nudziła i problemów nie brakowało, ale przynajmniej nie miały szans zawrzeć sojuszu z tymi, które już mają za sobą. Ale pomimo dobrej passy Klementyna profilaktycznie nie traciła czujności. Doskonale zdawała sobie sprawę, że natura nie znosi próżni i skoro część kłopotów zniknęła, można

się było spodziewać, że normalną i przewidywalną kolejną rzeczą na ich miejsce przyjdą nowe.

Skoro o tym wiedziała, wydawało jej się, że jest przygotowana właściwie na wszystko. I że ze wszystkim sobie poradzi. Szczerze mówiąc, nawet łatwo przyszło jej się utwierdzić w tym przeświadczeniu, bo od jakiegoś czasu czuła się bezpiecznie. Miała wrażenie, że cokolwiek się wydarzy, zawsze znajdą się tacy, którzy staną za nią murem. Bo nareszcie nie była sama, miała wokół siebie ludzi, którym na niej zależało i którzy stali się ważni dla niej. Imka, niezmiennie od lat trwająca przy Klementynie, najlepsza przyjaciółka, jaką mogła sobie wymarzyć; Kuba, który zakotwiczył się w życiu jej i Dobrochny na dobre. Gdy o nim myślała, robiło jej się ciepło na sercu, które, o dziwo, z miejsca miękło. A przecież jeszcze niedawno była przekonana, że to jej nieszczęsne serce jest jak wadliwy piernik. Taki, który stwardniał, ale nigdy, przenigdy nie zmięknie. A tymczasem Kuba uświadomił jej, jak bardzo się myliła i jak bardzo potrzebowała kogoś takiego jak on. Kogoś, kto dla odmiany ją otoczył troską i przy kim mogła pozwolić sobie na brak heroicznego bohaterstwa. Mogła zwyczajnie być sobą, bez utwardzonego pancerza, w który ubrało ją jej dotychczasowe życie. To właśnie Kuba kawałeczek po kawałeczku ją z niego uwolnił. Wreszcie poczuła, jak to jest móc odetchnąć swobodnie, pełną piersią. Pod jego czułym spojrzeniem miękło jej to stwardniałe serce. Gdy myślała o nim i o sobie, od razu miała skojarzenie z piosenką *Ktoś do kochania*. Bo jej pierwsze zwrotki były właśnie o nich. Jakby ktoś, kto napisał tekst, doskonale ich znał.

Dotąd żyłam wolna jak ptak
Z dnia na dzień, z chmury na chmurę
Los jak piórko unosił mnie
Więc leciałam w dół albo w górę
Aż poczułam któregoś dnia

Że już dość mam tego fruwania
I zamarzył się ciepły dom
A w tym domu ktoś do kochania
Ktoś do kochania, do całowania
Do przytulania w pochmurne dni
Do rozśmieszania, do pocieszania
Na całe życie ktoś, czyli Ty
Ktoś, kto wysłucha, szepnie do ucha
Dwa czułe słowa, otrze łzy
Kto przy mnie będzie zawsze i wszędzie
Ktoś tylko dla mnie, właśnie Ty, Ty.

Wprawdzie z tym byciem wolną jak ptak można było polemizować, bo w końcu zawsze miała pod opieką babkę, a potem Dobrochnę, a co za tym idzie – wolność i swoboda były mocno dyskusyjne, ale reszta pasowała jak ulał. I tak jak na początku z całych sił broniła się przed Kubą i przed miłością, tak teraz nie umiała już wyobrazić sobie życia bez niego. Tak samo jak nie mieściło jej się w głowie, że mogłaby mieszkać gdzie indziej niż w Miasteczku, w różowej kamienicy stojącej w rynku.

To był jej pierwszy prawdziwy dom, w którym oprócz nich i babki Agaty pojawili się ludzie, którzy stali się dla niej kimś więcej niż znajomymi – stali się rodziną. Sąsiadka Julka z piętra niżej, która opiekowała się babką i Dobrochną, doktor Piotr, bez którego ani Klementyna, ani tym bardziej Dobrochna nie wyobrażały już sobie codzienności, Ruda Fela, kościelny Jasiek, nieco zdziwaczała, ale absolutnie niezbędna Stara Anna i wielu, wielu innych, którzy rozproszyli jej samotność i sprawili, że już nie czuła się zdana tylko na siebie. A to nie wszystko, co dostała od losu, bo poza ludźmi przybyli też inni domownicy.

Jej spojrzenie bezwiednie powędrowało pod kuchenny stół, gdzie leżał ogromny kudłaty pies Marcepan, a tuż obok niego, przytulony do czarnego psiego boku, spał wielki królik zwany Pasztetem, na cześć tego, że nigdy

się nim nie stał. W pokoju Dobrochny w otwartej klatce drzemała uratowana tej wiosny sroka, która jakoś samoistnie zrezygnowała z wolności i najwyraźniej zniewolenie kompletnie jej nie przeszkadzało.

Tak, niewątpliwie był to bogaty w wydarzenia i obfitujący w dobre zmiany czas. Szczerze mówiąc, gdyby przed przeprowadzką do Miasteczka ktoś powiedział Klementynie, że będzie miała to wszystko, że w jej życiu pojawi się tylu kochających ją ludzi, a w jej domu zaroi się od zwierząt i pałających do niej sympatią sąsiadów, w życiu by w to nie uwierzyła. Przecież jeszcze do niedawna była zdana wyłącznie na siebie. Ledwo to pomyślała, dotarło do niej, że trochę jednak przesadziła. Bo ostatecznie nie była tak zupełnie osamotniona. Zawsze miała koło siebie Imkę. Gotową na wszystko i bezwzględnie oddaną. Irmina była nie tylko jej najlepszą przyjaciółką, ale też jej rodziną i opoką. I nie powinna o niej zapominać ani umniejszać jej roli. Na całe szczęście przeprowadzka tego nie zmieniła. Imka przyjeżdżała do niej regularnie. I mimo że była zatwardziałym mieszczuchem, a maleńkie prowincjonalne miasteczka napawały ją grozą, to do nowego miejsca zamieszkania Klementyny się przywiązała. Ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu polubiła miniaturowy rynek, wąskie i kręte uliczki i tych, którzy wpadali do różowej kamieniczki jak do siebie. A było ich całkiem sporo, bo Klementyna miała w sobie coś takiego, co przyciągało do niej ludzi.

A więc Imka była kiedyś i była teraz – i to pozostało bez zmian, ale poza tym zmieniło się wszystko.

Klementyna miała dom, który kochała i nie zamierzała go opuszczać, miała ludzi, na których jej zależało, miała szczęście i miłość. A to ogromnie dużo.

Potarła wierzchem dłoni zmęczone oczy i zapatrzyła się w okno, za którym rozciągało się granatowe, gwieździste niebo.

Wróciło do niej wspomnienie tego, jak przybyły tu z Dobrochną. Dokładnie o tej porze roku. Wtedy też była końcówka października.

Tyle tylko że pogoda była zupełnie inna.

Tegoroczny październik był kwintesencją złotej jesieni. W ciągu dnia w nagrzanym powietrzu cały czas unosił się zapach minionego lata. Za to wczesne poranki i zmierzch, który zapadał dużo wcześniej, przypominały, że te przywodzące na myśl lato popołudnia to ułuda. Jesienne kuglarskie sztuczki. Na początku i na końcu dnia październik odsłaniał swoją prawdziwą twarz. Osnutą tumanami mgieł, w których najpierw kapały się górskie szczyty, a potem spowijała się nimi cała dolina, a wraz z nią przytulone do niej miasteczko. Te mgły przynosiły ze sobą rześki chłód podszyty wilgocią i ten charakterystyczny zapach. Ziemisty i dymny. Liściasty, jak nazywała go Dobrochna, tłumacząc, że jesień pachnie spadającymi z drzew liśćmi i te zapachy są złote, czerwone, a czasami brunatnobrązowe.

– Zgniłe – przekomarzała się z nią Imka.

Na myśl o przyjaciółce Klementyna uśmiechnęła się bezwiednie. Ale ten uśmiech znikł nieomal tak szybko, jak się pojawił, zastąpiony przez troskę, która ulokowała się w jej oczach i jak to troski mają w zwyczaju – zaczęła natychmiast z nich wyzierać. Bo pomimo tego, że miała przecież tak wiele, przyszłość napawała ją lękiem i rysowała się w ponurych barwach. Już więcej powodów do optymizmu miała wtedy, gdy przyjechała tu z Dobrochną po raz pierwszy. Choć przybyła do Miasteczka przytłoczona troską o babkę, niepewna, czy podjęła właściwą decyzję. W końcu nie chodziło o drobiazgi, tylko o zmianę całego życia. Przeprowadzka niechybnie musiała je wyrzucić do góry nogami.

I rzeczywiście – początki nie były łatwe.

Gdy tu przybyły razem z córką, nie pachniało liśćmi ani wilgotną mgłą. Zamiast tego w powietrzu czuć było przymrozek. Ten aromat wbił się w pamięć Klementyny i Dobrochny, bo czuły go w zgrabiących dłoniach, słyszały jego chrzęszczący odgłos w oszronionych trawach.

Nawigacja wyprowadziła je wtedy na manowce, samochód się zepsuł na kompletnym odludziu, pośród gór, i były zmuszone kontynuować drogę pieszo. Szczęście w nieszczęściu, że do Miasteczka nie było zbyt daleko.

Było coś mistycznego w tej ich drodze. Jechały w nocy i gdy auto odmówiło posłuszeństwa, księżyc jeszcze tonął w srebrnej poświacie na jaśniejącym niebie. A wiatr niósł ze sobą zapach niespiesznie schodzącego z gór mroźnego poranka. Klementyna na całe szczęście wiedziała, w którą stronę iść, wakacje spędzane tu lata temu u ciotki i całodzienne włóczęgi po okolicy teraz jej się przydały. Szły razem z Dobrosią, usiłując trzymać się środka wąziutkiej ścieżynki prowadzącej w dół, do Miasteczka.

I wtedy natknęły się na Starą Annę palącą ognisko na rozstaju dróg. Klementyna знаła ją dobrze, tak samo zresztą jak pozostali mieszkańcy Miasteczka. Janinka, ciotka Klementyny, która stąd pochodziła, mówiła o Annie, że mieszka tutaj od początku świata i jeden dzień dłużej. I rzeczywiście nikt, ani najstarsi mieszkańcy, ani ci całkiem młodzi, nie mógł wyobrazić sobie tego miejsca bez zdziwaczałej, palącej na rozstajnych drogach ogień, śpiewającej zmarłym na cmentarzu Starej Anny.

Klementyna przymknęła oczy i pod jej powiekami przemknęły obrazy tamtej październikowej nocnej wędrówki. Klik, klik i pojawiła się Dobrochna, której Klementyna, widząc ogień i w pierwszym momencie nie wiedząc, kto przy nim siedzi, nakazała trzymać się z tyłu. A potem w uszach zaszumiał jej głos Starej Anny przekonującej małą, że nie ma się czego bać.

„Już ja o to zadbałam, żeby tej nocy przypadkowi podróżni nie pobłądzili – mówiła. – Wprawdzie innych zabłąkanych tu się spodziewałam, ale to, że ich nie ujrzałam, wcale nie znaczy, że ich nie było. W końcu zbliża się noc zaduszna... Kiedyś więcej wędrowców było na szlakach. I tych żywych, i tych, którzy już dawno udali się w podróż w zaświaty, a do nas tylko tak z sentymentu od czasu do czasu zaglądali. Postęp to wszystko unicestwił” – zaszumiał jej w głowie głos starej kobiety.

A potem Anna dorzuciła coś, co dało Klementynie do myślenia i wracało do niej nieustająco:

„Serca poszły w odstawkę. Ludzie są mniej wrażliwi. Niby wszędzie światła, latarnie, żarówki, a jednak pomimo to ciemniej jakby i widzą mniej”.

Tak jakoś to szło.

I było w tym boleśnie dużo racji. Ludziom rzeczywiście wiele rzeczy umykało, przestali słuchać pierwotnego instynktu, wierzyć w znaki.

Do tej pory Klementyna nie brała tego do siebie. Wydawało jej się, że ona nie lekceważy przeczuć. Wręcz przeciwnie – była święcie przekonana, że jest na nie bardzo wyczulona.

„A może to zbyt duża pewność siebie mnie zgubiła i nawet nie zauważyłam, kiedy i jak i mnie to dopadło – przemknęło jej przez zmęczoną głowę. – Może powinnam tak jak Anna pójść na rozstaje dróg, gdzie żadne ze światel Miasteczka nie dociera, i rozpaść ogień. Może wtedy, tak jak ci dawno żyjący, nierozpaskudzeni elektrycznością, zobaczyłabym więcej! Ot, na przykład tych swoich przodków, o których *nomen omen* również podczas tamtego nocnego spotkania wspomniała Anna. I mogłabym ich pociągnąć za widmowe języki! Bo jeżeli to oni w tych swoich zaświatach uknuli ów misterny plan, którego częścią było przywiedzenie mnie tutaj i nakłonienie do otworzenia na powrót zamkniętej

na patyk cukierni, to teraz, do diabła, powinni wziąć za to odpowiedzialność!”

W końcu Stara Anna z jakiegoś powodu upierała się, że awaria samochodu nie była przypadkowa. Że musiał się zepsuć właśnie na tych bezdrożach po to, żeby historia, tak jak to lubi najbardziej, mogła zatoczyć koło. Bo ponoć ich, Klementyny i Dobrochny, przodkowie właśnie tak tu przybyli, zeszli z gór wraz z pierwszym śniegiem. Z workami pełnymi aromatycznych przypraw, i zostali. Otworzyli cukiernię i rozsławili miasteczko swoimi wypiekami na wiele kilometrów.

I jak to Stara Anna wtedy powiedziała... „Pora na powrót w tym samym stylu”.

Klementyna nie wzięła sobie wówczas jej słów zbyt do serca. Szczerze mówiąc, ani jej w głowie było łączenie awarii auta ze sposobem podróżowania protoplastów, ani nie zamierzała wracać do zawodowych korzeni i otwierać cukierni. Sam pomysł wydał jej się absurdalny. W końcu miała dostatecznie dużo pracy przy Dobrochnie, Pogubionej Agacie i piernikach, które sprzedawała na prywatne zamówienia.

A jednak Anna faktycznie musiała mieć specjalny dar widzenia, bo w płonącym na rozstaju ogniu wyczytała przyszłość. I Klementyna rzeczywiście w końcu uległa namowom innych, i uwierzyła, że jej przeznaczeniem jest powrót do korzeni i cukierni. Początkowo broniła się przed tym zamysłem rękami i nogami. Bała się odpowiedzialności, powtarzalności i zakotwiczenia. W końcu przywykła do tego, że jedynymi stałymi w jej życiu są babka, Dobrochna i umiejętność pieczenia. Reszta była wielką niewiadomą. Wieczną tułaczką, podążaniem za Pogubioną Agatą. Zawsze spakowana walizka czekała w przedpokoju. W końcu jednak do Klementyny dotarło, że na dłuższą metę tak się nie da. Że jeżeli chce

stworzyć córce bezpieczny dom, to nie może się on mieścić w bagażu podróжным.

I postanowiła o to zawalczyć. O tę stałość właśnie. O szczęście i miłość. Gdy wydawało jej się, że dopięła swego, gdy poczuła się całkowicie bezpieczna, stało się coś, czego absolutnie się nie spodziewała.

Dlatego właśnie teraz, w środku nocy, siedziała beczynn timer w kuchni, zamartwiając się o przyszłość.

Od połowy października nie mogła piec. Znaczy nie tak w ogóle. Zwykłe ciasta i ciasteczka, babeczki i makaroniki, drożdżówki i pączki – z nimi, owszem, radziła sobie doskonale. Nie sprawiały kłopotów.

Trudność natomiast miała z tym, co do tej pory nigdy jej problemów nie przysparzało.

Z piernikami. Nie wiedzieć czemu się zbuntowały. Klementyna zupełnie nie miała pomysłu, jak sobie z tym poradzić. Przecież jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. Pierniczenie było jej częścią. Szczególnie to okołoświąteczne. Bo pierniki pieczone w czasie, który na swój użytek nazywała przedgrudniem, czyli od ostatnich dni października i w listopadzie, i te grudniowe były wyjątkowe. Najpiękniejsze, jakie tworzyła w całym roku. Żadnych innych nie potrafiła tak kunsztownie przyozdabiać, żadne tak nie pachniały i przy żadnych innych nie była w stanie zatracić się tak jak przy tych świątecznych. I ci, do których takie pierniki trafiały, też wyczuwali ich osobliwą moc. Po prostu one emanowały ciepłem, szczęściem, spokojem i spełnieniem. Niektóre przynosiły nadzieję, zapowiedź lepszych dni. Inne dodawały odwagi, by wrócić do dawno nieodwiedzanych domów, przecierały zapomniane ścieżki albo odkurzały dawno zepchnięte na boczne tory marzenia. Klementyna nie wiedziała, na czym to polega. Ale niewątpliwie to, czym emanowały świąteczne wypieki, płynęło spod jej palców, było jej podarunkiem dla tych, którzy

z niecierpliwością czekali na te wypieki. Podobno to był jej osobisty dar, każda kobieta z jej rodziny miała inny. Klementynie przypadł ten szczególny, grudniowy. Najbardziej spektakularny.

Niewątpliwie była to swoista magia. Przychodziła zniecka, wyczekiwana, z niecierpliwością wypatrywana. Nie było konkretnej godziny ani tygodnia, choć nigdy nie pojawiała się później niż w ostatnich dniach października.

Teraz też Klementyna czekała na charakterystyczne świerbienie w palcach, mrowienie w samych ich koniuszkach, któremu nie sposób było się oprzeć. Czekala, aż ogarnie ją pełne ekscytacji zniecierpliwienie. Na moment, gdy będzie sięgać po gotowe, już wykrojone piernikowe serca; albo po ściany domków, którymi przyciągała do siebie wciąż nowych klientów, czekała na chwilę, gdy znów półprzytomna, lecz niebotycznie szczęśliwa będzie przygotowywać nowe partie ciasta, gdy w wielkim garze zacznie bulgotać mieszanka podgrzewanego miodu, cynamonu, imbiru, goździków. Kiedy kuchnię wypełni cichy śpiew, bo zazwyczaj gdy pracowała w samotności, śpiewała. I każdy przedgrudzień zaczynał się inną piosenką. Tak jakby każdego roku pierniki wybierały sobie inną przewodnią melodię.

I teraz właśnie czekała na to wszystko. Październik mijał niespiesznie. Chylił się ku końcowi. Zmierzchał. Odchodził.

A ona wyglądała tego specyficznego momentu z coraz większym niepokojem. Wyglądała i wyglądała – i jak na razie nic z tego nie wynikało. Patrzyła na czekające cierpliwie na ozdobienie przygotowane już zawczasu pierniki i nie czuła nic szczególnego. I niestety doskonale wiedziała, co to znaczy. Przy świątecznych piernikach, a w szczególności przy piernikowych domkach praca bez tego charakterystycznego czegoś nie wchodziła w grę. Klementyna przekonała się o tym wielokrotnie, gdy

usiłowała trochę nagiąć ustanowione przez piernikową magię zasady. Zawsze kończyło się to katastrofą. Robione na siłę, bez ich specjalnego przyzwolenia, domki z piernika miały prezentować sobą kwintesencję romantycznej zimy, przywodzić na myśl ciepło i wyrwać z piersi spontaniczne okrzyki zachwytu i tęskne westchnienia, swoim ruderowatym wyglądem budziły grozę. Nie chciały się zlepiać, stać prosto ani miękko opływać lukrem. Były kostropate i swobodnie można je było wykorzystać do wystraszenia wszystkich obecnych i przeszłych duchów świąt. Z piernikowymi serduszkami, gwiazdkami i tym podobnymi było nieco prościej – tu Klementyna od biedy mogła ratować się swoimi codziennymi umiejętnościami, ale doskonale wiedziała, że ozdobione w ten sposób nie mają szans nawet do pięć dorosnąć tym piernikom, które wyczarowywała, gdy wpadała w ten swój swoisty przedbożonarodzeniowy trans.

Pamiętała, że gdy przyjechały tu pierwszy raz z Dobrochną, kuchnia była nieprzygotowana, pusta, a ją właśnie wtedy dopadło pragnienie zagniatania, wycinania, pieczenia, lukrowania i dekorowania. Całym sercem marzyła wówczas o pozostawionych w rzeszowskim mieszkaniu barwnikach, słoiczkach, miseczkach, ucieraczach i pędzelkach.

Teraz było na odwrót. Miała to wszystko profilaktycznie przygotowane już od wielu dni. Foremki do wykrawania drżały z niecierpliwości, słoiki z miodem stały równym rzędkiem na kuchennym blacie. Przyprawy, powyjmowane z szuflad, były w pełnej gotowości. Ale ku rosnącemu cały czas niepokojowi Klementyny nadal nic się nie działo. Ani razu nie poczuła tego charakterystycznego czegoś, co sprawiało, że cały świat przestawał dla niej istnieć i liczyły się tylko leżące przed nią piernikowe serca albo przygotowane zawczasu ściany do domków z piernika.

A przecież o tej porze zazwyczaj zaczynała już robić swoje piernikowe kamieniczki. W zeszłym roku kilka już było gotowych. Teraz też czekał

cały plik zleceń na domki, zdobione serca, gwiazdki, mikołaje. W tym sezonie dodatkowo do swojej oferty wprowadziła świąteczne pierniczkowe kartki z życzeniami. Zrobiła kilka przykładowych wzorów, które tak zachwyciły miłośników piernikowych wypieków, że nie nadążała z odpowiadaniem na zamówienia.

Tymczasem nie dość, że piernikowa magia nie chciała zadziałać, to stało się coś jeszcze gorszego. Straciła podstawowe piernikowe umiejętności. Zaczęło się właśnie jakoś tak w połowie października. Ciasto na piernik, które zazwyczaj mogła przygotowywać z zamkniętymi oczami i nieomal przez sen, zniemacka przestało z nią współpracować. Wychodziło albo za gęste, albo za rzadkie. I nie smakowało tak, jak powinno. Na początku przyjęła to z lekkim zdumieniem, wytłumaczyła sobie jednak, że może jest zmęczona i musi trochę odpocząć. Przecież święcie wierzyła, że pierniki są bardzo wrażliwe, że wyczuwają wszystko i będą emanować dokładnie takimi emocjami, jakimi obdarzy je ten, kto je wygniata, piecze i zdoła.

Może właśnie dlatego ciasto piernikowe stawiało opór. Może wiedziało, że robione w takich warunkach byłoby senne, obolałe i podenerwowane. Tak to sobie wytłumaczyła. I przekonywała, że nie ma co się niecierpliwić. W żadnym razie nie chciała przecież, żeby pierniczki, które wyjdą spod jej rąk, były zmęczone i sfrustrowane, bo niechybnie tym właśnie obdarowałyby tych, w ręce których by trafiły.

Zrobiła więc sobie przerwę, ufnie czekając, aż piernikowe natchnienie w końcu się pojawi i zadziała. Ostatecznie zawsze tak było i któregoś dnia Klementyna niechybnie poczuje nieprzepartą potrzebę zaszycia się w kuchni, upływ czasu przestanie mieć znaczenie, a ona zajmie się tym, co całym sercem kocha. A kiedy skończy i otrząśnie się z tego swoistego transu, zobaczy leżące na kuchennym blacie pierniki udekorowane

misternymi, delikatnymi lukrowymi koronkami albo takie, na których będą się pysznić zimowe obrazki: choinki otulone śniegowymi pierzynami, płatki śniegu spadające na spadziste dachy domów, kręte drogi lśniące lodem, a przy nich przycupnięte wiejskie chatki ze stojącymi przed nimi ubranymi odświętnie bożonarodzeniowymi drzewkami...

Wtedy do pomocy będą mogli włączyć się inni. Bo magia zadziała, uwolniona – będzie wszechobecna, będzie się unosić pod sufitem, oplatać palce zdobiących i wykrajających wciąż nowe piernikowe kształty.

Widziała to wszystko oczami wyobraźni, tak samo zresztą jak piernikowe domki. Była pewna, że w tym roku będą się robiły pięknie, że zostaną przyozdobione czapami śniegu, że z dachów będą się zwieszać lukrowane, do złudzenia przypominające prawdziwe, lodowe sople, że w środku będą precyzyjnie wykonane kominki, w których przy odpowiednim oświetleniu zapłonie landrynkowy ogień.

I mimo że w głowie miała te wszystkie obrazy, że nie mogła spać po nocach, bo przecież była gotowa i czekała tylko na znak – nic się nie zmieniło.

Mając na uwadze, że oto właśnie równo z wybrzmieniem dwunastego uderzenia zegara odszedł przedostatni dzień października, nie było się co dłużej łudzić i trzeba było spojrzeć prawdzie prosto w oczy: nie wyglądało to dobrze.

Bo co zrobi, jeżeli nic się nie zmieni? Jak zrealizuje zamówienia na piernikowe domki, które – nie było sensu się oszukiwać – przynosiły jej nie tylko ogromną satysfakcję, ale też konkretny zarobek? Co powie ludziom, którzy jej zaufali?

„I dodatkowo przyjąłam jeszcze ogromne zamówienie od dużej firmy, która już wpłaciła zaliczkę” – jęknęła w duchu.

Jeżeli miała z tym wszystkim zdążyć, powinna już być w ferworze pieczenia, lukrowania, tworzenia marcepanowych choinek i figurek.

Każdy dzień zwłoki przybliżał nieuchronną klęskę. Za moment zwyczajnie nie da rady. No chyba że przyjęłaby jeszcze kogoś do pracy. Wtedy, zakładając, że w końcu uda jej się zacząć, przy dodatkowej parze rąk uporałaby się jakoś z wiszącym nad nią niczym ciemna burzowa chmura opóźnieniem. „Istny piernikowy miecz Damoklesa” – myślała.

Cały szkopuł polegał jednak na tym, że założyła, że w tym roku jeszcze obejdzie się bez dodatkowych osób, nie chciała zatrudniać nikogo obcego. Stwierdziła, że poradzą sobie z Rudą Felą i z dorywczą pomocą babki Agaty. Znając życie, Kuba również nie będzie stał z założonymi rękami. W końcu był – tak jak i ona – cukiernikiem.

Byli sprawdzoną ekipą i co więcej – każdy z osobna wiedział, jak to działa. Że niektóre zamówienia Klementyna musi robić zupełnie sama, że czasem lepiej nie pokazywać się w kuchni i zostawić ją samej sobie, a czasami wręcz przeciwnie, trzeba ją stamtąd siłą wyrzucić. I przede wszystkim, że zamówienia świąteczne rządzą się swoimi prawami. Że nikt nie może się zabrać do tej pracy, dopóki Klementyna własnoręcznie i samodzielnie nie ozdobi pierwszych pierników i nie zrobi pierwszego domku. Nikt się temu nie dziwił. Nie trzeba było nikomu nic tłumaczyć ani mierzyć się ze zdumionymi spojrzeniami i z sugestywnym pukaniem się w głowę.

To była ta bardziej duchowa i abstrakcyjna strona medalu. Bo druga była do bólu prozaiczna. Po prostu nie zatrudniając nikogo innego, pozwalała tym, co już byli, zarobić więcej. A kasa była im wszystkim bardzo potrzebna. O ile ona sama miała bardzo napięty budżet, o tyle ten Rudej Feli był tak ponaciągany, że rwał się i świecił dziurami. I jeszcze do

niedawna Klementyna miała nadzieję, że jesień i zima wyrównają wszelkie braki.

Z ponurych rozmyślań wyrwało ją gwizdanie czajnika. Zamrugła i potrząsnęła głową, jakby to mogło uwolnić ją od gnieźdzącego się tam upartego niepokoju.

Z westchnieniem podniosła się z zydelka i wlała wrzątek do błękitnego kubka. Uniósł się z niego aromat cynamonu i czekolady z lekką nutką pikanterii. Sproszkowana papryczka chili była do tego niezbędna. Dzięki niej ta herbaciana mieszanka charakteryzowała się jedyną w swoim rodzaju kombinacją czekoladowej słodyczy i zadziorności.

– Czyli czegoś, czego potrzebuję najbardziej – mruknęła do siebie Tyśka i upiła łyk, parząc sobie przy tym wargi.

A potem rozejrzała się wokół siebie, obrzuciła zirytowanym spojrzeniem stojące na blatach szafek słoiki z miodem, leżące w torebkach przyprawy, gotowy na wszystko wielki płócienny worek z mąką i poczuła, że wzbiera w niej złość pomieszana z determinacją.

Niebezpieczna mieszanka, jaką nie powinno się doprawiać żadnego z ciast, a już na pewno nie świątecznych pierników, które z założenia miały emanować ciepłem, miłością i spokojnym szczęściem. Wściekłe pierniki raczej nie wróżyły niczego dobrego.

– Cóż, trudno – mruknęła pod nosem Klementyna i zdecydowanym ruchem podniosła się od stołu. – Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – zakończyła, usiłując wyprzeć z głowy zupełnie inną wersję tego powiedzenia, która zaszumiała jej w głowie piosenką śpiewaną przez jej ulubionego Andrzeja Poniedziałkiego:

Patrzę sobie, myślę sobie,
O, zdziwiony takim swoim dziś obliczem,
Myślę sobie, to jak ja już sobie myślę,

To ja zrobię coś dla siebie
Sobie zrobię
Żeby tak nie październiczyć.
I na przekór otumanom mgieł jesiennych
I wbrew temu tu całemu liściatemu przedsięwzięciu,
Myślę sobie, to napiszę ja piosenkę
I napiszę ja piosenkę o, o szczęściu
I do pióra poprzez ramię, ale przecież od ciemienia,
Które czasem zowią dekle
Spłynął taki oto refren
La, la, la,
La, la, la,
Ta piosenka to piosenka całkiem zła.
To piosenka, która mówi
Jak się nie ma, co się lubi
To nie lubi się i tego, co się ma...

No cóż, trudno jednak nie przyznać racji tej ostatniej wersji – nie oparła się pokusie i tym razem głośno zanuciła pasujący do jej nastroju refren:

La, la, la,
La, la, la,
Ta piosenka to piosenka całkiem zła.
To piosenka, która mówi
Jak się nie ma, co się lubi
To nie lubi się i tego, co się ma...

„No właśnie, a że ja strasznie nie lubię nie lubić i doskonale wiem, że samo się nie robi, muszę w końcu wziąć sprawy w swoje ręce” – postanowiła, upijając kolejny łyk zadziornej herbaty. I być może pod wpływem buntowniczych myśli Klementyny pikantność chili wybiła się na prowadzenie, spychając na dalszy plan słodycz czekolady, i jeszcze bardziej utwierdziła dziewczynę w przekonaniu, że nie ma na co czekać.

„Może właśnie o to chodzi – pomyślała. – Skoro duch święt o mnie zapomniał, a to, co zwykle samo się pojawiało, nie przychodzi, to trzeba je

do siebie przywołać. A co zrobi to lepiej niż korzenny zapach przypraw połączony z gorącym miodem?

Zrobię cały wielki gar tego specyfiku, żeby mieć gotową podstawę do piernikowego ciasta – postanowiła. – Ostatecznie tego nie da się zepsuć. Bo jak? Nie można schrząnąć podgrzania miodu, cynamonu, goździków, imbiru i paru innych składników. A jednocześnie to właśnie one pachną tak, że z miejsca chce się biec po choinkę i sprawdzać, czy biały obrus jest na swoim miejscu. To aromatyczna kwintesencja świąt”.

Klementyna odstawiła błękitny kubek tak gwałtownie, że wzburzyła jego zawartość, która zachlupotała i kilka kropel herbaty wylądowało na blacie szafki. Może gdyby spojrzała na nie uważniej, dostrzegłaby, że lśnią wyjątkowo mocno i naznaczone są mikroskopijnymi czerwonymi drobkami. To pikanteria chili mrugała w nich prowokująco.

Ale Klementyna, zajęta wyjmowaniem z szafki ogromnego gara z podwójnym, grubym dnem, nie zwróciła kompletnie uwagi ani na kubek, ani na bursztynowe, purpurowo piegowate kropelki. A nawet gdyby to zrobiła, raczej nie wzięłaby sobie do serca tego, co sobą przedstawiały. Bardzo prawdopodobne, że skupiona na doskonałym, jak jej się wydawało, planie, kompletnie zignorowałaby i je, i płynące od nich przesłanie, które wyraźnie mówiło, że brawurę trzeba dawkować ostrożnie. Zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła czegoś tak delikatnego jak świąteczność.

* Historię Pogubionej Agaty i Klementyny możecie poznać, sięgając po tytuły z serii z sercami: *Serce z piernika*, *Serce w skowronkach* i *Serce w obłokach*.

Śniły jej się górskie szczyty pokryte śnieżnymi czapami, jakaś wąska, kręta droga, przy której stały domki, niby piernikowe, a jednak duże, rzeczywiste. Przez witrażowe landrynkowe okna widziała wnętrza i ludzi, którzy nakrywali do stołów, ubierali choinki, na najwyższych półkach w szafach ukrywali prezenty. Już wiedziała – zbliża się Boże Narodzenie. Uniosła głowę i spojrzała na krawędzie dachów, z których miękko spływał śnieg – śnieżnobiały lukier – i zwisały przezroczyste sople. „Jak żywe – pomyślała z ukontentowaniem. – Dobra robota” – pogratulowała sobie i zadarła głowę jeszcze bardziej. Granatowe niebo, złociste gwiazdy. Zrobienie lukrów w tak intensywnych kolorach wymagało dużego wyczucia i wprawy. A jej wyszło rewelacyjnie. Jeszcze raz spojrzała w kierunku oglądanych poprzednio domów. Ale nie dostrzegła ich, bo nagle znalazła się zupełnie gdzie indziej. Na rynku. Tu również wszystko było piernikowe, marcepanowe i lukrowane. Na środku placyku stała ogromna choinka, zielone igły były starannie wyrzeźbione w lukrze, bombki pyszniły się tysiącem kolorów. A z nieba zaczęły spływać słodkie, cukrowe płatki śniegu.

Klementynę ogarnęło poczucie wielkiego szczęścia. Zniknęły cała niepewność i lęk. Bo przecież jej się udało! I to jak! Była sobą zachwycona.

„To ja stworzyłam cały wielki zimowy świat! Jestem stworzycielką! Wielką stworzycielką świątecznego świata!”

Ledwo to pomyślała, zaczęły wokół niej wirować marcepanowe śniegowe płatki, okrążały ją, skupiały się coraz bliżej siebie, aż w końcu przybrały smukły kobiecy kształt.

„To duch świąt” – nie wiedziała, skąd to wie, ale wiedziała.

„Kto by pomyślał! Duch święt jest kobietą” – przekrzywiła głowę i przechyliła się tak, żeby zajrzeć marcepanowej postaci w twarz, ale tamta odsunęła się gwałtownie, a wokół niej pojawił się dym.

I eteryczny, smukły duch święt zaniósł się kaszlem. Klementyna poczuła, że coś tu wyraźnie się nie zgadza. Żadne duchy, a już na pewno te święteczne, nie powinny kasłać.

I wrzeszczyć:

– A niech to szlag! Cholera jasna!

A ten właśnie wrzeszczał i dodatkowo boleśnie szarpał ją za ramię.

– Ej – powiedziała więc z wyraźnie słyszalną w głosie pretensją i w tym momencie się obudziła, otworzyła oczy i zamarła.

Cała kuchnia spowita była smugami gryzącego dymu, który wydobywał się ze stojącego na gazie i rozgrzanego do czerwoności gara. A nad nią stała rozkaszlana Imka i raz po raz szarpała ją za ramię.

– Chwała Bogu, żyjesz – wychrypiała, widząc, że Klementyna rozgląda się wokół siebie nieprzytomnym, zaspanym wzrokiem. – Myślałam, że zaczadziłaś! Chociaż wiem, że czad i spalone garnki nie mają nic wspólnego, to i tak nie mogłam pozbyć się tej strasznej myśli – dodała i rzuciła się do kuchenki wyłączać gaz pod garem.

Klementynie te parę chwil wystarczyło, by oprzytomnieć. Błyskawicznie zerwała się od stołu i na całą szerokość otworzyła okno. Złapała ścierkę i zaczęła nią zawzięcie machać, jakby to mogło przyspieszyć przegnanie gryzącego dymu, który szarymi smużkami konsekwentnie oplatał całe pomieszczenie. Imka, czerwona na twarzy, usiłowała opanować kaszel.

– No to trzeba mi oddać sprawiedliwość, mam wycucie chwili – wychrypiała w końcu, podchodząc do Klementyny do okna. Wychyliła się i nabrała głęboki haust zimnego październikowego powietrza. – Przybyłam

w ostatnim momencie, bo jeszcze chwila, a garnek zająłby się żywym ogniem i kamienica poszłaby z dymem.

– A tak dymu nadal ci u nas dostatek, ale spaliła się li tylko zawartość gara i dno od środka – mruknęła Klementyna. – Przynajmniej uniknęliśmy pożaru i masz rację, jak trzeba, to trzeba, oddaję bez chwili wahania. No tę sprawiedliwość. Sama to przed momentem powiedziałaś, że trzeba ci oddać sprawiedliwość i że masz wycucie chwili – dorzuciła wyjaśniająco, widząc zdeorientowaną minę przyjaciółki. – A skoro już przy tym jesteśmy, to co cię tu tak zniecka przygnało? I to w tygodniu? Pomijając oczywiście wycucie chwili.

– No proszę, człowiek przyjeżdża, ratuje z opresji i zamiast usłyszeć: „Jak dobrze cię widzieć! Tęskniłam”, i takie tam, to z miejsca zostaje obrzucony podejrzliwymi pytaniami: „Co cię tu tak zniecka przygnało? I to z poniedziałku?” – Imka udatnie sparodiowała Klementynę.

– No nie czepiaj się, przecież doskonale wiesz, że zawsze się cieszę, jak przyjeżdżasz, i zaczynam tęsknić z miejsca, gdy znikasz mi z oczu. Ale to nie zmienia faktu, że rzadko wpadasz bez uprzedzenia. A jeszcze rzadziej w tygodniu. To po pierwsze. A po drugie, musisz mi wybaczyć brak taktu, bo nadal jestem otumaniona dymem i jeszcze nie doszłam do siebie – mówiąc to, Tyśka otarła łzawiące oczy wierzchem dłoni.

– No dobrze, biorąc pod uwagę niecodzienne i dramatyczne okoliczności, wybaczam ci ten rażący brak zachwyty na mój widok. Choć ludzie, którzy ratują innych przed niechybną śmiercią w pożarze, są raczej przyzwyczajeni do bardziej entuzjastycznych reakcji – zauważyła Imka, marszcząc zabawnie nos.

– Biorąc pod uwagę, że to mój pierwszy raz, nie mam jeszcze wprawy, ale z czasem na pewno uda mi się jakoś bardziej spektakularnie

zareagować. Może rzucę ci się do nóg, obłapię i zacznę dziękczynnie zawodzić. Czy to by cię usatysfakcjonowało?

– Raczej skłoniło do wezwania lekarza od głowy – parsknęła śmiechem Imka. – I pomijając wszystko, to lepiej, żeby kolejnych razów nie było. Bo kto wie, czy znów będę miała wycucie chwili i sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Aha, czyli jednak miałam rację, że to nie jest spontaniczna wizyta – pokiwała głową Klementyna.

– Miałaś. Dlatego między innymi przyjechałam tak wcześnie. Żeby móc z tobą na spokojnie porozmawiać, zanim cała reszta wstanie. Myślałam, że wyciągnę cię z łóżka i usiądziemy sobie na spokojnie przy kawie... Przywiozłam nawet ze sobą tartę ze szpinakiem i z serem pleśniowym, twoją ulubioną, moja mama upiekła specjalnie z myślą o tobie. No i trochę o mnie, bo jej powiedziałam, że muszę mieć coś, co pomoże mi cię zmiękczyć, a przy tej tarcie zawsze się rozpływasz. Wprawdzie mama zaproponowała, że może jeszcze upiec cytrynową, ale pomyślałam, że u ciebie jest tyle słodczy, że bez sensu, bo to tak, jakby nosić drwa do lasu...

– Oho, coś mi się wydaje, że ta twoja sprawa jest dużego kalibru – przerwała jej Klementyna. – Skoro już na wstępie chcesz mnie wziąć na tartę i przyjeżdżasz w poniedziałek, a przecież wiem, że początek tygodnia jest u ciebie w pracy najbardziej intensywny, i dodatkowo usiłujesz mnie zagadać, to musi chodzić o coś naprawdę dużego...

– Bo w sumie to jest i duże, i nienadające się na telefon. To po pierwsze. A po drugie, to nawet jakbym chciała to obgadać telefonicznie, to od wczoraj nie odbierasz i to mnie przede wszystkim natchnęło do natychmiastowego przyjazdu, panno słusznie podejrzliwa. Już się

nauczyłam, że jak nie odbierasz i nie oddzwoniasz, to niechybnie znaczy, że coś się dzieje.

– Eee tam, chyba trochę przesadzasz – mruknęła Klementyna bez przekonania.

– No widać na załączonym obrazku, jak przesadzam! Właśnie usiłowałam puścić z dymem kamienicę, dobrze, że dałaś mi klucze do mieszkania i mogłam wejść! To twoje nieodbieranie telefonu jest symptomatyczne. Pamiętasz? Raz gdy nie mogłam się do ciebie dodzwonić, leżałam w szpitalu, kolejny...

– Dobrze, dobrze, masz rację – przerwała jej Klementyna, kapitulując. – Rzeczywiście znasz mnie jak zły szeląg. I tak, najczęściej nie odbieram, gdy mam jakiś kłopot, którym nie chcę martwić innych.

– A ja ci tyle razy powtarzałam, że po to ma się przyjaciół, żeby te kłopoty dzielić. Takie podzielone z miejsca tracą na objętości i wadze i łatwiej się z nimi uporać. Ale oczywiście jak zwykle jesteś uparta jak oślica! Zresztą co ja mówię! Jedna oślica to byłaby bułka z masłem! Ty jesteś jak wielkie stado oślic i baranów razem wziętych!

– Chyba kóz – poprawiła odruchowo Klementyna. – Mówi się „uparta jak koza”.

– „Przyszła koza do woza” też się mówi i czy coś z tego wynika? – machnęła dłonią Imka.

– Chyba w tym kontekście rzeczywiście niewiele. I proponuję rozsądnie dać spokój przysłowiom i powiedzeniom, zostawić w spokoju czterokopytne i wrócić do meritum.

– Słusznie. To czemu nie odbierałaś telefonu? – Imka podciągnęła się, przysiadła na parapecie i wbiła w przyjaciółkę pytające spojrzenie.

– Nie o takie meritum mi chodziło. Myślałam raczej o tym, co ty masz mi do powiedzenia, ale niech ci będzie, bo wiem, że i tak koniec końców to

ze mnie wyciągniesz. Otóż dopadła mnie niemoc twórcza i nękają mnie straszne wizje, że nie będę miała za co żyć. A praca stanie się czystą katorgą bez grama pasji – wyrzuciła z siebie Tyśka. – I jedno, i drugie wydaje mi się potworne, sama nie wiem, które gorsze... I uprzedzając twoje kolejne pytania, typu: „Co się stało?” i „Czy aby nie przesadzam?”, od razu ci powiem: nie przesadzam. A stało się to, że nie mogę piec pierników. Jak próbuję, to sama widzisz, co się dzieje. Myślałam, że akurat tego – tu rzuciła ciężkie, sugestywne spojrzenie w stronę poczerńałego garnka – nie da się zepsuć. Ostatecznie to tylko zagotowanie odpowiednich składników. Taki przyczynek do pierników, a nie konkretne ciasto, które mi już kilka razy nie wyszło. A skoro nie wyszło ciasto, próbowałam to jakoś obejść, robić cokolwiek, i dostałam za swoje. I powiem ci, że to, że usnęłam i spałam tak twardo, też nie jest normalne. Zwyczajnie los dał mi po łapach za to, że go usiłowałam wziąć podstępem. Wynika z tego, że mam przynajmniej chwilowo nie dotykać się do pierników. Wyraźniejszego znaku już nie mogłam dostać. A bez zrealizowania piernikowych zamówień mój budżet nie istnieje. I co za tym idzie, Ruda Fela nie zarobi tyle, ile miałam nadzieję, i dodatkowo nieopatrznie się z nią tą nadzieją podzieliłam. A ja, Dobrochna i babka Agata plus zwierzaki umrzemy z głodu... Właśnie: skoro o zwierzakach mowa, to gdzie są Marcepan i Pasztet? – Rozejrzała się wokół siebie zaniepokojona. – Kiedy je widziałam ostatnio, spały tutaj pod stołem...

– Gdzie są w tej chwili, nie wiem, ale gdy wchodziłam do domu, oba były w przedpokoju. Marcepan z całą pewnością nie doznał uszczerbku na zdrowiu z powodu dymu, jest w szczytowej formie, bo radośnie obślinił mnie od stóp do głów. Na przyszłość trzeba zapamiętać, że w razie pożaru nim też można co nieco ugasić, a nawet jeżeli nie, to przynajmniej porządnie zwilżyć. Ten pies składa się głównie ze śliny. A wracając do tej

twojej piernikowej niemocy, to rzeczywiście nie brzmi to dobrze... Ale tak sobie myślę, że być może to, z czym przyjechałam, nieoczekiwanie stanie się jakimś rozwiązaniem. I mam niejasne wrażenie, że jedno z drugim się łączy...

– Hej, dobrze się czujesz? Kim jesteś i co zrobiłaś z moją przyjaciółką? – Klementyna zrobiła wielkie oczy. – Irmina! Ty przecież nie miewasz niejasnych przeczuć! Ani wrażeń. Od kiedy to nie liczą się fakty i żelazna logika, hej?

– Liczą się, liczą, ale to jest ten jeden wyjątek, który potwierdza regułę – powiedziała Imka, marszcząc nos. – Bo widzisz, właśnie chciałam cię prosić, żebyś wyświadczyła mi przysługę. Właściwie pośrednio mi, a bezpośrednio to przyjaciółce mojej dobrej znajomej. Tylko po tym, co mi powiedziałaś, nie wiem, jak mam ci to wyłożyć, żebyś nie uznała, że kompletnie mi odbiło.

– No to zaczyna się robić naprawdę interesująco – mruknęła Klementyna i odruchowo zamachała ścierką, którą cały czas ścisnęła w ręce. – No wykrztuś to z siebie w końcu! Co z tą znajomą?

– Z nią w sumie nic... Tylko widzisz, jakoś nam się tak zgadało o różnych kolejach losu i że czasem nie ma innej rady, jak zmienić całkowicie swoje życie. I ta zmiana z miejsca skojarzyła mi się z tobą. Bo przecież to właśnie zrobiłaś. Ku pokrzepieniu opowiedziałam jej o twojej determinacji i przeprowadzce do Miasteczka. I wtedy nas olśniło, że przecież skoro coś sprawdziło się jeden raz, to może sprawdzi się i drugi. Że może to jest też dobry patent dla tej jej nieszczęśliwej przyjaciółki, bo to właśnie o nią chodzi. I to jej by się przydała ta całkowita zmiana. Nowe miejsce, nowi ludzie, wydeptywanie na nowo ścieżek. Bo jej to jest bardzo potrzebne. Odkrycie nowych dróg. Muszę się przyznać, że to ja głównie zapaliłam się do tego pomysłu i zaczęłam ją przekonywać, żeby przekonała

przyjaciółkę do Miasteczka... – tu Imka zawiesiła głos i spojrzała na Klementynę badawczo.

– Czemu tak na mnie dziwnie patrzysz? Przecież nie mam wyłączności na mieszkanie w tym miejscu. Co więcej, bardzo możliwe, że nawet nie zauważę, że ktoś nowy tu przyjechał. W końcu mieszka tu całkiem sporo ludzi. Więc jeżeli ta dziewczyna będzie chciała się tu wprowadzić, to nikogo nie musi pytać o pozwolenie. A już na pewno nie mnie. Ale jeżeli trzeba jakoś pomóc tej przyjaciółce twojej znajomej, to mogę nawet podpytać tu i ówdzie i rozejrzeć się za jakimś wolnym mieszkaniem... Bo u mnie w kamienicy jest, ale duże, trzypokojowe...

– O, i widzisz, i to u ciebie jest idealne! Bo ona, ta przyjaciółka znajomej, nie będzie sama. To jedno mamy już załatwione – ucieszyła się Imka.

– Nie, zaraz, stop! Jakie załatwione? Co załatwione i dlaczego mam wrażenie, że zostałam w coś wrobiona? – Klementyna czujnie zmarszczyła brwi.

– Od razu wrobiona! Po prostu wszystko się świetnie składa. I to tym bardziej do ciebie powinno przemówić. To ty wierzysz w znaki, przeczucia, zbiegi okoliczności, a nawet w przodków, którzy z zaświatów wściubiają swoje widmowe nosy w nasze ludzkie sprawy. W ogóle jak tak na ciebie patrzę, to doskonale pasujesz do tego przerażającego końca świata i zaściankowej miłośnicy wielkości chusteczki do nosa! A wracając do mojej znajomej i do jej przyjaciółki, to skoro mieszkanie jest... Poczekaj! – Machnęła niecierpliwie ręką, widząc, że Tyśka bierze oddech i szykuje się do odpowiedzi. – Zanim zaczniesz protestować – ciągnęła, nie dopuszczając przyjaciółki do głosu – i wszędzie węszyć podstęp, daj mi skończyć. Przecież to bez sensu, żeby ta dziewczyna szukała mieszkania gdzie indziej. Skoro i tak ma płacić, to lepiej, żeby kasa trafiła do ciebie.

Poza tym twoja kamienica jest idealnie położona. W środku rynku, wszędzie blisko, no i tutaj skupia się całe życie towarzyskie tego grajdołka, a jej tego potrzeba najbardziej. Ludzi. Najlepiej właśnie takich jak tutejsi – dorzuciła Imka takim tonem, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

– Czyli jakich? – Klementyna uniosła pytająco brwi.

– No jakich, jakich! Takich, co to wściubiają nos w nie swoje sprawy i żywemu nie przepuszczą. Takich, którzy będą do niej zaglądać, bo ciekawość nie pozwoli im inaczej, i nie będą się przejmować, czy jej się to podoba czy nie! No takich, jakich tu pełno! I nie patrz na mnie z takim wyrzutem! Ja też, choć w życiu przed nikim innym się do tego nie przyznam, polubiłam to miejsce; i doktora Piotrusia, i Julkę, i panią Grażynkę z piekarni, i kościelnego Jaśka! Miasteczko polubiłam! Bo tu jest inaczej. Jakoś tak, bo ja wiem... Bardziej ludzko? Swojsko? Nie umiem tego wytłumaczyć, ale w Rzeszowie, gdzie przecież od lat codziennie chodzę do tej samej piekarni, do tej pory nic nie wiem o pani, która sprzedaje mi bułki, a ona nic nie wie o mnie. A tutaj się tak nie da, tu się nie tylko mieszka, tu się jest. I to jest właśnie sedno: tu jesteś ty, konkretny człowiek. Zero anonimowości. To jest na swój sposób piękne. I to doceniam. Ale każdy medal ma też drugą stronę. Nawet ty, zakochana w tym miejscu, nie możesz zaprzeczyć, że u pani Grażynki plotki sprzedają się lepiej niż jej pyszne świeże bułeczki, a kościelny Jasiek miele ozorem jak ciele ogonem i zna wszystkie nowinki z bliższych i dalszych okolic! I że trzeba mieć się na baczności, gdy się przy nim coś mówi. No chyba że akurat zależy ci na nagłośnieniu czegoś, to insza inszość! Wtedy należy podzielić się z nim najdrobniejszymi szczegółami. No nie jest tak?

– Z tym akurat trudno polemizować – chcąc nie chcąc, Tyśka musiała przyznać jej rację.

– No właśnie! I tego oprócz mieszkania szukamy dla tej przyjaciółki znajomej. A skoro znów wróciłyśmy do lokalu do wynajęcia, to będę zupełnie szczerą: gdybyś się opierała, to byłoby, wybaczyć, megalitycznie głupie. Mieszkanie stoi puste, przygotowane pod wynajem, sezon wakacyjny się skończył, turyści nie będą tu walić drzwiami i oknami, bo listopadowa aura raczej ich skutecznie wypłoszy z miejsca, gdzie nawet porządnej knajpy nie ma. Dobrze, że przynajmniej ty otworzyłaś cukiernię. Dzięki niej jest jakby trochę bardziej światowo. A skoro już tak nam dobrze idzie omawianie interesów i jesteśmy przy temacie, to pozostaje jeszcze jedna sprawa...

– Mająca coś wspólnego ze światowością i z cukiernią? – upewniła się zdziwiona Klementyna, bo jakoś do tej pory nie widziała kompletnie związku pomiędzy tym, o czym rozmawiały, a ciastkarnią.

– No tak. To jest właśnie ta bardziej kontrowersyjna część historii i zarazem moja prośba. Czy mogłabyś tę dziewczynę na ten jeden przedświąteczny sezon zatrudnić do pieczenia? – wypaliła Imka z grubej rury. – Znaczący do wszystkiego, co nie wymaga doświadczenia – dodała szybko, nie dając Klementynie dojść do głosu. – Bo ja wiem... Do wkładania i wyjmowania blach z piekarnika, wałkowania i wycinania ciastek. Z tym nawet ja sobie radzę, to każdy inny też podoła i...

– Hola, hola, nie rozpędzaj się – przerwała jej w końcu Klementyna. – Nie wiem, o co chodzi i dlaczego wydaje ci się, że to, do czego mnie przekonujesz, ma w sobie choć namiastkę dobrego pomysłu, bo nie ma! Nie ma w tym też ani grama sensu! Tu nawet nie ma się nad czym zastanawiać! I nie mówię o mieszkaniu, bo akurat w tym przyznaję ci rację. Chce się przeprowadzić, zaczynać od nowa, proszę bardzo. Potrzeba jej ludzi i bliskości wszystkiego? Idealnie! Kamienica rzeczywiście jest w rynku, bliskość i ludzie dodawani są w pakiecie. Ale poważnie: rozważałaś jej

pracę u mnie? Szczególnie w kontekście tego, co przed momentem ci powiedziałam! Ziemia do Imki! Słyszysz? NIE MOGĘ PIEC! – przeliterowała z namaszczeniem.

– Ziemia do Tyśki! Słyszysz? Od kiedy stałaś się taką egoistką, co?

W kuchni na moment zapanowała cisza, bo Klementynę wyraźnie zatkało, a Imka milczała, dając przyjaciółce czas na przetrwanie tego, co właśnie usłyszała.

– To nie było miłe! I co to w ogóle znaczy? – przemówiła w końcu Tyśka z wyrzutem. – Wyjaśnisz mi to jakoś tak przystępnie? Bo nie rozumiem i czuję się prawie że obrażona!

– Dobrze, że prawie robi dużą różnicę – mruknęła kompletnie nieskruszona Imka. – A wyjaśniać nie bardzo mam co! Tylko tyle, że zachowujesz się nie tak jak ty, nie jak Tyśka, która nie przechodzi wobec ludzkiego nieszczęścia obojętnie, nie jak ktoś, dla kogo liczy się przede wszystkim drugi człowiek! Nie jak ktoś, kto ku mojemu zmartwieniu w każdym dopatrywał się czegoś dobrego! To ja zwykle musiałam cię sprowadzać na ziemię i przypominać, że ludzie wszędzie są tacy sami, czytaj: z przewagą tych wyrachowanych i paskudnych, i że świata nie zbawisz. A ty mi zawsze sarkałaś w odpowiedzi, że świata nie musisz zbawiać, wystarczy, że zajmiesz się konkretnym człowiekiem. I szczerze mówiąc, brakuje mi tamtej Klementyny. Powiedzmy, że nieco naiwnej, ale cieplej i do przytulenia. Może w tym właśnie tkwi twój problem z pieczeniem? Może dlatego bożonarodzeniowe pierniki się buntują, bo nie czują się bezpieczne? Bo zaczęłaś się zmieniać!

– Imka, chyba się trochę zagalopowałaś, nawet mnie to zgrzyta! Pierniki nie czują się bezpieczne? Naprawdę?

– No dobra, masz rację, przesadziłam. Ale tylko w tym jednym! Przecież ty nawet nie zapytałaś, dlaczego ta kobieta musi zmienić swoje

życie i co takiego się stało, że przyjaciele się o nią martwią – Imka ściszyła głos i wymownie spojrzała Klementynie prosto w oczy.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, aż w końcu Tyśka potrząsnęła głową i zagryzła dolną wargę. W pierwszym momencie chciała zaprzeczyć, poczuła napływającą gorącą falę oburzenia, ale gdy tylko słowa Imki w pełni do niej dotarły, zrozumiała, że przyjaciółka się nie myli.

– Masz rację – mruknęła zawstydzona. – Chyba za bardzo skoncentrowałam się na sobie i trochę się w tym wszystkim pogubiłam. Chociaż nadal uważam, że ten wasz pomysł jest nie do zrealizowania, ale rzeczywiście z faktami się nie dyskutuje. A to niewątpliwie jest fakt, nie opinia: nawet nie zapytałam. I nie jestem z tego dumna. A więc nadrabiam i pytam teraz: co takiego się stało tej pani? I z kim miałyby przyjechać do tych trzech przestronnych pokoi? I dlaczego, na moje nieszczęście, musi akurat wycinać pierniki, a nie robić cokolwiek innego?

– To ja ci zaraz to wszystko klarownie wyjaśnię – zapowiedziała na powrót ożywiona Imka.

Ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo w tej chwili wzrok Klementyny zahaczył o otwarte na oścież kuchenne drzwi, w których dostrzegła swoją córeczkę, i sugestywnie trąciła przyjaciółkę w ramię, dając jej znać, że to nie jest dobry moment na kontynuowanie tej dyskusji.

– O, Dobrosia, a ty co tutaj robisz? Przeziębisz się w tym przeciągu – zwróciła się do małej, która już od jakiegoś czasu, niezauważona przez zajęte rozmową matkę i ciotkę, tkwiła w progu.

– Dzień dobry, ciociu, dzień dobry, mamusiu. Czy chciałyście spalić naszą kuchnię? – zapytała z żywym zainteresowaniem, ignorując całkowicie uwagę Klementyny o przeziębieniu. – Bo jak ja chciałam pobawić się w palenie złej wiedzy na stosie, to doktor Piotruś mi nie pozwolił i powiedział, że ze mną to jest jedno wielkie urwanie głowy i że

małe dziewczynki powinny unikać zapalek, bo z takiego połączenia to zostają tylko popioły i coś jeszcze, na „z”, ale nie pamiętam co...

– Zgliszcza – odpowiedziała odruchowo Klementyna.

– O właśnie! To jest to słowo – ucieszyła się Dobrochna. – Muszę mu teraz powiedzieć, że jak dorosnę, to wcale nie będzie lepiej. I że pewnie też zadymię tak pięknie naszą kuchnię, bo mam to po matce... To jest to... Jak to się nazywa... Dziedziczenie. Doktor Piotruś ostatnio mi właśnie o tym opowiadał i teraz będzie na pewno zachwycony, że ja też to mam – uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– O tak, na pewno wręcz padnie z tego zachwytu – mruknęła Klementyna.

– I na pewno powie: „Jaka matka, taka córka” – dorzuciła rozmarzenie Dobrochna. – Chociaż to mówi pan Leonek. Wiesz, ciociu, kto to jest pan Leonek, prawda? – zwróciła się do Imki.

– Coś tam kojarzę, to ten, który ma warsztat samochodowy, tak?

– Dokładnie tak, droga ciociu. Oprócz warsztatu ma też żonę jędzę i córkę. One biednemu panu Leonkowi psują krew i dlatego on musi pić piwko w ukryciu, jak jakiś ostatni żuk, tak ostatnio mówił doktorowi. I teraz mnie dręczy pytanie: czemu żuki muszą pić w ukryciu? Bardzo bym chciała to wiedzieć...

– Może zapytaj doktora Piotrusia – podsunęła jej rozbawiona Klementyna.

– Pytałam, ale powiedział tylko, że jestem przebrzydłym bąkiem, on zawsze tak ładnie do mnie mówi, i że ciekawość to pierwszy stopień do diabła, i dał mi mój ulubiony batonik, żebym choć przez pięć minut była cicho.

– Chyba do piekła – widać Imka nie nadążała za mnogością informacji. – W sensie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła...

Zresztą mniejsza o większość. Powiedz mi lepiej, skąd ty to wszystko wiesz? W sensie o panu Leonku i tej piwnej konspiracji. On ci to wszystko opowiada? – W tym samym momencie zapomniała się i głęboko odetchnęła zadymionym powietrzem, po czym natychmiast zaniosła się kaszlem.

– No coś ty, ciociu! Ja jestem za mała. On opowiada o tym naszym kochanemu doktorowi Piotrusiowi. Bo doktor jest jego prawdziwym przyjacielem i też z nim się ukrywa, choć przecież nie ma jeszcze żony jędzy ani córki. A ja to wszystko słyszę niechcący – Dobrochna na całego popłynęła na fali zwierzeń.

– Z tym niesłyszeniem to nabrałaś dużej wprawy, bo jakoś tego, że mówiłam ci, że za chwilę się przeziębisz, też nie usłyszałaś – zauważyła cierpko Klementyna, korzystając z tego, że mała musiała zamilknąć, by zaczerpnąć powietrza.

– A bo o to, mamusiu, nie musisz się martwić, bo ja nie mogę się przeziębici. Przecież mam się ożenić z doktorem Piotrusiem, a jakby tego było mało, muszę zostać doktorką. I dlatego muszę mieć końskie zdrowie – powiedziała uspokajająco, nie odrywając zaciekawionego i uważnego spojrzenia od kaszlącej Imki.

– I? Co ma jedno do drugiego? W sensie zostanie doktorową i doktorką z przeziębieniem? – dociekała Klementyna, podchodząc do zlewu. Nalała wody do szklanki i podała ją Imce. – Napij się, bo za moment się udusisz – mruknęła.

– No doktorką bez przeziębienia właśnie, po to mi to końskie zdrowie – wyłożyła jej cierpliwie Dobrochna. – Doktor Piotruś mówi, że to jest niezbędne, żeby leczyć ludzi. W ogóle nie wiem, czy wiesz, ciociu – mała zwróciła się do Imki – że końskie zdrowie to musi mieć prawie każdy.

– Ale lekarz przede wszystkim. To akurat załapałam, przed chwilą wspominałaś, że to właśnie wkłada ci w twoją niezwykle pojemną główkę

doktor Piotr – wychrypiała Imka, odstawiając pustą szklanę na stół.

– No właśnie, kochana ciociu, ale doktor Piotruś to pierwsze, ale nie ostatnie. Bo na przykład mamusia mówi, że ktoś, kto się ze mną ożeni, też musi mieć końskie zdrowie i nerwy ze stali. Jak powiedziałam to doktorowi Piotrusiowi, to stwierdził, że mam wyjątkowo mądrą matkę. A właśnie, mamusiu, czy doktor Piotruś ma nerwy ze stali?

– Skoro tyle czasu wytrzymuje z tobą, to z pewnością – mruknęła Klementyna.

– Całe szczęście, to już nic nam nie stoi na przeszkodzie do naszego szczęścia. Tak mówił jeden pan w filmie, który oglądałyśmy ostatnio z babcią Agatą. Tylko że on potem rzucił się na tę panią, co to już nic mu do niej na drodze nie stało, i zaczął ją całować... Mam nadzieję, że doktorowi Piotrusiowi nie przyjdzie nic tak głupiego do głowy, bo ja tam nie zamierzam się na niego rzucać. Ostatecznie mogę pocałować go w czoło. Ale dopiero jak urosnę. Jakoś mu to przetłumaczę, powiem mu, że trudno, jakoś będziemy musieli doczekać. A w tym czasie zajmę się tym, żeby za nim trafić. Chociaż to podobno jest bardzo trudne. Kochana ciociu, a jak ciocia uważa? Bardzo chciałabym to wiedzieć – Dobrochna wspięła się na wysoki taboret, usadowiła się na nim wygodnie i utkwiała pytające spojrzenie w twarzy Imki.

– Eeee, czekaj, bo chyba się trochę pogubiłam – jęknęła zapytana. – O co dokładnie pyta twoja córka? – bąknęła w kierunku wyraźnie ubawionej Klementyny, która w geście bezradności rozłożyła ręce.

– No czy to jest możliwe – Dobrochna spojrzała na nie z przyganą.

– Aaaa... Czy jest możliwe – powtórzyła Imka z namysłem. – No to ja ci powiem, że oczywiście – odparła, doszedłszy do wniosku, że o cokolwiek chodzi temu dziecku ze słowotokiem, nie należy podcinać mu

skrzydeł. – Jak czegoś chcesz, to możesz. Tego się trzymaj aż do końca świata i jeden dzień dłużej! – dodała stanowczo.

– Aha – Dobrochna z namysłem pokiwała główką i energicznie zamajtała nogami. – Czyli nawet jak się zgubi, to ja go znajdę! Bo chcę.

– Czekaj, kogo znajdziesz i kto się zgubi? – Imka poczuła, że kręci jej się w głowie, zupełnie jakby przed momentem zeszła z wirującej karuzeli. – Właściwie to ja już zupełnie nie wiem, o czym my rozmawiamy!

– Za długo cię u nas nie było i odwykłaś – roześmiała się Klementyna. – No i nie miałaś momentu, żeby się zaaklimatyzować, bo ledwo weszłaś, a już zostałaś rzucona na głęboką wodę Dobrosinej paplaniny. Dobrośka – zwróciła się następnie do córeczki – a teraz skup się i powiedz po kolei: o co chodzi? Dlaczego i gdzie masz trafiać za doktorem Piotrusiem, bo akurat to, że to o nim jest cały czas mowa, dla mnie, zaprawionej w bojach, jest w miarę jasne...

– Bo jest chłopem – wyłożyła Dobrochna, marszcząc jasne brewki. – A żona pana Leonka ostatnio powiedziała, że prędzej piekło zamarźnie, niż za chłopem się trafi.

– Kobieta ma trochę racji, trudno zaprzeczyć – ubawiła się Imka. – Widać, że zna życie. Rozumiem, że ty dość często rozmawiasz z tą panią Leonkową?

– A nie, rzadko, bo my z doktorem Piotrusiem przyjaźnimy się z panem Leonkiem. Tak jak już mówiłam, chodzimy do niego do warsztatu na piwko. Doktor Piotruś zawsze trzyma je w swojej lekarskiej teczce, żeby ta jędza żona pana Leonka nie widziała, że oni się dobrze bawią, bo im nie wiedzieć czemu nie pozwala... A ja bawię się razem z nimi, tylko że piję oranżadę. I to jest nasza tajemnica. Ojej – zakryła ręką buzię, po niewczasie zdając sobie sprawę, że się wygadała.

– O rany, jak tutaj przy oknie strasznie wieje, tak zaszumiało, że nie dosłyszałam, co powiedziałaś – zlitowała się nad nią Klementyna i porozumiewawczo trąciła łokciem Imkę.

– Aaa, tak, ja też ogłuchłam od tego wiatru, dzwoni mi w uchu, jakbym miała tam całą dzwonnice... To co, chyba trzeba już skończyć to wietrzenie? – Imka odwróciła się i zajęła zamykaniem okna.

– A ty, Dobrosiu, jak chcesz z nami siedzieć, to leć włóż sweter i skarpetki, bo naprawdę zrobiło się zimno – dorzuciła Klementyna, umiejętnie omijając poprzedni temat.

– Już idę... – mała z ociąganiem ześlizgnęła się ze stołka i obrzuciła spojrzeniem Imkę. – Ciociu, a czy ty już na pewno nie będziesz kasłać? – zapytała, patrząc na przyjaciółkę Klementyny z nieukrywaną nadzieją.

– Chyba nie...

– Szkoda – westchnęła Dobrochna rozdzierająco. – Tak pięknie charczałaś... Może gdyby mama nie dała ci wody, byłoby lepiej i wyplułabyś te płuca. A ja bym w końcu mogła to sobie w spokoju obejrzeć. Bo ty nie jesteś żadnym sobkiem, żeby mi nie pozwolić... – westchnęła wyraźnie zawiedziona. – Ale na pewno kiedyś się uda – dorzuciła, natychmiast odzyskując optymizm, i energicznie pokiwała główką. – Już raz byłam blisko, jak Marcepan nam uciekł, a on jest naprawdę szybkim psem, i mama mówiła właśnie, że tak się za nim darła, że o mało co płuc nie wypluła. Ale jej nie wyszło, chociaż rzeczywiście wrzeszczała z całych sił. A Doktor Piotruś nadal mi tego nie chce pokazać. Ani wyplutych płuc, ani nawet jednej jedniutkiej ślepej kiszki też nie! Cały czas mu nudzę o taką ośleplą kiszkę, ma ich na tony w szpitalu, a podzielić się nie chce! Chociaż wie, że to jest moje wielkie pragnienie – rozmarzonym tonem wyznała dziewczynka. – A teraz pójdę zobaczyć, czy

babcia Agata już wstała, i założyła sweter i kapcie – dodała i wymaszerowała z kuchni.

– Czy twoja córka właśnie powiedziała to, co usłyszałam? Że marzy o organach wewnętrznych? – Upewniła się Imka, patrząc w osłupieniu na drzwi, za którymi zniknęła Dobrochna.

– Dokładnie tak. I to musi być naprawdę ogromne marzenie, bo Dobrosia nawet poprosiła o to w liście do Świętego Mikołaja – Klementyna, zobaczywszy minę Imki, ledwo powstrzymała się od śmiechu.

W pomieszczeniu przez moment panowała cisza, jak makiem zasiał. Imka opadła na jedno z krzeseł stojących wokół dużego, zbitego z desek kuchennego stołu i zanurzyła ręce we włosach, targając je bezlitośnie. Przetrawiała to, co właśnie usłyszała. Po chwili potrząsnęła głową, podniosła się z krzesła i podeszła do uchylonych drzwi kuchennych. Wyjrzała za nie, a potem zdecydowanym ruchem je zamknęła i wróciła na powrót na swoje miejsce przy stole.

– To tak na wszelki wypadek, bo wolę się upewnić, że nikt nas nie usłyszy... – skinęła głową w stronę zamkniętych drzwi. – W kwestiach mikołaja i prezentów mam ogromny dar mówienia wprost, że grubas w czerwonym kitlu nie istnieje, i już raz zniszczyłam niechcący dzieciństwo córeczce jednej znajomej. Podobno zafundowałam jej mikołajową i świąteczną traumę. I wolałabym oszczędzić tego Dobrochnie, tobie i sobie zresztą też, bo coś mi mówi, że konkretnie w tym wypadku traumę zaliczyłabym głównie ja i poniosłabym za swoje gadulstwo i prawdomówność srogą karę. Znając życie i Dobrochnę, twoja córka zasypałaby mnie pytaniami o nieistniejącego mikołaja. Albo jeszcze gorzej: o jego życie wewnętrzne. W sensie o wątrobę i inne takie.

– Wiesz, w ostateczności zawsze możesz zasłonić się niewiedzą i napuścić ją na doktora Piotrusia, który o jelitach i innych wyrostkach wie

znacznie więcej – zaśmiała się Klementyna.

– Obawiam się, że mogłoby go wtedy nie być pod ręką. Ale wracając do świąt i mikołaja, i do prezentowych pragnień twojego dziecka, to powiedz mi, czy ja dobrze zrozumiałam. Już macie napisany świąteczny list? I ona naprawdę, naprawdę poprosiła w nim o ślepą kiszkę?

– Listów mamy już dwa, bo Dobrochna usłyszała ostatnio w piekarni, że poczta schodzi na psy, więc postanowiła na wszelki wypadek zacząć pisać już teraz i skończyć w połowie grudnia. A co do twojego drugiego pytania o kiszkę, to naprawdę, naprawdę. I nie ślepą, ale oślepiłą – poprawiła przyjaciółkę Klementyna i w końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. – Ale nie martw się, jest większy wybór. Dobrosia marzy jeszcze, tak jak słyszałaś, o wyplutych płucach i butelce niewidce dla pana Leonka, żeby mógł oddawać się swojej piwnej pasji w spokoju. To dobre dziecko, myśli też o innych – dodała, śmiejąc się już na całego. – Aha, zapomniałabym. Możesz jeszcze wystarać się o bardzo krótkie jelito.

– Zwyczajnie krótkie nie wystarczy? – dopytała się Imka słabym głosem.

– Niestety, zwyczajnie krótkie jest... No zwyczajne – Klementyna rozłożyła bezradnie ręce. – A ona chce zaimponować kochanemu doktorowi Piotrusiowi.

– Aha... A jakby to zwyczajnie krótkie ciapnąć, toby się liczyło? Kurczę! My naprawdę to robimy? Rozważamy podarowanie małej dziewczynce organów wewnętrznych, uszytych na miarę? – zapytała retorycznie, zreflektowawszy się.

– Wiesz, ty, adwokat od rozwodów, zresztą cieszący się niesłabnącą popularnością i sławą, na pewno masz wśród swoich znajomych prokuratorów, adwokatów i patologów sądowych kogoś ze swobodnym dojściem do prosektorium. Może coś tam komuś zostało z sekcji... Wiesz,

tak jak przy składaniu mebli zawsze zostają jakieś dziwne śrubki, to może komuś zostało niepotrzebne, porzucone jelito? Gdybyś takie bezdomne jelito podrzuciła pod choinkę, niechybnie zostałabyś bohaterką tego domu. Dobrochna by cię ozłociła.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – Imka pomimo usilnych starań zachowania powagi w końcu nie wytrzymała i jednak parsknęła śmiechem. – To bardzo nieetyczne śmiać się z tak poważnych spraw i zwłok – dorzuciła karcąco. – A poza tym to wcale nie na mnie spłynąłby cały splendor, ale na tego obzartucha w czerwonym kubraku! Nie zniosłabym tego za nic na świecie. A swoją drogą, to kiedyś było łatwiej. Dziewczynki chciały lalki i domki, i ubranka dla misiów, chłopcy samochodziki i klocki i było z głowy. A teraz co się narobiło? Jelita, wątroby i butelki niewidki, żeby pan Leonek mógł się w spokoju alkoholizować! Świat zwariował! Mam nadzieję, że do świąt pojawią się kolejne listy z innymi życzeniami, bo jako dobra i kochająca ciotka chcę spełnić życzenia mojego ulubionego dziecka, a z tymi aktualnymi będzie trudno!

– Spokojnie. Życzeń tak naprawdę jest sporo, choć niepokojąco duża część z nich zahacza o medycynę. Kto wie, może ta fascynacja, którą rozbudził w Dobrosi doktor Piotruś, czymś zaowocuje? A teraz przepraszam cię bardzo, ale mówiłaś coś o mojej ulubionej tarcie, którą upiekła twoja mama. To może ja zrobię kawę, a ty włóż to cudo do piekarnika, bo lepiej, żebym ja chwilowo nie zabierała się do niczego, co ma jakikolwiek związek z pieczeniem... Wprawdzie do tej pory pech trzyma się wyłącznie pierników, ale lepiej dmuchać na zimne... W każdym razie wstaw ją i korzystając z tego, że jeszcze jesteśmy same, wróćmy do tematu przyjaciółki twojej znajomej i wyjaśnij mi w końcu, dlaczego miałabym zatrudniać u siebie kogoś, kto z pieczeniem nie ma nic

wspólnego. Bo tak wywnioskowałam z tego, co mówiłaś wcześniej. Ona nie jest z mojej branży, prawda?

– Prawda. Ale to jest właśnie to, co mi daje coraz bardziej do myślenia – mruknęła Imka. – Ty nie pieczesz, mimo że pierniki zawsze były twoją domeną. Ona z kolei nie może robić tego, czym się do tej pory zajmowała. Czy to nie jest znak?

– Ty mnie nie bierz pod włos! Ty mi lepiej wytłumacz, czemu ja ci przyszedłam do głowy! I dlaczego nawet teraz, gdy wiesz, jaki mam problem, nadal suszysz mi głowę.

– No i jednak nie dam rady inaczej, tylko zacząć od tych nieszczęsnych znaków! I nie, nie biorę cię pod włos, tylko nie mogę się pozbyć wrażenia, że tak miało być! Ostatnio idealnie się wszystko u ciebie układało, czyż nie? – Imka sięgnęła po leżącą na podłodze torbę i wyjęła z niej dużą blaszkę, w której apetycznie złociło się wytrawne kruche ciasto wypełnione szpinakowo-serowym nadzieniem.

– No powiedzmy. Jakby ktoś chciał się doszukać jakichś problemów, to pewnie by znalazł, ale biorąc pod uwagę wszystkie wcześniejsze, to rzeczywiście: te to zaledwie miniaturki, które kompletnie się nie liczą – zgodziła się Klementyna. Nalała wody do czajnika i łakomie zerknęła na blaszkę, którą Imka wsuwała do piekarnika.

– I może o to właśnie chodzi? – Irmina nastawiła temperaturę. Oparła się bokiem o kuchenną szafkę i popadła w zamyślenie. – Przecież to ty, a nie kto inny, zanim tu zamieszkałaś, powtarzałaś nieustająco, że niedobrze, jak za dobrze. I wtedy mnie ta twoja asekuracyjność wobec losu potwornie denerwowała, ale teraz, gdy tak się temu uważniej przyglądam, to może coś w tym jest... – powiedziała chyba bardziej do siebie niż do przyjaciółki.

– Przepraszam cię, Imka, ale nie bardzo rozumiem – przerwała jej nieco podirytowana Klementyna. – Co ma, że tak tematycznie powiem, piernik do wiatraka?

– Do wiatraka nic, ale do twojej niemocy piernikowej i sprawy tej dziewczyny, o której rozmawiamy, możliwe, że całkiem sporo. Bo tak mi się pokojarzyło... Pamiętasz, jak kiedyś ci mówiłam, że to właśnie dzięki tobie zaczynają się moje święta? Że tam, gdzie się pojawiaasz, zaczyna nimi pachnieć?

– Pamiętam, odpowiedziałam ci to, co zawsze mówię w takich sytuacjach: że to nic dziwnego, bo skoro przez całe dni piekę pierniki, to przesiąkam ich aromatem, a on z kolei kojarzy się ze świętami. I to prawda, bo zawsze i wszędzie ciągnie się za mną ta charakterystyczna woń... Całkiem przyjemny efekt uboczny mojej pracy, perfumy korzenne.

– Tak, to właśnie mniej więcej mi powiedziałaś, ale dodałaś jeszcze coś i o to coś teraz szczególnie mi się rozchodzi. Bo ja ci wtedy odpowiedziałam, że to nie zapach jest kluczowy, że nie chodzi o takie pierwsze skojarzenia ze świętami, czyli o choinkę, prezenty, bombki... Niby istotne, ale same w sobie nie stworzą prawdziwych świąt. Są dodatkiem, a nie sednem. A tak naprawdę wszystko rozbija się o głęboką tęsknotę za miłością, za rodziną, ciepłem płynącym z szeroko otwartych ramion. To tworzy prawdziwe święta. Chodzi o to świąteczne uchylanie drzwi z nadzieją, że ktoś wyczekiwany stanie przed nimi i je szerzej otworzy. To wszystko czuje się dużo wcześniej niż dwudziestego czwartego grudnia, wiele dni wprzód smakuje się to, co ma dopiero nadejść. Wigilia jest kulminacją, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby cieszyć się tym, zanim nadejdzie. I taka radość uzależnia tak jak ty, a razem z tobą pierniki, które pieczesz. Bo bez ciebie byłyby zwyczajnymi ciastkami. Bo to ty oddajesz im to, co masz najcenniejszego. Swoją wrażliwość. I one tym

emanują. Jakąś taką specyficzną, wzruszającą do głębi tęsknotą. O tej tęsknocie też kiedyś mówiłyśmy.

– Rzeczywiście, pamiętam... To było w mojej rzeszowskiej kuchni, jeszcze przed przeprowadzką do Miasteczka. Powiedziałaś mi tyle cudownych rzeczy, bardzo się wtedy wzruszyłam. – Po twarzy Klementyny przemknął nostalgiczny uśmiech. – I ty też, ale oczywiście nie chciałaś dać tego po sobie poznać i z miejsca zażartowałaś, mówiąc, żebym przyznała się, co dosypuję do ciasta, że tak działa na innych. Dopytywałaś, jaki jest tajemny składnik.

– O widzisz, świetnie, że sama o to zahaczyłaś, bo do tego właśnie zmierzałam. Do tego i do twojej odpowiedzi. – Imka niespokojnie zakreśliła się na stołku i z roztargnieniem przesunęła palcem po brzegu pustej już szklanki. – Bo wtedy usłyszałam od ciebie, że tym tajemnym składnikiem jest być może tęsknota, o której przed chwilą wspomnialiśmy. Dorzuciłaś, że umiesz tęsknić jak nikt inny i że jesteś w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. I spojrzałaś na mnie tak, że serce mi się ścisnęło, bo niechcący cię zasmuciłam. Ale teraz tak sobie myślę, że może nie bez powodu odbyłyśmy wtedy tę rozmowę i że z jakichś powodów obie o niej nadal pamiętamy. Być może te słowa padły wtedy po to, żebyśmy teraz mogły do nich wrócić.

– Imka, ja cię bardzo przepraszam, ale z nas dwóch to ja zawsze byłam mistrzynią kluczenia, a ty zwykle waliłaś wszystko prosto z mostu, nie owijając w bawełnę. Wiesz, pięścią między oczy i tak dalej. I ja kompletnie nie mogę się odnaleźć w tym, co teraz się tutaj dzieje. Może zwyczajnie powiesz, o co ci chodzi, co? Bo po w większości nieprzespanej nocy, upokarzającym przyśnięciu z głową na stole, spaleni zawartości gara i obudzeniu się w wypełnionej po brzegi dymem kuchni moje zdolności kojarzenia padły na amen.

– Zapomniałaś dołożyć do tego steku nieszczęść ożywczej rozmowy z Dobrochną. Ta to dopiero potrafi skołować! A jej miłość do narządów wewnętrznych wprawić w niemałe osłupienie!

– Fakt. To efekt uwnuczkwienia jej przez doktora Piotrusia, który daje się wciągnąć w rozmowy o szpitalu. Poza tym moja córka twardo obstaje przy tym, że się z doktorem ożeni. Swoją drogą, myślałam, że szybciej zmieni swoje matrymonialne plany.

– Spokojnie, jeszcze chwila, a zauroczy się jakimś kolegą z klasy. Ale o jedno powinnyśmy już zadbać. Nawet w nawiązaniu do doktora. Chyba trzeba jej wytłumaczyć, że raczej może za niego wyjść, a niekoniecznie się z nim ożenić – zauważyła trzeźwo Imka.

– A o tym to ona doskonale wie, ale ostatnio ze śmiertelną powagą wyjaśniła mi, że doktor Piotruś powiedział jej, że dziewczynki zawsze mają wybór i żeby o tym pamiętała. Dlatego ona będzie z tego korzystać i nie zamierza za nikogo wychodzić, tylko będzie się żenić.

– Z doktorem, który ją uwnuczkwiał, czyli może i z przyszywanym, ale jednak dziadkiem? Coś tu się wyraźnie nie zgadza – mruknęła Imka. – A w ogóle od kiedy doktor Piotr zrobił się taki wyemancypowany? Że utwierdza naszą spryculę w przekonaniu, że może mieć we wszystkim własne zdanie?

– Od kiedy ma do czynienia z Dobrusią – roześmiała się Klementyna. – Wpadł jak śliwka w kompot i kompletnie nie zauważa, jak daje się podpuszczać. To jest klasyczny przykład syndromu gotowanej żaby. A ten tekst o tym, że zawsze ma wybór, to pokłósie obrazka, który Dobrochna znalazła w internecie i pokazała doktorowi. Może kojarzysz: na obrazku siedzi potężny facet, naprzeciwko niego drobniutka dziewczynka, córeczka, i gość do niej mówi coś w ten deseń: jeżeli ktoś jest dla ciebie niedobry, obraża cię i wyzywa, to weź łopatę i mu dołóż. Na to mała odpowiada mu:

„Tatusiu, ale ja jestem dziewczynką”. A on: „To możesz wziąć różową”. No i nasz doktor Piotruś po obejrzeniu obrazka wpadł w stupor. Kiedy pierwsze osłupienie minęło, zaczął Dobrochnie wyjaśniać, że oczywiście to, że jest dziewczynką, nie znaczy, że można jej dokuczać i że wolno jej mniej niż chłopcom, bo wolno tyle samo, ale że zasadniczo przemoc jest zła i zanim się złapie za tę różową łopatkę, to lepiej rozwiązywać sprawy inaczej. Lecz jeśli nie ma wyjścia, to trudno! Dobrochna ma pamiętać, że jak ktoś robi jej krzywdę, to nie tylko może, ale wręcz ma obowiązek się bronić, i tak dalej, i tak dalej...

– O matko, słuchając tego, nawet ja poczułam się skołowana, chociaż wiem, o co chodziło i w memie, i doktorowi Piotrusiowi. Ale gdybym była w wieku Dobrochny...

– To różnica byłaby taka, że uniosłabyś swoje niebieskie niewinne, dziewczęce oczęta i litując się nad nim, zapytała: „Kochany doktorze Piotrusiu, to znaczy, że mogę powiedzieć tak albo nie, czy tak?”. I doktor, chcąc nie chcąc, odpowiedział: „Tak”. Dlatego Dobrochna z tego tak korzysta i będzie się żenić. Bo może. A teraz wróćmy na litość wszystkiego do tematu, bo jak będziemy tak kluczyć, to w życiu nie dojdziemy do tego, z czym tu przyjechałaś. O ile dobrze pamiętam, stało na tym, że moje pierniki były, jakie były, bo tajnym składnikiem była tęsknota...

– A tak, rzeczywiście. I chciałam zauważyć, że teraz, po raz pierwszy od wielu lat, przestałaś tęsknić za czymkolwiek. – Imka odchrząknęła. Było widać, że powiedzenie tego nie przyszło jej łatwo. – I choć może to wyglądać na naciąganą teorię, może właśnie o to chodzi? – Kontynuowała po chwili. – Żebyś znów zatęskniła. A przy okazji na nowo poczuła chęć zatroszczenia się o kogoś... o kogoś, kto naprawdę tej troski potrzebuje. Może po prostu wasze drogi, twoja i tamtej dziewczyny, muszą się przeciąć?

Przez moment Klementyna wpatrywała się w Imkę z namysłem. To, co właśnie usłyszała, nie było do końca miłe, ale jednocześnie nie mogła nie przyznać Imce racji. Ale nie tylko o to chodziło. Tyśka zmarszczyła brwi, bo coś nie dawało jej spokoju. Ostatnie słowa przyjaciółki z czymś jej się kojarzyły. Z czymś, o czym niedawno myślała.

Gdy w końcu zdała sobie sprawę, czym to coś jest, poczuła, że serce zaczyna jej bić bardzo mocno. Wiedziała, że znalazła właściwą odpowiedź.

Znów wróciły do niej słowa Starej Anny:

„Serca poszły w odstawkę. Ludzie są mniej wrażliwi”.

I nagle opanowała ją dziwna pewność, że oto dostała od losu wskazówkę i ostrzeżenie. Dano jej pstryczka w nos.

Bo gdy dziś w nocy myślała o tym, że być może powinna pójść na rozstaje dróg i rozpalić ogień, by w nim zobaczyć to, czego nie dostrzegała przy zwykłym, wszechobecnym świetle, nie miała racji. Nie o ogień chodziło. Ale o jej serce. O to, że ukołysana spokojem i dobrobytem zaczęła być obojętna.

Rację miała wtedy Stara Anna, twierdząc, że serca idą w odstawkę, rację miała teraz Imka, gdy patrząc przyjaciółce prosto w oczy, zapytała, gdzie podziała się tamta dawna Tyśka.

Klementyna domyślała się, ile to od Imki wymagało odwagi. W końcu łatwo jest mówić miłe rzeczy, dużo trudniej powiedzieć coś mało sympatycznego, było nie było, krytycznego, zwłaszcza komuś, kogo przecież się kocha.

Ale na tym również polegały miłość i troska.

A więc dostała wskazówkę. Jeszcze nie wiedziała, co powinna z nią zrobić, czuła jednak, że ma to związek z Imką i prośbą, z którą tu przyjechała. I że w jakiś sposób historia kobiety, która musi zmienić swoje życie, jest związana z nią i z jej piernikową niemocą.

Nie pojmowała, o co w tym dokładnie chodzi ani do czego ma to prowadzić. Ale w tej chwili postanowiła nie dociekać. Wyłączyła gwizdzący czajnik, zalała przygotowane kubki i postawiła je na stole. A potem spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

– No to mów – powiedziała. – O tej przyjaciółce znajomej... Właściwie ona ma jakieś imię?

– Ma. Na imię ma Kornelia – powiedziała cicho Imka. – I bardzo, ale to bardzo potrzebuje wszystkiego, co może jej dać to miasteczko. I ty. A kto wie, czy jeszcze bardziej nie potrzebuje tego ktoś inny. Ale po kolei. Żebym znów nie pogmatwała. – Dodała, po czym wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

Mówiła długo. Nie przerwała ani wtedy, gdy wyciągała tartę z piekarnika, ani gdy Klementyna wstała, by wyjąć talerze z szafki. Ani nawet wtedy, gdy do kuchni weszła babka Klementyny, Agata, z Dobrochną. Nikt Imce nie przerwał, jakby do wszystkich dotarła powaga chwili. I to, że ta historia musi wybrzmieć do końca. Bo tylko wtedy, paradoksalnie, będzie mogła mieć nadzieję na kontynuację. Bo przecież każdy koniec jest zarazem początkiem.

Gdy wreszcie skończyła mówić, w kuchni na moment zapanowała cisza.

Babka Agata spojrzała znacząco na Klementynę i obie w tym samym momencie pokiwały głowami.

– Cóż, natura nie znosi próżni – mruknęła babka. – Liczba pogubionych musi się zgadzać.

To wystarczyło, by Klementyna wiedziała, że Pogubiona Agata myśli dokładnie to samo co ona.

– Niech przyjeżdża – powiedziała Tyśka schrypniętym głosem. – Na pewno coś się wymyśli, w grudniu w cukierni rąk do pracy nigdy nie jest za

wiele – dodała.

A potem spojrzała na ich domową figurkę Świętego Antoniego, odpowiedzialnego za wszystkie zguby tego świata. Aktualnie stał na kuchennej szafce. W tym domu święty traktowany był trochę jak żywy domownik. Przenoszono go tam, gdzie w danym momencie najczęściej przebywano. Patrząc na niego, Klementyna pomyślała, że wszyscy, łącznie z nim, przez najbliższe tygodnie będą mieli co robić.

Lecz wiedziała też, że usłyszawszy historię Kornelii, nie mogła postąpić inaczej. Coś jej mówiło, że babka Agata miała rację. Liczba pogubionych musi się zgadzać. I dostać szansę na odnalezienie. I to właśnie Klementyna postanowiła podarować nieznanej kobiecie i wszystkim tym, którzy przybędą do Miasteczka razem z nią, szansę na nowy początek i wydeptanie nowych dróg.

Gdy Klementyna zrozumiała, że choć to jeszcze nie grudzień, nadeszła właśnie pora, by otworzyć drzwi przed zbłąkanymi wędrowcami, nie miała pojęcia, że ci, przed którymi je uchyli, nie wiedzą nic o wielkim planie.

Decyzja została podjęta bez ich wiedzy. Teraz w rękach znajomej Imki leżało powodzenie całego przedsięwzięcia.

Na całe szczęście tamta nie była sama.

Nastał przedgrudzień. Czas przeszłych, obecnych i przyszłych duchów świąt. Czas magiczny. Czas, nad którym pieczę sprawowała potężna liczba trzy.

Trzy kobiety, trzeci przedgrudzień, trzy życzenia.

Było na co czekać.

RZESZÓW

PRZEDGRUDZIEŃ

KONIEC PAŹDZIERNIKA



Kornelia łudziła się nadzieją, że w tym roku jesień i zima będą wyglądały inaczej. Znośniej. W końcu jakiś czas temu coś w niej drgnęło. Na wiosnę poczuła nawet coś na kształt lekkiego ożywienia. Nie nazwałaby tego w żadnym razie radością ani tym bardziej szczęściem, ale przynajmniej zarejestrowała, że dni robią się dłuższe, a słońce mocniej grzeje. Przypomniała sobie, że dawniej, w tamtym życiu, które teraz wydawało się kompletnie obce, uwielbiała wiosnę, że czekała na nią z niecierpliwością. Gdy przymykała powieki, przed oczami przesuwały jej się wyblakłe wspomnienia, coś w rodzaju urywanych slajdów, pokazujących wyrywki z dawnych dni. Roześmiana kobieta wystawiająca z błogością twarz do słońca, ta sama kobieta wymykająca się cichaczem o poranku z łóżka, stąpająca na paluszkach, tak żeby nikogo nie obudzić i ukraść kilka chwil tylko dla siebie, na rozświetlonym promieniami słonecznymi balkonie, sącząc w samotności i ciszy świeżo zaparzoną kawę i ciesząc się widokiem kwitnących w skrzynkach pelargonii.

Teraz wiedziała, że tamta z przeszłości była niesamowicie głupia. Zapatrzona w to swoje chwilowe szczęście i zadowolenie. Skupiona na byciu sama ze sobą! Durna idiotka!

Z trudem rozpoznawała w tamtej beztroskiej kobiecie siebie. Ale nie ulegało wątpliwości, że to była ona. Sprzed tego, co się wydarzyło. Sprzed czasu, gdy zgasły wszystkie światła, a ona pogrążyła się w tej zapadłej nagle ciemności. Lepkiej i strasznej, ale na swój sposób pociągającej. Może dlatego, że można było się w niej ukryć.

„Jakże głupia byłam – pomyślała chyba po raz tysięczny i zagryzła dolną wargę tak mocno, że przeszył ją dotkliwy ból. Robiła tak często, bo przynajmniej wtedy coś czuła, udawadniała sobie, że jednak żyje. –

Gdybym wiedziała, gdybym tylko wiedziała, nie celebrowałabym tak tej przeklętej, podstępnej samotności, której wtedy tak bardzo pragnęłam, a której mam w tej chwili po dziurki w nosie.

Jednak rację mają ci, którzy mówią, że trzeba uważać, o czym się marzy, bo marzenia mogą się niespodziewanie spełnić, tyle tylko, że ukazując nieznane, prawdziwe i straszne oblicze.

Gdybym tylko dostała szansę i mogła cofnąć czas! – pomyślała z rozpaczą podszytą zrezygnowaniem. – Nie zmarnowałabym ani minuty, którą można było spędzić wspólnie. Nie wstawałabym skoro świt z łóżka, tylko leżała przytulona do niego, z głową na jego piersi, otulona uspokajającym biciem jego serca. Albo budziłabym go i razem siedzielibyśmy na balkonie. Może gdybym tak robiła, zgromadziłabym jego obecność na zapas, może teraz mogłabym po nią sięgać jak po weki, które przygotowuje się latem na zimę... Zimą, która zapanowała wieki temu i rozhułała się w moim życiu na dobre”.

No właśnie, zima... Po tym lekkim wiosennym przebudzeniu, po tym jak zarejestrowała, że kwitnie bez i że, o dziwo, nadal pięknie pachnie, po tym jak raz czy dwa zauważyła, że kosz z praniem jest przepełniony, i nawet zdobyła się na to, żeby władować brudne rzeczy do pralki, zaczęła mieć nadzieję, że i jesień, i zima będą znośniejsze. I że może nawet odważy się znów zrobić coś ze świętami.

Ale niestety wszystko to były płonne nadzieje. Już w pierwszych dniach października poczuła znajome dławienie w gardle i zimno rozlewające się w piersi. Nieubłagalnie nadchodził listopad i ta nieuchronność sprawiała, że Kornelia znów poczuła się jak w pułapce. O grudniu nawet bała się pomyśleć.

To będą trzecie święta bez niego – kołatało jej nieustająco w głowie za każdym razem, gdy usiłowała jakoś się do grudnia i do nadchodzącej

święteczności przymierzyć.

Najchętniej wykreśliłaby te dni z kalendarza. Udała, że nie istnieją. I podobno niektórzy tak właśnie robili.

Bo przecież nie ma obowiązku. Nie chcesz – nie musisz! Grzmiało na Facebooku, na Instagramie i w prasie. Pełna wolność!

– Akurat! – prychnęła Kornelia pod nosem.

Pełna wolność z całą pewnością nie obejmowała takich jak ona. Była wdową. Od dwudziestu trzech miesięcy i iluś tam dni. Na początku liczyła skrupulatnie każdą dobę i godzinę, ale w pewnym momencie stwierdziła, że miesięczne odliczanie w zupełności wystarczy. Też oddawało to całe morze rozpacz, które musiała podczas upływających dni przepłynąć.

A rozpacz i bycie wdową wyczerpywały.

Bycie wdową było zupełnie czym innym niż narzeczoną, a potem żoną. Nikt jej do tego nie przygotował. Nikt nie zapytał, czy się zgodzi, nikt nie dał jej czasu do namysłu, nikt nie liczył się z jej zdaniem. Nie było szampana ani życzeń na nową, samotną drogę życia. Nie pytano o sukienkę ani o to, czy dobrze się w niej czuje. Nie zapewniano, że w czerni jej do twarzy.

Ta czarna kreacja, gdy było już po wszystkim, zawisła w szafie tuż obok śnieżnobiałej sukni ślubnej, której nigdy nie zgodziła się ani sprzedać, ani schować do pudła. To była najpiękniejsza, najważniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek miała. Symbolizowała to wszystko, o czym marzyła i o czym pisała w swoich książkach. To w niej wkraczała na drogę, którą już nigdy nie miała podążać sama. Którą mieli iść ręka w rękę. Michał i ona. Aż do szczęśliwego zakończenia, które zawsze, ale to zawsze miało jednocześnie być kolejnym początkiem. Mieli być dokładnie tacy jak bohaterowie jej powieści. Umiała o nich zadbać i sprawić, by w taki czy inny sposób odnajdywali to, co prowadziło ich do happy endu. To samo zamierzała

zrobić w prawdziwym życiu. Przecież wierzyła całą sobą w dobre zakończenia i małe codzienne, zwyczajne cuda.

Ale to wszystko się skończyło. Umarła wiara w to, co dobre, i wraz z nią odeszła sama Kornelia. Została tylko powłoka i serce, które nie wiedzieć czemu nie umarło tamtego grudniowego popołudnia, gdy odebrała telefon z nieznanego numeru.

Obcy głos, ciepły i współczujący, poinformował ją, że jej mąż miał wypadek samochodowy. I że przebywa w szpitalu.

– Ale wszystko z nim dobrze? – zapytała drżącym głosem. – Żyje?

– Żyje... Ale nie mogę udzielić pani żadnych informacji. Musi pani porozmawiać z lekarzem.

Wtedy uczepiła się końcówki tego zdania jak tonący brzytwy. Zepchnęła na kraniec świadomości to, że gdy kobieta, z którą rozmawiała, mówiła: „Żyje”, słychać było w jej głosie wahanie.

Porozmawiać z lekarzem. „Skoro muszę porozmawiać z lekarzem, to znaczy, że jest o czym! I skoro Misiek jest już pod lekarską opieką, w szpitalu, to na pewno wszystko będzie dobrze” – powtarzała to sobie jak mantrę.

„Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze” – szumiało jej w uszach, gdy wybiegała z domu.

„Wszystko będzie dobrze” – przelatywało przez głowę, gdy przecinała ulice, nie zważając na pasy czy czerwone światła.

I pomimo tego, że szpital był blisko, zaledwie dwie przecznice od ich mieszkania, pomimo tego, że Kornelia całą drogę przebiegła – nie zdążyła na czas.

Nic nie było dobrze.

Misiek odszedł kilka minut przed tym, jak wpadła w objęcia sterylnie białego szpitalnego korytarza prowadzącego prosto do sali, na której leżał.

Kto wie, może gdzieś po drodze nieświadomie zderzyła się z jego ostatnim oddechem, ulatującym w kierunku niewiadomego. Może otarła się o jego odchodzącą duszę.

Później często śniło jej się, że biegnie białym korytarzem i przelatuje przez jego widmową, splecioną z mgielnych nitek postać, która wyciąga do niej ręce w błagalnym geście. A ona nie może złapać jego dłoni i choć tak bardzo próbuje, to młóci jedynie powietrze. Budziła się z tego koszmaru zlane potem i ze śladami łez na policzkach.

Wiedziała też, że te sny były tylko odpowiedzią na to, co dręczyło ją na co dzień. Bo za nic nie mogła pozbyć się przeświadczenia, że gdyby zjawiała się u Miśka kilka minut wcześniej, udałoby jej się go zatrzymać. Podzielić się z nim oddechem, oddać mu połowę uderzeń swojego serca. Bo w końcu, do cholery, na tym polegała miłość! „Co moje, to i twoje!” „I nigdy cię nie opuszczę!” To do czegoś przecież zobowiązywało!

Ale nie zdążyła.

Odszedł i zostawił ją, nic nierozumiejącą, bezbronną i samotną. Z tamtym koszmarnym grudniem i z nadchodzącymi świętami. Z pytaniami, na które musiała odpowiadać, choć przecież odpowiedzi nie znała. Z kolejnymi dniami, które przychodziły jak gdyby nigdy nic. Z miesiącami, które zlewały jej się w jeden ciągnący się w nieskończoność ciemny i ponury czas. I z kolejnym Bożym Narodzeniem, którego według tych wszystkich wyzwolonych mądrali mogła nie obchodzić. Przecież, do jasnej anielki, była wdową! Miała prawo do żałoby, buntu i niechęci do życia, Gwiazdki i kolęd. Mogła nienawidzić epatujących szczęśliwością rodzinnych, pełnych miłości świąt!

Miała prawo.

Taaak, miała prawo...

Cały szkopuł polegał jednak na tym, że nie była jedynie wdową. Była też matką. A jak się jest matką trójki dzieci, które straciły ojca, nie powinno się nawet myśleć o tym, żeby ominąć święta.

Szczególnie gdy na co dzień omijało się całe życie. Wtedy właśnie od święta tym bardziej powinno się zebrać w sobie, zacisnąć zęby i choć przez te kilka dni sprostać oczekiwaniom. Być mamą. Tyle tylko że choć wiedziała to wszystko, i tak nie czuła się na siłach. Nie wiedziała, jak ma się do tego zabrać. Za to na samą myśl o świętach wszystko w niej krzyczało i wyło. Gdyby nie dziewczynki... o tak – gdyby nie dziewczynki, nie byłoby żadnych świąt. Tu nie miałyby dylematów. Krok po kroku wiedziałyby, co zrobić. Wyobraźnia bardzo usłużnie podsuwała jej obrazy: pusty stół, nieprzykryty, surowy, milczący. Bo przecież on się ożywia dopiero, gdy przy nim toczyło się życie. Gdy czuł na sobie dotyk miękkiej tkaniny obrusa, gdy muskały go spodki i talerze, a nad nim unosiły się śmiechy, gdy kładziono na niego łokcie, gdy się nad nim przekrzykiwano. Tego zaś Kornelia całą sobą nie chciała: ani choinki, ani żadnych świątecznych dekoracji, a tym bardziej stołu z białym obrusem i krzyczącym tęsknotą niezajętym miejscem przy pustym talerzu. Wizji zbłąkanego wędrowca. Tej ostatniej szczególnie się obawiała. Ich już na zawsze zbłąkany wędrowiec, niemający szans na odnalezienie, miał od dwudziestu trzech miesięcy znajome, ale jednak widmowe oblicze i Kornelia z trwogą myślała o tym, że gdy spojrzy w porcelanowy, biały i pusty talerz, zobaczy w nim upiorne, karykaturalne odbicie twarzy Michała. Męża, który przyjdzie do niej niczym potępiający Dickensowski duch minionych świąt. W końcu zasłużyła sobie na to. Przecież zepsuła poprzednie Boże Narodzenie. Choć tak bardzo się starała.

ZESZŁOROCZNY GRUDZIEŃ



Kornelia nie wiedziała, jak sobie poradzi, ale postanowiła, że przez kolejne dwa tygodnie i jeden dzień będzie tak, jakby nic złego w ich życiu się nie wydarzyło. Jakby Michał nie odszedł...

Ledwo to pomyślała, poczuła pod powiekami palące łzy.

„Wróć – nakazała sobie. – Nie, nie odszedł, ale jakby w ogóle nie istniał. Nie będę o nim myśleć! Przynajmniej nie przy dzieciach. Inaczej nie dam sobie z tym rady. Skupię się na dziewczynkach i tylko na nich. To jedyne rozwiązanie” – postanowiła w duchu.

– Od piętnastego do trzydziestego. Cholera jasna, chyba jesteś w stanie przeżyć piętnaście dni tak, jakby przeszłość i przyszłość nie istniały? – mówiła do siebie, zwlekając się z łóżka. – Niewiele musisz zrobić, zdać się na podświadomość i tyle!

Bo rzeczywiście instrukcję obsługi świąt miała zapisaną w pamięci na stałe. W końcu obchodzili je wspólnie z Michałem przez osiemnaście lat. Nie musiała się nad nimi za bardzo zastanawiać. Wystarczyło zwyczajnie robić to, co trzeba. I w miarę możliwości płakać dopiero w nocy, gdy dziewczynki będą już spały.

A więc pierwszy punkt: zero łez w ciągu dnia.

Drugi: zakupy. I gotowanie. Jakaś zupa grzybowa, sałatka jarzynowa, śledzie... A, i karp. Temu powinna podołać. Czerwony barszcz kupi w pudełkach, uszka i pierogi zamówi w garmażerze, a ciasta w cukierni. I jakoś to będzie.

Punkt trzeci: choinka. Tu będzie najtrudniej. Ten punkt kolidował z pierwszym. Trudno będzie o brak łez. Jeszcze trudniej będzie udawać, że Michała nigdy nie było. Przecież zawsze ubierali drzewko wspólnie, w wigilijny ranek. Wygłupiali się, śpiewali, kłócili, kto założy w tym roku

ozdobny czub, bo zdaniem Michała ten, kto dostąpi tego zaszczytu, będzie miał wyjątkowe szczęście przez cały następny rok. Dziewczynki targowały się o to pomiędzy sobą, próbowały wszelkich sposobów, łącznie z przekupstwem, byle tylko wyłudzić dla siebie ten przywilej. Nawet bliźniaczki, choć przecież były takie małe, już wiedziały, że skoro wszyscy chcą, musi to być coś szczególnego. W końcu i tak stawało na tym, że czub był zakładany przez każdego po kolei.

– Widzicie, szczęście ma to do siebie, że łatwo się nim dzielić – śmiał się Michał, podnosząc każdą z córek po kolei do góry i pozwalając im zdjąć ozdobę i zaraz założyć ją ponownie na choinkowy czubek.

Małe były jeszcze na tyle niezdarne, że Kornelia stawiała na taborecie, odbierała dekorację z ich rączek i umieszczała ją tam, gdzie powinna się znaleźć.

Tak zawsze to wyglądało. Jedyne, co się zmieniło, to że gdy najstarsza z córek podrosła, nie pozwalała już się podnosić, tylko tak jak matka stawiała na kuchennym taborecie.

– Tato, jestem już duża – mówiła, śmiesznie marszcząc nos.

W identyczny sposób, jak robił to Misiek.

Tak było zawsze. Rok po roku.

I to ich „zawsze” miało trwać. Bo było takie piękne, dobre i bliskie. Ale nieoczekiwanie zniknęło, a po nim nastąpiło „nigdy”. Nigdy było przerażające i straszne.

I nie do wyjaśnienia młodszym dziewczynkom. Starsza córka nie potrzebowała już tego typu odpowiedzi, rozumiała doskonale, z czym wiąże się śmierć. Więc ku niebotycznej uldze Kornelii nie pytała. Ale czteroletnie bliźniaczki... one łaknęły nadziei i zapewnień. I dopominały się konkretów.

– No bo skoro tata odszedł, to i wróci. Zawsze wracał. To kiedy przyjdzie? – młodsza z bliźniaczek Emilka była tą, która nie dawała się

zbyć i jak zawsze kierowała się żelazną logiką.

Kornelia usiłowała tłumaczyć, trochę okrężnie, bo sama nie była gotowa na krótkie i zdecydowane: tatusia nie ma i nie będzie. Nie przeszłoby jej to przez gardło. A skoro ona nie była gotowa, to małe tym bardziej. Ostrożnie więc dobierała słowa, usiłując mówić prawdę, a jednocześnie nie patrzeć dziecku prosto w oczy. I za każdym razem, bez wyjątku, jej serce rozpadało się wciąż na nowo na milion drobnych kawałków. Gdyby tylko ktoś jej podarował trzy życzenia, na pewno jedno zużyłaby na prośbę, by nie musieć wyjaśniać tego, czego sama przecież nie rozumiała. Łatwo się o tym pisało w powieściach, łatwo się o tym czytało. Rozpacz, żałoba, śmierć. Trudne sprawy, ale będące częścią egzystencji każdego człowieka. Widać ona nie była każdym. Była wadliwym egzemplarzem, skoro nawet dla dzieci nie umiała się pozbierać. Była tchórzem, bo gdy przyszło co do czego, nie mogła i nie chciała żyć. Nie bez niego. A już na pewno nie chciała zrozumieć. Bo jak to tak: był człowiek, chodził, oddychał, kochał, przytulał. Miał plany na przyszłość, śmiał się i nagle znikał. Nie zostawało po nim nic. Poza pytaniem: dlaczego?

Jak to w ogóle było możliwe?

Zrozumieć znaczyło zaakceptować. Jego bolącą nieobecność. Jego bezkompromisowe odejście. Znaczyło wyzbycie się żalu i poczucia, że ją zostawił. A tak przynajmniej czasami mogła się o to wściekać. O to opuszczenie. Mogła go obwiniać za to, że życie jej i dziewczynek zamieniło się w koszmar. To on był winien!

Zrozumienie pozbawiłoby ją tego luksusu zrzucania winy na Michała. I zmusiło do przejęcia całkowitej odpowiedzialności. Za życie. Swoje i dzieci. A ona przecież tego życia nie przyjmowała do wiadomości.

Nie bez Michała.

Patrząc na pustą połówę łóżka, na jego krzesło przy biurku, na którym jej mąż nigdy już nie usiadzie, na okulary do czytania, które wciąż leżały na nocnym stoliku, nadal nie mogła pojąć, jak może go nie być. Te rzeczy całkiem zwyczajne, na które kiedyś nie zwracała uwagi, teraz nabierały zupełnie innego, wręcz mistycznego znaczenia. Bolały ją, ale nie umiała ich usunąć. To by było równoznaczne z wyrzeczeniem się Miśka. A ona nie była na to gotowa, widać nie mogła jeszcze przejść do tego etapu żałoby, na który czekała najbardziej: pogodzenia. Choć przecież minęło już tyle czasu, że powinna odhaczyć wszystkie punkty, przekroczyć je zdecydowanie, a nawet gdyby nie miała dość determinacji i gdyby się czołgała od jednego do drugiego, to i tak powinna już mieć je wszystkie za sobą.

Tymczasem nadal tkwiła na początku tej drogi.

Skoro sama nie rozumiała jego odejścia, nie pogodziła się z nieobecnością męża, to jak miała wyłożyć to dzieciom? Jak miała przekonująco odpowiadać na pytania, gdzie jest ich tatuś, jak wyjaśnić, że nigdy nie wróci? Nie mówiąc już o zapewnieniach, że chociaż go nie ma, to i tak przy nich będzie.

A bliźniaczki niezmiennie pytały. Szumiało jej od tego w głowie, kłuło za oczami.

I w końcu któregoś razu nie wytrzymała.

– Nigdy! – wydarła się w odpowiedzi na powtarzające się niczym mantra pytanie Emilki: „Kiedy tata wróci?”. – Nigdy, rozumiesz?

Ledwo to wykrzyczała, zobaczyła wielkie, wystraszone oczy córeczki. Już żałowała.

– Ale nigdy to bardzo daleko, mamusiu – wyszeptała mała drżącymi usteczkami, a w jej oczach zalśniły łzy.

Wtedy Kornelia kompletnie się załamała. Ukryła twarz w dłoniach i wiedziała, że nie da rady powstrzymać histerycznego płaczu, który

zdradliwie podchodził jej do gardła. Że nie bacząc na Emilkę i jej siostrzyczkę Amelkę, która usłyszawszy podniesione głosy, przybiegła z głębi domu, za chwilę zaczęła krzyczeć i wydzierać sobie włosy z głowy. Na całe szczęście pojawiła się najstarsza córka, Basia. Wystarczyło jedno spojrzenie na matkę, żeby zrozumiała, co się dzieje, po czym bez słowa zagarnęła siostry ramionami i zabrała je z sypialni.

Tak lepiej. Przynajmniej nie widziały, jak po raz kolejny ich matka się rozsypuje i usiłuje utonąć we łzach.

Wtedy zdecydowała się na wzięcie tabletek, które przepisała jej lekarka. Początkowo nie chciała po nie sięgać. Pragnęła być w pełni przytomna. Dla dziewczynek. Połknęła je też dla nich.

Bo absolutnie nie chciała serwować dzieciom histerycznej i nieźrównoważonej matki. Wystarczyło, że musiały się zmagać z brakiem taty. Wzięła od razu i te na uspokojenie, i te na sen. Nie spodziewała się bynajmniej, że lekarstwa całkowicie załatwią problemy. Bo Kornelia obawiała się, że z tabletkami czy bez już nigdy nie da rady zapanować nad sobą, nad codziennością, a już tym bardziej nad całym tym świątecznym czasem.

Czasem, kiedy rodzi się Bóg, czyli tak naprawdę rodzą się nadzieja, wiara i miłość. Coś, co dla niej przestało być dostępne.

Kochała dzieci ponad wszystko, ale jednocześnie nie miała sił, by się mierzyć z ich uczuciami, pytaniami, bólem. Nie miała sił, by rozmawiać o Michale.

O tak, gdyby miała trzy życzenia, to poza tym pierwszym, by nie musieć odpowiadać na pytania małych, z całą pewnością i stanowczością życzyłaby sobie ominięcia świąt. Przeskoczenia nad nimi. W wyobraźni jawiło jej się to jako skok nad groźną, ziejącą czeluścią i wylądowanie na twardej i kamienistej ziemi. Potłukłaby się, poraniła, ale nie musiałyby

bezwładnie spadać w dół, z trwogą czekając na zderzenie się z ziemią, na której wszystko będzie tonąć w świątecznej szczęśliwości.

Gdyby miała trzy życzenia, ostatnie zostawiłaby niewykorzystane. Aż do czasu gdy dziewczynki urosną. Wtedy poprosiłaby, by nigdy, przenigdy nie doświadczyły tego, co ona, by nigdy nie musiały żegnać tego kogoś, kto miał być z nimi na dobre i na złe. Żeby ten ktoś nigdy nie złamał obietnicy. Tak jak zrobił to Michał. Bo w końcu, do diabła, on jej to przyrzekał! Na dobre, lepsze i jeszcze cudowniejsze. I na złe, bo do stopniowania tego ostatniego nie zamierzali dopuścić. A jednak złe i najgorsze nadeszło. I gdy przyszło, została z nimi sam na sam.

Choć w tyle głowy kołatało jej się, że przeinacza, że to nie był wybór Michała, że decyzję podjął złośliwy los, to liczyły się fakty. A fakty były takie, że na to złe została sama. Złe bolało i rozrywało jej serce każdego dnia na nowo, za każdym razem, gdy budząc się, otwierała oczy. Jeżeli piekło istniało, to było tu, na ziemi. I ona do niego trafiła. I gdyby tylko mogła, uchroniłaby przed tym dziewczynki. Podarowałyby im swoje ostatnie życzenie, które zabezpieczyłoby ich przyszłość. Oszukałaby system. Wtedy mogłaby w końcu zasnąć na zawsze, podążyć w stronę tego cholernego światła, w kierunku, w którym tamtego grudniowego dnia zapewne pomknęła widmowa postać Michała. A może wcale nie? Może nie szedł ochoczo, tylko opierał się, przytrzymał kurczowo życia, łapał szpitalnej metalowej barierki łóżka, ale był za słaby i świetlista pozaświatowa dziura go pochłonęła? Może zabrakło mu wsparcia z tej drugiej, realnej, ziemskiej strony? Znów w tym momencie wracała do niej upiorna myśl, że może gdyby zjawiała się wcześniej, wszystko skończyłoby się inaczej. Że to ona zawaliła. Że zawiodła Miśka. A tym samym i dzieci, i siebie.

Ale skoro już do tego doszło, to jej wymarzone trzy życzenia byłyby wybawieniem.

Niestety ten świat tak nie działał. Wiedźm i okrutnych czarnoksiężników było całkiem sporo, ale wróżki i magiczne matki chrzestne wyginęły już dawno temu. Życie trwało, zapadnięcie w stuletni sen nie było możliwe. Nawet o mało skomplikowanym skoku nad świąteczną przepaścią można było tylko pofantazjować.

Święta nieuchronnie nadchodziły.

„Niesamowite, że to, co jeszcze tak niedawno dawało nam tyle szczęścia, na co czekałam, wszyscy czekaliśmy z tak ogromną niecierpliwością, teraz tak piekielnie boli!” – myślała, obchodząc mieszkanie i z narastającym lękiem przyglądając się każdemu pokojowi.

Każde pomieszczenie przywoływało niechciane wspomnienia. W kuchni widziała siebie i jego pijących wino, stojących przy kuchennym oknie, z którego roztaczał się widok na zachody słońca. W przedpokoju widziała, jak całują się zachłannie, o mało co nie przewracając wieszaka na płaszcze, przed oczyma miała obraz, jak tamtego feralnego poranka Misiek sięga po klucze, które z brzękiem upadły na podłogę. Do salonu zajrzała na końcu.

„Zobacz, ten róg pokoju jest idealny dla drzewka!”

Zaszumiał jej w głowie entuzjastyczny głos Michała. To były ich pierwsze święta, szukali w salonie miejsca na choinkę. I rzeczywiście – kątem przy oknie był świetny. Od tamtego momentu drzewko stawało tam co roku.

Tylko zeszły był wyjątkowy. Pierwszy bezchoinkowy. Pierwszy bezświąteczny. Pierwszy bezmichalny.

Wtedy jeszcze do Kornelii to wszystko nie docierało. Cały czas wydawało jej się, że musi to być zły sen. Pomyłka. Że za moment okaże

się, że to jakiś ponury żart i Michał znów stanie w drzwiach. Albo inaczej: rankiem Kornelia otworzy oczy, a on będzie leżał obok niej, przesuwając opuszkami palców po jej plecach, tak jak najbardziej lubiła.

„No co się tak patrzysz, jakbyś się mnie tu w ogóle nie spodziewała?” – zapyta ją z tym swoim zaczepnym, niesymetrycznym uśmiechem, który unosił tylko jeden kącik ust.

A ona się zaśmieje z ulgą na myśl, że telefon z nieznanego numeru, a potem szaleńczy bieg do szpitala to był tylko zły sen. Ale niestety nic takiego się nie wydarzyło.

„Zawsze” odeszło, rzeczywiste i realne było tylko „nigdy”.

Rok temu w tym całym koszmarze odpadło jej przynajmniej jedno: święta. Nikt nie oczekiwał, że się nimi zajmie. Jej przyjaciółka Miłka, nie bacząc na słabe protesty Kornelii, zabrała je wszystkie do swoich rodziców. Z perspektywy czasu Kornelia była jej za to wdzięczna. Rodzice Miłki byli dla dziewczynek jak dziadkowie. Przyszywani, ale jedyni, jakich miały. Zajęli się nimi najlepiej, jak potrafili. I to oni i jej przyjaciółka wzięli na siebie ciężar tamtych pierwszych samotnych świąt. Teraz jednak trzeba było wziąć się w garść. Przetrwac święta, sprawić, żeby stały się nowym początkiem.

Wypłoszyć wyraz zagubienia z oczu dziewczynek. Sprawić, by Basia znów zaczęła się śmiać...

W tym momencie do Kornelii dotarło, że od roku nie słyszała śmiechu swojej najstarszej córki. A przecież w tamtym życiu w domu aż nim pulsowało.

Basia była roześmianym, żywym srebrem. Ich pierwsza, wyczekana córeczka. Ich promyk.

Zgasła – dotarło do Kornelii. I coś w jej sercu drgnęło.

I zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, kim stała się jej córka przez ostatni rok. Ani jak sobie radzi z tym, co zgotował im los. Pogrążona w swojej apatii i bólu ledwo ją dostrzegała. Poświęcała jej jeszcze mniej uwagi niż bliźniaczkom. One nie dawały się ignorować. Były nieustępliwe, chciały swojej mamy bez względu na to, w jakim ta aktualnie była stanie. Kornelia często budziła się z głębokiego snu zesłanego przez miłosierne pigułki i ze zdumieniem stwierdzała, że małe śpią razem z nią, przytulone do jej pleców albo trzymając ją kurczowo za rękę.

„Nawet to się zmieniło” – pomyślała z westchnieniem.

Kiedyś sypiały z rozrzuconymi na poduszce rączkami. Teraz kuliły się koło matki, zwinięte w ciasne precelki. Jakby instynktownie broniły się przed tym, czym może poczęstować je noc. A zwykle częstowała snami o ojcu, które wcale nie musiały być koszmarami. Te, w których był nadal obok nich, szczęśliwy i roześmiany, potęgowały tylko poczucie straty. Rozjątrzały niezagojone rany, wwiercały się w serca. To zapewne przed takimi snami dziewczynki usiłowały się schronić w łóżku mamy. W każdym razie cokolwiek je tu przyganiało, sprawiało, że przewijały się w jej świadomości, gdy ta przebijała się ponad opary proszków nasennych i uspokajających.

Ale Basia w tym wszystkim jakby zniknęła.

Ona była już za duża, żeby tak bezkompromisowo dopominać się o uwagę. I w stanie, w jakim Kornelia się znajdowała po zażywaniu pigułek, nietrudno było najstarszą córkę przeoczyć.

Tabletki stały się jej największymi i najlepszymi przyjaciółmi. Od momentu gdy zażyła je pierwszy raz, łykała ich całkiem pokaźną ilość. Leki na uspokojenie, na sen, na jeszcze większe wyciszenie. Przynosiły ulgę i sprawiały, że miała wrażenie, że funkcjonuje w swoistym półśnie. Taki półrealizm był jeszcze do zniesienia. Trochę tak, jakby była w bańce,

a wszystko inne, kanciaste i grożące poobijaniem, pozostawało poza nią widoczne, lecz nieco niewyraźne. Niemogące jej dotknąć. I prawdę mówiąc, dziewczynki też należały do „wszystkiego innego”. Były, ale leki łagodziły ich obecność, odsuwały od Kornelii natarczywość spojrzeń, ostrość słów.

Na całe szczęście mogła sobie na to pozwolić, przecież miała Basię, która w razie potrzeby zajmowała się siostrami. I chyba wszystkim, co było konieczne. Chyba, bo Kornelia nie do końca kojarzyła to enigmatyczne „wszystko”.

Ale teraz, gdy postanowiła znów włączyć się do życia, przygotować się do świąt, gdy miała pójść z dziewczynkami na zakupy, postanowiła podejść do sprawy rozsądnie i odpowiedzialnie. Zażyła tylko połowę dawki leków. Żeby córeczki miały jej trochę więcej, lecz jednocześnie żeby znieczulenie od rzeczywistości całkowicie nie zniknęło.

Naprawdę się starała.

Problemy zaczęły się jednak już na samym początku. Zakupy były koszmarne. Centrum handlowe, do którego w pierwszej kolejności zaciągnęły ją córki, pękało w szwach. Zewsząd płynęły świąteczne melodie i Kornelia miała wrażenie, że już nigdy nie pozbędzie się ich z głowy, wystawy uginały się od wieńców, bombek, ułożonych bez ładu i składu. Przynajmniej tak jej się wydawało i zastanawiała się, jak kiedyś mogła być tym wszystkim urzeczona i uważać ten cały błyszczący brokatowy kicz za romantyczny i klimatyczny! Ot, chociażby takie manekiny w jarmarcznych swetrach z reniferami, bałwanami albo śnieżynkami. Komercyjny koszmar!

A potem było tylko gorzej i gorzej. Ludzie biegnący, trącający ją, popychający. Ci sami, którzy w swoich domach, przy swoich choinkach będą rozprawiać o cudowności świąt. I o drugim człowieku. Tym samym, którego nie zauważyli. Którego mijali obojętnie, nie zważając na jego

smutek. Patrzyła na nich i zastanawiała się, czy ona też taka była. W tym innym, lepszym życiu... Jak to się określało? Szczęśliwa? Teraz nie umiała nawet sobie przypomnieć, co to znaczy. Potrząsnęła głową, usiłując wyrzucić z niej wszystkie natarczywe myśli, i dzielnie podążyła za najstarszą córką, która trzymała bliźniaczki za rączki. Na całe szczęście Basia nad wszystkim panowała. Kornelia mogła skupić się tylko na tym, żeby ich nie stracić z oczu i posłusznie iść tam, gdzie szły one. I tak zaliczyły mnóstwo sklepów, zrobiły zakupy spożywcze, odstały w kolejce do świętego mikołaja, który wysłuchiwał życzeń rozentuzjasmowanych dzieci. Jowialny, roześmiany, spoważniał nagle, gdy podeszły do niego bliźniaczki i szepnęły mu coś do ucha.

Widać było, że nie spodziewał się tego, co usłyszał. Nachylił się do dziewczynek i rozmawiał z nimi długo, dużo dłużej niż z innymi dziećmi. Z oczu widocznych spod sztucznych, krzaczastych i siwych brwi wyzierała mu troska. Na koniec pogłaskał dziewczynki po główkach, ale jakoś tak czulej, uważniej niż pozostałe maluchy. I patrząc na Kornelię i Basię, przyłożył rękę do czerwonego kubraka, w miejsce gdzie zapewne biło mikołajowe serce. Było w tym geście coś bardzo osobistego. Na tyle intensywnego, że nie umknęło uwadze Kornelii.

„O co chodzi?” – zapytała się w duchu i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, odpowiedziała mikołajowi tym samym gestem: dłonią położoną na sercu. A potem przeniosła całą uwagę na Amelkę i Emilkę, które z zaróżowionymi z emocji policzkami przeciskały się do nich przez tłum ludzi.

– O co poprosiłyście mikołaja?

Widać nie tylko Kornelię to nurtowało, bo identyczne pytanie padło z ust Basi, ledwo małe się koło nich pojawiły.

Dziewczynki, którym do tej pory buzie się nie zamykały, o dziwo, teraz nie kwapiły się do odpowiedzi i tylko popatrywały to na siebie, to na Kornelię.

– Jesteście bardzo tajemnicze! – uśmiechnęła się do nich Basia.

Ten uśmiech pojawił się na ustach, podciągnął ich kąciki do góry, ale nie sięgnął oczu. Świetlisto-smutnych, zbyt dorosłych. Na ten widok Kornelii ścisnęło się serce, nie mogła na to patrzeć. Z tęsknotą pomyślała o tabletkach uspokajających, które znieczulały ją na tyle, że nie dostrzegała takich niuansów. Nie musiała znosić dodatkowego cierpienia.

Ale teraz była pozbawiona ich ochrony. Stała pośrodku centrum handlowego, tuż obok miała gościa przebranego za Świętego Mikołaja, który patrzył na nie z dziwną troską i współczuciem. Czuła, że nie ma wyboru, musi się dowiedzieć, o co chodzi, co małe mu powiedziały.

– No dziewczynki, zdradzicie, o co poprosiłyście, to może ja poproszę o to samo i będziemy miały większą szansę – zwróciła się do małych, przywołując na twarz uśmiech.

Nie mogła się zobaczyć, ale i tak wiedziała, że pod tym względem ona i starsza córka nie różnią się od siebie. Tak samo jak u Basi u niej też ten uśmiech pojawił się tylko na ustach. Nie rozjaśnił oczu, nie zapalił w nich iskierek, które sprawiały, że radość płynęła wartkim strumieniem aż do serca. Ale bliźniaczki to sztuczne roz pogodzenie wzięły za dobrą monetę.

– Odpowiedziałyśmy po prostu na pytanie. – O dziwo, Amelka odezwała się jako pierwsza. Zwykle jej siostra była tą bardziej rozgadaną.

– Zapytał nas, o czym najbardziej marzymy – włączyła się natychmiast Emilka. – I jeszcze powiedział, że każda z nas ma jedno życzenie.

– Ale obie miałyśmy jedno, takie samo. – Amelka pokiwała główką. – Poprosiłyśmy, żeby tatuś żył – dokończyła, a Kornelia, słysząc to, poczuła,

że serce na moment przestaje jej bić, a potem, jak eksploduje jej boleśnie w piersi.

Nie słyszała dalszej części rozmowy córek, jak przez mgłę widziała, że Basia przykuca przed bliźniaczkami, bierze je za rączki i coś im tłumaczy, ale nie słyszała ani jednego słowa, bo zaczęło jej szumieć w uszach, a przed oczami pojawiły się mroczki. Na całe szczęście tuż za sobą miała ławkę. Przysiadła i schyliła nisko głowę. A potem, gdy udało jej się złapać haust powietrza, gdy wszystko wróciło mniej więcej na swoje miejsca i świat przestał opętańczo wirować, poczuła, że nie jest w stanie tu zostać. Że musi wrócić do domu.

Basia widać też dostrzegła, co się z nią dzieje.

– Wezwę ci taksówkę, dobrze? – zapytała cicho, pochylając się nad nią i kładąc jej rękę na ramieniu. – Ja z dziewczynkami podejść jeszcze po bombki... Wiesz, tak jak zawsze to robiłyśmy. One to nadal pamiętają i na to czekają – dodała, przełknąwszy głośno ślinę.

Kornelia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. W odpowiedzi uściśniła z wdzięcznością chłodną i szczupłą dłoń Basi i pokiwała głową. To było „tak” na wezwanie taksówki i „dziękuję” za to, że Basia się wszystkim zajmuje.

Gdy siedziała we wnętrzu ciepłego samochodu, przymknęła oczy i nie widziała już, jak Basia szepcze coś do taksówkarza, który kiwa głową, nie zwróciła również uwagi na to, że gdy podjechali pod blok, kierowca nie zapytał o pieniądze za kurs, za to wyciągnął z bagażnika wszystkie torby i wniósł je na górę, a potem nie odszedł, dopóki nie upewnił się, że Kornelia zniknęła w mieszkaniu i zamknęła za sobą drzwi.

Nie wiedziała też, bo wiedzieć nie mogła, że nawet wtedy nie ruszył od razu spod drzwi. Stał pod nimi jeszcze dłuższą chwilę, chcąc się upewnić, że Kornelii nie przyjdzie do głowy wyjść z mieszkania.

Taksówkarz Rysiek powstał pod drzwiami do momentu, gdy zapanowała za nimi kompletna cisza. W końcu westchnął głęboko i starając się nie robić hałasu, zbiegł po schodach. Przed blokiem stanął, zadarł głowę i policzył okna, tak jak zwykle w takich wypadkach prosiła go o to Basia. W tym, które go interesowało, właśnie pojawiło się słabe światło.

Wtedy wyciągnął komórkę i wybrał numer.

– Panienko Basiu, zawiozłem, poczekałem. Lampka się zapaliła... – Umilkł, słuchając uważnie swojej rozmówczyni. – A tam, proszę nie dziękować. Przecież ja wiem, co i jak. To już prawie rok, jak was wożę – powiedział miękko. – Mogę też po was podjechać, jak już skończycie zakupy – dorzucił. – Aha, rozumiem... Ale jakby trzeba było, to niech panienka Basia dzwoni – powiedział i się rozłączył.

Westchnął i pokiwał posępnie głową. Znów spojrzał w górę w okno, które wcześniej obserwował.

– Weź się w garść, kobieto – mruknął w tamtym kierunku i na myśl o wielkich zrozpaczonych oczach Basi ścisnęło mu się serce.

Panienka Basia. Sam nie wiedział, skąd mu się to wzięło. Był starszym panem, to fakt, ale nie aż tak wiekowym, żeby używać archaicznej „panienki”. Tak to mówił jego świętej pamięci dziadek, gdy naszło go na wspominki. Albo gdy chciał skomplementować którąś z dziewczyn przyprawdzanych przez wnuka do domu: „Zacna panienka, Rysiu – mówił z uśmiechem. – I łydki ma niczego sobie” – dorzucał czasem z uznaniem, a w ustach dziadka był to komplement dużego kalibru, bo starszy pan miał do tej części damskich nóg wyraźną słabość.

I u dziadka „panienki” były na porządku dziennym. Ale jemu nigdy w życiu nie przyszło do głowy, żeby tak mówić do kogokolwiek. Aż do

momentu, gdy jakoś w styczniu zobaczył Basię. Widywał ją już wcześniej, mieszkali na tym samym osiedlu, chociaż w innych blokach. Ale w tym Basinym Rysiek miał kumpla, Marka, który kiedyś przy nim zagadnął dziewczynę.

– Basiu, a mama to napisała ostatnio coś nowego?

– Mama w kółko coś pisze, albo zaczyna, albo kończy, albo jest w trakcie – zaśmiała się zapytana. – Ale na dniach ma się ukazać jej najnowsza powieść i powiem panu w sekrecie, że już przyszły do nas egzemplarze autorskie. Powiem mamie, żeby jeden dla pana odłożyła.

– Dziękuję ci bardzo! Będę miał idealny prezent dla żony na mikołajki – podziękował dziewczynie Marek. – Widzisz, takie mam sąsiedztwo – zwrócił się do Ryśka, gdy Basia zniknęła za drzwiami klatki schodowej. – Dobrze trafiłem, bo moja Elka uwielbia książki jej mamy, a ja dzięki temu nie mam kłopotu z prezentami. Z pierwszej ręki mam najnowsze powieści z dedykacją i to taką od serca.

To było pod koniec zeszłorocznego listopada. Zanim wydarzyła się okropna tragedia i tata Basi zginął w wypadku. To była sprawa z cyklu tych, o których się słyszy, chciał czy nie chciał. Szczególnie kiedy się jest taksówkarzem i często wozi się ludzi z tego samego osiedla.

„Taki młody. Taka katastrofa. Trójka dzieci osierocona. Podobno ktoś mu przed samochód wyskoczył. I on prosto w to drzewo... A tamten, co to na jezdnię wtargnął, nawet nie poczekał. Wyparował jak kamfora! Taka tragedia!”

Tego słuchał bez słowa. Ludzie już tak mieli, że musieli się wygadać, a i często coś od siebie do opowieści dołożyć. Przywykł. Jak się jest taksówkarzem i podobno barmanem, to tak się ma. Taka robota.

Ale bywało i tak, że nawet on nie był w stanie zmilczeć.

Tak jak wtedy, gdy wiozł jedną z sąsiadek, panią Kazimierę, leciwą staruszkę z niezmiennym rozkładem całego tygodnia. W dni powszednie starsza pani pomiędzy ósmą a dziewiątą chodziła do piekarni, a w drodze powrotnej wstępowała na cmentarz. Babcia Ryśka zwykła ironicznie mówić, że Kazimiera chodzi tam tylko po to, żeby wywyższać się nad tymi, którzy już tam trafili, że ich przeżyła, i nawet po śmierci nie dać im spokoju.

– Mówię ci, Rysiu, ona chodzi na groby swoich koleżanek i opowiada im wszystko to, co może je nawet w tych zaświatach zirytować i doprowadzić do furii – mówiła z niezbitą pewnością. – Jestem przekonana, że po jej cmentarnych odwiedzinach wszyscy święci w niebie, co do jednego, są wykończeni i mają migrenę, bo muszą uspokajać horde zdenerwowanych kobiet, do których Kazimiera akurat raczyła zajrzeć.

– A co takiego ona tam, babciu, może im opowiadać? – zapytał któregoś razu ze śmiechem Ryszard.

– Wszystko, chłopcze, wszystko! A śmiać się nie ma z czego, tym bardziej że ci biedacy są na Kazimierę skazani, bo przecież nie uciekną!

– Nad tym akurat bym za bardzo nie ubolewał, babciu. Gdyby zaczęli salwować się ucieczką, nasza pani Kazimiera miałaby kolejny powód do dumy. Wywołanie apokalipsy zombi to nie lada wyczyn – odpowiedział z komiczną powagą.

– No to powiedział, co wiedział! – parsknęła starsza pani, przewracając oczami.

W jej głosie można było wychwycić karcące nutki, ale Rysiek zobaczył, że kąciki babcinych ust wędrują w górę. W duchu uśmiechnął się z zadowoleniem. Lubił wprawiać babcię w dobry nastrój.

– I powiem ci, Rysiu, że ja tam czasami żałuję, że żadna z tych nieszczęśnic, nad którymi Kazimiera się pastwi, nie weźmie i nie pogoni jej

kota! – dodała babcia, energicznie kiwając głową. – Gdyby choć raz najadła się strachu, to może by się w końcu nad sobą zastanowiła! Ale na takich jak ona kary nie ma!

– Babciu, ale ja nadal nie rozumiem, co takiego robi ta biedna pani Kazimiera, że aż życzysz jej zemsty z zaświatów.

Rysiek ku swojemu zdumieniu poczuł, że sprawa zaczyna go coraz bardziej interesować. Babcia Salcia nie była z tych, które są zapiekłe, raczej przymykała oko na przywary swoich bliźnich. Widać Kazimiera mocno musiała jej zajść za skórę.

– No to powiedziałaś, naprawdę! Biedna Kazimiera! Pasuje to do niej tak jak, nie przymierzając, pięść do nosa – sarknęła babcia. – Ta „biedna” Kazimiera chodzi od grobu do grobu i opowiada wszystko, co mogłoby biedne nieboszczki nawet po śmierci z równowagi wyprowadzić – powiedziała z niesmakiem. – A powinienesz jeszcze wiedzieć, że każda z nich za życia z Kazimierą się znała. Tak więc ta jędza doskonale wie, co powiedzieć, żeby zabolalo najbardziej. Gada, że wdowieństwo ich mężom służy, że psie figle ich się trzymają, jakby im lat ubyło, gdy tylko odprawili szanowne małżonki do zaświatów... A obrazowo mówi! Przykłady podaje, że Marcel codziennie do knajpy chodzi na piwo, szczególnie tam, gdzie za barem pracują młode dziewczyny, i nadrabia to, czego za życia małżonka mu nader skąpo wydzielala, albo że Stasio wpuścił Marysię do domu i pozwolił jej zabrać z szafy zmarłej żony to, co może jej się przydać...

– Babciu, poczekaj, bo się pogubiłem. Jaki Marcel, Stasio i jaka Marysia? – Ryszard poczuł, że powoli gubi się w tej historii, w której przybywa coraz więcej bohaterów. Żywych i martwych.

– A Marcela wymyśliłam na poczekaniu, żebyś wiedział, o co chodzi – wyznała babcia. – Ale żeby nie było, że ja tylko tak bajdurzę, to ze Staśkiem to już inna inszość, z krwi i kości chłop, zresztą znasz go.

Barański. Ten z naszego bloku, z trzeciej klatki. Ten, co mu żona trzy miesiące temu zmarła. A Marysia to jego sąsiadka. Drzwi w drzwi ze sobą mieszkają.

– A już kojarzę, znamy się – kiwnął głową Ryszard. – Ale przecież Barański na cmentarzu bywa codziennie, o żonie z każdym, kto tylko chce słuchać, rozmawia, wiem, bo nie dalej jak przedwczoraj mnie zagadnął i cała rozmowa krążyła wokół jego wdowieństwa. Chłopina schnie z tęsknoty i wcale się z tym nie kryje. Z całą pewnością nie w głowie mu są romanse. Trzeba nie lada wyobraźni pomieszanej ze złą wolą, żeby posądzić go o coś takiego!

– A Kazimierze to akurat nie brakuje ani jednego, ani drugiego – parsknęła babcia, przyglądając króciutkie siwe włosy. – Na własne uszy słyszałam, co na cmentarzu nad grobem Barańskiej jadownicie szeptała. O Marysi i Stachu. „Widzisz, Grażynko – bo Barańska to była Grażynka właśnie – jeszcze dobrze nie ostygłaś, a on już sobie następną przygruchał. Gorącą wdówkę. A zawsze ci mówiłam, że faceci to świnie, choć Stacha o takie zezwierzęczenie w życiu bym nie posądzała!” – Salcia nad podziw udatnie sparodiowała skrzekliwo-schrypnięty głos Kazimiery. – A Marysia to była najlepsza przyjaciółka Barańskiej – dorzuciła na użytek Ryśka, bo wiedziała, że akurat tego nie musiał wiedzieć. – Najparadniejsze jest w tym jednak to, że Marysia rzeczywiście dzień wcześniej była u Barańskiego i pomagała mu zrobić porządki w szafie Grażynki, i część rzeczy naprawdę zabrała.

– No to jakkolwiek by na to patrzył, Kazimiera mówiła prawdę – Rysiek nie ugryzł się w porę w język.

– Prawdę sprawdę – rozeźliła się babcia na całego. – Ty rzeczywiście taki nierozgarnięty Rysiu jesteś czy tylko udajesz? To, co tam mruczała, z prawdą ma tyle wspólnego co słowik z indykiem! Jakimś zadziwiającym

przypadkiem zapomniała w tym swoim raporcie dodać, że Marysia te rzeczy, owszem, zabrała i natychmiast zawiozła do Domu Samotnej Matki. Swoją drogą, ciekawe, skąd Kazimiera wiedziała o tych Marysinych odwiedzinach... Bo przecież z tego swojego okna akurat tego nie mogła wypatrzeć!

– A ty, babciu, skąd to wiesz? – wtrącił Rysiek przebiegle.

– A sam Barański mi to opowiedział – mruknęła i w oczach zapaliły jej się iskierki zrozumienia. – A wiesz, że ty masz rację! Pewnie Stach i z Kazimierą się tym podzielili! Tym, że Marysia mu bardzo pomogła, bo on nigdy w życiu by się nie odważył tych rzeczy ruszyć, a jednocześnie nie mógł na nie spokojnie patrzeć. I że pomysłu nie miał, co można z nimi zrobić, bo przecież nie wyrzucić. I Marysia w końcu podsunęła mu rozwiązanie, żeby oddać je tam, gdzie się przydadzą. Barańska była starsza, ale do końca ubierała się modnie. Zresztą figurę miała taką, że niejedna młoda dziewczyna mogła jej pozazdrościć. Nie raz i nie dwa widziałam na własne oczy, jak dużo młodszy panowie się za nią z podziwem oglądają. Do momentu gdy nie zobaczyli twarzy. Bo to wiesz: z tyłu liceum, z przodu muzeum – roześmiała się babcia. – I żeby nie było, że ja Grażynkę obgaduję, ona sama tak o sobie mówiła i bawiło ją to niezmiernie, te zaskoczone na widok zmarszczek miny. Ale wracając do zawartości jej szafy... Grażynka była z modą na bieżąco i kochała zakupy. Nawet ją za to podziwiałam, że jej się jeszcze chce... I że Stasio ma do niej cierpliwość, żeby ją po tych wszystkich sklepach z ubraniami wozić... – Babcia westchnęła i Rysiek z zaskoczeniem wychwycił w tym westchnięciu tęsknotę.

„Cholera, nie przyszłoby mi do głowy, że jej tego brakuje – pomyślał. – Trzeba będzie babcię zabrać do galerii”.

– No więc skoro pani Marysia wzięła te rzeczy w takim celu, to sędzę, że Barańska o tym wie. Chyba tam, po tej drugiej stronie, takie rzeczy po prostu docierają. Bez względu na wszystkie kłamliwe Kazimiery tego świata. – Uspokoił babcię i złapał się na tym, że ostatnio ich rozmowy dotyczą głównie tych, którzy odeszli.

„A niech to szlag, poza zakupami trzeba będzie babcię wyciągnąć z domu i zapewnić jej jakieś życie towarzyskie”.

Na samą myśl o organizowaniu rozrywek dla tej kategorii wiekowej jęknął w duchu. Gdyby babcia była standardowa, nie budziłoby to w nim niepokoju. No ale nie była. W niczym nie przypominała reszty znanych mu staruszek.

Nie chodziła tak jak większość z nich do kościoła, bo mówiła, że ona i Bóg są na stopie towarzyskiej i jeśli ma ochotę z nim pogadać, to może to zrobić w domu przy herbatce. Bez żadnych pośredników.

Nie biegła do przychodni, nie wystawała w kolejkach do lekarzy, co jak zauważył Rysiek, było jednym z ulubionych sposobów spędzania czasu przez emerytów. Te wizyty często nie miały nic wspólnego ze zdrowiem – po prostu w korytarzach przychodni kwitło ożywione życie towarzyskie.

Ale jego babcia była zdrowa jak koń i nie zamierzała narzekać na urojone choroby. Ogólnie narzekanie ją nudziło.

– I dlatego nie jestem atrakcyjna dla swoich stetryczalnych rówieśników – wyjaśniła mu kiedyś w przypiływie szczerości, po dość solidnej lampce koniaku, który popijała wieczorami.

Nie dało się ukryć – z babcią był twardy orzech do zgryzienia. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, odpadało w przedbiegach.

Jeszcze jakiś czas temu usiłował namówić ją do zapisania się do osiedlowego Klubu Seniora. Przekonywał, roztaczał kuszące wizje wycieczek, wieczornych potańcówek, nowych znajomości.

– Rysiu, nie mogę – przerwała mu w końcu. – Gdybym tam poszła, na pewno osiwiłabym jeszcze bardziej, choć nie wiem, czy to w ogóle możliwe... Ale kolor by mi się na mur beton zmienił, wypłował, a lubię swój odcień. Naturalny popielaty, gołębi blond, nikt takiego nie ma, szkoda by go było stracić – zaśmiała się. – A poza tym w ślad za swoim ulubionym bohaterem literackim zrobiłam jedno, jedyne postanowienie noworoczne, nawet zapisałam je sobie w swoim dzienniku i chciałabym móc go dotrzymać.

– A co ma postanowienie noworoczne do twojego potencjalnego życia towarzyskiego? – zapytał skołowany, gęsto mrugając.

– Ma i to dużo, wnusiu. Nauczyłam się go na pamięć i mogę ci je wyrecytować, może wtedy dasz mi spokój z niedorzecznymi pomysłami – westchnęła z lekkim zniecierpliwieniem. – Otóż brzmi ono tak: „W tym roku też nie będę lubiła staruszków”. To dreptanie z balkonikami, zniecierpliwienie bez powodów, wieczne narzekania, ciasteczka do herbaty, całe to wzdychanie i stękanie – wyrecytowała. – Wprawdzie w oryginale mówił to mężczyzna, Hedrik, który nawiasem mówiąc, ma lat osiemdziesiąt trzy i jedna czwarta, młokos jeden, ale ja dopasowałam jego słowa do siebie. Staruszkowie są śmiertelnie nudni, wnusiu. I wiem, że chcesz dla mnie dobrze, ale pamiętaj, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami – dorzuciła i tym samym zakończyła rozmowę.

Rysiek, chcąc nie chcąc, odpuścił więc Klub Seniora i wszystkie inne zajęcia dedykowane osobom w wieku babci. Co oczywiście nie rozwiązywało problemu osamotnienia starszej pani.

– Pewnie masz rację z tymi zaświatami i z tym, że tam wszystko jest wiadomo i Grażynka od początku pewnie miała świadomość, jak jest naprawdę – głos babci wyrwał go z zamyślenia – ale na wszelki wypadek, gdy tylko Kazimiera poszła w głąb cmentarza gnębić innych, którzy mieli

nieszczęście za życia ją znać, powiedziałam Grażynce co i jak. Niestety dla innych nie mogłam już tego zrobić, bo przecież nie było sposobu, żeby za tą jędzą latać tak, żeby tego nie zauważyła. Tym bardziej że przynajmniej z pół cmentarza codziennie nawiedza. Gadać ma o czym, bo jak zawsze jest na bieżąco z tym, co się u kogo dzieje. Nie na darmo przez pół dnia siedzi w oknie! A jak czegoś nie dopatry i nie dosłysz, to sobie dopowie!

Tu Rysiek nie miał wyjścia, mógł tylko przyznać babci rację, bo to rzeczywiście był kolejny i niezmienny punkt dnia Kazimieri: po powrocie z obchodu cmentarza zasiadała w oknie i robiła za osiedlowy monitoring. Osobiście Rysiek uważał to za swoisty folklor. Kazimiera w tym oknie siedziała, odkąd pamiętał. Czasami nawet łapał się na myśli, że jak jej zabraknie, to osiedle już nie będzie takie samo.

Słuchał więc babci, a i owszem, ale puszczał uwagi o wrednym charakterze starowinki mimo uszu. Nawet jeżeli chodziła na cmentarz i gadała nad grobami, to jego zdaniem szkodliwość takiego postępowania była znikoma. Dużo bardziej problematyczne by było, gdyby koncentrowała się na żywych i to w ich życiu usiłowała mieszać.

Ale jak się niebawem okazało, nie docenił zdolności Kazimieri. Przekonał się na własnej skórze, że miała podzielność uwagi i obdarzała nią wszystkich. Któregoś razu zdarzyło się, że wiozł ją do kościoła. To był kolejny niezmienny punkt w kalendarzu Kazimieri. W niedzielę chodziła na szóstą rano na mszę. To był zeszłoroczny grudzień. Śniegu nie było ni w ząb, ale za to padał zimny, dokuczliwy deszcz i wiał porywisty, przenikający aż do kości wiatr. Rysiek wracał z nocnego kursu i zobaczył, jak wychodząca z sąsiedniej klatki staruszka szarpana przez wiatr usiłuje rozłożyć parasol. Zrobiło mu się jej żal.

„W końcu i tak siedzę za kółkiem, kościół jest rzut beretem od osiedla. Co mi szkodzi ją podwieźć” – pomyślał.

– Pani Kazimiero, niech pani wsiada – zawołał, odsuwając szybę. – Zawiozę panią, mam po drodze – skłamał gładko, dostrzegłszy wahanie na twarzy staruszki.

– A no skoro po drodze, to czemu nie – zgodziła się i wpakowała na tylną kanapę.

Ledwo zamknęła drzwi, zaczęła mówić. Słowa płynęły wartko, układając się w historie, z których każda zahaczała o kogoś z sąsiadów.

– O proszę, wraca – parsknęła i zacmokała potępiająco, zerknąwszy przez poznaczoną kroplami deszczu szybę.

Rysiek odruchowo spojrział w tamtym kierunku i zobaczył młodą Gzikównę. Marlenę. Dziewczyna była dobrze widoczna w blasku światła zamontowanego przed wejściem do klatki. Jedną ręką wstukowała kod do domofonu, a drugą otrząsała mokry parasol. Plecy miała przygarbione, ramiona skulone. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest zmęczona. Rysiek słyszał od kogoś ostatnio, że u Gzików się bardzo pokomplikowało. Ojciec Marleny został zwolniony z pracy, a tylko dwóch lat brakowało mu do emerytury. Matka się rozchorowała. Na co – tego Rysiek dokładnie nie wiedział, ale ludzie przebąkiwali coś o raku. Marlena była na przedostatnim roku studiów. Ponoć bardzo zdolna, uczyła się świetnie, zdobywała stypendia. Ale gdy ojciec nie mógł znaleźć zatrudnienia, a leczenie matki pochłaniało coraz więcej pieniędzy, przeniosła się na studia zaoczne i poszła do pracy. Rysiek mgliście kojarzył, że jeden z sąsiadów, którego ostatnio wiózł, wspomniał, że Marlena pracuje w trzech miejscach.

– To się dopiero nazywa niewdzięczność – w jego rozmyślania wdarł się skrzekliwy głos Kazimierzy, która widać cały czas coś do niego mówiła.

– Przepraszam, pani Kazimiero, skupiłem się na drodze i nie wszystko słyszałem. Co pani mówiła? – zwrócił się do pasażerki, choć podskórnie czuł, że wcale nie chce usłyszeć tego, co tamta miała do powiedzenia.

– A mówiłam, mówiłam! Że Gzikowie dochowali się córki, która im tylko zgryzot przysparza! Ojciec bez pracy, matka chora! A ta mała co? Urwała się z łańcucha i korzysta z sytuacji, bezwstydnica jedna! Co wieczór wychodzi z innym i wraca z tych eskapad nad ranem. I to tylko kwestia czasu, jak uszczęśliwi głupich rodziców bękartem. A pytasz, Rysiu, dlaczego głupich?

Ryszard zamrugnął zaskoczony tym nagłym zwrotem w rozmowie, bo Bóg mu świadkiem – o nic nie pytał ani nie miał nawet takiego zamiaru.

– To ja ci, chłopcze, powiem – widać to było pytanie retoryczne, bo Kazimiera nie przejęła się brakiem odpowiedzi i chyba w ogóle na nią nie czekała. – Bo rozkochani są w tej swojej jedynaczce, świata poza nią nie widzą i mówią, że ona się dla nich poświęciła! Że niby do pracy chodzi! Byłam ostatnio u jej matki, bidulka leżała w łóżku, blada, przezroczysta. Wyglądała jak śmierć. To jej powiedziałam, dla jej dobra oczywiście, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie, że nie dość, że tyle muszą teraz znosić, to jeszcze do tego dochodzi łajdacząca się córka! I nie zerkaj tak na mnie, Rysiu, z tego lusterka z wyrzutem. Przecież to jasne jak słońce, że delikatniej to powiedziałam, na pewno nie użyłam słowa „łajdacząca”. Przynajmniej tak mi się wydaje... – dorzuciła asekuracyjnie. – Ale nawet gdyby mi się wymknęło, to przynajmniej spełniłam swoją powinność i nie będzie to dla biednej matki ciosem, jak zniecka ktoś jej o tym powie. Zawsze to lepiej dowiedzieć się od kogoś życzliwego, czyż nie? – Zawiesiła głos i Ryszard poczuł jej świdrujące spojrzenie na karku.

– Yhm – mruknął enigmatycznie, myśląc jednocześnie, że wcale a wcale nie zaszkodziłoby, gdyby na mszy, na którą właśnie udawała się Kazimiera, padło zdanie: „Przed wścibskimi bliźnimi uchron nas, Panie”.

– A co ty, chłopcze, taki małomówny jesteś? – Kazimiera na nieszczęście Ryszarda była w bardzo towarzyskim nastroju. – A może ty się

na mnie gniewasz, że ja ci na „ty” mówię? Wy młodzi jesteście bardzo przewrażliwieni na tym punkcie, ale przecież ja cię pamiętam, jak w majtkach biegałeś po osiedlu...

– Nie gniewam się – wykorzystał moment, w którym Kazimiera brała oddech, by przerwać słowotok. – Po prostu zmęczony jestem. Nocna zmiana – dorzucił wyjaśniająco.

– A no tak, trudna praca... Ale z ludźmi! Ile to rzeczy można się dowiedzieć, jak się tylu ludzi wozi! – powiedziała marząco. – A może, Rysiu, słyszałeś coś o tym wypadku? Wiesz, o tym Michale, co to się zabił. Na drzewo wpadł? – zapytała z ożywieniem, a w jej głosie zabrzmiało coś, co z miejsca się Ryśkowi nie spodobało.

– Wiem tyle co inni – odpowiedział krótko, przeklinając w duchu światła.

Wpadł w czerwoną falę i zatrzymywał się praktycznie na każdym, co, rzecz jasna, przedłużało konieczność wysłuchiwania upiornej pasażerki. Teraz już nie miał wątpliwości, że w tym, co mówiła o niej jego babcia, nie było choćby grama przesady.

– A bo widzisz, chłopcze, ja też swoje wiem! Niby to mu wtargnął ktoś na jezdnię, ale nikt nie wie kto, podobno ten ktoś uciekł z miejsca wypadku... – zawiesiła głos, wyraźnie czekając, aż Rysiek coś powie.

– Cóż, takie rzeczy się zdarzają – mruknął w końcu na odczepnego.

– Może i tak, ale ja tam swoje wiem – powtórzyła z jeszcze większym naciskiem. – Bo tam wcale nikogo nie było! A on w to drzewo wjechał celowo, ot i co!

– Celowo? – słysząc coś tak absurdalnego, Ryszard nie dał rady powstrzymać pełnego zdumienia pytania.

– A celowo, celowo – uśmiechnęła się z nieskrywaną satysfakcją, zadowolona, że w końcu dopięła swego i wciągnęła gburowatego Ryśka

w rozmowę.

Co to w ogóle miało znaczyć, że sam z siebie nie uczestniczył w konwersacji? W końcu był młody, więc powinien zabawiać ją rozmową! Kompletny brak kultury! To wszystko wina zapatrzonej w niego babki! Wychowywała chłopaka razem z mężem, po tym jak został sierotą. Jego rodzice zmarli dawno, Rysiek miał wtedy ze trzy lata.

„Dziadkowie rozpuścili go jak dziadowski bicz – pomyślała Kazimiera i pokiwała potężająco głową. – A babka to już zupełnie na jego punkcie oszalała!” Kazimiera z dobrego serca powiedziała jej, jak się sprawy mają, że chłopak za grosz szacunku do starszych nie ma i że dobrze by było wpłynąć na wnuka, ale doskonale wiedziała, że nie ma co nawet próbować. Salomea, babka Ryśka, była okropna! Zarozumiała, nie chciała słuchać dobrych rad. Kilka razy nawet ośmieliła się ją zrugać! I posunęła się nawet do tego, żeby zasugerować, że ona – Kazimiera – jest wścibska i kłamliwa i że czym prędzej powinna udać się do spowiedzi. „Przynajmniej te cotygodniowe wizyty w kościele na coś się przydadzą” – tak zołza jedna powiedziała! A swoją drogą, skoro już mowa o kościele, to proboszcz też im się trafił jakiś taki nieszczególny. Gdy do niego poszła i chciała się wyżalić i na Salomeę, na tę bezbożnicę, co to nigdy na mszę nie uczęszcza, tak samo zresztą jak jej wnuk, to przerwał jej kategorycznie i powiedział, że chętnie porozmawia o niej! Słyszał to ktoś? Przecież o niej, o Kazimierze, złego słowa nie można powiedzieć! To o czym niby tu rozmawiać? A proboszcz, niewdzięcznik jeden, śmiał jej jeszcze poradzić, żeby zostawiła innych w spokoju. Jakby tego było mało, rzucił cytatem z Biblii o drzazdze w oku bliźniego i belce w swoim! O, rozsierdził ją wtedy do żywego. I zawiódł jej zaufanie. „Cóż, w tych czasach trudno o przyzwoitych ludzi, nawet na proboszcza nie można liczyć” – westchnęła rozdzierająco. No ale może ten cały Rysiek nie jest jeszcze tak całkiem

stracony dla świata, skoro w końcu zainteresował się tym, co ona ma do powiedzenia. Gdyby tak go urobić na swoją modłę, to mógłby się przydać. W końcu wozi niejednego z sąsiadów i jeśliby każdemu przekazał to, co najpierw ona by mu szepnęła... O, toby było coś! Jej zasięg wpływów zwiększyłby się wielokrotnie, a jednocześnie załazłaby tej głupiej Salomei za skórę, gdyby okazało się, że jej wnuk Kazimierę poważa i szanuje! – uśmiechnęła się na samą myśl i czym prędzej wróciła do przerwanej rozmowy. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

– A bo widzisz, Rysiu, nie mogę ci powiedzieć skąd, ale wiem, że z tym wypadkiem to nie było tak, jak wszyscy sądzą – zaczęła przyciszonym głosem. – Bo podobno ten Michał to był niezły hulaka i kochanki miał na prawo i lewo, i dzieci na boku też się przytrafiły. I w końcu któraś z tych jego licznych lafirynd zaczęła mu grozić, że jak w końcu żony nie zostawi, to ona wszystko ujawni. A dowody miała niezbite, w sensie ta lafirynda, bo ponoć wynajęła fotografa, który zdjęcia im z ukrycia porobił, takie wiesz, na których oni oboje są golusieńcy, jak ich Pan Bóg stworzył. A wiesz, Rysiu, że żona tego Michała jest pisarką? Podobno nawet popularną, ale tego to ja ci na pewno nie powiem, bo ja takich bezceństw nie czytam! Jakieś romanse pisze, to pewnie i sceny odpowiednio wyrafinowane i gorszące musi wstawiać, tfu, na psa urok! Nie zdziwiłabym się, gdyby ten jej mążus pomagał jej to opisywać, w końcu doświadczenie miał niezgorsze... No, ale tak jak powiedziałam: tego nie wiem na pewno, co ona tam dokładnie opisuje. Jak widzę w księgarni na wystawie jej książki, to od razu oczy spuszcza, żeby pokus unikać i żeby, broń Boże, nikomu nie przyszło na myśl, że mnie to interesuje – dodała i pokiwała energicznie głową. – No a wracając do szantażu i do zazdrosnej kochanicy, to w związku z tym, że żona tego Michała jest sławna, to takie kompromitujące zdjęcia jej karierze mogłyby porządnie zaszkodzić. I on

w końcu tak się zamotał i przestraszył, że się czegoś nałykał i postanowił to skończyć i w to drzewo...

– Dość. – Rysiek, który do tej pory słuchał wywodu Kazimierzy w osłupiałym milczeniu, w końcu odzyskał głos.

W pierwszej chwili zatkało go z prozaicznego powodu, zwyczajnie nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Było jasne, że to wszystko, o czym Kazimiera opowiada, wysane jest z palca. Nic do siebie nie pasowało, kupy się nie trzymało, ale jednocześnie Ryszard nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ta szmirowata i obrzydliwa historia jest mu skądś znana. I pewnie dlatego, że ze wszystkich sił usiłował przypomnieć sobie, gdzie już ją słyszał, nie uciszył upiornej staruszki przez tak długi czas. Ale gdy w końcu wspomniała o sławie i o ujawnieniu potencjalnie kompromitujących fotek, doznał olśnienia i podziękował w duchu jednej ze swoich pasażerek, na którą parę dni temu czekał w holu piętrowego, przeszklonego biurowca. Kobieta zamówiła kurs przez telefon i zapytała go, czy pomógłby jej przenieść z budynku do samochodu kilka pudełek. Powiedziała nawet, że dopłaci, zapewniła, że pudełka są lekkie i że gdyby nie złamana ręka, poradziłaby sobie sama. Odparł, że chętnie pomoże, za dopłatę podziękował. Przyjechał wcześniej i czekał na nią przy dyżurce ochroniarza, który oglądał w telewizji jeden z ostatnio tak modnych *reality show*. I historia opowiadana teraz przez Kazimierę, historia, która ponoć miała dotyczyć tragicznego wypadku ich sąsiada, była dokładnym streszczeniem emitowanego wtedy odcinka.

Kiedy Ryszard to sobie uświadomił, zagotowało się w nim wszystko. Na samą myśl o tym, że te idiotyzmy mogą już krążyć po osiedlu i mają szansę dotrzeć do zrozpaczonej, dotkniętej tragedią rodziny, włos mu się zjeżył na głowie. W końcu w pełnej rozciągłości pojął, co dokładnie mają na myśli ci, którzy mówią, że słowa mają moc. Bo te miały. Rysiek nie

wyobrażał sobie, jak na ten stek bzdur zareagowałyby wdowa, jak mogłyby wpłynąć na życie córek, szczególnie tej nastoletniej, Basi... Gdyby historia w takiej formie dotarła do jej rówieśników, dziewczyna nie miałaby życia. Bo zawsze znajdzie się ktoś, kto lubi wykorzystywać słabe punkty i gorsze momenty. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uwielbia żerować na czyimś nieszczęściu. Wśród młodych i starych, bez wyjątku. Nie musiał zresztą daleko szukać, przecież właśnie miał kogoś takiego tuż za sobą.

Zahamował gwałtownie i odwrócił się do Kazimiery. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Jeżeli kiedykolwiek komukolwiek powtórzy pani choć słowo z tych kłamliwych pomówień, to nie prześpi pani spokojnie ani jednej nocy – powiedział cicho i groźnie. – Jak sama pani powiedziała, pracuję z ludźmi. Różne typy wożę, z niejednym się zaprzyjaźniłem. Zdarzają się czarne elementy, niebieskie ptaki. Tacy, wie pani, nieprzepadający za tym, żeby im się zbyt dokładnie przyglądać. A pani w tym oknie to siedzi i wszystko widzi. Języka za zębami trzymać nie umie... – Sugestywnie zawiesił głos. – Wprawdzie nikt nie zwraca na panią uwagi, a przynajmniej do tej pory nie zwrócił, ale kto wie, czy jak by im się szepnęło to i owo, czy by ich to inwigilowanie okienne nie zaniepokoiło – dorzucił i w duchu skrzywił się z zażenowaniem.

Oto siedział w swoim samochodzie i niczym gangster najgorszego autoramentu zastraszał staruszkę. Kłamiąc przy tym jak z nut. Bo prawdę mówiąc, jego znajomości w półświatku były znikome. Coś tak w okolicach zera. Ale nic innego, co mogłoby skutecznie zamknąć usta tej jędzy, nie przychodziło mu w tej chwili do głowy.

– I dobrze radzę ograniczyć telewizję. Bo wszystko już się pani miesza i nie umie pani, pani Kazimiero, odróżnić rzeczywistości od fikcji – dodał, chcąc dać jej do zrozumienia, że doskonale wie, skąd wzięła historię, którą

przed momentem go uraczyła. – I niech pani lepiej już nic nie mówi i bardziej się nie kompromituje – zakończył i z piskiem opon ruszył przed siebie.

Na całe szczęście byli tuż obok kościoła. Na całe szczęście zaskoczona takim obrotem sprawy Kazimiera najwyraźniej zapomniała języka w gębie.

Wysiadła bez słowa, a Ryszard wypuścił ze świstem wstrzymywane bezwiednie powietrze.

Szczerze mówiąc, trudno mu było uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Ale przecież nie wymyślił ani tej miałkiej i żenującej historii o szantażujących kochankach i wynajętych fotografach, ani plującej jadem staruszki. Jego wyobraźnia nie była aż tak wielka.

I wcale nie był dumny z tego, jak ją potraktował. W straszniu bandziorami kogoś grubo po osiemdziesiątce naprawdę nie było niczego nadmiernie chlubnego. Lecz jednocześnie miał świadomość, że gdyby musiał, zrobiłby to raz jeszcze i to bez zastanowienia. Bo nie widział innego sposobu, żeby zamknąć tej babie usta.

– Cóż, jakie czasy, tacy bohaterowie – mruknął do siebie i przewrócił oczami.

Jeszcze na długo po tym jak Kazimiera opuściła wnętrze auta, Ryszard miał wrażenie, że w samochodzie zostało po niej coś dusznego, co utrudniało oddychanie.

Otworzył wszystkie okna i nie bacząc na zimno, nie zamknął ich aż do momentu, gdy dojechał pod blok.

Zdawał sobie sprawę, że zyskał właśnie zajadłego wroga, ale kompletnie się tym nie przejmował. Na samo wspomnienie tego, co wygadywała Kazimiera, czuł niesmak pomieszany ze złością. I pomyśleć, że do tej pory wątpił w słowa babci Salci! Że podejrzewał, że starsza pani grubo przesadza, mówiąc o wrednym i źmijowatym charakterze sąsiadki!

Ryszard obiecał sobie solennie, że już nigdy nie poda w wątpliwość oceny babci. Widać o niebo lepiej niż on znała się na ludziach.

I pomimo tego, że coś mu mówiło, że załatwił tę sprawę definitywnie, że może sposób był podły, ale za to skuteczny, bo zmusił Kazimierę do porzucenia tego tematu – nie mógł pozbyć się jakiegoś dziwnego niepokoju. Łapał się też na tym, że przechodząc obok bloku, w którym mieszkała pisarka z dziećmi, zerka w stronę klatki z nadzieją, że może zobaczy albo ją, albo jej córki.

Ale nigdy żadnej na osiedlu nie spotkał.

Dopiero w nowym roku zobaczył Basię. Z dala od domu, wśród tłumu ludzi. Gdyby nie to, że od tamtej pamiętnej niedzieli myślał o niej często, zapewne nie zwróciłby na nią uwagi albo nie skojarzył, kim dziewczyna jest. A tak – ledwo na nią spojrział, od razu ją rozpoznał.

Stała na chodniku, koło jej nóg leżało kilka dużych toreb, które dziewczyna właśnie zbierała i z wyraźnym wysiłkiem uniosła. Zrobiła kilka kroków, poślizgnęła się na oblodzonych chodnikowych płytkach i upadła na kolana. Siatki wymknęły jej się z rąk, a ona skuliła się, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się rozpaczliwie.

Rysiek, siedząc w aucie, widział jej drgające plecy, widział, jak kuli się na zimnym chodniku, jak obok niej przechodzą ludzie. Niektórzy kompletnie nie zwracali na nią uwagi, inni popatrywali z zaciekawieniem, ale nikt nie przystanął, nikt nie pomógł jej się podnieść, nie pozbierał rozsypanych zakupów. Ryśkowi na samo wspomnienie tamtego rozdzierającego widoku robiło się sucho w gardle i mokro w okolicach oczu.

Nie bacząc na to, że łamie przepisy, zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne i wyskoczył z auta. Przebił się przez paskudne, uwalane czarnym błotem, poszarzałe pryzmy śniegu leżące na obrzeżach jezdni i podbiegł do

dziewczyny. Przyklęknął naprzeciwko niej. Podniosła głowę i w tym momencie jego serce ścisnęło się boleśnie. Zobaczył zbyt dorosłe oczy wypełnione bezdenną rozpaczą. Oczy krańcowo zmęczonego, samotnego człowieka. Nie był na to przygotowany i kompletnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Więc nie powiedział nic, tylko podniósł się, podał jej rękę i pomógł wstać z kolan. Otrzeptał jej kurtkę z brudnego śniegu.

– No teraz jest o wiele lepiej, panienko Basiu – powiedział cicho i gdy zdał sobie sprawę, jakich słów użył, z lekka go przytknęło.

Zresztą nie tylko jego, bo w oczach dziewczyny oprócz smutku pojawiło się bezbrzeżne zdumienie, a potem ku jego zaskoczeniu Basia parsknęła śmiechem. Dziwnie kontrastował z mokrymi oczami i ze śladami łez na policzkach.

– Panienko Basiu? Naprawdę? – pokręciła głową, znów poważniejąc, ale jednak cień uśmiechu był jeszcze widoczny. Łagodził rysy jej twarzy. – Gdybym pana nie kojarzyła z osiedla, to pewnie porzuciłabym zakupy i związała przerażona przypuszczeniem, że wpadłam w łapy staromodnego psychopaty dżentelmena. A to by było tragiczne w skutkach, gdybym i ja zniecka zniknęła – dorzuciła, ocierając mokre oczy rękawiczką, którą trzymała w ręku.

W jej głosie zabrzmiał smutek. Iskierki w oczach, które zapalił śmiech, zgasły tak nagle, jak się pojawiły. Znów wyglądała na zbyt dorosłą.

– To, że jestem z tego samego osiedla, wcale nie znaczy, że nie mogę być wariatem – powiedział jakby nigdy nic, udając, że nie widzi, co dzieje się z dziewczyną.

Coś mu podpowiadało, że gdyby drążył temat, przestraszyłby ją na amen. I zapewne nie pozwoliłaby sobie pomóc. A Rysiek nie mógł przecież zostawić jej tutaj. Zapłakanej, zrozpaczonej, z za ciężkimi siatkami, które nadal poniewierały się na chodniku.

Schylił się teraz i podniósł większość z nich. Rzeczywiście były cholernie ciężkie. Nie był wprawdzie jakimś wyjątkowym mocarzem, ale na pewno był silniejszy od eterycznej nastolatki, a pomimo to aż ugiął się pod ciężarem zakupów.

– Fakt, ma pan rację – głos Basi wdarł się w jego myśli i przywołał do rzeczywistości. – To, że mieszkamy na tym samym osiedlu, rzeczywiście nie wyklucza tego, że może pan być psychopata. Więc lepiej ustalmy to raz na zawsze i miejmy już z głowy: jest nim pan czy nie? – Zapytała, po czym kucnęła, by zebrać kilka pomarańczy, które wysypały się z torby.

– Nie wydaje mi się, ale obawiam się, że wszyscy wariaci tak twierdzą. – Roześmiał się. – Ale jeżeli zaryzykujesz i założysz, że mówię prawdę, i wsiądziesz do mojej taksówki, to podrzucę cię z tymi siatami. To jak będzie, panienko Basiu?

Tak to się właśnie zaczęło. Pojechała z nim. Pomógł jej wnieść torby na górę. Gdy dotaskał zakupy do kuchni, rozejrzał się wokół i jego wzrok zahaczył o lodówkę, na której wisały karteczki. Każda na jeden dzień tygodnia.

Poniedziałek

7.00 Odprowadzić bliźniaczki do przedszkola.

8.30 Odrobić zaległe lekcje.

9.50 Moja szkoła.

W drodze ze szkoły zakupy.

Sprawdzić, czy mama coś zjadła i czy ma naładowaną komórkę.

Zmusić ją do jedzenia.

16.30 Odebrać dziewczynki z przedszkola.

Po powrocie zmusić mamę, żeby wstała i przez moment z nimi pobyła.

Kolejny dzień na rozpisce wyglądał podobnie.

Nie doczytał do końca, bo poczuł na sobie wzrok Basi.

– Muszę mieć to wszystko wypisane, bo inaczej na pewno bym o czymś zapomniała – powiedziała bezbarwnym głosem. Opadła ciężko na stojące przy stole krzesło i bezwiednie zaczęła skubać niteczki z frędzli obrusa. – Pan o tym nikomu nie powie, prawda? – Podniosła na niego wielkie, wypełnione smutkiem oczy. – Mama się pozbiera, tylko musi mieć więcej czasu. Nikt nie może się dowiedzieć, jak teraz u nas jest. Bo wtedy na pewno przyjdzie ktoś z opieki i kto wie, czy nas nie zabiorą. A my tego nie przeżyjemy: ja, Emilka i Amelka. To moje siostrzyczki – dorzuciła wyjaśniająco. – I mama też by tego nie zniosła. Widzi pan, ona tylko tak z wierzchu jest nieprzytomna. A w środku czuje dużo bardziej niż kiedyś. I chyba w tym właśnie jest największy problem, w tym jej odsłoniętym, niczym nieochronionym środku. – Zamilkła, po czym głośno przełknęła ślinę.

– Rozumiem, ale wy nie możecie być całkiem same. – Pokręcił głową i przysiadł na drugim krześle. – Po prostu nie możecie. – Zabębnił palcami o blat.

– Nie jesteśmy same. Mamy siebie – powiedziała z mocą i zacisnęła usta. – A poza tym mamy ciocię Miłkę i jej rodziców. Ale oni nie do końca wiedzą, co tu się dzieje. Gdy ciocia ma przyjść, ściągam kartki z lodówki, wyciągam mamę z łóżka, zmuszam, żeby się przebrała i uczesała... I kiedy nas odwiedza, wszystko wygląda znośnie. W kuchni na kuchence gotuje się jakaś zupa, mama siedzi przy stole... Ciocia bierze to za dobrą monetę. Nie wie, jak jest naprawdę. Właściwie nie wie nikt oprócz pana. I nie mam pojęcia, czemu to wszystko panu powiedziałam – dodała, wzruszając ramionami, i zagryzła dolną wargę.

– Może dlatego, że jestem taksówkarzem, wiesz, taka specjalna taksówkarska moc. Powierza nam się najróżniejsze sekrety – spróbował rozluźnić atmosferę i sądząc po minie Basi, chyba mu się udało. –

A wracając do tego, co powiedziałaś... Mam propozycję. Pójdziemy na układ – ciągnął – jak będziesz miała takie ciężkie zakupy, dasz mi znać, a ja cię podwiozę. I jak będziesz potrzebowała pomocy, to też mnie poinformujesz. Ja milczę, a ty przyjmujesz pomoc. Sztama, panienko Basiu?

– Nie wiem, czemu pan to robi, ale dobrze, jeżeli to jest warunek, to oki. Sztama – wyciągnęła dłoń i uścisnęli sobie ręce.

Gdy wychodził, chciała mu zapłacić za kurs. Pokręcił głową i odłożył pieniądze na stojącą w przedpokoju konsolkę.

– Panienko Basiu, nie na tym polega sztama, a staromodny dżentelmen nie przyjmuje pieniędzy od dam – powiedział, ucinając jej protesty w zarodku.

Od tamtego momentu pomagał im, jak mógł. Podwoził, podrzucał obiady w menażkach dla Basi i jej mamy. Szczęście w nieszczęściu, że bliźniaczki jadały w przedszkolu. Czasem zabierał wszystkie trzy siostry i babcię Salcię na pizzę. Częściej babcia zapraszała je do nich do domu, na wspólne oglądanie filmów, na podwieczorek, który czasem zamieniał się w kolację. I choć Rysiek nadal nie był pewien, czy dobrze robi, nie zawiadamiając nikogo, z czym tak naprawdę musi mierzyć się dziewczyna, to wiedział, że gdyby złamał daną Basi obietnicę, nie mógłby sobie spojrzeć w oczy.

Jedyną osobą, z którą zdobył się w tej kwestii na szczerą i podzielił wątpliwościami, była babcia Salcia.

– Obiecałeś to obiecałeś – powiedziała krótko. – Trzeba tylko mieć oczy szeroko otwarte i nie zostawić ich samych. Ale tym się nie przejmuj. Ostatecznie przez całe dni siedzę w domu, to będzie dla mnie pewnym urozmaiceniem, jeżeli od czasu do czasu zajmę się dziewczynkami –

dodała, usiłując ukryć podekscytowanie. – Na całe szczęście w moich postanowieniach noworocznych nie było mowy o dzieciach – zaśmiała się.

I tak właśnie, zupełnie przypadkowo, Rysiek znalazł sposób na rozproszenie samotności starszej pani. Bo Salcia zapałała do dziewczynek miłością od pierwszego wejrzenia. A co więcej – wszystkie trzy odwzajemniły to uczucie.

Nawet nie zauważyli, kiedy Basia i jej młodsze siostry stały się częścią ich codzienności. Nie wyobrażali sobie życia bez nich.

Razem z Basią zaczęli czekać na przebudzenie jej mamy.

„Taka współczesna bajka o śpiącej królownie – pomyślał teraz ponuro Ryszard. – Tyle że wszystko w niej zostało postawione na głowie. Bo najpierw księżę odszedł, a dopiero potem królowna zapadła w sen. Tylko, do diabła ciężkiego, jak niby można ją obudzić, skoro pocałunek tego właściwego księcia nie wchodzi w grę?”

Nie wiedział. Ale w końcu coś musi się wydarzyć, coś, co sprawi, że Kornelia wróci do domu, z którego, o ironio losu, praktycznie się nie ruszała. A pomimo to jakby jej tam nie było.

I teraz stojąc pod blokiem i wpatrując się w okno jej sypialni, myślał o tym, że to nie mógł być przypadek, że akurat wtedy jechał tamtą trasą i zobaczył klęczącą na chodniku Basię. Gdyby jej nie zobaczył, nie wiedziałby, że na wyciągnięcie ręki, w bloku obok, rozgrywa się cicha tragedia. Potem potoczył spojrzeniem po oknach. Tych oświetlonych i tych ciemnych. I obiecał sobie, że odtąd będzie patrzył dużo bardziej uważnie. Przez myśl przemknęło mu też, że gdyby każdy wyostrzył spojrzenie, może takich Baś pozostawionych samym sobie byłoby dużo mniej. A świat na pewno byłby lepszy. I to na co dzień, a nie tylko od święta.

Kornelia, nieświadoma tego, że jest obiektem czyichś rozważań, pomimo ogromnej chęci nie połknęła kolejnego proszka. Choć obracała w dłoniach słoiczek, w którym kusząco grzechotały tabletki.

Włączyła nocną lampkę, położyła się na łóżku i przycisnęła opakowanie z pigułkami do piersi. Pod palcami czuła bicie serca. Rytmiczne, takie jak zawsze. Dziwne, że wraz z tym, jak odchodzi ktoś najważniejszy, serce się nie zatrzymuje albo przynajmniej nie zwalnia.

Westchnęła głęboko. Marzyła o tym, żeby znów usnąć. Ale obiecała sobie, że dziś będzie przede wszystkim myśleć o dziewczynkach. Skoro już i tak dała plamę i nie zdołała wytrwać z nimi do końca zakupów, to przynajmniej postara się przywitać je po powrocie do domu. Przymknęła oczy i czekała.

W końcu w zamku w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz i przedpokój wypełnił się gwarem. Bliźniaczki potrafiły narobić tyle hałasu, że miało się wrażenie, iż jest tam przynajmniej tuzin dziewczynek.

Słyszac je, zwlokła się z łóżka i wyszła z sypialni. Basia uśmiechnęła się do niej. W jej oczach mignęło zaskoczenie podszyte ostrożną radością.

Dawno już się nie zdarzyło, żeby Kornelia sama, bez namawiania i dobudzania, opuściła sypialnię.

Bliźniaczki uśmiechnęły się na widok mamy od ucha do ucha, złapały ją za ręce i pociągnęły za sobą do kuchni.

Tam z uroczystymi minami podały jej spore pudełko.

– Bombki – cicho powiedziała Basia. Stanęła w progu i oparła się ramieniem o futrynę. – Byłyśmy w naszym sklepiku – dodała.

– Byłyśmy – podłapała natychmiast Emilka. – I pan Grzesio zapytał, czy mikołaj nas przysłał do pomocy, bo właśnie czeka na małe elfiątko. Ale

niestety to nie my, nie nadajemy się, bo jesteśmy mało... Mało...

– Małoletnie – podpowiedziała Basia.

– No właśnie. Małoletnie i małouszne. Bo elfy muszą mieć duże uszy. I pan Grześ był bardzo zmartwiony, ale powiedziałyśmy mu, żeby się nie przejmował, bo uszy możemy spróbować dokleić, a pracować można na czarno...

– A skąd wy wiecie, co to jest? – Kornelia zamrugła gwałtownie. – Praca na czarno – dodała wyjaśniająco.

– Bo tatuś Antka z przedszkola tak pracuje. Bo musi, bo inaczej będą mieszkać pod mostem. I o tym nie można mówić. Antek nam powiedział – wyznała prawdomównie Amelka.

– Cóż, radziłabym wam nie powierzać zbyt wielu sekretów Antkowi – mruknęła kpiąco Basia.

– I pan Grzesio też nie chciał o tym mówić – pokiwała główką Emilka. – Kręcił tylko głową i się śmiał. A wiesz, że on ma taką piękną, dużą głowę? – Westchnęła marzycielsko. – Okrągłą jak bombka i zupełnie bez włosów! I pomógł nam wybierać nasze bombeczki. – Emilka na chwilę zamilkła, nabrawszy powietrza.

– Dla ciebie też mamy jedną – Amelka wykorzystała chwilę niedyspozycji siostry i dorwała się do głosu. – Basia mówiła, że tatuś zawsze kupował jedną tobie. A teraz my musimy o ciebie zadbać. Bo tatuś nie może...

– A właśnie: dlaczego nie może? Ciągłe nie może i nie może! Ile można nie móc. – Emilka zmarszczyła nosek, a Basia z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem, bo mała brzmiała identycznie jak babcia Salcia.

Takich tekstów można się było po Emilce spodziewać. W końcu była tą bardziej dociekliwą z sióstr. I zwykle nie dawała się zbyć byle czym. Teraz

też uniosła główkę i wbiła pytające niebieskie spojrzenie wprost w szarozielone oczy matki.

– Mamusiu?! – przynagliła ją.

Kornelia, widząc ten jasny, niewinny błękit, poczuła, jak jej sercem szarpie nagły ból. Przełknęła głośno ślinę, usiłując wziąć się w garść. Małe odziedziczyły kolor tęczówek po Michale. Intensywny lazur. Niby u obu taki sam, a jednak Amelia spojrzenie miała bardziej miękkie i marzycielskie, Emilka natomiast ciekawskie i stanowcze.

Teraz też to zdecydowanie wprost biło z jej oczu. Widać było, że nie zamierza odpuścić.

– Ale ty, Emisiu, jesteś niemądra – nieoczekiwanie z pomocą Kornelii przyszła Amelka. – Nudzisz i nudzisz wciąż o to samo! Basia ci już przecież sto razy powtarzała, że z nieba tutaj nie jest po drodze... I że tatuś tam za krótko jeszcze mieszka i trochę się gubi! Przyjdzie do nas, jak już będzie wszystko wiedział! – dodała z niezachwianą pewnością siebie.

– To ty jesteś ostatnim głupkiem, bo Basia tylko tak mówi, żebyś dała jej spokój, a ty wierzysz – odgryzła się naburmuszona Emilka. – Sama słyszałam, jak mówiła do cioci Miłki, że żadnego nieba nie ma!

– Musi być! Bo przecież tata w nim mieszka! – dla Amelki to nie podlegało dyskusji. – Ale to daleko i dlatego to właśnie my, mamusiu, kupiłyśmy bombkę dla ciebie, tak jakby od tatusia – dodała, wracając do tematu. – Zobacz, jaka jest śliczna!

Kornelia wzięła głęboki oddech i na moment przymknęła oczy. Wszystko w niej się buntowało. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym głupim dzieciennym zwyczajem, który dawniej sprawiał jej tyle radości. Pod zamkniętymi powiekami przemknęły jej obrazy sprzed wielu lat. Z czasów, gdy jeszcze kochała święta i wierzyła w dobre zakończenia.

GRUDZIEŃ

ZA CZASÓW MIŚKA



Pierwszą wyjątkową bombkę, która zapoczątkowała ich własną rodzinną świąteczną tradycję, dostała od Miśka na ich pierwsze wspólne święta. Michał kupił ją w małym urokliwym sklepiku, który odkryli zupełnie przypadkowo. Szukali wtedy adresu, pod którym miał się mieścić sklepik ze starym, używanym oświetleniem.

– Bo mi się marzy taka stareńka lampa... Taka wiesz, najlepiej z dziewiętnastego wieku, rzucająca wokół siebie mądry, doświadczony krąg światła, który będzie do siebie przyciągał niczym magnes.

– I w którym będzie widać dużo więcej niż w tych nowoczesnych, co? – uśmiechnął się Misiek z lekką, podszytą czułością kpina.

– Właśnie tak, nie ma się z czego śmiać – trąciła go żartobliwie w bok. – Takie stare lampy mają w sobie duszę i doświadczenie minionych lat! W ich świetle od razu można się przejrzeć w czyichś oczach i z miejsca zobaczyć w nich miłość. A jak postawisz taką lampę na stole, to z miejsca zgromadzi przy nim wszystkich domowników...

– Ciekawe, co na to stół – mruknął Michał.

– To znaczy? – Kornelia pytająco uniosła brwi.

– No wiesz, nasz liczy sobie grubo ponad sto lat...

– Ponad sto pięćdziesiąt – uściśliła.

– Tym bardziej, a ty mu teraz chcesz odbierać zasługi! Mogę się założyć, że do tej pory był święcie przekonany, że to on i jego zaawansowany wiek i stołowe doświadczenie sprawiają, że wszyscy rezygnują z wygodnej kanapy i siadają właśnie przy nim. A teraz ty mu chcesz podrzucić kukułcze jajo w postaci jakiejś tam lampy. Ja na jego miejscu zamknąłbym się w sobie, a może nawet śmiertelnie obraził...

– Oj tam, oj tam, lampa będzie pasowała do niego jak ulał. Zobacysz, połączy ich przyjaźń. – Zaśmiała się. – A teraz zlokalizujmy wreszcie ten sklepik, bo coś mi mówi, że znajdę tam to, czego szukam. Bo ja najbardziej to sobie wymarzyłam taką, jaką kiedyś widziałam w którymś z muzeów. Z mlecznym kloszem, z filigranową i fantazyjną szklaną falbanką na górze i z koralikowymi frędzelkami... Wiem, że pewnie trudno będzie znaleźć identyczną, ale gdyby się udało choć trochę podobną, to byłabym niesamowicie szczęśliwa!

Kornelia uśmiechnęła się bezwiednie na wspomnienie tamtego dnia.

To był niewiarygodnie wspaniały czas. We wrześniu podpisała pierwszą umowę wydawniczą i tego grudniowego dnia na jej konto wpłynęła zaliczka. Poczowała się ze wszech miar bogata! Spełniły się jej najskrytsze marzenia, jej powieść miała się ukazać drukiem, pojawić się na półkach księgarni, trafić do rąk czytelników i sprawić, że każdy, kto ją przeczyta, uwierzy w to, że wszystko, naprawdę wszystko jeszcze się może zdarzyć. Bo właśnie taki miała cel: chciała poprzez swoje opowieści dzielić się nadzieją i wiarą w szczęśliwe zakończenia.

No i dodatkowo zaliczka, która pojawiła się na jej koncie tuż przed świętami! To trzeba było uczcić. Kornelia poczuła, że nareszcie może bez żadnych wyrzutów sumienia pozwolić sobie na spełnienie fanaberii o wiekowej lampie z duszą.

Ale tamtego dnia nie kupili ani tej konkretnej wymarzonej, ani żadnej innej. Nie znaleźli sklepiku, choć przemierzyli uliczkę, przy której miał się znajdować, ze trzy razy i obejrzelili uważnie wszystkie szyldy. W końcu zniechęceni skręcili w jedną z bocznych, jeszcze węższych alejek. Wędrowali niespiesznie przed siebie, gdy Kornelia poczuła wilgotne muśnięcie na policzku, potem drugie w okolicach ust. Uniosła głowę i uśmiechnęła się zachwycona. Z nieba lekko spływały śniegowe płatki.

Najpierw pojedyncze, potem było ich coraz więcej i więcej. Osiadały na rzęsach jej i Michała, roztapiały się na ich wargach, wirowały wokół nich. Nadchodziły pierwsze święta w ich wspólnym domu. Właśnie zaczynał padać pierwszy, wyczekiwany śnieg. Byli tym wszystkim oczarowani i tak bardzo szczęśliwi. Mieli tyle powodów do radości. Przed nimi rozpościerały się kolejne dni, mogli je wypełnić dobrymi chwilami, które później zamieniały się w piękne wspomnienia. Mogli siedzieć wspólnie przy stole, pić poranną kawę, wspólnie cieszyć się z drobnych radości, a nawet razem klepać biedę. Wszystko było bardziej znośne, gdy robiło się to razem, ręka w rękę. Kornelia wiedziała, że ze wszystkim sobie poradzi, bo ma Miśka. A Misiek ma ją. Mieli siebie. I mnóstwo rzeczy, które działy się po raz pierwszy. Takich jak na przykład padający coraz gęściej śnieg. Cieszyli się nim tak bardzo, że zapatrzeni w niebo, skupieni na łapaniu białych gwiazdeczek na wyciągnięte dłonie przestali zwracać uwagę na mijane sklepiki. Być może właśnie dlatego ten, który wyrósł przed nimi nieoczekiwanie, na który wręcz wpadli, zrobił na nich tak ogromne wrażenie.

Oboje stanęli jak wryci, wpatrując się w widoczny za szybą obrazek. Centralną część wystawy zajmowała choinka. Udekorowana staromodnymi zabawkami, bombkami, takimi, jakie do tej pory Kornelia widywała jedynie na wiekowych fotografiach. Na zielonych gałązkach zamocowane były prawdziwe świeczki. Pod choinką leżały zapakowane w lśniący papier prezenty. Kawałeczek dalej siedział stareńki miś, a obok niego, wspierając rączkę na kędzierzawej łapie, usadowiła się lalka, na jej karminowych porcelanowych ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Ubrana była w czerwoną suknię obszytą białym futerkiem, patrzyła z zainteresowaniem w stronę apetycznego stosu książek. Na okładce tej leżącej na wierzchu

można było dostrzec sanie, a w nich rozpartego, roześmianego Mikołaja. Cała wystawa emanowała staromodnym, dawnym czarem.

– Nie masz wrażenia, że jak tam wejdziemy, to przeniesiemy się w czasie? – wyszeptała Kornelia do Miśka, nie odrywając oczu od witryny.

– Dokładnie to samo pomyślałem – odszepnął, obejmując ją ramieniem.

– I ja już wiem, jak chcę udekorować nasze drzewko! Dokładnie tak. – Lekko skinęła głową na widoczną za szybą choinkę. – Będzie w starym stylu...

– O tak! Przypadnie do gustu naszemu stołowi – przytaknął Michał z udawaną powagą, wpatrując się z zachwytem w swoją młodą, przepięknie podekscytowaną żonę.

W oczach miał całe morze miłości.

Weszli do środka z zamiarem kupienia tyłu ozdób, żeby można było przystroić całe świąteczne drzewko.

I wpadli w bombkowy, magiczny świat. Cały sklepik tonął w kolorowych, misternych, błyszczących i mieniących się ozdobach. Przy jednej ze ścian stała szklana gablota wypełniona egzemplarzami kolekcjonerskimi.

– Fiu, fiu – zagwizdał Michał, patrząc na ceny filigranowych cacuszek. – Chyba jednak w tym roku kupimy tylko kilka – mruknął.

– A w następnych latach będziemy dokupywać kolejne – kiwnęła głową Kornelia. – Dobrze będzie na to z niecierpliwością czekać. W końcu mamy czas, całe morze czasu – dodała.

Wtedy jeszcze była przekonana, że tak właśnie będzie. Czasami to i lepiej, że człowiek nie może zajrzeć w przyszłość, że nie wie, co go czeka...

Tamtego grudniowego, zimowego dnia kupili dwie duże bombki i kilka mniejszych. Kornelia z żalem odłożyła jedną, która podobała jej się

najbardziej ze wszystkich. Właściciel sklepiu, widząc, z jakim zachwytem się jej przygląda, wyjął bombkę ze szklanej gablotki i ostrożnie położył kruche cudo na wyciągniętych, złożonych w koszyczek dłoniach klientki.

Bombka była w kształcie zegara, jej złożona tarcza połyskiwała tajemniczo, wskazówki zdawały się żyć. Wahadło było zrobione tak, że miało się wrażenie, że zaraz się zakołysze.

– Pan, który ją do mnie przyniósł, opowiedział mi jej historię – powiedział sprzedawca i omiół bombkę pełnym czułości spojrzeniem. – Podobno jego dziadek podarował tę bombkę na pierwsze święta swojej młodziutkiej żonie. Z liścikiem, w którym napisał, że ten zegar ma im wróżyć dużo szczęśliwego czasu. Liścik też jest dołączony, czeka w oryginalnym pudełku. Takie było życzenie jej poprzedniego właściciela. Żeby trafiła do nowego domu ze wszystkim tym, z czym pojawiła się lata temu u jego babci. Rzadka rzecz. I nie chodzi mi tylko o bombkę, ale też o to, że nieczęsto spotyka się przedmioty z konkretną i dodatkowo tak piękną, romantyczną historią – dorzucił.

– Będę teraz o niej śniła po nocach – westchnęła Kornelia i pieszczotliwie pogładziła bombkowy zegar kciukiem. – Ale niestety chwilowo jest poza naszym zasięgiem – dodała, zerkając na horrendalną cenę ozdoby. – Może w następnym roku się uda. Oczywiście, jeśli szybciej nie znajdzie nabywcy – dorzuciła i ostrożnie, z widocznym żalem, przekazała zegar właścicielowi bombkowego przybytku. – Bo to, że do pana wrócimy, to pewne – powiedziała do stojącego za ladą mężczyzny.

Odpowiedział i jej, i Michałowi uśmiechem i skinieniem głowy. Zauważył ich, zanim weszli do sklepu, widział zachwyty w oczach kobiety na widok wystawy i równie wielkie zauroczenie na twarzy mężczyzny, gdy spoglądał na swoją towarzyszkę. I to wystarczyło. Wiedział, że zyskał klientów na lata. Mieli w sobie to coś, co przyciągało takich jak oni do

takich staroświeckich sklepików. Coś, co pozwalało z miejsca obdarzać nieznanym ludzi sympatią. I tę parę pan Grześ właśnie tak polubił. Od pierwszego wejrzenia. Zapamiętał nawet ich imiona: Kornelia i Michał.

Więc wcale nie zdziwił się, gdy jeszcze tego samego dnia tuż przed zamknięciem do jego sklepu wpadł Michał właśnie. Podświadomie się go spodziewał.

Młody mężczyzna kupił dla swojej żony wymarzony bombkowy zegar.

Kornelia nie musiała czekać do następnego roku. Dostała swoją wymarzoną ozdobę w wigilijny poranek. I tak właśnie zapoczątkowali nową rodzinną tradycję. Każdego roku dokupywali u pana Grzesia kilka bombek, a Misiek dodatkowo kupował jedną, szczególną, specjalnie dla Kornelii. A potem, gdy na świecie pojawiły się dziewczynki, co roku na Boże Narodzenie każda z nich dostawała własną bombkę. Dopóki był Michał, Kornelia uwielbiała ten zwyczaj.

A potem, tak jak wiele innych uwielbianych do tej pory rzeczy, nie mogła go znieść.

Na szczęście miała Basię. A Basia dawała radę ze wszystkim. Z tym najbardziej bolesnym również.

GRUDZIEŃ

DRUGI BEZMICHALNY



Teraz jednak Basia nie mogła jej już pomóc. Nie mogła przecież przejąć bombki, którą bliźniaczki wybrały specjalnie dla niej.

„W zastępstwie Michała” – zaszumiało jej kąśliwie w głowie, a serce boleśnie szarpnęło się w piersi.

Przemogła się w końcu, wyciągnęła ręce i odebrała od małych pudełko. Postawiła je na stole z taką ostrożnością, jakby to była bomba. Wzięła głęboki oddech i otworzyła kartonik.

– I jak, mamusiu? Ładna? – dopytywała się Amelka, a Emilka niecierpliwie sięgnęła do wnętrza pudełka i wyciągnęła z niego bombkę.

– Piękna – tyle tylko zdołała wydusić przez zaciśnięte gardło.

Prawdę mówiąc, nawet nie zarejestrowała, jak bombka wygląda, bo oczy zaszyły jej łzami, które sprawiły, że ozdoba zamieniła się w niekształtną, rozmytą plamę. Ukradkiem wytarła oczy. Na całe szczęście dziewczynki były zbyt zaaferowane rozmową między sobą i nie zwracały na nią szczególnej uwagi. Zdradzieckie łzy zostały niezauważone.

– Widzisz, Emisiu! Piękna! – powiedziała tryumfująco Amelka i radośnie zaklaskała w rączki.

– Pan Grześ uważa, że ta idealnie do ciebie pasuje – dorzuciła Basia.

– Pan Grześ jak zawsze ma rację – przytaknęła Kornelia, zmuszając się do uśmiechu. – To co, skoro już mamy bombki, to może jutro ubierzemy choinkę? – zapytała, patrząc na roześmiane bliźniaczki.

W pokoju na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Widać nikt się nie spodziewał takiej propozycji.

– Jutro? – pierwsza odezwała się Basia, z trudem ukrywając zdumienie.

Już miała dorzucić, że przecież zawsze ubierają choinkę w Wigilię, że jutro to nie będzie to samo, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język.

Bo kiedy spojrzała na poszarzałą twarz mamy, dotarło do niej, że Kornelia nie zniesie strojenia drzewka w wigilijny poranek. I że ta propozycja, która właśnie padła, i tak musiała ją dużo kosztować.

– Jutro? – zapytały bliźniaczki jednym głosem.

One się nie dziwiły, nie miały wątpliwości. Po prostu cieszyły się na czekającą je uroczystą, czarowną chwilę. Dla nich każdy dzień na strojenie drzewka był tak samo dobry, nie pamiętały przecież wszystkiego tak dobrze jak ich siostra.

A Basia wtedy jeszcze nie wiedziała, że będzie głęboko wdzięczna za tę zmianę. Że to pomoże zapobiec kompletnej katastrofie.

Choinkę pomógł jej wybrać pan Rysio i jego babcia. Dzięki temu mogła znów spokojnie zamydlić oczy cioci Miłce i zapewnić ją, że z mamą jest coraz lepiej, że były razem na zakupach, co akurat było prawdą... To, jak się te zakupy skończyły, to zupełnie inna sprawa, ale przecież nikt o to nie pytał. W sprawie choinki też postanowiła nieco nagiąć prawdę i powiedzieć, że kupiły ją razem i zamierzają jeszcze dziś ją przystroić. Jak tylko bliźniaczki wrócą z przedszkola.

– Basik, ja się bardzo cieszę, że idzie ku dobremu, ale nie rozumiem, dlaczego jak przychodzę, to Nelka zawsze jest półprzytomna! Mówisz, że w ciągu dnia chodzi na zakupy, gotuje, odprowadza bliźniaczki do przedszkola, a tymczasem przy mnie słania się na nogach i sprawia wrażenie mało obecnej. Czy ty, Basiku, przypadkiem mnie w coś nie wkręcasz? – zapytała podejrzliwie.

Basia bezgłośnie nabrała powietrza w płuca. Tego obawiała się od dawna: że ciocia Miłka w końcu zacznie coś podejrzewać. I tak długo udawało jej się mydlić oczy.

– W nic cię, ciociu, nie wkręcam – powiedziała w końcu, usiłując mówić pewnie. Chwała Bogu, że to była rozmowa telefoniczna i ciotka nie widziała jej twarzy, bo w takim wypadku pewnie domyśliłaby się wszystkiego. – Ty zazwyczaj przychodzisz, jak mama jest już po całym dniu na nogach i po zażyciu tabletek... One ją zawsze trochę otumaniają. Ale to tylko na noc – dodała szybko.

– Właśnie to mnie coraz bardziej martwi – mruknęła Miłka. – Powinna już zacząć sypiać bez nich.

„Żeby tylko sypiać!” – pomyślała Basia, zaciskając palce na telefonie tak mocno, że aż pobielaly jej kostki.

Mama powinna zacząć bez nich żyć, ale tego przecież nie mogła ciotce powiedzieć.

– No dobrze, ale to jest sprawa, o której muszę porozmawiać z twoją mamą, ty nie powinnaś się tym przejmować.

Miłka niezmiennie wyrażała pogląd, że dzieci powinny móc być dziećmi jak najdłużej. Dlatego też Basia bała się jej cokolwiek powiedzieć o tym, jak naprawdę w tej chwili wygląda jej życie. Na bycie dzieckiem nie zostawało jej zbyt wiele czasu. Zajmowanie się bliźniaczkami, domem i matką wyczerpywało, a przecież miała jeszcze szkołę. I ciotka na pewno nie przyjęłaby tego wszystkiego ze stoickim spokojem. Kto wie, czy nie sprowadziłaby im na głowę opieki społecznej albo innego pogotowia opiekuńczego. Oczywiście z dobrej woli, w to Basia nie wątpiła, ale jej intencje niewiele by zmieniły. Nie mogła przecież pozwolić, by rozdzielono je z mamą. Bo w głębi serca Basia wiedziała i mocno wierzyła, że Kornelia w końcu do nich wróci. Wiedziała też, czego w takiej sytuacji oczekiwałby od niej tata, gdyby żył. Przecież zawsze gdy miał wyjechać na dłużej, przytulał ją do siebie i mówił, żeby pod jego nieobecność opiekowała się mamą i siostrami. Nie miał jej tego jak przekazać, zanim odszedł na zawsze, ale Basia wiedziała, że gdyby tylko mógł, właśnie to by jej szepnął do ucha. I nie zamierzała go zawieść.

I tym bardziej wdzięczna była losowi za to, że w jej życiu pojawili się pan Rysio i jego babcia. Dobrze, że zdecydowała się mu powiedzieć prawdę. Dzięki temu przynajmniej przed nim nie musiała niczego udawać. On i babcia Salcia, bo tak do siebie kazała się zwracać starsza pani, rozumieli. I bez nich Basia chyba nie dałaby sobie rady.

Teraz też to pan Rysio właśnie wtaszczył choinkę na górę po schodach i obstalował ją w stojaku. Mama nawet nie wyszła z sypialni. Basia zajrzała

do niej, ale Kornelia albo rzeczywiście tak mocno spała, że nawet nie drgnęła, albo udawała. I jedno, i drugie było bardzo prawdopodobne.

Ale dla Basi najważniejsze było, żeby mama wstała, gdy wróca z dziewczynkami do domu. Żeby nie zawiodła bliźniaczek, żeby ubrała razem z nimi choinkę i posiedziała przed telewizorem. Niechby nawet podsypiała. Byle tylko nie wycofała się rakiem do swojego pokoju. Byle nie zniknęła.

Tym razem widać miała szczęście. Jej prośby zostały wysłuchane. Gdy przyprowadziła małe do domu, Kornelia już na nie czekała. Co więcej, wyjęła pudełka z ozdobami z szafy i zrobiła kakao. Widząc stojące na stole, naszykowane na ich przyjście kubki, Basia poczuła, jak do oczu podchodzą jej łzy. Po raz pierwszy od wielu tygodni Kornelia zrobiła coś z myślą o nich, o całej trójce.

„A może, może w te święta zdarzy się cud i mama w końcu do nas wróci?” – przemknęła jej przez głowę nieśmiała myśl.

Tata odszedł na zawsze, nie było odwrotu. Została po nim paląca tęsknota i smutek. I duży wełniany sweter, który Basia chowała u siebie w szafie i czasami, gdy bywała skrajnie zmęczona i zrozpaczona, gdy już nie miała siły płakać, wyjmowała go i przytulała się do niego, owijając się miękkimi rękawami i wyobrażając sobie, że oto na moment znalazła się w mocnych, opiekuńczych ramionach taty. Inaczej nie mogła przecież się do niego przytulić.

Ale mama... mama tu była. Było na co czekać. I może właśnie się doczekały.

Tego wieczoru Basia poczuła coś na kształt nadziei. Pojawiła się ona wraz z kubkami kakao na stole, wraz z zawieszeniem przez mamę pierwszej bombki na choinkowej gałęzi. Wraz z piosenką, którą zaczęły śpiewać Amelka i Emisia:

Założ, choinko,
śnieżny kożuszek,
zawiąż na czole
barwny łańcuszek.
Na strunach igieł
zagraj cichutko,
niech wieczór pachnie
zieloną nutką.

Lu-li, lu-li, lu-li, la,
Lu-li, lu-li, lu-li, la,
Lu-li, lu-li, lu-li, la,
Lu-li, lu-li, lu-li, la.

Założ, choinko
śnieżne koronki,
przypnij jabłuszka,
świeczki i bombki.
Na szklanych dzwonkach
zagraj cichutko,
niech wieczór pachnie
zieloną nutką.

Basia, patrząc na śpiewające siostry, tulące się do mamy, na udekorowane drzewko, na puste już kubki po kakao, pomyślała, że oto dostała najpiękniejszy prezent i że już nic więcej nie musi na nią czekać pod choinką.

Mama wracała.

Powietrze zaczynało drżeć od oczekiwania.

Na cud powrotu.

Na cud, na który jeszcze nie nadszedł właściwy czas.

Ale tego Basia jeszcze nie wiedziała.

Kornelia była z siebie dumna. Dała radę. Sama wyciągnęła pudełka z bombkami. Zrobiła kakao, poczekała na córki.

Ubrała z nimi to przekłete drzewko, choć serce szarpało się boleśnie z każdą zawieszoną ozdobą.

Zaśpiewała refren piosenki o choince. Nie znała jej, ale refren był nieskomplikowany.

Odwaliła kawał dobrej roboty.

W sypialni padła na łóżko i natychmiast połknęła tabletkę. Żeby przypadkiem nie przywołać tym groźnych i niebezpiecznych snów. Żeby nie sprowadzić w nich Michała.

A następnego dnia zaczął się koszmar.

Ubrana choinka stała w pokoju. Udekorowana bombkami, z których każda związana była ze wspomnieniami o Miśku. Nie dało się na nią patrzeć i o nim nie myśleć. Nie dało się też o niej zapomnieć. Wizja drzewka prześladowała Kornelię wszędzie. W kuchni, sypialni, łazience. Non stop widziała je przed oczami, choć w ciągu dnia nie wchodziła do salonu. Tylko wieczorami zmuszała się do spędzania tam czasu z dziewczynkami. Bliźniaczki były zachwycone jej obecnością. Ich szczęście było głośne i pełne śmiechu, niedające się przeoczyć. Z Basią było nieco inaczej.

Cieszyła się, ale ostrożniej. Tak jakby bała się zapeszyć. Ale gdy dzień przed Wigilią wspólnie kroiliły w kuchni warzywa na sałatkę jarzynową, gdy Kornelia przepasana fartuszkiem zabrała się do smażenia karpia, gdy kuchnię wypełnił aromat zupy grzybowej, Basia poczuła, że się uśmiecha. Tak naprawdę. Bez wysiłku. Bez pilnowania, by kąciki ust nie opadły. Mama wciąż była z nimi i było widać, jak bardzo się stara.

I Basię zalała fala ulgi i wdzięczności. Tak wielka, że pochłonęła niedowierzanie i ostrożność. I pewnie dlatego umknęły jej zmiany zachodzące w mamie. Drżące dłonie, zęby zaciśnięte tak mocno, że kości policzkowe wyostrzyły rysy twarzy. Nie spostrzegła omijania wzrokiem choinki, gdy wieczorem bliźniaczki ustawiały pod nią talerzyk z ciasteczkami dla Mikołaja. Nie zauważyła też dreszczu, jaki wstrząsnął ramionami Kornelii, gdy małe odstawiły wokół choinki dziki taniec, wprawiając tym w ruch wiszące na gałązkach bombki.

Nie patrzyła wystarczająco uważnie, bo po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwoliła sobie na powrót nadziei.

I po raz pierwszy od bardzo długiego czasu położyła się do łóżka z uczuciem, że nie może doczekać się kolejnego dnia. To miała być piękna Wigilia. Przełomowa. Rozpoczynająca nowy rozdział w ich życiu. Wigilia, a potem święta pełne drobnych, zwyczajnych cudów.

I codzienność, w której nie będzie już tak bardzo samotna. Bo znów będzie miała obok siebie mamę.

O tym wszystkim myślała, zawijając się w kołdrę i z błogością przymykając zmęczone oczy.

I natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki zapadła w głęboki sen.

Kornelia natomiast nie mogła usnąć. Zamykała oczy i natychmiast pod powiekami widziała błysk kołyszących się złowieszczo bombek. Te rozbłyski były nie do wytrzymania, tak samo jak rozbrzmiewające w jej głowie głosiki bliźniaczków śpiewających o choince, o świętach. Rozprawiających o prezentach, w nieustannym oczekiwaniu na Wigilię. Po chwili dołączył do nich głos Michała. Wraz z obrazami ofiarowywanych jej co roku bombek. Bombkowy zegar na pierwsze święta i „na czas, kiedy mnie już nie będzie”, misternie wykonany koszyczek na drugie i „na potem, żebyś mogła ułożyć tam swoją tęsknotę za mną” – szumiało jej w głowie. W końcu Kornelia poczuła, że dłużej tego nie znieśnie, że musi coś zrobić, by pozbyć się niechcianych obrazów, wspomnień, podszeptów.

Zerwała się z łóżka i wymknęła się do przedpokoju. Bezgłośnie niczym duch podeszła do stojącej pod ścianą konsolki i wyciągnęła z szufladki sekator. A potem na palcach poszła do salonu.

Zapaliła małą lampkę stojącą w kącie i ze zdecydowaniem i determinacją podeszła do choinki. Błysnęły rozsuwane ostrza. A potem nie pamiętała już nic. Nie zarejestrowała spadających na podłogę gałązek, nie była świadoma tego, że w jakimś ostatnim przeblysku przytomności musiała najpierw zdjąć z nich bombki, bo później, gdy doszła do siebie, gdy otrząsnęła się z tego dziwnego stanu, zobaczyła je poukładane na kawałku podłogi. Jedyne, który pozostał widoczny, bo reszta powierzchni przykryta była igliwem i pociętymi na kawałki choinkowymi gałązkami. Z pięknego drzewka, przy którym poprzedniego wieczoru tańczyły jej córeczki, pod którym zostawiły talerzyk z ciasteczkami, pozostał jedynie okaleczony, budzący koszarne skojarzenia kikut.

Kornelia patrzyła to na niego, to na trzymany w rękach sekator z niedowierzaniem. Nie była w stanie pojąć, jak mogła zrobić coś takiego. Nie rozumiała, co się z nią stało. Ze wstrętem odrzuciła sekator na stół i jeszcze raz omiotła spojrzeniem zdemolowaną świąteczność. Na samą myśl, że taki właśnie obraz powita dziewczynki w wigilijny ranek, poczuła mdłości.

Jasne było, że coś należało z tym zrobić... Ale co konkretnie, Kornelia nie wiedziała. W każdej chwili bliźniaczki mogły się obudzić i wpaść podekscytowane do salonu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, zawsze przecież sprawdzały, czy Mikołaj zjadł zostawione dla niego smakołyki i czy wypił cynamonowe mleko.

Jeżeli zobaczą to, co zrobiła z drzewkiem, jeżeli zobaczą... – Kornelia z trudem przełknęła ślinę.

Musiała to jakoś naprawić, ale nie wiedziała jak. W środku nocy raczej nigdzie nie sprzedawano choinek. A poza tym jak miałyby bezgłośnie i bezszelestnie dostarczyć nowe drzewko do domu?

W końcu zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

Poszła obudzić najstarszą córkę.

– Basiu, Basiu – pochyliła się nad śpiącą dziewczyną i potrząsnęła ją lekko za ramię. – Basiu! – powtórzyła raz jeszcze, nieco głośniejsze i z większym naciskiem, gdy tamta nadal spała.

W końcu córka otworzyła oczy. Zaspana, obrzuciła Kornelię półprzytomnym spojrzeniem.

– Mama? – mruknęła w końcu, unosząc się w pościeli.

– Tak... Basiu, stało się nieszczęście. Zrobiłam coś... Coś... No i nie wiem co dalej – wydukała bez ładu, zaciskając w geście bezradności dłoń.

– Jakie nieszczęście? – Basia natychmiast oprzytomniała i zerwała się na równe nogi. – Coś z dziewczynkami? – zapytała zduszonym głosem.

– Nie, ale w salonie... – Kornelia zamilkła, czując w gardle rosnącą gulę. – W salonie... – powtórzyła, ale Basia nie czekała, aż uda jej się powiedzieć coś więcej.

Na bosaka wybiegła na korytarz i z impetem otworzyła na oścież drzwi prowadzące do dużego pokoju. Stała w progu jak wryta.

– O kurwa – doleciało do uszu Kornelii. – O kurwa – powtórzyła jej nastoletnia córka, a w jej głosie słyhać było szok, niedowierzenie i narastającą panikę. – Co ty, mamo, najlepszego zrobiłaś? – Dziewczyna odwróciła się i spojrzała Kornelii prosto w oczy.

– To się stało poza mną... Poczułam, że ani minuty dłużej nie dam rady patrzeć na te ozdoby, na drzewko... To był jakiś impuls, gdybym tylko mogła cofnąć czas... – zaczęła się mgliście tłumaczyć, ale Basia już jej nie słuchała.

Przepchnęła się koło niej i na moment zniknęła w swoim pokoju. Wróciła po kilku sekundach, trzymając w ręku telefon komórkowy. Twarz miała ściągniętą, brwi zmarszczone.

– Wejdz i zamknij za sobą drzwi – nakazała, omijając Kornelię wzrokiem. – Amelka i Emisia śpią. Ale pilnuj drzwi. Na wypadek gdyby się obudziły. Wtedy musisz je zabrać, za nic nie mogą wejść i zobaczyć tego – ogarnęła ręką wnętrze salonu.

Kornelia, nie dyskutując, zrobiła to, co nakazała jej córka. A potem podeszła do stołu i bezwiednie znów ujęła w ręce sekator, i nerwowo zaczęła go przekładać z ręki do ręki.

– To może ja zadzwonię do Miłki, co? – mruknęła w końcu, nie podnosząc na córkę wzroku. – Ona na pewno...

– Mamo, czy ty w ogóle wiesz, o czym mówisz? – przerwała jej Basia ostro. – Ciocia nie ma pojęcia, co tak naprawdę się u nas dzieje i w jakim

jesteś stanie. Czy ty w ogóle wiesz, o czym ostatnio z nią rozmawiałaś? Pamiętasz cokolwiek?

– Tak, jasne, że tak – starała się mówić pewnie, ale sama słyszała, że nie bardzo jej to wychodzi.

Przymknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć ostatnią wizytę przyjaciółki. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, że Miłka opowiadała jej o swoich ostatnich randkach. O jakimś gościu, z którym wiązała poważniejsze nadzieje. Chyba pytała też o małe... O jakieś przedstawienie w przedszkolu...

– Nie, mamo, ciocia Miłka umarłaby tu na zawał serca. Trzeba nam kogoś zupełnie innego – zdecydowała jej córka, szukając czegoś na swoim telefonie i wybierając numer. – Panie Rysiu, jak dobrze, że pan odebrał – powiedziała po chwili. – Przepraszam, że dzwonię w środku nocy, ale rano... Rano będzie za późno – dodała pękniętym głosem i w krótkich słowach zrelacjonowała, co zastała w salonie. – I sam pan rozumie. Dziewczynki nie mogą zobaczyć, co się stało z drzewkiem. To wygląda jak scena z horroru. Jakby zamordowano choinkę i zostawiono jej okaleczone zwłoki... Tak pan myśli? Że od razu słyshać, że córka pisarki, bo tak obrazowo mówię – uśmiechnęła się z wysiłkiem. – To ja panu powiem, że mam ułatwione zadanie, bo tutaj nie trzeba kompletnie używać wyobraźni. To reportaż ze świątecznej linii frontu... Ale wracając do Amelki i Emisi. One przecież nadal wierzą w Świętego Mikołaja. I tak bardzo czekają na Wigilię. – Widać było, że niezmiernie się stara, żeby się opanować, ale i tak oczy jej zwilgotniały. – I ja zupełnie nie wiem, co robić... Może jakoś przetrzymam dziewczynki z dala od salonu, a rano, rano... – Tu przerwała, wsłuchując się w to, co mówił jej rozmówca. – Dobrze, to ja w takim razie czekam – powiedziała i zagryzła dolną wargę.

Odłożyła telefon i ciężkim wzrokiem spojrzała na matkę.

– Odłóż, mamó, ten sekator, bo wyglądasz z nim upornie – powiedziała zmęczonym głosem. – Idź do pokoju dziewczynek i posiedź tam, dopóki my tu nie skończymy... Gdyby się obudziły, musisz coś wymyślić, żeby je zatrzymać w pokoju. – Spojrzała na mamę tak, że tamta poczuła się jeszcze okropniej.

W tym wzroku było wszystko: zawód, brak wiary w to, że matka jej pomoże, smutek i ogromne osamotnienie.

Kornelia poczuła, że zawiodła, że głupotą było próbować coś zmienić, bo tylko narobiła kłopotu. Powinna zwyczajnie spać i nie komplikować jeszcze bardziej tego, co i tak już było skomplikowane...

– Mamó, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? – Basia podeszła do niej i wyjęła z jej dłoni sekator, który Kornelia wciąż kurczowo ścisnęła.

– Tak. – Kiwnęła głową. Ciężar w piersi zwiększył się jeszcze bardziej, tak jak i suchość w ustach. – Ale kto tu przyjdzie? I co zamierzacie zrobić? – wydusiła z trudem.

Basia przez moment milczała. Zastanawiała się, co odpowiedzieć, jak wyjaśnić, kim jest Ryszard i jego babcia. Bo właśnie do niej dotarło, że Kornelia o nich nic nie wie. Bo to ona z dziewczynkami bywały u babci Salci i pana Ryśka. On wprawdzie czasem do nich zaglądał, ale wtedy najczęściej Kornelia już spała. Raz czy dwa wiozł mamę taksówką, ale Basia szczerze wątpiła w to, że mama go zapamiętała... Czasem miała wątpliwości, czy kojarzy ją i dziewczynki, swoje dzieci, a co dopiero jakiegoś obcego, widywanego sporadycznie faceta...

– Przyjdą przyjaciele, mamó – powiedziała w końcu. – Przyjaciele – powtórzyła i pokiwała głową. – Pomogą mi to uprzątnąć, a ty idź do małych i nie uśnij. Pilnuj, żeby za nic na świecie nie weszły do salonu, bo tego widoku nie zapomną do końca życia – wymownie spojrzała na szczątki choinki. – Wprawdzie bardzo marzyłam, żeby to były dla nich

niezapomniane święta, ale na pewno nie to miałam na myśli – powiedziała zmęczonym głosem dorosłego człowieka. – Idź – powtórzyła przynaglająco.

Kornelia poszła. Z pokoju dziewczynek słyszała, jak Basia krąży po mieszkaniu, jak idzie do kuchni, jak otwiera szufladę i czymś szeleści. Domyśliła się, że córka wyjmuje worki na śmieci. Obrzuciła spojrzeniem leżące w łóżeczkach bliźniaczki. Oddychały miarowo, co jakiś czas posapując, widać było, że śpią głęboko. Nic nie wskazywało na to, że cokolwiek jest w stanie wyrwać je z objęć Morfeusza. I Kornelia pomyślała, że tak naprawdę nie jest tu potrzebna, że powinna pójść do Basi i jej pomóc... Ale w tym samym momencie rozległo się ciche pukanie. Basia poszła otworzyć i wpuściła kogoś do środka. Kornelia cichutko podeszła do drzwi pokoju dziewczynek, lekko je uchyliła i zerknęła w głąb przedpokoju.

Zobaczyła nieznaną, mocno starszą panią, która przytulała Basię uspokajająco, gładząc ją pomarszczoną ręką po jasnych, zmierzwionych włosach. Za staruszką stała choinka. Przystrojona, z bombkami, łańcuchami i staroświeckim srebrnym anielskim włosem.

I Kornelia, patrząc na starszą panią, której plecy pieszczotliwie muskały gałązki stojącego za nią drzewka, pomyślała, że tak zapewne wygląda duch świąt. I że z całą pewnością ona tam nie pasuje. Nie po tym jak własnoręcznie nie tylko zniszczyła choinkę, ale też odebrała wiarę w cud swojej najstarszej córce. Nie zasługiwała na to, by uczestniczyć w ratowaniu tego, co już zniszczyła. A jeszcze bardziej nie zasługiwała na Basię. Wycofała się spod drzwi i ciężko zapadła się w fotel i w siebie.

Przegrała. Nie potrafiła przestać tęsknić. Życie bez Michała wydawało jej się niemożliwe.

Pan Rysio, którego Basia w pierwszej chwili nie zauważyła, bo skrywało go trzymane przez niego drzewko, i babcia Salcia zajrzeli do salonu, spojrzeli po sobie i bez słowa zabrali się do uprzątnięcia choinkowej masakry.

Raz-dwa uporali się z zebraniem poobcinanych gałęzi do worków na śmieci, Basia pozbiierała z podłogi zdjęte przez Kornelię bombki i dokładnie ją zamiotła. Potem tylko ustawili gotową choinkę w miejsce zniszczonej.

– Babciu Salciu, panie Rysiu, ale to przecież wasza choinka – powiedziała nabrzmiałym od wzruszenia głosem Basia.

– A tym, dziecko, to ty się w ogóle nie przejmuj. – Salomea pogładziła dziewczynę po ramieniu. – Zdążymy kupić rano kolejne drzewko. Ozdób nam też nie zabraknie, zostały mi jeszcze dwa pełne pudełka. Przez te wszystkie lata zgromadziłam wszystkiego aż nadto. A stwierdziliśmy z Rysiem, że lepiej przynieść od razu udekorowaną choinkę, tak na wszelki wypadek, gdyby dziewczynki się obudziły. Żeby było jak najmniej zamieszania.

– Nie wiem, jak mam wam dziękować – wyszeptała Basia. – Uratowaliście nasze święta. Resztki choinki sama bym posprzątała, ale nie wiem, jak bym wytłumaczyła bliźniaczkom, co się stało z drzewkiem...

– Nie dziękuj. A swoją drogą, to gdzie jest twoja mama? – zagadnęła Salomea i spojrzała na Basię spod oka.

– U dziewczynek. Poprosiłam, żeby pilnowała, by nie wyszły z pokoju.

– To ja do niej na chwilę zajrzę – starsza pani strzepnęła z błękitnego sweterka zabłąkane igły.

– Babciu Salciu, to nie jest dobry pomysł, ona, ona... – zająknęła się zdenerwowana dziewczyna.

– Basińko, czego ty się boisz? – starsza pani chwyciła dziewczynę za rękę i poczuła, że tamta cała drży. – Przecież my wiemy, jak sprawy się mają. Ale może nadszedł czas, żeby z twoją mamą ktoś porozmawiał. Tak zwyczajnie po ludzku i po dorosłemu – dodała z naciskiem. – Obiecuję, że nie zrobię niczego, co mogłoby was skrzywdzić. Przecież wiesz, Basiu, że kocham was jak własne wnuczki – dodała i pogładziła dziewczynkę po policzku. – To co, mogę do niej zajrzeć? – zapytała.

Basia tylko skinęła głową. Bo nagle poczuła, jak to dobrze nie musieć trzymać tej całej wielkiej odpowiedzialności w swoich drżących i stanowczo zbyt małych, niemogących jej pomieścić dłoniach. Jak dobrze przekazać część tych sznureczków komuś, kto wiedział, co robi, i kto się o nią troszczył.

Salomea zajrzała do pokoju, który wskazała jej Basia, ale nie zastała w nim Kornelii. Przez chwilę z rozczuleniem patrzyła na śpiące dziewczynki, a potem pokręciła głową, odetchnęła głęboko i wycofała się z pokoju małych. Przez moment rozważała, co robić, ale podjęcie decyzji nie zabrało jej dużo czasu i zdecydowanym krokiem podeszła do sąsiadujących z pokojem dziewczynek drzwi i uchyliła je. Trafiła bezbłędnie. To była sypialnia Kornelii. Duże łóżko, którego jedna część była starannie zasłana, z napuszoną poduszką, z męską piżamą złożoną w kostkę i ułożoną na kocu. Na nocnej szafce, tej stojącej tuż obok zasłanego fragmentu łóżka, leżały okulary i rozłożona książka.

Salcia, widząc to wszystko, wzdrygnęła się i poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz. Wprawdzie nie była zaskoczona, Basia opowiadała jej, że mama nie ruszyła większości rzeczy, które zostały po tacie. A w sypialni w szczególności nie pozwoliła nic zmienić. Część Michała wyglądała dokładnie tak, jakby za chwilę miał wrócić. Sweter przewieszony przez oparcie fotela, kaptcie koło łóżka... I niby Salcia wiedziała, co zastanie, ale i tak zrobiło to na niej upiorne wrażenie.

„Trochę tak, jakby mieszkała z duchem” – pomyślała i potoczyła wzrokiem po całości pomieszczenia. Wtedy ją dostrzegła. Kornelia siedziała skulona w drugim fotelu, tym bez męskiego swetra, ustawionym po drugiej, zmiętoszonej stronie łóżka. Oczy miała przymknięte, ale Salcia wiedziała, że obserwuje ją spod ledwo co uchylonych powiek. Starsza pani weszła do pokoju i przysiadła na łóżku. Odetchnęła.

– To ja może się przedstawię – powiedziała przyciszonym głosem. – I opowiem ci, kochanie, kim jesteśmy, żebyś nie musiała się martwić o dziewczynki – dodała niezrażona milczeniem matki trzech sióstr.

Właściwie nie spodziewała się niczego innego. Wiedziała, że to ona głównie będzie mówić. Więc zaczęła. Od tego, jak jej wnuczek Rysio spotkał Basię i pomógł jej z zakupami. Mówiła o tym, jak bardzo pokochali dziewczynki i jak się martwią, i jak bardzo by chcieli, żeby Kornelia pojawiła się w ich wspólnym życiu. A potem na koniec Salcia mocno przytuliła ją do siebie i wyszeptała do jej ucha, że to już czas na powrót. Że dziewczynki jej potrzebują, że może trzeba pozwolić duchom odejść, bo trzymane rozpaczą bliskich też bywają nieszczęśliwe. I że Kornelia może na nich, na nią Salcię i na jej wnuczka, liczyć.

I zapewne zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, że jej słowa docierają do matki dziewczynek z opóźnieniem. I rozmywają się w jej na wpół uspiionej głowie. Bo Kornelia sięgnęła po swoich największych sprzymierzeńców. Tabletki już zaczynały działać.

Gdy Kornelia obudziła się następnego dnia, Salcia i jej słowa były bardzo mglistym wspomnieniem. Wydawało jej się, że to wszystko jej się śniło.

Z ulgą natomiast przyjęła radość bliźniaczek, gdy jedna przez drugą opowiadały jej o tym, że wydarzyło się coś pięknego i w nocy Święty Mikołaj podmienił specjalnie dla nich choinkę. I że są na niej całkiem nowe bombeczki, ale te ich też się tam znalazły, choć nie wszystkie.

Małe miały się nigdy nie dowiedzieć, jaka była prawdziwa historia pojawienia się nowej choinki. Tak samo jak i tego, że gdy babcia Salcia i pan Rysio wyszli, Basia nie położyła się spać, tylko wybrała spośród domowych bombek wszystkie te, które należały do niej i do dziewczynek. Powiesiła je na gałązkach, usiłując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Pragnęła zapanować nad ogarniającą ją tęsknotą za tym, co nigdy miało nie wrócić. I za tatą. Za jego mocnymi ramionami, w których można było ukryć się przed całym światem, za jego ciepłem i obecnością. I za mamą, która choć była, to jednak odeszła razem z nim.

– Tatusiu, jeżeli mnie słyszysz, nie pozwól i jej zniknąć – wyszeptała, trzymając w dłoniach bombkę w kształcie zegara. – Odczaruj dla nas ten czas i pozwól nam odzyskać prawdziwy dom. Teraz już pewnie nie zdążysz, ale spraw, żeby w przyszłe święta było już inaczej. Tak bardzo za tobą tęsknię, tatusiu – dokończyła i na moment bardzo ostrożnie przytuliła bombkowy zegar do serca, a potem powiesiła go na jednej z gałązek niewidocznych od strony pokoju, tuż przy ścianie, tak żeby Kornelia ani nikt inny nie mogli jej zobaczyć.

Basia знаła historię tej pierwszej podarowanej mamie przez tatę bombki. Znała opowieść o odnalezieniu sklepiku i o tym, jak narodził się zwyczaj corocznego podarowywania sobie wyjątkowych ozdób.

Pomyślała, że skoro zegar był pierwszy, to idealnie nadaje się na przywołanie nowego początku. Miał się stać talizmanem. Miał uwolnić uwięzioną przez miniony czas mamę. Dlatego musiał się znaleźć na drzewku. Żeby wszystkie duchy świąt mogły go zobaczyć. A kto wie, może przypomni o nich tacie?

W końcu to jego poprosiła o pomoc. A ponoć życzenia i prośby wypowiedziane w wigilijny poranek, w magicznym czasie gdy noc już odchodziła, a słońce jeszcze nie wzeszło, mają szczególną moc.

Przynajmniej tak twierdziła babcia Salcia. Z jednej strony Basia wiedziała, że to tylko jedna z tych baśniowych opowieści, które z prawdą niewiele mają wspólnego, ale z drugiej – co szkodziło jej spróbować? W końcu niczego nie traciła.

Myśląc o tym wszystkim, zawijała w folię bąbelkową resztę należących do Kornelii choinkowych ozdób. Dziś zrozumiała, że mama chwilowo nie zniesie ich widoku.

„Może za rok – pomyślała. – Może za rok będzie już inaczej...”

Trzy duchy świąt przeszłych, obecnych i przyszłych nie miały takich wątpliwości. Kołysały się na zielonych, pachnących lasem choinkowych gałązkach i spoglądały na siebie porozumiewawczo.

One wiedziały.

Wiedziały również to, że Basia w głębi serca też wie. Musiała tylko mocno w to uwierzyć.

PRZEDGRUDZIEŃ

OSTATNI DZIEŃ TEGOROCZNEGO PAŹDZIERNIKA



Kornelia nic nie wiedziała o zeszłorocznej wigilijnej prośbie starszej córki. Pamiętała tylko, że o mało co, a zniszczyłyby święta. I cały czas utwierdzała się w przekonaniu, że nie może sobie ufać. Najchętniej płynęłaby z prądem i poddała się biegowi wydarzeń. Ale jednak gdy proszki przestawały działać, docierało do niej, że tak dłużej być nie może. Że musi zacząć żyć.

Ale jeszcze nie była na to gotowa.

„Może jutro, innym razem, dzisiaj jeszcze nie, dzisiaj głowa jest pod gazem, nie wie, czego chce” – zaszumiało jej w głowie słowami przedwojennej piosenki.

Cóż, ona wprawdzie nie była pod gazem, ale proszki świetnie zstępowały alkohol. Też otumaniały i znieczulały.

„Dobrze, że jest Basia” – pomyślała, rzucając się na swoją niezaścieloną połowę łóżka i naciągając kołdrę na głowę.

„W razie czego, jeżeli nie dam rady, ona na pewno to ogarnie... A ja jej przecież pomogę, nie zostawię jej samej...” – obiecała sobie w duchu i sięgnęła po pudełko proszków leżące na szafce.

W ostatnich tygodniach usiłowała ograniczać pigułki na sen, ale marnie jej to szło. Nawet bardzo marnie, biorąc pod uwagę to, że zaordynowała sobie jedną dodatkową – popołudniową.

– Ta będzie przedostatnia – mruknęła pod nosem, nie dopuszczając do siebie myśli, że powtarza tak każdego dnia.

Przedostatnia, bo ostatnia będzie wieczorem. Ta wieczorna była jej niezbędna, żeby przespać noc poprzedzającą Święto Zmarłych. Pierwszy listopada, druga nowa data, która zagościła w jej kalendarzu na stałe tuż obok tej, która przypominała odejście Michała.

Druga, a jednak pierwsza, bo listopad przecież przychodził przed grudniem. I jego pierwszy dzień napawał ją grozą.

Bo w Święto Zmarłych trzeba było przecież iść na cmentarz. Zapalić znicz. Spojrzeć prosto w oczy tabliczce, na której wyryte były daty urodzin i śmierci, na której widniało imię i nazwisko jej męża.

A przecież Michał był taki ciepły, tak bardzo żywy, że jego wyryte na płycie imię kompletnie nie pasowało, wręcz gryzło się z zimnym, wyniosłym marmurem.

To pierwszy etap Święta Zmarłych, przez który będzie musiała przejść. W drugim trzeba będzie wyjść z cmentarza jak gdyby nigdy nic, przedrzeć się przez tłum ludzi i handlarzy wat cukrowych, obwarzanków, pańskich skórek. Przejść przez cały ten jarmarczny, cmentarny festyn.

Rzecz jasna, nie samej, tylko z dziećmi, bo to przecież rodzinna wizyta. A potem, w domu, znów trzeba będzie odpowiadać na niezliczone pytania Emisi i Amelki. Opowiadać o tatusiu. W zeszłym roku zajęła się tym Basia. Jak wszystkim zresztą. Ale to musiało się skończyć. I Kornelia musiała na to zebrać siły. W zeszłym roku godziną zero miała być Wigilia, ale poniosła klęskę. W tym postawiła na pierwszy listopada. Smutne to święto rodzinne, ale może, paradoksalnie, będzie jej łatwiej. W końcu ona też nie była nadmiernie wesoła. Ze smutkiem czuła się za pan brat. Mógł się okazać łatwiejszy do okiełznania niż radosny czas Bożego Narodzenia.

Ale dzisiejszy dzień mogła jeszcze przeżyć zgodnie z ukochaną, bezpieczną rutyną. A więc przedostatnia tabletką.

Ostatnia na noc, a rano wstanie, napije się kawy i pójdzie razem z dziećmi w ten tłum i miejsce, które jej zdaniem z Michałem nie miało nic wspólnego.

Tak będzie. Na pewno. Jak tylko się wyśpi. W końcu sen powinien dać jej niezbędne siły, by dotrzymać postanowienia.

Tak właśnie myślała, gdy tabletki zaczynała działać. Ta przedostatnia.
Jeszcze październikowa.

Basia myliła się, sądząc, że ciotka niczego się nie domyśla. Prawdę mówiąc, Miłka musiałaby ogłuchnąć i oślepnąć, żeby nie zauważyć choć części z tego, co dzieje się z Kornelią i z dziewczynkami.

Ale na użytek Basi udawała, że wszystko, co tamta jej opowiada, bierze za dobrą monetę. Prawdę mówiąc, stanowczo wolałaby, żeby dziewczyna w końcu wyłożyła kawę na ławę i powiedziała, jak jest. Wtedy łatwiej byłoby im pomóc. Ale Miłka nie była głupia i wiedziała, że Basia właśnie tej kawy na ławę boi się najbardziej.

A jedną z rzeczy, których absolutnie sobie nie życzyła, było dodatkowe stresowanie dziewczyny. I bez tego stresów miała aż nadto.

Miłka grała więc w tę Basiną grę, tyle że trochę na własnych zasadach. Wpadała często, rozmawiała z Kornelią, czasem udawało jej się wyciągnąć przyjaciółkę na spacer. I choć Nelia na tych ich przechadzkach była apatyczna, to przynajmniej oddychała świeżym powietrzem i wychodziła z domu, pomiędzy ludzi. Czasem nawet minimalnie się ożywiała i zaczynała komentować otoczenie. Tej wiosny solidnie się uaktywniła. Zerwała nawet gałązki bzu na bukiet do domu i kupiła pierwsze truskawki, bo jej pięknie zapachniały. Poszły też razem na Dzień Matki do przedszkola bliźniaczek, a potem Kornelia sama zaproponowała, żeby uczcić to wydarzenie wielkim ciachem w cukierni.

I Miłka poczuła coś na kształt nadziei, że może w końcu najgorszy kryzys minął. Ale przyszła jesień i rozwiała jej miłe złudzenia.

Kornelia znów zapadła się w siebie.

Basia znów zaczęła matkować i jej, i bliźniaczkom na pełen etat.

Na lodówce znów przybywało karteczek z rozpisany szczegółowo planem na każdy dzień.

Basia myślała, że Miłka ich nie widzi, bo ściągała je zawsze przed odwiedzinami ciotki, ale dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że ciocia wpada do nich o różnych porach dnia. Nie za każdym razem się zapowiadała i nie czekała, aż dziewczynki będą w domu. Przychodziła najczęściej wtedy, gdy były w szkole i w przedszkolu. A wejść do mieszkania mogła zawsze, bo Basia zostawiała dodatkowy klucz do drzwi ukryty na półpiętrze, pod ogromną donicą z fikusem. Donica była tak nieporęczna i ciężka, że nikomu nie przyszłoby do głowy z własnej woli ją przestawiać. Nawet panie sprzątające klatkę ograniczały się do przetarcia podłogi dookoła kwiatka. Tak więc klucz pod fikusowym gigantem był względnie bezpieczny, a tym samym zabezpieczona była Kornelia, bo w razie jakiegoś nagłego wypadku i nieobecności Basi i dziewczynek zawsze można się było do niej dostać.

Oczywiście, gdy Basia powiedziała Miłce o kluczu, ani słowem nie wspomniała, że to z troski o Kornelię przekazuje jej tę wiadomość.

– Tak na wszelki wypadek ci, ciociu, o tym mówię – powiedziała lekkim tonem. – Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Mogę zasłabnąć albo się rozchorować, albo... No sama wiesz – wzruszyła ramionami. – W takiej sytuacji lepiej, żebyś wiedziała, że się możesz do nas dostać.

No i jak się okazało, przydawał się bardzo. Dzięki niemu Miłka wiedziała, co się dzieje i z dziewczynkami, i z Kornelią. A działa się nie najlepiej. Szczerze mówiąc, zaczynało do niej docierać, że nie pozostaje jej nic innego, jak coś z tym fantem zrobić. Kornelia nie tylko do nich nie wracała, ale wręcz coraz bardziej zapadała się w siebie, dziewczynki były osamotnione, a Basia docierała do kresu wytrzymałości.

Zasadnym pytaniem było też, z czego właściwie żyją.

Od śmierci Michała Kornelia nie napisała nawet pół słowa. Jej laptop wprawdzie stał na biurku, czasem nawet był otwarty, ale Miłka dałaby sobie rękę uciąć, że to nie przyjaciółka go uruchamia. Znając życie, to Basia usiłowała przekonać ciotkę, że wszystko jest w porządku i że mama próbuje pracować.

Gdy któregoś razu zagadnęła Basię o pieniądze, ta powiedziała, że mama napisała tyle książek, że tantiemy z nich na razie wystarczają.

– A poza tym rodzice mieli całkiem spore oszczędności – dorzuciła.

Miłka odetchnęła z ulgą, przynajmniej to chwilowo było ogarnięte. Wiedziała, że Basia tym razem mówi całą prawdę.

Pieniędzy im starczało. Nie zalegały z czynszem ani z rachunkami. To Miłka wiedziała na pewno, bo miała w spółdzielni znajomą, a znajoma wisiała jej przysługę, więc bez trudu udało się o to podpytać. Na wszystko inne, przynajmniej to, co niezbędne, też wystarczyło.

Na szczęście Michał był zaradny, jego firma prosperowała bardzo dobrze, Kornelia też w ostatnich latach nie mogła narzekać, stała się popularna, po jej książki sięgało z roku na rok coraz więcej czytelników.

Dobrze, że chociaż finansowy problem chwilowo odpadał, bo doprawdy i bez niego było się czym martwić. I nad czym zastanawiać. Kornelia była największym wyzwaniem.

Nawiasem mówiąc, Miłka doskonale rozumiała, dlaczego Basia ukrywa przed nią prawdę o stanie matki. Bo się bała. Tego, że w ich życie wkroczą obcy ludzie. Że rozdziela ją i bliźniaczki z mamą.

I dlatego Miłka do tej pory nic w tej sprawie nie zrobiła, bo bała się tego samego. Kochała Kornelię i Michała zresztą też. Każda z dziewczynek była jej oczkiem w głowie, były dziećmi, których sama nie miała, a za którymi coraz bardziej tęskniła. Nie chciała skrzywdzić nikogo. Lecz sytuacja coraz bardziej wymykała się spod kontroli i do Miłki zaczynało

docierać, że to, co robi, jest zaniechaniem. I że być może wcale nie chroni Kornelii i dziewczynek, a wręcz przeciwnie – popycha je na skraj przepaści.

Myślała o tym nieustannie, zamartwiała się dziewczynkami i Kornelią, ale to nie uczyniło jej wcale mądrzejszą. Nie rozjaśniło jej w głowie. Czuła się coraz bardziej bezradna.

I być może właśnie to poczucie niemocy sprawiło, że zwierzyła się ze swoich kłopotów koleżance z pracy, Imce. Zakolegowały się dawno, a ostatnio to koleżeństwo się zacieśniło i dawało nadzieję na przyjaźń. Obie były adwokatami, obie specjalizowały się w prawie rodzinnym. Obie nie potrafiły widzieć w swoich klientach jedynie suchych paragrafów i na swoje nieszczęście dostrzegały w nich ludzi. Bo to zawsze w mniejszym lub większym stopniu komplikowało życie i nie pozwalało oddzielić pracy od prywatnego życia.

Być może właśnie to ludzkie podejście Imki sprawiło, że kilka dni temu Miłka pękła i przy winie, a potem drugim opowiedziała koleżance ze szczegółami historię Kornelii. Opowiedziała o tragicznym wypadku Michała, o Basi, na którą spadła cała odpowiedzialność za rodzinę.

– Rozumiesz? Ona jest w drugiej klasie liceum, powinna się bawić, biegać po klubach, pić pierwsze nielegalne piwka z przyjaciółmi, a tymczasem musi być obojgiem rodziców dla swoich siostrzyczek i dodatkowo matką dla swojej matki! Czujesz to? A ja na to wszystko patrzę od... Czekaj... W tym roku będzie trzeci grudzień...

– Jak to? To ta mała już od trzech lat ma matkę, siostry i cały dom na głowie? – Imka zrobiła wielkie oczy.

– Nie, Michał zmarł w grudniu. Czyli pod koniec roku. W zeszłym minął rok, w tym będzie drugi, ale jak liczyć to świętami, to będą trzecie święta bez niego. Kornelia tak to właśnie poustawiała sobie w głowie.

Ostatnio mi powiedziała, że to będą trzecie święta bezmichalne. – Miłka pociągnęła nosem. – I ja naprawdę nie wiem, co mam robić! Chcę Basi pomóc, ale jak jej powiem wprost, że wiem, co się dzieje, to przerazę ją śmiertelnie. Myślę, że bycie adwokatem do spraw rodzinnych też tu nie pomaga, bo Basia boi się, że jeżeli będę wiedziała, to w związku z moją pracą pozostanę bez wyboru i będę zmuszona coś zrobić...

– I teoretycznie jest w tym trochę racji – wtrąciła Imka.

– Nawet nie trochę, chociaż jak widzisz, wiem i nic nie robię – skrzywiła się Miłka. – Ale w końcu będę musiała coś postanowić... Bo to zmierza wprost ku katastrofie. I wiem, gdzie jest pies pogrzebany: Kornelia nie robi kolejnego kroku, nie robiąc kolejnego kroku... Cholera, to brzmi jak masło maślane, ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? – Rzuciła Imce pytające spojrzenie.

– Wiem. – Imka uniosła kieliszek wypełniony winem i upiła z niego spory łyk.

– No właśnie, ty wiesz, ja wiem, a pomimo to nie mam pojęcia, jak to ugryźć! Mam wrażenie, że jedynym wyjściem byłaby zmiana wszystkiego, dosłownie wszystkiego, ale na czym ta zmiana miałaby tak konkretnie polegać... – zawiesiła głos i w geście bezradności rozłożyła ręce.

– A tutaj to cię zaskoczę – powiedział powoli Imka. – Bo ja chyba wiem i mam pomysł. Słuchaj...

I opowiedziała jej o swojej przyjaciółce, która jakiś czas temu wyprowadziła się z Rzeszowa. Też była w kropce. Samodzielna mama, opiekująca się nie tylko swoją małą córeczką, ale i babką, Pogubioną Agatą.

– Pogubiona Agata naprawdę była pogubiona – opowiadała zamyślona Imka. – Jednego dnia była normalną starszą panią... – zawiesiła na moment głos i z niezrozumiałych dla Miłki powodów parsknęła śmiechem. –

Przepraszam – powiedziała, opanowując się z trudem. – Po prostu zdałam sobie sprawę, że gdyby babka Agata to usłyszała, zapewne obraziłaby się na mnie śmiertelnie. I wygarnęłaby mi, że szargam jej reputację niepoczytalnej staruszki z piekła rodem. I w sumie miałyby rację, bo grubo przesadziłam z tą normalnością. Babka Agata nigdy tak do końca nie była normalna. Zawsze miała diabła za skórą. Była i jest charakterna i ma szalone pomysły. Wiem, co mówię, bo nie raz i nie dwa pomagałam Klementynie, to ta moja przyjaciółka właśnie, się nią zajmować. Babka Agata nie lubi, gdy jest za spokojnie. Do dziś pamiętam, jak któregoś razu zwała mi wprost na jezdnię. Zaliczyłam wtedy dwa stany przedzawałowe: pierwszy, bo o mało co nie padłam, usiłując ją dopędzić, a drugi, gdy zobaczyłam, jak rozpędzona staruszczyzna niczym rączka łania przemyka tuż przed rozpędzonym autobusem. Dopadłam ją tylko dlatego, że po tej spektakularnej ucieczce zatrzymała się na chodniku, żeby pokazać kierowcy autobusu język. Tak więc mówienie o babce Agacie jako o normalnej starszej pani to grube niedopowiedzenie. – Imka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Ale nie o tego typu wyskoki mi chodzi. Tylko o coś dużo bardziej poważnego. Bo od czasu do czasu babka Agata przestawała być sobą. Wyciągała z szafy walizkę, wrzucała do niej, co popadnie, i szła przed siebie. Szukała kogoś albo czegoś. Nie było sposobu, żeby ją zatrzymać. Bo jeżeli się próbowało, robiła się agresywna i nieprzewidywalna. I odkąd pamiętam, Klementyna podążała za nią. Żeby zrozumieć złożoność sytuacji, trzeba wspomnieć, że to Agata wychowywała Tyśkę – dorzuciła z westchnieniem.

– I co, jak Klementyna była mała, to na czas tych tajemniczych eskapad babki zostawała sama w domu? – Miłka z niedowierzaniem potrząsała głową.

– Nie, no coś ty. Najpierw babka Agata zabierała ją ze sobą. Tyśka miała swoją własną, małą walizkę. Przeżyła podczas tych wędrówek niejedno. Spanie w pociągach i na dworcach, bo babkę w momentach niepoczytalności ciągnęło do kolei. Wizyty w obskurnych motelach, moknięcie na ławkach w parkach. Tak było, gdy była mała. A potem, gdy dorosła, szła za babką z własnej woli. Bo przecież nie mogła zostawić jej samej... Była za nią odpowiedzialna. Trochę inaczej, a jednak podobnie do tej twojej Basi... – Imka zawiesiła na moment głos, dając Miłce chwilę na oswojenie się z tym, co usłyszała. – To było straszne: patrzeć, jak całe czyjeś życie mieści się w bagażu podróżnym – wróciła do opowieści. – I tak to trwało i trwało, aż któregoś dnia do Klementyny dotarło, że tak dłużej być nie może. Że ona i babka to jedna strona medalu, ale że teraz jest jeszcze jej córeczka, Dobrosia, której funduje dokładnie taką samą traumę, jaką ona w dzieciństwie przeżyła. I pomyślała, że nie może na to pozwolić. Że nie mogłaby spojrzeć sobie w oczy, gdyby czegoś z tym nie zrobiła... No i właśnie wtedy się wyprowadziła z Rzeszowa. – Imka zamilkła na chwilę i popatrzyła Miłce w oczy.

– Czekał, to jest piękna opowieść, a babkę Agatę chętnie bym poznała, bo to musi być niesamowicie interesująca persona. Ale jaki to ma związek z moją Kornelią i z dziewczynkami? – Miłka uniosła pytająco brwi. – Bo ja nie widzę żadnego.

– A jednak. Tyle tylko że tutaj to ty musisz być Klementyną, bo na Kornelię nie ma co liczyć. Pomyśl przez chwilę! Przeprowadzka! Zupełnie inne środowisko, inni ludzie! Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ta twoja Kornelia żyje z duchem! Przepraszam, zabrzmiało upiornie, ale takie miałam pierwsze skojarzenie – dorzuciła Imka, widząc, że Miłka blednie. – W sypialni nie zmieniała niczego, tak?

– No tak – chcąc nie chcąc, przyznała Miłka. – Nawet co tydzień zmienia jego piżamę... W sensie kładzie nową, złożoną w kosteczkę, na połowie łóżka, na której sypiał Michał.

– Brzyyyy, brzmi przerażająco – wzdrygnęła się Imka i odruchowo pomasowała przedramiona. – Sama widzisz, że mam rację! Tak jak powiedziałam: żyje z duchem. Codziennie chodzi po muzeum swojego dawnego życia. Albo jeszcze gorzej, po muzeum pamięci swojego męża. Drepcze, drepcze, ale tak naprawdę nie robi żadnego kroku! I tam nie ma szans go zrobić. A teraz wracając do Kornelii i do przeprowadzki Klementyny. Nie bez powodu mi się te dwie sprawy skojarzyły. Bo babka Agata też miała swojego ducha, którego szukała. Stąd ta ciągła wędrówka, gubienie się w teraźniejszości, życie w przeszłości. Widzisz teraz podobieństwo? Dlatego między innymi Klementyna ją stąd zabrała. Oczywiście to jest bardzo uproszczona wersja tej historii, ale nie o mnogość szczegółów tu chodzi ani o zdradzanie tajemnic czyjegoś życia, tylko o to, że na mój gust tej twojej Kornelii potrzebne jest zaczęcie wszystkiego od nowa. Właśnie takie, o jakim mówię, takie kompleksowe. A Klementyna jest niesamowita. Ma w sobie coś takiego, że ludzie się do niej garną, a ona jakimś cudem do każdego z nich znajduje pasujący kluczyk. A jakby tego było mało, przeprowadziła się w urokliwe miejsce. Oczywiście, o ile ktoś lubi miściny z ryneczkami wielkości chusteczki do nosa. Ja osobiście nie przepadam, jestem zwierzęciem miejskim, ale Miasteczko, choć jest mikroskopijne i położone na potwornym zadupiu, o dziwo, polubiłam. Klementyna mieszka w kamienicy przy rynku, mieszkańcy są ciekawscy i nie dają się zbyć byle czym. Gdy pojawia się ktoś nowy, zawsze, bez wyjątku wzbudza sensację. Aha, zapomniałam jeszcze dodać, że kamienica należy do Klementyny i że są tam mieszkania do wynajęcia. A Klementyna

ma swoją cukiernię. I na pewno potrzebuje kogoś do pomocy. Nawet jeżeli jeszcze o tym nie wie.

Na twarz Imki wypłynął szelmowski uśmiech.

– Chyba było za dużo tego wina i w związku z tym mam kłopoty z dodawaniem jednego do drugiego, bo nadal nic nie rozumiem. – Miłka potrząsnęła głową. – Jak to wszystko się ma do Kornelii? I jak niby mam być dla niej Klementyną?

– Proste. To ty tak jak kiedyś Tyśka musisz zarządzić przeprowadzkę Kornelii i dziewczynek. Do Miasteczka. To twoja działka, ja biorę na siebie urobienie Klementyny. Zajmę się tym, żeby wynajęła twojej przyjaciółce mieszkanie i zatrudniła ją chwilowo u siebie w cukierni. Na całe szczęście teraz będzie łatwiej, bo idzie zima i roboty jest huk. A z tego wszystkiego zapomniałam ci powiedzieć, że Klementyna specjalizuje się w piernikach.

– A Neli jest pisarką! Gdzie tu widzisz podobieństwo? – w głosie Miłki słychać było bezbrzeżne zdumienie.

– Nie widzę żadnego – beztrąsko przyznała Imka. – Ale to jest właśnie ten najmocniejszy punkt programu. Sama mówiłaś, że od momentu gdy jej Michał odszedł, nie pisze. Że na twoje oko nie napisała nawet literki. Ale nie robi też nic innego. I... Zresztą po co ja ci to tłumaczę! Przecież wiesz, o co mi chodzi: ludzi jej potrzeba, zajęcia i głowy, i rąk. I kogoś, komu w końcu da się przytulić, komu pozwoli się wziąć za rękę i pociągnąć w stronę dziś. W stronę życia. A czasem łatwiej pozwolić zrobić to komuś, kogo się nie zna. Klementyna jest do tego idealna. Jest moją ulubioną osobą. – Po twarzy Imki przemknął uśmiech. – I żebyś mnie dobrze zrozumiała: to nie ma być na zawsze. Ale na chwilę! Chociażby do końca roku. Jak się ją uda wyrwać z tego letargu, łatwiej będzie postanowić co dalej. I wcale nie twierdzą, że Kornelia musi tam zostawać. Ale może dobrze by było sprzedać to mieszkanie, w którym teraz mieszka, i kupić

inne? Albo w tym obecnym zrobić remont, wpuścić świeże powietrze... Tego nie wiem. Wiem za to, że żeby cokolwiek dobrego mogło się wydarzyć i żeby jakiegokolwiek decyzje mogły zostać podjęte, twoja przyjaciółka musi się obudzić ze snu. W sensie dosłownym i przenośnym: zacząć żyć i odstawić tabletki – zakończyła i jednym haustem wypła zawartość kieliszka.

Na moment obie zamilkły. Miłka przymknęła oczy i wysączyła resztkę wina. Delektując się jego smakiem, intensywnie zastanawiała się nad słowami Imki.

I im więcej o tym myślała, tym bardziej pomysł wydawał jej się sensowny. Zważywszy, że innego nie miała.

– Wiesz, ty możesz mieć rację. Z tą zmianą wszystkiego. I obudzeniem. I z ludźmi. I być może w tym szaleństwie jest metoda – powiedziała, otwierając oczy. – Tylko właśnie dotarło do mnie, że są dziewczynki. Przedszkole, szkoła...

– Miłka, to wino musiało rzeczywiście uderzyć ci do głowy – przerwała jej Imka. – A to raz spotykałyśmy się z takimi sytuacjami podczas spraw rozwodowych? Wyjazdy, chwilowe zmiany otoczenia... No właśnie. – Kiwnęła głową, widząc błysk zrozumienia w oczach swojej rozmówczynie. – Wszędzie są przedszkola, zresztą mówimy tu o dwóch miesiącach, to się jakoś ogarnie. Tak samo jak szkołę dla Basi. Tylko trzeba będzie z nią poważnie pogadać. Wytłumaczyć. Można postarać się o to, żeby uczęszczała na zajęcia do liceum w Miasteczku, albo o naukę zdalną. Wszystko da się załatwić, tylko pytanie, jak ona do tego podejdzie...

– Cóż, wydaje mi się, że akurat z nią nie będzie żadnego problemu. Jak tak na nią patrzę, to czasem wydaje mi się doroślejsza niż ja i jej matka razem wzięte – mruknęła Miłka przez ściśnięte nagle gardło. – Wiesz,

Imka, nie popisałam się. Zawiodłam, wiem, co tam się dzieje, a zostawiłam Basię samą! – wyrzuciła z siebie.

– Nie zostawiłaś. Jesteś, czuwasz, pomagasz. Kto wie, czy gdyby nie ty, Kornelia w ogóle wychodziłaby z domu. To ty wyciągałaś ją na wywiadówki do Basi, chodziłaś tam z nią. W domu dbałaś, żeby jadła i brała prysznic. Zabierasz dziewczynki do siebie i przychodzisz do nich z rodzicami co któryś wieczór...

– I ja ci to wszystko zdążyłam powiedzieć w ciągu... – Miłka zawiesiła głos i zerknęła na zegarek, ale wskazówki jej się rozmywały. W głowie szumiało. Widać wino dawało o sobie znać. – Eee, ile my tu siedzimy? – Rozejrzała się po wnętrzu baru, do którego wstąpiły po pracy z zamiarem wypicia jednego szybkiego drinka.

– Tyle, żeby zdążyć rozprawić się z dwiema butelkami, zresztą noc jeszcze młoda, my też – uśmiechnęła się Imka, ale zaraz spoważniała. – A wracając do twoich wyrzutów sumienia, to powiem ci coś, co kiedyś usłyszałam od mojej mamy, gdy miałam podobne dylematy. Tyle tylko że trzymałam się dużo gorzej niż ty. Siedziałam na kanapie i rzewnie płakałam. Z minuty na minutę coraz bardziej przypominałam dojrzały czerwony pomidor. Zawsze gdy płaczę, upodabnam się do tej wielkiej odmiany, bycze serca czy jakoś tak. Ale abstrahując od mojego wyglądu i wracając do tematu, to mama najpierw cierpliwie wysłuchała aktu samooskarżenia, że jestem do dupy, że mogłam więcej, że nie pomogłam tak jak trzeba i dopiero teraz to widzę. Gdy skończyłam albo ewentualnie zamilkłam na moment, żeby zebrać siły, przytuliła mnie mocno i powiedziała, że może rzeczywiście nie zrobiłam wszystkiego, ale zrobiłam to, co w danym momencie mogłam. Dokładnie tak jak ty dla swojej przyjaciółki. I to nie jest nic. To jest bardzo dużo. – Zakończyła i zsunęła

się z barowego stołka, po czym chwiejnym krokiem podeszła do Miłki i otoczyła ją mocno ramionami.

Miłka poczuła, jak z tego uścisku płynie morze ciepła i zrozumienia. I przecucie zamieniło się w pewność: znalazła bratnią duszę. Kogoś, kto nie tylko nie zbagatelizował jej problemów, ale dodatkowo próbował pomóc.

– Dziękuję – powiedziała głosem miękkim jak kisiel i oddała Imce uścisk.

– Nie ma za co. – Imka odsunęła się nieco i poklepała ją po plecach. – To co, działamy?

– Działamy – potwierdziła, ocierając oczy, i finalnie pociągnęła nosem.

– To plan jest taki: najpierw ja urabiam Klementynę. Potem dzwonię do ciebie i ty bierzesz sprawę w swoje ręce. Jak wszystko pójdzie dobrze, to jakoś tak w połowie listopada dziewczyny powinny rozpoczynać całkiem nowe życie w urokliwej kamieniczce. Otoczone ludźmi, którzy uwielbiają wściubiać nosy w nie swoje sprawy, ale zwykle są to nosy dość życzliwe, otulone wszechobecnym piernikowym aromatem. Przyznaj, że brzmi dobrze! Szczególnie jeżeli chodzi o nowe początki. – Zatarła z zadowoleniem rękę.

Brzmiało świetnie. Wtedy Miłka była do tego planu całkowicie przekonana. Wino niewątpliwie pomogło w utwierdzeniu się w tym przeświadczeniu. Ale teraz, kilka dni później, po telefonie od Imki, która zadzwoniła z wiadomością, że u Klementyny wszystko załatwione i teraz Miłka może zacząć działać, wcale a wcale nie czuła tamtej pewności.

Nadal jednak nie przychodził jej do głowy żaden alternatywny plan. Nic, co mogłoby pomóc Kornelii zacząć żyć na nowo. Na pewno w jednym Imka miała stuprocentową rację: nie było na to szans w miejscu, w którym dzień po dniu, godzina po godzinie chodziła po śladach Michała.

„Tam na pewno nie uda jej się opanować smutku – pomyślała i zafrasowana pokręciła głową. – To po pierwsze, a po drugie, skoro sprawy zaszły tak daleko i komuś zawróciło się głowę, i skoro to ja do tego doprowadziłam i powiedziałam »A«, to teraz przyszła część na wyrecytowanie reszty alfabetu”.

– A poza tym co mi szkodzi spróbować? To tylko niecałe dwa miesiące. Nawet jeżeli nie pomogą, to krzywdy nikomu również nie zrobią – mruknęła pod nosem.

Oczywiście zakładając, że w ogóle jakimś cudem uda jej się przekonać Kornelię do tego planu. A to stało pod wielkim znakiem zapytania.

Nawet nie wiedziała, jak ma zacząć. Bo przecież nie wypali ot tak: słuchaj, pakuj walizki, zarządzam waszą przeprowadzkę...

A może powinna najpierw pogadać z Basią? Zapytać ją, jak to widzi? Na samą myśl o tej rozmowie poczuła suchość w gardle. Wcale by się nie dziwiła, gdyby dziewczyna popukała się w głowę i zapytała, czy ciotka doszczętnie zgłupiała.

Im dłużej Miłka o tym myślała, tym bardziej pomysł wydawał jej się niedorzeczny i nie do zrealizowania.

Sama propozycja zakrawała na szaleństwo...

– I co ja mam teraz zrobić? – powiedziała do trzymanego w dłoni telefonu.

– Teraz to ja bym ci radziła wstać i w końcu wyjść, bo w przeciwnym razie zaraz się tu z ojcem ugotujemy. Od piętnastu minut tkwimy w przedpokoju w płaszczach, a co niektórzy w szalikach. – W szparze uchylonych drzwi ukazała się głowa jej mamy.

– A tak, przepraszam – poderwała się z łóżka.

Zaabsorbowana niewesołymi myślami i przytłoczona wątpliwościami, zupełnie zapomniała, że rodzice na nią czekają. Był ostatni dzień

października i jechali razem w rodzinne strony mamy, tam gdzie miała najwięcej krewnych. Tych żyjących i tych czekających na jutrzejsze, coroczne odwiedziny w zaciszu cmentarza.

„Może to i lepiej – pomyślała Miłka, pospiesznie owijając szyję apaszką i sięgając po wiszący na oparciu krzesła płaszcz. – Mam chwilę, żeby to przemyśleć. Może spłynie na mnie natchnienie, jak to załatwić. Mam czas do drugiego listopada, bo wtedy wracam i już nic nie będzie usprawiedliwiało dalszej zwłoki. Ale teraz i tak nic konkretnego nie mogę zrobić, bo to nie jest sprawa, którą można załatwić przez telefon...”

Gdy tylko to pomyślała, poczuła dziwne ukłucie niepokoju. Przed oczami stanęła jej bledziutka twarz Basi i snująca się po domu, półprzytomna Kornelia.

„Cholera, może źle robię, może nie powinnam jechać” – przemknęło jej przez głowę.

Wprawdzie wczoraj, gdy była u Kornelii, Basia zapewniła ją, że dadzą sobie radę. Że mama i tak będzie chciała pójść na cmentarz tylko z nimi, a potem raczej będzie musiała się położyć.

– A my wtedy z Emisją i Amelką mamy w planach seans filmowy. Bez sensu, ciociu, żebyś odwoziła rodziców i wracała. Przecież i tak dotarłabyś tutaj najwcześniej koło północy, a następnego dnia nawet gdybyś do nas wpadła, to na ile? Godzinę, dwie? Bo przecież znów musiałabyś jechać po mamę i tatę – zauważyła z żelazną logiką i Miłka nie mogła nie przyznać jej racji.

Teraz jednak na nowo dopadły ją wątpliwości. A dodatkowo pojawiło się coś jeszcze. Coś jakby przeczucie czegoś niedobrego.

A przecież Miłka nie była z tych, którzy ulegają czemuś tak nielogicznemu jak mgliste wrażenia.

„Klituś-bajduś” – pomyślała z irytacją i zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

– To co, jedziemy? – uśmiechnęła się do rodziców.

I pojechali. Przez całą drogę była zajęta rozmową, a gdy dotarli na miejsce, od razu wpadła w morze uścisków i została zasypana całusami na powitanie i morzem pytań o to, co u niej. Rodzina ze strony mamy była bardzo liczna i Miłka zawsze podczas takich zjazdów czuła się oszołomiona ilością ciotek, wujków, kuzynek i kuzynów. Nie mówiąc już o dzieciach, których z roku na rok przybywało. Miłka nawet nie starała się ich spamiętać. To było zupełnie niewykonalne i z góry skazane na porażkę.

Ale pomimo tego, że nie miała czasu na rozmyślanie i podsycanie niepokojów, one i tak nie zniknęły. Usadowiły się w okolicach jej serca i przypominały o sobie regularnie.

Nawet esemes otrzymany od Basi, w którym dziewczyna zapewniała, że u nich wszystko w porządku, nie zdusił tego dziwnego przeczucia nadchodzącej katastrofy.

Dopiero trzeci, ostatni kieliszek wina poluzował ściskającą jej gardło obręcz. Dopijając go, Miłka nie wiedziała, że już za kilka godzin będzie przeklinać to, że się na niego skusiła.

Miłka nie mogła wiedzieć, że niepotrzebnie się zamartwia.

Tak samo jak Basia niepotrzebnie wątpiła w moc baśniowych mądrości.

W końcu w zeszłym roku, w magicznym czasie, gdy zegar dawno już wybił północ, oznajmiając nadejście dwudziestego czwartego grudnia, gdy noc już odchodziła, a słońce jeszcze nie wzeszło, poprosiła o cud. O to, by kolejne święta stały się nowym początkiem. I żeby wszystko wyglądało inaczej.

A życzenia i prośby wypowiedziane w tej właśnie chwili, w wigilijny wczesny poranek, miały szczególną moc.

I cud zaczynał się ziszczać.

A wielki plan wypełniać. Wszystko powoli zmierzało do wielkiego, nowego początku.

Wieczorem Kornelia połknęła ostatnią tabletkę.

Przymknęła oczy i skuliła się na łóżku. Już zasypiała, gdy dotarło do niej, że nie sprawdziła, czy jej dwie najmłodsze córeczki już usnęły... Ba, czy w ogóle znalazły się w łóżeczkach.

„Powinnam to zrobić – pomyślała, ale powieki miała już tak ciężkie, że wiedziała, że nie da rady się teraz podnieść. – Na całe szczęście jest Basia – przypomniała sobie. – Na całe szczęście...”

Nie zdołała dokończyć myśli, tabletkę zaczęła działać. Kornelia zapadła w głęboki sen. Pigułki miały to do siebie, że pozwalały jej błyskawicznie przenosić się w niebyt, do którego tęskniła coraz bardziej.

Bo przecież gdzieś tam zapewne przebywał Misiek. I ten moment, gdy jeszcze ostatkiem świadomości rejestrowała, że odlatuje, przybliżał ją do niego. Kilka bezcennych sekund, które sprawiały, że znów czuła się bezpieczna i beztroska. Kilka sekund na granicy snu i jawy. Jej sens życia.

I dzieci... Rzecz jasna, dzieci też. Choć poświęcała im stanowczo za mało uwagi... Ale przecież to zmieni. Już jutro.

Dziś przecież była Basia.

Na szczęście.

Miłka wymknęła się z pokoju pełnego ludzi i gwaru na pustą w tym momencie balkon. Istniała spora szansa, że przez chwilę nikt jej nie przeszkodzi, bo wszyscy wielbiciele nikotyny wrócili właśnie z papieroska i plotek do ciepłego pokoju i rozgrzewali zgrabiące z zimna dłonie o kubki wypełnione grzanym winem.

Byli jedyną znaną jej rodziną, która dzień poprzedzający Święto Zmarłych traktowała jako doskonały termin na zjazd rodzinny.

– A czemu tu się, Mileńko, dziwić? Jest jesień, idealny czas do biesiadowania. Jest dzień wolny od pracy. Więc zjeżdżamy się, świętujemy, podtrzymujemy relacje, a następnego dnia gremialnie maszerujemy na cmentarz. Dzięki temu panuje niezbędna w świecie równowaga. Pełnia życia dla żyjących, pamięć dla tych, którzy odeszli – wytłumaczyła jej kiedyś babcia.

Miłka przyznała, że nie sposób odmówić temu logiki, i przywykła do rodzinnych zlotów. Bardzo lubiła w nich uczestniczyć, ale w tej chwili musiała, po prostu musiała zostać na moment sama i w spokoju zadzwonić. A balkon był jedynym miejscem, gdzie mogło się to udać. Rzecz jasna, do momentu, gdy kolejna grupa palaczy nie obejmie go w posiadanie. Oczywiście mogła spróbować wyjść na zewnątrz, przed dom, ale to z góry skazane było na niepowodzenie, bo na bank od razu znalazłby się ktoś, kto chciałby jej towarzyszyć. Tymczasem na balkon łatwiej było się przemknąć i nie zostać zauważoną. Czym prędzej wyszukała na komórce numer Kornelii i nacisnęła zieloną słuchawkę.

Czekała długi moment, wsłuchując się w wibrujący w jej uchu sygnał łączenia. Kornelia nie odebrała. Miłka zagryzła dolną wargę i spróbowała jeszcze raz – z takim samym rezultatem.

„No tak, właściwie spodziewałam się czegoś innego” – pomyślała gorzko i sprawdziła na wyświetlaczu godzinę. Dwudziesta druga. Basia z pewnością jeszcze nie śpi. I w przeciwieństwie do Kornelii zawsze odbiera.

Wystukała z pamięci jej numer. Po drugiej stronie nikt nie odpowiedział, nie odebrał. Spróbowała raz jeszcze, potem kolejny.

„A może... Może usypia bliźniaczki i wyciszyła telefon” – pomyślała, usiłując uspokoić przyspieszony oddech. Nerwy miała napięte jak postronki.

Wróciła do pokoju, odczekała dwadzieścia minut i znów wyszła na balkon. Tym razem wcale się z tym nie kryła. Nie miała do tego głowy. Ale żaden z telefonów, ani ten należący do Kornelii, ani ten Basiny, nie odpowiadał.

W końcu oszaląca z niepokoju znalazła mamę.

– Mamo, wyjdź ze mną, proszę, na moment na dwór – powiedziała i zgarnęła ze stołu zostawioną tam przez kogoś paczkę papierosów i zapalniczkę.

Mamie wystarczyło jedno spojrzenie na pobladłą twarz córki i jej drżące dłonie, żeby zrozumieć, że dzieje się coś niedobrego. Bez słowa przepchnęła się za Miłką do przedpokoju. Widząc ogromną ilość okryć wierzchnich wypełniających szczelnie wieszak, machnęła ręką na szukanie swojego płaszcza i sięgnęła po pierwszą z brzegu kurtkę, zarzuciła ją sobie na ramiona i razem z córką wyszła na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Właściwie nie wiem! Może panikuję, ale ani Kornelia, ani Basia nie odbierają telefonów – powiedziała, wyciągając papierosa z paczki, wsuwając go pomiędzy wargi i pstrykając zapalniczką, która jak na złość

nie chciała się zapalić. – Co za dziadostwo! – ze złością potrząsnęła zapalniczką.

– Daj mi to – mama wyjęła jej papierosa z ust, sięgnęła do kieszeni swetra i wyciągnęła stamtąd zapaliki. Z wprawą zapaliła jedną i przytknęła ogień do papierosa, po czym zaciągnęła się nim z lubością.

Miłka patrzyła na to szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Mamo! – Wykrztusiła w końcu.

– Tak, córko? – Matka spojrzała na nią spod oka.

– Przecież ty nie palisz!

– Ty też nie – odpowiedziała i ze stoickim spokojem jeszcze raz pociągnęła, i wydmuchując kółeczka z dymu, podała papierosa Miłce. – Tylko nie mów ojcu, bo znów strzeli focha... Chociaż czekaj, jak to on ostatnio mi na to odpowiedział? Że focha to może strzelać podrastająca i nieopierzona panienska, a prawdziwy mężczyzna unosi się honorem. I jeżeli to jest wyznacznik, to twój ojciec jest tym najprawdziwszym z prawdziwych...

– Nie przesadzaj, obie wiemy, że tata ma do nas anielską cierpliwość. – Miłka strzepnęła popiół do stojącej koło schodów popielniczki.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby mu to powiedzieć, bo do unoszenia się honorem dojdzie nam jeszcze pęknięcie z dumy – zaśmiała się mama. – Ale masz rację. To jest bardzo szlachetny człowiek z iście anielską cierpliwością. Inny by ze mną nie wytrzymał. Uspokoił się trochę? – zapytała, zmieniając temat.

– Nic a nic – mruknęła Miłka. – I żeby nie było, że ja taka głupia jestem, to doskonale wiem, co właśnie usiłowałam zrobić. Zawsze stosowałam tę metodę, gdy byłam dzieckiem. Odwracałam moją uwagę od drażliwego tematu. Ale w przypadku dorosłych i trosk wielkiego kalibru to niestety, mamuś, nie działa.

– Działa, działa. Zobacz, już się nie telepiez. Choć to może zasługa papierosa. Te regularne wdechy i wydechy, a wszyscy mówią, że palenie jest niezdrowe, co oni tam wiedzą – uśmiechnęła się przekornie. – A co do Kornelii i Basi, to nie odbierają, no i?

– I mam to, że Kornelia nie odbiera, to akurat norma. Obie wiemy, jak się sprawy mają. Ale Basia? Ona zawsze ma telefon przy sobie!

– A może usnęła? Albo siedzi w wannie?

– Jezus Maria, a jak usnęła w wannie? – Miłka zastygła w bezruchu porażona wizją podtopionej Basi.

– Dlaczego miałyby usnąć w wannie, na litość wszystkiego? – Teraz i mama się zdenerwowała, choć starała się nie dać tego po sobie poznać. – Czeka, tak nie można. – Machnęła ręką i wyciągnęła z zabranej przez Miłkę paczki nowego papierosa. – Nie możemy się nakręcać. Basia jest odpowiedzialna i rozsądna. Gdyby coś się działo, sama by zadzwoniła. A gdyby coś działo się z nią... – nie pozwoliła Miłce dojść do głosu i uprzedziła to, co tamta chciała powiedzieć: – ... to Emilka albo Amelka już by do nas dzwoniły. Wiem, bo sama je nauczyłam wybierać nasze numery. Na wszelki wypadek. A poza tym nie zapominajmy, że Basia to jest młoda dziewczyna. Może przyszła do niej jakaś koleżanka? W końcu dziś jest Halloween, młodzi się w to bawią. Wtedy nie zawsze pilnuje się telefonów.

– Ona nie ma koleżanek – wyrwało się Miłce i gdy dotarło do niej, co właśnie powiedziała, znieruchomiała wstrząśnięta. – Cholera! Właśnie! Ona nie ma koleżanek! – powiedziała i zdusiła niedopałek w popielniczce, którą ktoś przezornie ustawił koło schodków. – To nie jest normalne, mam! To wszystko, co tam się dzieje, woła o pomstę do nieba! I ja już nie mogę czekać! Muszę coś z tym zrobić – dodała i znów wystukała numer Basi.

Ale telefon nadal milczał.

– Posłuchaj, Miluniu, dochodzi dwudziesta trzecia – mama położyła jej uspokajająco rękę na ramieniu. – I żeby nie było, ja się z tobą zgadzam, że to zaszło za daleko i że nadszedł czas, żeby coś z Kornelią zrobić. Ale nie w tej minucie i sekundzie. A co do Basi, to przecież najbardziej prawdopodobne jest to, że jednak usnęła. Ta dziewczyna jest wykończona. Pewnie wszystkie trzy pospały się, oglądając film, albo Basia usnęła przy usypianiu bliźniaczek. Ja notorycznie zasypiałam, klęcząc przy twoim łóżeczku, bo byłaś nieznośnym bachorem i za nic nie chciałaś usypiać sama, ja z kolei byłam bardzo upartą matką i za nic nie chciałam zabierać cię do siebie do łóżka. Więc poszłam z tobą na kompromis, którego ty oczywiście nie doceniałaś, niewdzięcznico jedna, i siedziałam przy twoim łóżeczku. I śpiewałam ci kołysanki, bo bardzo to lubiłaś. Biedne dziecko, już wtedy było wiadomo, że słoń nadepnął ci na ucho i z całą pewnością nie zrobisz kariery muzycznej! Skoro podobało ci się, jak ja śpiewam, to musiało być z tobą bardzo źle.

– Albo byłam koneserem – mruknęła Miłka i mimowolnie się uśmiechnęła. – Właściwie to myślę, że masz rację. Że ona pewnie usnęła. Bo nad Kornelią nawet się nie zastanawiam. Ta to na pewno śpi. Zawsze na noc faszeruje się tymi swoimi usypiaczami. Ale to i tak nie zmienia faktu, że się denerwuję. Cholera! Po co ja piłam to wino! Gdybym nie piła, tobym po prostu tam pojechała. Może spróbuję jeszcze raz zadzwonić...

– Nie ma mowy – mama wyjęła jej telefon z ręki. – Jeżeli Basia śpi, a właśnie na to stawiam, to i tak nie odbierze. Albo ewentualnie ją obudzisz, a to dziecko naprawdę zasługuje, żeby odpocząć. Gdy się obudzi i zobaczy, że dzwoniłaś, to się odezwie. Ewentualnie jeżeli nie będzie z nią kontaktu, to pojedź tam rano, jak wyjedziesz koło szóstej, to po tym winie, które wypiłaś, nie będzie śladu. A my wrócimy do domu z Grześkami. Dla

nich to żadne nadłożenie drogi, podwiozą nas bez problemu. Tym bardziej że Alinka bardzo by chciała ukraść trochę moich paprotek i fiołków...

– A skąd wiesz, że chce ci ukraść? Zwierzyła ci się z przestępczych roślinnych planów?

– No lojalnie ostrzegła, że musi mi podwędzić, bo te kradzione podobno lepiej rosną – mruknęła mama. – To taka stara mądrość ludowa.

– Chyba mundruć, ale skoro tak, to rzeczywiście pojedę. Chyba że Basia się odezwie – powiedziała i znów poczuła niespokojne bicie serca, a żołądek zwinął jej się w ciasną kulkę.

Coś jej mówiło, że Basia się nie odezwie. I choć z całych sił starała się odsunąć od siebie natrętne, budzące coraz większy niepokój kłębowisko myśli, to nie udało jej się tego zrobić.

Telefon wciąż milczał.

I nie odezwał się przez całą noc.

Basia słyszała dzwonek telefonu Kornelii. A potem rozdzwonił się jej własny. Dzwoniła ciocia Miłka. Ale dziewczyna nie miała teraz głowy, żeby z nią rozmawiać, i po prostu wyciszyła komórkę.

„Potem wyślę jej wiadomość albo oddzwonię – postanowiła. – Jak już zrobię to, co trzeba...” A to „co trzeba” było bardzo trudne.

Już od dłuższego czasu stała przed drzwiami pokoju mamy. Kilka razy wyciągała rękę i kładła dłoń na klamce, ale zaraz ją cofała.

W końcu westchnęła, potrząsnęła głową i wróciła do kuchni. Na stole leżała komórka mamy. Tak jak myślała – do niej też dzwoniła ciocia. Basia sięgnęła po aparat i automatycznie podpięła go do ładowarki. Robiła to co wieczór. Gdyby tego nie dopilnowała, to na sto procent nie miałyby z mamą kontaktu. Bogiem a prawdą, naładowany telefon i tak niewiele zmieniał, bo mama o nim zapominała i najczęściej w ogóle nie zwracała uwagi na jego rozpaczliwe dzwonięcie, choć była przynajmniej szansa, że w końcu odbierze. Może nikła, ale zawsze to lepsze niż nic.

Dziewczyna znów westchnęła i pociągnęła nosem. Było cicho. Małe usnęły jakiś czas temu, ukołysane książką, którą czytała im przed snem. W pierwszym momencie ucieszyła się, że ma je z głowy, że będzie mogła odpocząć, ale już po chwili dotarło do niej, że bez nich czuje się jeszcze bardziej samotna niż zazwyczaj. Nie miała do kogo wyjść, a zresztą nawet jeśli taki ktoś by istniał, to i tak przecież nie mogła zostawić siostrzyczek samych. Bliźniaczki były nad wiek rozgarnięte, ale było jasne, że niespełna sześćioletnie dzieci nie powinny zostawać wieczorami same. Bo to, że mama była w domu, nic nie znaczyło. Równie dobrze mogłoby jej nie być. Zresztą o tym właśnie zamierzała z nią dziś porozmawiać. Że tak dłużej być nie może, że muszą coś z tym zrobić, bo skończy się to jeszcze większą

tragedią. A tej właśnie większej tragedii Basia bała się najbardziej na świecie.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia, czegoś, co usprawiedliwiłoby to, że zrezygnuje z zajrzenia do maminej sypialni.

Ale nic takiego nie znalazła. Wszystko już ogarnęła. Pozmywała, umyła blaty szafek, ugotowała zupę na kolejne dwa dni. Myślała, żeby może jeszcze upiec ciasto drożdżowe, tata je lubił... Mogłaby mu jutro o tym opowiedzieć. Że w domu nadal nim pachnie i że nie musi się o nic martwić, bo dają radę. I że ona czuwa.

Ledwo to pomyślała, skrzywiła się i ciężko usiadła na taborecie. Twarz ukryła w dłoniach.

– I kogo ja chcę oszukać? – mruknęła pod nosem. – Siebie? Ojca w zaświatach? Nikogo innego to przecież nie interesuje! Prawda jest taka, tato, że to wszystko to jedno wielkie gówno! – wymamrotała w splecione dłonie. – Pieprzone gówno! – dodała z mocą, podniosła głowę i prowokująco spojrzała w kierunku szafki, na której stała zakurzona fotografia mamy i taty z czasów, gdy ani jej, ani siostrzyczek jeszcze nie było na świecie. – No i co? Nic mi nie powiesz? Umarłeś i masz w dupie! – rzuciła, prostując ramiona.

Czuła, jak z minuty na minutę narasta w niej złość.

Zerwała się ze stołka i zdecydowanym krokiem poszła w kierunku sypialni matki. Nie zastanawiając się ani chwili, nacisnęła kłamkę, weszła do pokoju i zapaliła górne światło. Potok jasności zalał skuloną na środku małżeńskiego łóżka postać.

– Mamo? – Dziewczyna podeszła do śpiącej i pochyliła się nad nią ze zmarszczonymi brwiami. – Mamo, słyszysz? – powtórzyła głośniejszym głosem, łapiąc kobietę za ramię i potrząsając nią gwałtownie.

Ale uzyskała tylko tyle, że Kornelia mruknęła coś niezrozumiale.

– Mamo, do kurwy nędzy! – krzyknęła zrozpaczona Basia, szarpiąc ją jeszcze mocniej.

A potem ciężko przysiadła na brzegu łóżka i rozplakała się rozpaczliwie. Łzy leciały jej wartkimi stróżkami po policzkach, moczyły różową bluzę, spadały na wymięte, dawno niezmieniane prześcieradło.

– Mamo, potrzebuję cię! Dziewczynki cię potrzebują. My cię potrzebujemy – wychrypiała przez łzy i pociągnęła zatkanym nosem. Z nadzieją spojrzała na leżącą kobietę.

Ale nie doczekała się odpowiedzi. Pigułki, które Kornelia ostatnio wyżebrała od lekarza, były mocniejsze od poprzednich. I spełniały swoje zadanie: zapewniały głęboki, naprawdę twardy sen.

Mogła sobie przecież na niego pozwolić, bo na szczęście miała Basię...

Basię, która właśnie tego wieczoru całą sobą poczuła, że ma dość. I że nie chce takiego życia ani dla siebie, ani dla swoich małych siostrzyczek.

– Skoro tak, to cóż... Sama chciałaś... Zobaczymy, kiedy się zorientujesz – powiedziała, wstając i wycierając rękawem bluzy zapłakane oczy. W nosie jej bulgotało, powieki miała opuchnięte. – Może wtedy naprawdę się obudzisz, mamo – dodała i zagryzła dolną wargę najmocniej jak potrafiła.

Nie wiedząc, że jej mama robi dokładnie tak samo i z takich samych powodów. Obie w ten sposób przypominały sobie, że żyją i że jeszcze coś czują.

Żadnej z nich nie przyszło do głowy, że czasem trzeba połknąć pigułkę na sen, żeby móc w końcu się przebudzić...

Tej nocy Basia niewiele spała. Zanim się położyła, spakowała plecak. Włożyła do niego najpotrzebniejsze rzeczy swoje i dziewczynek. Dodatkowo przygotowała plecaczki sióstr. Do tego Amelki włożyła trzy ulubione książeczki i małego szydełkowego króliczka, bez którego siostrzyczka się nie ruszała; do drugiego, należącego do Emilki, z trudem upchnęła wysłużony kocyk i plastikową miseczkę. Na wierzch położyła czerwoną obrozę i przypięła do niej smycz.

Emilka od jakiegoś czasu miała wymyślonego przyjaciela Harry'ego. Harry był według małej kotem wielkości tygrysa, który wszystko rozumiał, był dzielny i gotowy, by pokonać wszelkie niebezpieczeństwa.

– Dobrze, że przynajmniej ty, Harry, nie zajmujesz za wiele miejsca – mruknęła w przestrzeń Basia i uśmiechnęła się pod nosem.

Fakt, że przyjaciel Emisi był niewidzialny, wiele ułatwiał. Niewątpliwie kota – tygrysa z krwi i kości – trudniej by było upchnąć do dziecięcego plecaczka.

Basia jeszcze raz zerknęła na leżącą na wierzchu malutką obróżkę. Rozsądnie zrezygnowała z dociekań, jakim cudem tak wielki koto-tygrys mieścił się w coś tak mikroskopijnego.

Zanim wyszła z pokoju siostrzyczek, podeszła do ich łóżeczek. Najpierw do Amelki. Mała jak zwykle spała zwinięta w kłębek, z buzią opartą na otwartej stronie książki o Mary Poppins. Zawinięta w kołdrę.

Emilka z kolei spała na pleckach, rozkopana.

Basia okryła ją i westchnęła głęboko.

Było już grubo po północy. Nadszedł pierwszy listopada. Dzień zmarłych. W zeszłym roku najpierw zabrała małe na cmentarz, a potem w domu wyciągnęła z kredensu album ze zdjęciami i razem

z siostrzyczkami obejrzała fotografie taty. Chciała, żeby go pamiętały. Żeby nie stał się tylko kimś, kogo kojarzą z wizytami na cmentarzu... W tym roku początkowo zamierzała zrobić to samo. Ale zmieniła zdanie. Nie będzie tego samego.

– Już nic nie będzie takie samo! – powiedziała na głos i uniosła głowę.

A potem o czymś sobie przypomniała i jeszcze raz weszła do sypialni mamy. Nawet nie starała się być cicho. Matki nawet wybuch bomby by nie obudził. Zapaliła nocną lampkę i uważnie przyjrzała się szafce nocnej po stronie Kornelii. Na blacie leżał blister z tabletkami, został w nim jeden proszek. Obok leżało całe pudełko.

Basia sięgnęła po opakowanie, a potem otworzyła szufladę i wyjęła z niej kolejne, jeszcze nierozpakowane kartoniki z lekami. Spojrzała na śpiącą mamę pełnym tęsknoty wzrokiem.

– Może w końcu się obudzisz – wyszeptała.

Zgasiła lampkę i poszła do salonu. Jeszcze raz zajrzała do swojego plecaka i wrzuciła do niego opakowania z lekami, a potem sprawdziła plecak dziewczynek. Miały wszystko, co mogło im się przydać. Tam gdzie się wybierały, niewiele im było potrzeba. Nastawiła budzik w telefonie na piątą rano. Na ogarnięcie wszystkiego powinna wystarczyć jej godzina.

Położyła się na kanapie i naciągnęła na siebie puchaty koc.

„Ciekawe, naprawdę ciekawe, kiedy się zorientuje – pomyślała, przytulając policzek do puchatej poduszki w kształcie królika. – Naprawdę ciekawe”.

Budzik okazał się niepotrzebny. Basia obudziła się sama. Przed piątą. Wstała, wzięła prysznic, włożyła swoją ulubioną sukienkę. Chciała wyglądać ładnie. Potem obudziła bliźniaczki i szeptem powiedziała im, że przygotowała niespodziankę. I że muszą szybciotko się ubrać i być cichutko.

– Zabiorę was w piękne miejsce, ale niespodzianka to niespodzianka – ucięła stanowczo pytania, którymi usiłowały zasypać ją siostrzyczki.

– Ale przecież dziś miałyśmy odwiedzić tatusia – zamarudziła Emisia. – I postawić mu świeczkę!

– Sama mówiłaś, że to jest znak, że o nim pamiętamy – dołączyła się Amelka. – A co będzie, jak tatuś pomyśli, że go zapomnieliśmy?

– Nie pomyśli. Ja was właśnie zabieram tak jakby do tatusia. – Basia uśmiechnęła się do sióstr uspokajająco i jeszcze raz dla pewności zajrzała do swojego plecaka.

Leki nadal tam były. I dobrze. Potrzebowała ich, żeby zrealizować swój plan. Żeby zacząć wszystko od nowa. Żeby ochronić dziewczynki i podarować im zupełnie inne życie.

– A teraz wychodzimy – zarządziła, gdy małe miały na sobie buciki, płaszczyki i czapki. – Tylko cicho, żeby nie pobudzić sąsiadów – dodała, spoglądając na zegarek.

Dochodziło wpół do siódmej.

„Skoro tak, to jednak to zrobię, już mogę” – pomyślała. Wcześniej nie była pewna, ale teraz stwierdziła, że po prostu tak trzeba. Nie mogła być nieodpowiedzialna. Nie mogła zawieść zaufania tych, którzy ufali jej.

Wyszła z klatki i wyciągnęła z kieszeni telefon. Wybrała numer. A potem przez długi czas z kimś rozmawiała. Gdy skończyła, wiedziała już,

że musi nieznacznie zmienić plany. To, co poczuła, ku jej zdumieniu nie było niezadowoleniem. Przypominało raczej ulgę. Dobrze było wiedzieć, że jest na tym świecie ktoś, kto się o nią i o dziewczynki troszczy.

Poza tym zmiana była kosmetyczna. Najważniejsze, że zabierze dziewczynki tam, gdzie zamierzała.

A do mamy może wreszcie dotrze, co robi. W końcu wielokrotnie powtarzała, że na całe szczęście ma Basię i że Basia się wszystkim zajmie. No więc się zajęła.

Tak jak Kornelia sobie tego życzyła. Choć zapewne nie tak to sobie wyobrażała.

Miłka nie doczekała się telefonu od Basi. Wprawdzie tłumaczyła sobie, że jeżeli dziewczyna usnęła, to nic dziwnego, że do niej nie oddzwania. W końcu była noc.

– Poza tym nawet jeżeli widziała połączenia od ciebie, to nie telefonuje, bo pewnie myśli, że śpisz. Ludzie zazwyczaj nie dzwonią do siebie w środku nocy – poparła ją mama, która nie chciała przyznać się głośno, ale też niepokoiła się coraz bardziej. Nie zamierzała jednak dokładać swoich lęków Miłce.

– Gdyby zobaczyła, toby odpisała. Wysłałam jej wiadomość, żeby koniecznie się do mnie odezwała. Chociażby esemesem. I nic!

– Raczej nie może pisać przez sen. Odłóż ten telefon i też się połóż. Tym bardziej jeżeli chcesz wyjechać nad ranem. No nie patrz na mnie z takim zdziwieniem, przecież doskonale cię znam. Nie będziesz czekała do ósmej czy dziewiątej, aż potencjalnie dziewczynki wstaną i Basia da znak życia. Przecież wiem, że pojedziesz, jak tylko będziesz mogła bezpiecznie wsiąść do samochodu. Zapewne już sprawdziłaś w internecie, ile trzeba odczekać po wypiciu trzech kieliszków wina – uśmiechnęła się i pogładziła córkę po ramieniu.

Mama rzeczywiście doskonale ją znała. Miłka poczekała do czwartej trzydzieści i ruszyła w drogę do Rzeszowa. Na ulicach pomimo tak wczesnej pory panował spory ruch, który zagęszczał się z godziny na godzinę. Ludzie tłumnie jechali na groby swoich bliskich. Większość drogi przebyła w ślimaczym tempie, a jakby tego było mało, na wjeździe do miasta utknęła w gigantycznym korku. Klnąc na czym świat stoi, zajechała pod blok Kornelii dopiero przed jedenastą.

Basia nadal nie oddzwoniła ani nie odebrała od niej telefonu. Komórka Kornelii też milczała.

Teraz Miłka bała się już nie na żarty i była pewna, że coś musiało się stać. Wpisując drżącymi palcami kod domofonu, pomyliła się dwa razy, a gdy w końcu udało jej się wpisać właściwy, otworzyła drzwi z takim impetem, że o mało co nie stratowała stojącej po drugiej stronie pani z małym pieskiem. Piesek rozjazgotał się oburzony takim brakiem delikatności i narobił takiego rabanu, że zapewne postawił na nogi wszystkich, którzy akurat byli w domach. Ale w tej chwili Miłka miała to głęboko w nosie. Wyrzuciła z siebie niewyraźne „przepraszam” i pognąła na górę, przeskakując po dwa stopnie i dławiąc się rosnącym z minuty na minutę strachem. Dopadła do drzwi mieszkania Kornelii i zadzwoniła jak na alarm. A potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Ale w środku panowała głucha cisza.

– Cholera, cholera, cholera!!! – powtarzała, zbiegając na półpiętro i z wysiłkiem unosząc donicę z fikusem.

Na całe szczęście klucz nadal tam był. Po chwili była już w środku. Obrzuciła spojrzeniem wieszak. Wisiały na nim tylko dwa okrycia, kurtka i płaszcz, oba należące do Kornelii.

„Dziewczynek chyba nie ma” – pomyślała z narastającą paniką.

A skoro ich nie było, to znaczy, że Basia nie spała i nie oddzwoniła ani w żaden sposób nie odpowiedziała na jej wiadomości z pełnym rozmysłem. Nie wyglądało to dobrze.

Gdyby w tym momencie ktoś zapytał Miłkę, czemu tak uważa i co może się stać, nie umiałaby zapewne udzielić żadnej sensownej odpowiedzi. Jednak wszystko w niej aż krzyczało przeświadczeniem, że dzieje się coś złego.

Trzęsącymi się już na całego rękami nacisnęła klamkę do pokoju Basi. Był pusty. Łóżko było zaścielone, poduszki równo poukładane.

W pokoju bliźniaczek panował większy nieład. Tapczaniki były nieprzykryte, na środku podłogi leżała dramatycznie rozciągnięta dziecięca piżamka. Ten widok sprawił, że Miłka zupełnie przestała nad sobą panować. Rzuciła się w kierunku sypialni Kornelii. Otworzyła z impetem drzwi i na widok leżącej na łóżku i oddychającej miarowo przyjaciółki wypuściła ze świstem wstrzymywane dotąd bezwiednie powietrze. Poczowała, jak ogarnia ją wściekłość, mieszająca się ze strachem o dzieci. I te połączone uczucia nagle eksplodowały i sprawiły, że Miłka przestała myśleć racjonalnie. Dopadła do łóżka i bezceremonialnie, z siłą, której kompletnie się po sobie nie spodziewała, złapała przyjaciółkę za ramiona, i podciągnęła ją do pozycji siedzącej.

– Kornelia, obudź się, słyszysz? Natychmiast się obudź! – wrzasnęła i potrząsnęła kobietą, i ku swojej ogromnej uldze zobaczyła, że tamta otwiera oczy.

Nie zawsze szło to tak łatwo. Niekiedy dobudzenie jej trwało bardzo długo. Ale też nigdy Miłka nie robiła tego w taki sposób. Zwykle była łagodna i cierpliwa. Teraz nie miała na takie cackanie się czasu ani ochoty.

– A teraz popatrz na mnie i się skup! Słyszysz?

Kornelia w odpowiedzi pokiwała głową. Ale oczy miała niezupełnie przytomne, jakby jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

– Gdzie, do diabła, są dzieci? – zapytała Miłka dobitnie, nie siląc się na wstępy i nie spuszczać z przyjaciółki oczu. – Kornelia, gdzie są dziewczynki?

– Pewnie z Basią... – wydukała, z wolna przytomniejąc i podciągając się na łóżku.

– Basia też jest dziewczynką i dzieckiem, na litość wszystkiego! O nią też pytam! Czy ty w ogóle wiesz, która jest godzina? Już po jedenastej! Z twoją córką nie ma kontaktu od wczoraj wieczorem!

– Jak to od wczoraj? – Kornelia zamrugła gwałtownie, a w jej oczach mignął niepokój. – Z Basią zawsze jest kontakt...

– Był, bo właśnie go nie ma! Od wczoraj! O której się położyłaś i ile tego draństwa połknęłaś? – Miłka znacząco spojrzała na pusty blister po tabletkach leżący na szafce nocnej.

– Czekaj, nie wiem, wszystko mi się miesza – wyjąkała Kornelia, pocierając ręką czoło. – Pierwszą tabletkę połknęłam około piętnastej, może szesnastej...

– Jezu! Już po południu? – Miłka poczuła nagłą suchość w gardle. – Po południu? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Dopiero od niedawna tak robię, żeby jakoś dotrzeć do pierwszego listopada – mruknęła Kornelia z poczuciem winy.

– Dziś jest pierwszy, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, dlatego wczorajsza popołudniowa pigułka miała być przedostatnia. Wieczorna ostatnia. Potem chciałam z nimi skończyć raz na zawsze. Wstać i iść z dziewczynkami na cmentarz. I już nigdy nie sięgać po proszki. Tak sobie obiecałam. Ale obudziłam się w środku nocy i nie mogłam zasnąć. No i wzięłam jeszcze jedną. Ostatnią, ostatnią...

– Ja pieprzę! Myślałam, że bierzesz te proszki tylko na noc! Myślałam... Zresztą teraz to nie ma znaczenia. Teraz trzeba znaleźć dziewczynki!

– Poczekaj, Basia na pewno mi napisała, gdzie są. Zawsze pisze. – Kornelia chwiejnie podniosła się z łóżka i poszła do kuchni. Jeszcze nie wszystko do niej w pełni docierało. Wciąż unosiła się w nasyconych

tabletkami oparach i przebywała gdzieś na granicy snu i jawy, choć jawa powoli zaczynała wysuwać się na prowadzenie.

Ale w kuchni, tam gdzie Basia zazwyczaj zostawiała z myślą o mamie podpięty do gniazdka telefon, teraz go nie było.

Kornelia zamrugła zaskoczona.

– Poczekaj, zadzwonię – Miłka wybrała jej numer.

Po chwili rozległ się stłumiony dzwonek dobiegający gdzieś z sypialni, skąd właśnie przyszły.

Wróciły tam, ale na pierwszy rzut oka telefonu nigdzie nie było widać. Dopiero po chwili dotarło do nich, że dźwięk dobiega z szuflady szafki nocnej.

Kornelia wysunęła ją z impetem, wyjęła komórkę i nagle zamarła. Dopiero teraz oprzytomniała zupełnie i poczuła zimną, przeogromną falę strachu, zalewającą ją od stóp do głów. Złapała telefon i z paniką, ale też z nadzieją spojrzała na wyświetlacz. Zobaczyła mnóstwo nieodebranych telefonów od Miłki. Ale żadnego od Basi. Nie było też żadnej wiadomości tekstowej. Basia nie odezwała się do niej od wczoraj. Ani słowem...

Chociaż nie, to nieprawda. Kobieta jak przez mgłę przypomniała sobie, że córka chyba była u niej... Już po tym jak Kornelia połknęła drugi proszek, więc to musiało być wieczorem.

„Mamo, do kurwy nędzy!” – zaszumiał jej w głowie nasycony rozpaczą i łzami głos Basi i po plecach przeszedł jej zimny dreszcz.

Mówiła do niej, prosiła ją o coś...

„Mamo potrzebuję cię! Dziewczynki cię potrzebują. My cię potrzebujemy...”

A potem: „Skoro tak, to cóż... Sama chciałaś... Zobaczymy, kiedy się zorientujesz. Może wtedy naprawdę się obudzisz, mamo!”.

Głos Basi w głowie Kornelii był tak wyraźny, jakby dziewczyna stała obok niej.

– Miłka, co ja najlepszego zrobiłam! – wyszeptała i wyszarpnęła szufladę z szafeczki. – Co ja najlepszego zrobiłam! – powtórzyła urywanym głosem. – Nie ma leków, rozumiesz? Nie ma moich proszków – dodała, potrząsając pustą szufladą tak, jakby to mogło sprawić, że jakimś cudownym sposobem paczuszki z tabletkami się w niej pojawią.

– Jak to nie ma leków? O czym ty, do diabła ciężkiego, mówisz? – zapytała Miłka głucho.

Niestety domyślała się odpowiedzi, ale musiała ją usłyszeć.

– Basia zabrała wszystkie moje pigułki. To był zapas, który spokojnie mógł mi wystarczyć na miesiąc – wyszeptała. – Musiała je wziąć w nocy... Przypomniałam sobie, była u mnie wieczorem. Płakała, mówiła, że mnie potrzebują, ona i dziewczynki. Że ona już tak nie może. Że sama chciałam i że zobaczymy, kiedy się zorientuję. Słyszałam ją, ale trudno mi było otworzyć oczy. Chyba nawet nie chciało mi się próbować! Miłka, a co będzie, jeżeli ona rzeczywiście dotarła do kresu i jeżeli... Jeżeli ona postanowiła z tym skończyć? – głos jej zadrżał – Zabrała wszystkie leki! A co, jeśli najpierw poda je bliź...

– Nie kończ! Nie mów tego głośno! – Miłka przeraziła się tak bardzo, że przyłożyła do ust Kornelii rozcapierzone palce. – Milcz! – wychrypiała.

I Kornelia zamilkła, ale obie wiedziały, że to niczego nie zmienia. Obie były przerażone.

– Nie możemy tak beczynnie siedzieć... Spróbujmy się z nią skontaktować. Ja będę dzwonić, ty pisz esemesy – przerwała w końcu ciszę Miłka. – Może się odezwie... – dodała, przełykając głośno ślinę.

– A co, jeżeli nie odbierze ani nie odpisze? – Kornelia już trzymała w trzęsących się rękach komórkę.

– Wtedy pójdziemy na policję – powiedziała Miłka, odwracając wzrok. – Nie będzie wyboru – dorzuciła, przyciskając telefon do ucha i modląc się, żeby Basia jednak im ten wybór zostawiła i odebrała. Żeby nie zrobiła czegoś nieodwracalnego. Żeby dała im jeszcze jedną szansę. Im, bo Miłka czuła, że jest winna. Bardzo winna. Myśląc o tym wszystkim, podeszła do okna i oparła czoło o zimną szybę.

Dzwoniła nieustająco, cały czas ponawiała próbę połączenia. I w końcu po długich jak lata dziesięciu minutach jej modlitwy zostały wysłuchane. Basia odebrała.

– Cześć, ciociu – powiedziała napiętym głosem. – Przepraszam, że tak długo nie odbierałam, ale nie mogłam... Nie wiedziałam, czy nie jesteś z mamą...

– Jestem – przerwała jej Miłka i poczuła, że nogi się pod nią uginają. – Obie się bardzo o was martwimy – dodała, odwracając się od okna i patrząc na pobladłą twarz Kornelii, która wpatrywała się w przyjaciółkę rozszerzonymi, pełnymi trwogi oczami.

– I tak właśnie miało być, ciociu. Jeżeli chodzi o mamę, nie o ciebie – sprecyzowała. – I po to też zabrałam leki. Żeby zwrócić jej uwagę. Znając życie, pewnie już zauważyła, że ich nie ma. Chciałam, żeby nie mogła ich wziąć i nie przespała naszej nieobecności. I żeby się martwiła, tak jak ja codziennie martwię się o nią.

– Jezu, Basiu, ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – wyrzuciła z siebie Miłka drżącym głosem. – Od wczorajszego wieczoru odchodzę od zmysłów.

– Wczoraj zwyczajnie zapomniałam oddzwonić. A dziś... Dziś wiedziałam, że jeżeli ci powiem, ciociu, to ty powiesz mamie. Za bardzo ją kochasz, żeby dać jej umierać z niepokoju. Ale ja już nie mogę i myślę, że nie ma innego sposobu. Może ten strach wstrząśnie nią bardziej niż moje

łzy, prośby Emisi i Amelki, niż moje zmęczenie i rozpacz. Ja już tak nie chcę, ciociu. Nie chcę jej zostawić ani zawieść, ale nie chcę też być tak bardzo samotna. Tak bardzo zmęczona. A jeszcze bardziej nie chcę tego dla dziewczynek – dodała głosem tak smutnym, że Miłce ścisnęło się serce.

– Boże, Basiku, tak bardzo jest mi wstyd, że niczego z tym wcześniej nie zrobiłam. – Miłka z trudem wydobywała głos z zaciśniętego gardła. – A mogłam, bo wiedziałam dużo więcej, niż ci się wydaje. – Nie przestając mówić, na migi dała Kornelii znak, żeby się nie odzywała. – Tylko myślałam, że tak będzie lepiej. Ale źle oceniłam sytuację. Zresztą o tym zdążymy jeszcze pogadać. Bo porozmawiać koniecznie musimy. A teraz powiedz mi, gdzie jesteście. Na cmentarzu?

– Nie. Zamiast zabierać dziewczynki na cmentarz, przywiozłam je do Wysowej, wiesz, ciociu, że to są strony rodzinne taty. Oprowadziłam je po wszystkich zakątkach, po których on mnie oprowadzał, i opowiedziałam im historie, które kiedyś słyszałam od niego. Pokazałam im, co kochał i co było dla niego ważne. Bo dla mnie, ciociu, tak właśnie wygląda prawdziwa pamięć. Taty jest tu dużo więcej niż tam, na cmentarzu, nad grobem. I żebyś się nie martwiła... – Zamilkła na moment. – Żebyście się nie martwiły, i ty, i mama – dodała jakby z wahaniem – to nie jestem tu sama. Jest ze mną babcia Salcia i pan Rysio. On nas potem przywiezie do domu. Gdy do nich zadzwoniłam rano, żeby powiedzieć o swoim planie, uparli się, że nie możemy jechać same, i powiedzieli, że nas nie zostawią. W domu będziemy wieczorem, a teraz muszę kończyć, bo właśnie mamy przystanek na jedzenie. Trzymaj się, ciociu, i już się o nas nie martw. Aha, jeszcze jedno. Przekaż mamie, że proszki spuściłam w toalecie na pierwszej stacji benzynowej, na której się zatrzymaliśmy. Powiedz jej, że jestem na nią potwornie zła. I wcale a wcale mi nie przeszło. Ale mam nadzieję, że

nasze dzisiejsze zniknięcie sprawi, że ona w końcu tak na dobre się obudzi – dodała i się rozłączyła.

Miłka odsunęła telefon od ucha i przez moment patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

– Z Basią i z dziewczynkami chyba wszystko w porządku – powiedziała w końcu powoli. – O ile oczywiście wiesz, kim jest babcia Salcia i pan Rysiek! – Spojrzała na Kornelię spod zmarszczonych brwi.

– Myślę, że wiem. Babcia Salcia uratowała nasze zeszłoroczne święta – mruknęła Kornelia, mgliście przypominając sobie stojącą w ich przedpokoju starszą panią, a za nią udekorowaną choinkę. – A pan Rysiek to jest taksówkarz, który przywozi ciężkie zakupy i czasem dziewczynki z przedszkola. Basia się chyba z nim zaprzyjaźniła... Chyba! – powtórzyła ze zgrozą i ukryła twarz w dłoniach. – Miłka, czy ty słyszysz, co ja mówię? Ja nic nie wiem! Nie wiem nawet, co łączy tych dwoje! Tę całą Salcię i Ryśka! I gdzie są dziewczynki? I dlaczego Basia zabrała tabletki?

– To akurat wiem. W sensie czemu Basia zabrała twoje leki i to, gdzie jest teraz i ona, i bliźniaczki, bo to, kim są dla siebie Salcia z Rysiem, pozostaje dla mnie zagadką. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego, w końcu jeszcze przed minutą nie wiedziałam o ich istnieniu. To, co wiem, za chwilę ci powiem, a potem ty mi się odwdzięczysz. Coś mi się wydaje, że obie mamy sporo do nadrobienia. Chociażby te uratowane zeszłoroczne święta.

Mówiąc to, Miłka ze wszystkich sił starała się ukryć, jak bardzo jest przerażona tym, czego właśnie się dowiedziała.

Okazało się, że nie była tak sprytna, jak jej się wydawało, i być może Basi nie udało się ukryć przed nią wszystkiego, niemniej całkiem sporo. Na przykład babcię Salcię i jakiegoś faceta. Na samą myśl, kim mógłby się okazać tajemniczy Ryszard, dostawała gęziej skórki. A gdy do tego dołożyła tajemnicę zeszłorocznych świąt i Kornelię, która – jak się

okazało – łykała pigułki całymi garściami, to wychodziło jej, że właściwie jest niewiele lepsza od otumanionej lekami przyjaciółki, bo tak jak ona nie wiedziała nic. Dotarło do Miłki, że wszyscy otarli się właśnie o coś bardzo poważnego. I że jedyną metodą, żeby coś z tym zrobić, jest pozbycie się wszystkich sekretów raz na zawsze. I przekonanie Kornelii, że plan „Miasteczko”, jak go w duchu nazywała, jest idealnym rozwiązaniem.

Nawet jeżeli sama miała co do niego pewne wątpliwości. Nawet jeżeli miał sporo luk. Bo innego zwyczajnie nie było. Wzięła głęboki oddech i spojrzała Kornelii prosto w oczy. Smutne oczy, wypełnione tęsknotą, rozpaczą i poczuciem klęski. Bez cienia uśmiechu. Za to z wieloma cieniami rzucanymi przez lęki.

– No już, będzie dobrze – powiedziała miękko i przytuliła Kornelię do siebie. – Damy radę, obiecuję. A teraz idź do łazienki i weź prysznic. Najlepiej zimny, żeby jak najszybciej postawił cię na nogi. Ja w tym czasie zrobię śniadanie i kawę. A potem opowiesz mi o tym, co przegapiłam. O ratowaniu przez tę tajemniczą babcię Salcię świąt i o jeszcze paru rzeczach, które najwidoczniej mi umknęły. A ja ci dokładnie zreferuję rozmowę z Basią – dodała i poklepała przyjaciółkę po plecach. – Wszystko będzie dobrze, będzie dobrze – powtórzyła, zastanawiając się, kogo bardziej chce do tego przekonać: Kornelię czy siebie.

Kornelia uporowała się z prysznicem dość szybko. Ale ten czas wystarczył Miłce na zrozumienie jednej istotnej kwestii: Basia miała rację, zrobiła jedyną słuszną i mającą szansę powodzenia rzecz, sprawiła, że Kornelia poczuła coś, co przebiło się przez obojętność, coś, co wygrało z chęcią przespania reszty życia. Lęk był tak silny, że podziałał otrzeźwiająco. Dzięki temu Miłka nagle doznała olśnienia. Wiedziała już, co musi zrobić. Wprawdzie jej pomysł zakładał drobną manipulację, ale w tym wypadku cel uświęcał środki. Musiała uzbroić się w cierpliwość, bo żeby to, co wymyśliła, miało szansę powodzenia, musiało poczekać do jutra.

Gdy Kornelia wyszła spod prysznica, wyglądała o niebo lepiej. Nawet jej zapadnięte policzki nieznacznie poróżnowiały. Weszła do kuchni ubrana w błękitną sweterkową sukienkę, wycierając mokre włosy ręcznikiem. Tak przytomnej Miłka nie widziała jej już dawno. Widać lęk i adrenalina zrobiły swoje i wybiły ją skutecznie ze stanu półsnu, w którym tak konsekwentnie usiłowała się utrzymać.

– Wstawiłam kawiarkę na gaz, pomyślałam, że zaparzę naszą ulubioną, z dodatkiem rozmarynu – powiedziała Miłka, stawiając na stół talerz wypełniony małymi kromkami bagietki.

Może Basia była wściekła na matkę, może dotarła do krawędzi, ale jednak zrobiła zakupy, kupiła nawet ulubiony pleśniowy ser Kornelii. Musiała to zrobić z wyłączną myślą o mamie, bo nikt inny w tym domu, to Miłka wiedziała z całą pewnością, nie tykał tego potwornego śmierdziucha.

Teraz Miłka wyciągnęła go z lodówki, na kolejny talerzyk wyłożyła wędlinę i przysiadła przy stole z deską do krojenia, na której położyła pomidora.

– Może weźmiemy jeszcze oliwę z oliwek? Podasz? – zagadnęła do Kornelii.

– Jasne... Właściwie to ja powinnam przygotować to wszystko – mruknęła jej przyjaciółka, obrzucając zastawiony stół roztargnionym spojrzeniem. – Ale pewnie już się przyzwyczaiłaś, co? – zapytała zduszonym głosem, schylając głowę tak, że mokre kosmyki włosów zasłoniły jej twarz.

– Do czego? Do nieobecności Michała i twojej? Do tego, że nie możesz się odnaleźć? Do tęsknoty za tobą? – wypaliła Miłka, niewiele myśląc. – O to pytasz? To powiem ci, że do tego się nie da przyzwyczaić! Bo jak? Patrzysz na kogoś, kogo kochasz, a ten ktoś niknie. Odsuwa się od ciebie i od wszystkich, którym na nim zależy. Nie, Nelka, do tego nie da się przywyknąć. Tak samo zresztą jak do tego, że w kółko odbijasz się od zamkniętych drzwi, które przecież do tej pory zawsze stały przed tobą otworem. Że zaczynasz się czuć intruzem. Kto wie, czy gdyby nie dziewczynki, to w końcu bym nie zrezygnowała... – dodała, unosząc głowę. – Ale skoro wytrzymałam tyle, a dziś o mało co nie umarłam ze strachu i o ciebie, i o dzieci, to chcę ci oznajmić, że to koniec! Nigdy więcej nie próbuj mnie od siebie odsunąć! Nigdy przede mną nie uciekaj i nie udawaj, bo ja na to nie zasłużyłam! I skoro już udało mi się to wszystko powiedzieć, to daj w końcu tę cholerną oliwę i zjedzmy choć część z tego, co tu stoi! Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy powiedzieć to, co ci właśnie po tej głowie chodzi. Nie patrz tak na mnie! To, że przespałaś tyle miesięcy, nie znaczy, że tak bardzo się zmieniłaś i że cię nie znam. Przecież wiem: pomyślałaś właśnie, że jak zjemy, to zaproponujesz mi, żebym wróciła do siebie, bo ty świetnie dasz sobie radę. Otóż nie! Nie i jeszcze raz nie! Nie wrócę, nie zostawię cię samej! Poczekam z tobą na dziewczynki, obejrzę sobie przy okazji tajemniczego pana Ryszarda, bo zakładam, że je

odprowadzi, i wyrobię sobie o nim zdanie. A teraz dla uspokojenia powiem ci od razu, że Basia twoje leki spuściła w kibelku na stacji benzynowej, a dziewczynki zabrała do Wysowej. Bo jak powiedziała, tam Michała jest dużo więcej niż... – Zawahała się, na końcu języka miała: „na cmentarzu”, ale poczuła, że brzmi to jakoś tak strasznie bezdusznie. – Niż wszędzie indziej. Mówiła też, żebyśmy się nie denerwowały, bo wrócą późno – zakończyła i zerknęła na Kornelię spod oka.

Nie wiedziała, jak przyjaciółka zareaguje na wiadomość o tym, gdzie są jej córki. Najbardziej bała się tego, że znów zapadnie się w sobie, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Kornelia przez moment siedziała bez ruchu, bawiąc się trzymanym w rękę widelcem, w końcu odłożyła go, uniosła głowę i po raz pierwszy od wyjścia z łazienki spojrzała Miłce w oczy.

– Basia ma rację – powiedziała cicho. – Jeżeli Michał jest gdziekolwiek, to właśnie tam. Miłka... – powiedziała i zamilkła, nabrawszy powietrza. Widać było, że to, co chce powiedzieć, jest dla niej trudne.

– Tak? – przyjaciółka pochyliła się w jej kierunku.

– Dziękuję – wyszeptała w końcu Kornelia. – Za to, że się o mnie martwiłaś i że nie pozwoliłaś mi powiedzieć tego, o czym pomyślałam. O tym, że dam sobie radę. Bo ja już od dawna nie daję. I za to, że tak dobrze mnie znasz, też ci dziękuję – dodała, a w jej oczach zalśniły łzy. – A teraz rzeczywiście podam tę cholerną oliwę i napijemy się kawy.

– A ty w międzyczasie opowiesz mi o tamtych świętach – przypomniała jej Miłka.

– Opowiem, chociaż nie ma w tym nic świątecznego ani nic, z czego mogłabym być dumna – westchnęła Kornelia, popatrując na lodówkę, na której stało zakurzone zdjęcie jej i Michała. – W zeszłym roku obiecałam sobie, że podaruję dziewczynkom święta – zaczęła, obejmując dłońmi

kubek, który postawiła przed nią Miłka. – A w rezultacie prawie udało mi się je zniszczyć...

I opowiedziała Miłce wszystko ze szczegółami. O życzeniu bożonarodzeniowym bliźniaczek, żeby tatuś żył, o tym, jak bardzo poczuła się wtedy wstrząśnięta, o wspomnieniach, które codziennie osaczały ją coraz bardziej. O dotkliwej pustce. I w końcu o tym, jak zmasakrowała świąteczne drzewko i jak Basia zadzwoniła po pomoc do tajemniczej Salci. Albo pana Ryśka. Tego Kornelia nie była pewna.

– Wtedy gdy przywieźli choinkę...

– Jak to przywieźli? Przecież mówiłaś, że w przedpokoju widziałas tylko tę staruszkę – przerwała jej Miłka.

– Ale teraz dotarło do mnie, że drzewko samo tak prosto nie stało, ktoś je musiał podtrzymywać od drugiej strony, tej od drzwi, niewidocznej dla mnie, to po pierwsze. Po drugie, staruszka raczej nie dałaby rady wtaszczyć po schodach tak wielkiej choinki, i to z ozdobami, światełkami i anielskim włosiem. Tym bardziej że o ile sobie dobrze przypominam, to Salcia jest drobniutka i malutka. No i potem słyszałam męski głos z pokoju...

– Nelia, i co? W twoim mieszkaniu w środku nocy znaleźli się obcy ludzie, zaproszeni przez twoją nieletnią córkę, a ty nie dowiedziałaś się, kim są?

Miłka nie zdzierżyła, choć wcześniej obiecała sobie, że nie będzie przerywać Kornelii ani jej oceniać. Bo przecież co było, to było. Ale to, co usłyszała, jednak ją przerosło.

– A wiesz, nawet myślałam, żeby tam wejść... – odpowiedziała Kornelia z zadumą. – Ale opadło mnie przeświadczenie, że przecież to wszystko przeze mnie, że czegokolwiek się dotknę, to psuję, i że jeżeli pojawię się wśród tych ludzi, którym Basia ufała, których wezwała na pomoc, to zapewne znów wszystko legnie w gruzach. Więc znów sięgnęłam

po tabletkę. I wiesz, nie tylko z racji tego, że mnie znieczuliła, ale chyba chciałam się w ten sposób ukarać i zabezpieczyć dziewczynki. Śpiąc, nie mogłam być z nimi, ale też nie mogłam niczego zepsuć... Wiem, głupie, ale tak właśnie czułam. – Wzruszyła ramionami. – A potem przyszła do mnie ta Salcia. Nie pamiętam tego dokładnie, bo już byłam otumaniona proszkami. Ale wiem, że mówiła coś o tym, że duchom trzeba pozwolić odejść... I wiesz, ona miała rację. W tym mieszkaniu wszystko przemawia głosem Michała. Jego książki, jego rzeczy w szafie, bombki, które kupowaliśmy razem... – Zamilkła na moment, zagryzła dolną wargę i pokręciła głową. – I to by było tyle, jeżeli chodzi o moją opowieść... Mówiłaś, że dziewczynki będą dopiero wieczorem, tak? – płynnie zmieniła temat.

– Tak mówiła Basia – przytaknęła Miłka, z trudem opanowując drżenie głosu.

Bo właśnie całą sobą poczuła zalewające ją współczucie i zrozumienie. Biedna, biedna Kornelia! Uciekająca w sen przed światem, ale też usiłująca ten świat chronić przed sobą. Z duchami blakającymi się pod nogami, z codzienną obecnością nieobecnego.

W tym świetle przeprowadzka w nowe miejsce nabierała zupełnie innego znaczenia. I sensu. Miłka już nie uważała, że pomysł jest głupi. Szalony – tak. Niestandardowy – i owszem. Ale na pewno nie głupi.

Kornelia potrzebowała tego nowego. A dziewczynki potrzebowały matki.

Posprzątały po śniadaniu i poszły na cmentarz. Kupiły złotorudą chryzantemę, która przypominała Kornelii zachodzące słońce.

Ustawiły ją na grobie Michała, zapaliły znicze. Cmentarz wyglądał odświętnie w melancholijnej poświacie bijącej od setek płomyczków świec.

Mają zmarli w niedzielę ten pośmiertny kłopot,
Że w obczyźnie cmentarza czują się – bezdomnie –
A lubią noc tę spędzać popod mgłą lub popod
Wiecznością, co się w jarach gęstwi nieprzytomnie.

Miłka zanuciła i zerknęła na Kornelię.

– Pamiętasz, to była nasza ulubiona listopadowa piosenka Starego Dobrego Małżeństwa – uśmiechnęła się i przysiadła koło przyjaciółki na ławce.

– Pamiętam, pewnie, że pamiętam... – Kornelia przytaknęła i oparła się plecami o ławkę. – Obozy harcerskie, biwaki, ogniska i obowiązkowo przynajmniej jeden chłopak z gitarą. I my, które jako jedyne jesienią zamiast romantycznych „Z nim będziesz szczęśliwsza” albo „Czemu cię nie ma na odległość ręki” życzyłyśmy sobie właśnie tej „W zakątku cmentarza”.

– Ja najbardziej lubiłam tę zwrotkę z panną Anną... Czekał, jak to szło...

Panna Anna udaje, że jest – w bezzałobie
I biorąc na kolana młodą mgłę – pieszczochę –
Ukradkiem z pajęczyny tka zwiewną pończochę
Dla brzozy, co tkwi boso na kochanka grobie.

Wyrecytowała Miłka i zamilkła, bo ledwo wypowiedziała ostatnie słowa, dotarło do niej, że nie najlepiej to zabrzmiało, biorąc pod uwagę

okoliczności.

– Przepraszam cię, Kornelia, to nie był najlepiej dobrany tekst – mruknęła ze skruchą.

– Ale co? W sensie, że ten grób kochanka? Daj spokój! Właściwie to nawet pocieszające: taka normalna, ale jednak przesycona metafizycznością wizja życia po życiu. Słuchaj, mam do ciebie prośbę – nagle zmieniła temat. – Mogłabyś jeszcze skoczyć przed bramę i dokupić kilka zniczy? Źle wyliczyłam, zapomniałam, że zawsze zapalam sąsiadowi Michała, bo do niego nikt nie zagląda, i jeszcze dwie alejki dalej jest taki mały, stareńki grób, tam też byśmy, wychodząc, zajrzały. A ja bym tu sobie jeszcze chwilę posiedziała – dodała, splatając dłonie ze sobą tak mocno, że pobieleły jej palce.

– Pewnie, nie ma problemu. – Miłka podniosła się i ruszyła w kierunku wyjścia z cmentarza, ale ledwo uszła kilka kroków, przystanęła.

„A jeżeli to jest podstęp? Jeżeli Kornelia chciała się mnie pozbyć i zrobić coś głupiego? – Przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl. – Że też musiałam wystrzelić z tym tekstem o brzozie na grobie kochanka! Chyba czas poważnie popracować nad delikatnością i taktem”. Skrzywiła się i zawróciła na pięcie.

„Kupię te znicze, oczywiście, ale najpierw sprawdzę, czy ona niczego nie kombinuje” – pomyślała, przemykając pomiędzy grobami tak, żeby zajść Kornelię od tyłu. O ile dobrze pamiętała, stał tam spory pomnik, który powinien pozwolić jej widzieć to, co z przodu, ją zaś pozostawić niewidoczną.

Kornelia rzeczywiście chciała się Miłki pozbyć. Wcale a wcale nie miała jednak zamiaru robić niczego nierozsądnego. Pragnęła tylko zostać na moment sam na sam z Michałem.

„Jakkolwiek to brzmi” – pomyślała, wstała z ławki i kucnęła koło grobu. Przez moment patrzyła na chryzantemę, na jej złotorude kwiaty, które idealnie komponowały się z płomykami zapalonych świec. A potem rozejrzała się wokół siebie. Przy sąsiednich grobach nikogo nie było. Tylko z tyłu, tam gdzie stał duży, ostentacyjny pomnik, coś trzasnęło, jakby ktoś przydepnął gałązkę, ale gdy Kornelia się obejrzała, nie zauważyła nikogo.

„Cóż, pewnie mi się coś przesłyszało – pomyślała. – Albo tak dziwnie zaskwierczał któryś z knotów...” – uspokoiła się i wzięła głęboki oddech. Nie miała za dużo czasu. Do bramy wejściowej nie było daleko i Miłka niebawem wróci, a ona musiała to załatwić w samotności.

– Michał, musisz mi pomóc – powiedziała cicho. – Ja wiem, nie spisałam się za bardzo. Trochę mi to życie bez ciebie kiepsko wychodzi... Ale widzisz, pogubiłam się całkowicie, bo przecież przyrzekaliśmy sobie, że będziemy zawsze razem. Że na dobre i na złe. Że tylko wspólne drogi, rozumiesz, prawda? I nagle wszystko się poplątało. Zresztą jakie poplątało! Poplątać to się mogą nitki w koszyku z włóczkami. Popieprzyło się, Michał! I teraz gdybyś mógł mi dać jakoś znać, wysłać jakiś mały sygnał, że nie będziesz miał żalu, gdy ja pójdę dalej bez ciebie... Że mogę dalej żyć. No to właściwie tyle... Mam nadzieję, że w tych zaświatach jest ci całkiem wygodnie. – Otarła wierzchem dłoni mokre oczy. – I że mi też tutaj robi się w końcu całkiem znośnie – zakończyła i znów usiadła na ławce.

Zdążyła powiedzieć to, co chciała, zanim Miłka wróciła. I choć nie do końca wierzyła, że ta prośba cokolwiek zmieni, to poczuła ulgę. Po raz

pierwszy od wielu miesięcy to uspokojenie nie było wynikiem wzięcia leków. A to dawało nadzieję, że zrobiła malutki kroczek ku temu, żeby znów zacząć żyć.

Miłka dotarła do bramy wstrząśnięta.

Prośba Kornelii skierowana do Michała wciąż dźwięczała jej w uszach. Gdy wracała, żeby podejrzeć, co przyjaciółka robi, przez myśl jej nie przeszło, że będzie podsłuchiwać. A jednak usłyszała wszystko. W tej części cmentarza akurat panowała cisza i głos Kornelii niósł się pomiędzy grobami bardzo wyraźnie. Tym bardziej że stała blisko.

Gdy wróciła ze zniczami, Kornelia siedziała na ławce. Oczy miała przymknięte.

– Długo cię nie było – powiedziała, gdy Miłka stanęła obok niej.

– Tłok przy wyjściu i kolejka do zniczy – mruknęła. – Wiesz co, ja jeszcze zapalę jeden u Michała – zdecydowała nagle. – Mam taką potrzebę – dodała, odpowiadając na zdumione spojrzenie, które rzuciła jej przyjaciółka.

Teraz to ona przykucnęła koło grobu i potarła zapalką o draskę. W powietrze wystrzelił żółty płomyk, od którego błyskawicznie zajął się podsuwany pod niego knot.

„Misiek, słyszałeś? Kornelia potrzebuje znaku... Podpowiedz mi, gdzie ma go szukać – poprosiła w myślach, wpatrując się intensywnie w płomyk świecy. – Żebym mogła jej pomóc, jakoś ją wesprzeć...”

Oczywiście, tak jak się można było spodziewać, odpowiedziała jej cisza. Żadnej, najmniejszej wskazówki, nawet wiatr nie zaszumił w koronie rosnącego nieopodal dębu. Nie zaskwierczał knot. Krótko mówiąc, nie wydarzyło się nic szczególnego. Niby Miłka nie spodziewała się niczego innego, ale, paradoksalnie, poczuła się głupio rozczarowana. „No, no, gdyby nawiązywanie kontaktów z zaświatami było takie proste,

ludzie nie wymyśliliby seansów spirytystycznych i innych takich” – w duchu przywołała się do porządku.

– To co, idziemy? – W jej rozmyślania wdarł się głos Kornelii. – Znicz u sąsiada zapalony, możemy wracać...

– Pewnie, nie ma na co czekać – przytaknęła i już miała pójść za odchodzącą Kornelią, gdy nagle poczuła na plecach coś jakby ciepłe, lekkie muśnięcie.

„Znakiem może być wszystko” – zaszumiało jej w głowie.

Przez moment stała bez ruchu, gęsto mrugając.

– Co jest? – Kornelia odwróciła się w jej stronę i uniosła pytająco brwi.

– Nic, tak tylko zakręciło mi się w głowie – mruknęła wymijająco. – Pewnie od tego dymu – dodała i ruszyła za przyjaciółką.

W głowie cały czas miała to, co przed momentem do niej przyplęnęło: znakiem może być wszystko... Nie mogła w żaden logiczny sposób wytłumaczyć tego, czego właśnie doświadczyła.

„Cóż, albo mam stanowczo zbyt rozszalałą wyobraźnię, albo naprawdę otrzymałam z zaświatów odpowiedź na pytanie” – doszła do wniosku i poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

Odpowiedź, która, swoją drogą, niczego nie ułatwiała ani nie wyjaśniała.

A przynajmniej w tym momencie tak jej się wydawało.

Miłka, tak jak zapowiedziała, poczekała z Kornelią na powrót dziewczynek. Wróciły dopiero przed dwudziestą trzecią. Rzeczywiście, tak jak obstawiała, pan Rysio je odprowadził. Okazał się miłym, sympatycznym facetem w średnim wieku i już na pierwszy rzut oka widać było, że i Basia, i bliźniaczki za nim przepadają.

Zdziwił się wyraźnie na widok Kornelii i Miłki. A jeszcze bardziej się zdumiał, gdy ta ostatnia posadziła go za stołem i bezceremonialnie przepytowała o to, skąd wziął się w życiu dziewczynek i co, do diabła, łączy go z tajemniczą staruszką Salcią, bo podejrzenie często występują w duecie.

– Ciociu, co cię napadło? – jęknęła Basia, usłyszawszy to ostatnie pytanie. – Babcia Salcia to jest babcia pana Rysia, mogłaś mnie zapytać, też bym ci powiedziała – dorzuciła z wyraźną pretensją.

– A, to rzeczywiście wiele wyjaśnia – mruknęła nieco zawstydzona Miłka.

– To może ja zrobię herbatę – wtrąciła Kornelia. – Bo widzę, że szybko pan stąd nie wyjdzie. Mam wrażenie, że moja przyjaciółka dopiero się rozkręca – dodała, spoglądając to na Ryszarda, to na Miłkę.

– A czy przypadkiem nie jest za późno na przesłuchanie? – uniosła się Basia. – I nie tylko o porę mi chodzi! Znamy się z panem Rysiem nieomal od roku i co? Nagle macie atak opiekuńczości i troski? Szczególnie ty, mamó – dodała bezlitośnie.

Kornelia nic na to nie odpowiedziała, ale było widać, że zrobiło jej się przykro.

– Panienko Basiu, tak nie można. – Ryszard łagodnie zastopował dziewczynę i nie miał pojęcia, że tą panienką z miejsca kupił sobie sympatię Kornelii. Ktoś, kto tak mówił do jej córki i komu jej córka

pozwalala tak do siebie mówić, musiał być wyjątkowym człowiekiem. – A poza tym wszystko jest w porządku – mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco. – Ja tam nie mam nic do ukrycia i właściwie to nawet mnie cieszy, że ktoś mnie w końcu o to pyta – dodał, kiwając głową.

Rzeczywiście ucieszył się bardzo. Bo po raz pierwszy widział Kornelię całkowicie przytomną, po raz pierwszy ktoś zadał pytania, które na jego gust już dawno powinny paść. Ucieszył się też z tego, że w tym przejmująco smutnym domu coś nareszcie drgnęło. Pojawiło się w nim życie. A to dawało nadzieję, że dziewczynki najgorsze mają już za sobą. To sprawiło, że Ryszard był gotów siedzieć tu nawet przez całą noc i odpowiadać na każde, nawet najbardziej nedorzeczne pytanie. Byleby tylko nic tego życia nie przyćmiło, byleby tylko nie dać mu na nowo zapaść w sen.

Poranek następnego dnia nie należał ani do najłatwiejszych, ani do najprzyjemniejszych. Kornelia wstała z bolącą głową, potwornie rozbita. Dręczyły ją sny, z których wprawdzie nic nie pamiętała, ale i tak wiedziała, że działo się w nich coś niedobrego, przytłaczającego i przygnębiającego. Coś, przed czym starała się uciec, ale jak to często bywa w snach – nie mogła się ruszyć z miejsca. I akurat ten potworny bezruch pamiętała doskonale.

Do tego zapewne nie bez znaczenia był brak proszków, na który organizm zareagował buntem.

– Czuję się, jakbym miała kaca giganta – mruknęła, pocierając ręką czoło.

Mimo to zwlokła się z łóżka, wypila duszkiem dwie szklanki lodowatej wody i zrobiła coś, o czym nie myślała przez ostatnie tygodnie. Pokroiła chleb i posmarowała go masłem. Usmażyła jajecznicę na boczku i pomidorach. Chciała jeszcze zrobić kakao, ale po namyśle zrezygnowała. Za mocno kojarzyło się i jej, i zapewne Basi również, z zeszłorocznym, fatalnym w skutkach, ubieraniem choinki. Zamiast tego zagotowała wodę i zrobiła sobie i Basi kawę z dodatkiem mleka, a bliźniaczkom naląła po kubeczku soku.

I poszła obudzić dziewczynki. Emisia i Amelka przywitały mamę z lekkim niedowierzaniem, ale też z ogromnym entuzjazmem i nieskrywaną radością. Na bosaka, w piżamkach pognały do kuchni i usadowiły się przy stole.

Basi nie musiała budzić. Gdy wyszła z pokoju bliźniaczek, starsza córka stała w korytarzu ubrana i uczesana. Oczy miała pochmurne, bez cienia uśmiechu.

– Zrobiłam śniadanie i kawę – patrząc na zjeżoną Basię, Kornelia czuła się dziwnie niezręcznie.

Wczoraj nie miały okazji porozmawiać. Najpierw siedziały razem z Miłką i panem Rysiem, a potem, gdy tamci się zebrali, Basia ostentacyjnie zamknęła się w swoim pokoju.

I z tego, co Kornelia spostrzegła, niewiele się od wczoraj zmieniło. Gołym okiem było widać, że córka nie ma ochoty z nią rozmawiać i że tak jak powiedziała Miłce przez telefon: jest zła. Najwyraźniej zamierzała konsekwentnie się w tym stanie utrzymywać.

– To co, usiądziesz z nami? Dziewczynki czekają – powiedziała w końcu i wyciągnęła rękę, chcąc pogłodzić Basię po policzku, ale dziewczyna uchyliła się, unikając dotyku.

– Usiądę. I tak muszę poczekać na małe, żeby zaprowadzić je do przedszkola – mruknęła, odwracając oczy, żeby uniknąć patrzenia na matkę.

– Ja je zaprowadzę, Basiu. – Kornelia z trudem przełknęła ślinę. Całą energię włożyła w to, żeby jej głos zabrzmiał normalnie i żeby nie było słychać, jak bardzo jest jej przykro.

Jednocześnie rozumiała córkę. I wiedziała, że zasłużyła sobie na ostentacyjność i odtrącenie.

– A to nowość, ty je zaprowadzisz – mruknęła Basia, teatralnie uniosła brwi i nieznacznie wzruszyła ramionami.

A potem, nie oglądając się na Kornelię, poszła do kuchni.

Nie ruszyła nic z tego, co było przygotowane do jedzenia.

Wypiła tylko kawę.

„Dobre i to” – pomyślała Kornelia, obrzucając najstarszą córkę zatroskanym wzrokiem.

– To co, wskakujecie w ubrania i idziemy do przedszkola? – Uśmiechnęła się do bliźniaczek.

– Pójdę z wami – oznajmiła Basia, konsekwentnie unikając patrzenia na matkę.

Rzeczywiście poszła. I nie ruszyła się spod furtki przedszkola do momentu, gdy Kornelia i dziewczynki zniknęły w środku. Dopiero wtedy, powłócząc nogami, poszła w kierunku swojej szkoły.

Nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje. I o co właściwie jej chodzi. Przecież osiągnęła to, co chciała. Obudziła mamę. Wciąż jednak pamiętała zeszły rok i swoją ulgę i radość, gdy wydawało jej się, że wszystko idzie ku dobremu. Pamiętała też rozpacz i rozczarowanie, gdy okazało się, że nic z tego nie jest prawdą. Gdy po raz kolejny Kornelia odeszła, choć przecież cały czas była z nimi. Teraz chyba już nie potrafiła tak po prostu uwierzyć. Choć widać było, że mama się stara.

Myśląc o tym wszystkim, dziewczyna westchnęła rozdzierająco i wyciągnęła z kieszeni kurtki telefon, który właśnie zapikał, oznajmiając nadejście wiadomości.

Basia przystanęła i przez moment zaskoczona wpatrywała się w treść esemesa.

– Zaczyna się robić naprawdę interesująco – mruknęła pod nosem i pokręciła głową.

„Ciekawe, o co tym razem chodzi” – pomyślała, chowając telefon z powrotem do kieszeni.

Cóż, tego się miała niebawem dowiedzieć.

Zmierzając w kierunku domu, Kornelia nie zdawała sobie sprawy, że nie najłatwiejszy poranek to zaledwie preludium tego, co ją czeka. Ledwo weszła do mieszkania i zdążyła zdjąć płaszcz, zadźwięczał dzwonek.

Za drzwiami stała Miłka.

– A ty co, nie w pracy? I co ty tam masz? – Kornelia zdumionym spojrzeniem omiotła wielkie, wypchane po brzegi torby, które przyjaciółka z wyraźnym trudem wtaszczyła do przedpokoju.

– Wzięłam wolne – wysapała, oparła się plecami o ścianę, usiłując wyrównać przyspieszony oddech. – A co do toreb, to zaraz się przekonasz – dodała i spojrzała na Kornelię poważnie.

A potem zdjęła kurtkę i buty i bez słowa wniosła torby do salonu. Uprzątnęła ze stołu stos książek i gazet i przepchnęła mebel na środek pokoju. Z jednej z toreb wyjęła biały obrus i rozłożyła go na blacie. A potem pewnym krokiem podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego kilka półmisek, miseczki i talerze. Sprawnie rozstawiła to wszystko na stole i znów nachyliła się do torby, z której zaczęła wyjmować plastikowe pojemniki z jedzeniem.

Kornelia przez dłuższą chwilę obserwowała to wszystko w osłupieniu. Po pierwsze, nadal bolała ją głowa i wyraźnie brakowało jej znieczulenia, które zapewniały jej tabletki na uspokojenie, i to zapewne sprawiało, że trudniej jej było zebrać myśli, a jeszcze trudniej ubrać je w słowa. A po drugie, milczała, bo zdumienie odebrało jej mowę. Okrągłymi oczami patrzyła, jak jej przyjaciółka wyjmuje na półmisek pierogi, miski wypełnia śledziami, sałatką jarzynową, kapustą z grzybami. Ocknęła się dopiero przy makowcu, który Miłka w skupieniu kroїła i układała na szklanej paterze.

– Możesz mi wyjaśnić, co ty, do diabła, wyprawiasz? – zapytała słabo. – I co ma znaczyć ta akcja „stoliczku nakryj się”?

– Zaraz wszystko zrozumiesz, na razie siedź cicho – powiedziała stanowczo Miłka, utykając pomiędzy kawałkami makowca maleńkie pierniczki w kształcie serduszek.

Wtedy Kornelii zaczęło coś świtać, ale jeszcze nie była pewna, czy ma rację. Dopiero gdy Miłka sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę, a z niej opłatek, który położyła na malowanym w różyczki spodku, zyskała niezbita pewność. Miłka drugiego listopada przygotowała wigilię.

– Nic nie mów. – Przyjaciółka sugestywnie położyła palec na ustach, widząc, że Kornelia nabiera powietrza i szykuje się do dłuższej przemowy. – Jeszcze nie... – dorzuciła. Sięgnęła po jeden z talerzy i nałożyła na niego kilka pierogów i łyżkę sałatki. – A teraz proszę, usiądź tutaj. – Spojrzała na Kornelię i odsunęła jedno z krzeseł.

Kornelia pokręciła głową i z ociąganiem zrobiła to, o co poprosiła ją przyjaciółka. Podskórnie czuła, że za chwilę wydarzy się coś, co niekoniecznie jej się spodoba. Miłka, nadal milcząc, postawiła przed nią jedyny napełniony talerz, przysunęła spodeczek z opłatkiem i odsunęła się od stołu, a potem odeszła jeszcze dalej i stanęła w drzwiach salonu.

W pokoju przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie ich oddechami.

– Pamiętasz *Opowieść wigilijną* Dickensa? – przemówiła w końcu Miłka napiętym i wzruszonym głosem.

– A co, odgrywamy jedną ze scen? – Kornelia poruszyła się niespokojnie. – Bo cokolwiek robimy, to jest coraz dziwniej i czuję się z tym nieswojo...

– W sumie miałaś się tak poczuć – przyznała Miłka. – A odpowiadając na twoje pytanie, to poniekąd tak, odgrywamy twoją własną opowieść

wigilijną, a mnie przypadła rola ducha nadchodzących świąt... Bo ktoś ci to musi powiedzieć wprost: jeżeli niczego w swoim życiu nie zmienisz, tak to się właśnie zakończy – powiedziała i machnęła dłonią w kierunku zastawionego stołu. – Jedno zajęte miejsce, nikogo więcej...

– Dlaczego mi to robisz – przerwała jej Kornelia świszczącym szeptem. – Przecież ja już wczoraj zrozumiałam. Przecież ja wiem...

– Wiesz? Jesteś tego pewna? – Miłka podeszła do stołu, usiadła naprzeciwko przyjaciółki i zajrzała jej w pełne od łez oczy. – Możesz mi obiecać, że już nie będziesz uciekać? Przed życiem, dziewczynkami, nadchodzącym grudniem? Bo widzisz, ten stół to nie tylko obraz świąt. A opłatek nie jest tylko opłatkiem. Nim się dzielimy. Tak jak obdarowujemy się miłością, zaufaniem, dzieleniem trosk, odpowiedzialnością. Ale żeby komuś coś dać i móc wziąć od niego, musimy wyciągnąć rękę. A czasem nawet obie. Nie można tkwić w miejscu, bo życie ma to do siebie, że jest ruchliwe i dynamiczne. Wybaczają czasowe absencje, ale nie stuprocentową nieobecność. Dlatego ten stół nie jest tylko wigilijnym stołem, ale całym twoim życiem. Masz na nim wszystko. Lecz tylko od ciebie zależy, czy przy nim pojawią się inni ludzie, czy będzie komu napełnić talerze...

– Przestań, proszę – przerwała jej Kornelia świszczącym szeptem. – Przecież próbuję! Z całych sił. – Z jej oczu popłynęły łzy. – Ale to jest cholernie trudne. Boli każdy krok, każdy oddech. I najgorsze w tym jest to, że wszystko go przypomina! Wszystko! A jednocześnie go nie ma i nie będzie. Żeby chociaż tak jak w filmach albo w powieściach Michał zostawił mi jakieś listy, wskazówki... Co mam robić, jak żyć. Taką małą instrukcję przetrwania. Listę zadań, których mogłabym się trzymać, tak jak kiedyś jego ręki. Może byłoby mi łatwiej. Ale ja z dnia na dzień zostałam sama! I wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – Kornelia płakała już na

całego. – Że wiem, że już nigdy, nigdy nic... Teraz jestem potrzebna dziewczynkom, to prawda. Ale one z czasem zbudują swoje życie z kimś, kogo spotkają i pokochają. Będą dla kogoś najważniejsze. A ja już nigdy dla nikogo nie będę całym światem. I pewnie dlatego tak kurczowo usiłowałam się trzymać tego mojego, który odszedł. Wiesz, to jest tak jak w tym wierszu Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to – to jest bardzo mało...

Spazmatycznie złapała oddech.

– Widzisz, ja wiem, że to się nie może udać – ciągnęła po chwili. – Żadne, nawet najbardziej desperackie trzymanie się przeszłości nie pomoże. Jednocześnie nie wiem, co mogłabym robić. Nie wezmę już leków, o to możesz być spokojna. Coś się we mnie przełamało na dobre, chyba dotarłam do ściany i zrozumiałam, że nie mogę się już o nią bezwolnie opierać. Że muszę wybić w niej drzwi, które pozwolą mi przejść kawałek dalej. Ale proszki to nie jest jedyny problem, to tak naprawdę szczyt góry lodowej. Bo ja czuję się pusta! Nie mam nic do zaoferowania. Co ja mogę dać moim dzieciom? No co?! – podniosła zapłakany głos. – Nawet słowa się ode mnie odwróciły, nie umiem pisać! Widmo beczynnych dni, dni spędzonych w tym mieszkaniu, w którym wszystko mi przypomina o tym, co straciłam, przeraża mnie, przypomina koszmar i budzi grozę! I jak, powiedz mi, jak ja mogę, taka pusta, zrobić pierwszy krok ku temu nowemu, no jak? – ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców sączyły się łzy.

– Kornelia, ja właśnie dlatego to zrobiłam – powiedziała cicho Miłka, nachylając się nad stołem i odciągając dłonie przyjaciółki od twarzy. Ich

oczy się spotkały: zapłakane, zatopione w słonym smutku i pełne troski i ciepła spojrzenia przeniknęły wprost do bijących szybko serc. – Dlatego przygotowałam ten stół, bo chciałam, żebyś siedząc przy nim, zrozumiała, że nie jesteś sama. Że te puste talerze nie zostaną puste. Są dziewczynki, jestem ja, ta cała babcia Salcia, której jeszcze nie widziałam, i pan Rysio... Jesteśmy z tobą, cały czas. Pytasz, co możesz dać dziewczynkom. Ja ci powiem, czym to coś jest, i dodam, że cały czas to masz, nie musisz tego zdobywać. Bo możesz podarować im siebie. Swoją obecność, troskę, możesz je wziąć w ramiona i przytulić. Nie ma na tym świecie nic cenniejszego niż miłość, a ty je kochasz całym sercem, choć właśnie tego pewnie się boisz i przed tym podświadomie uciekasz. Przed tą miłością właśnie, bo już wiesz, jak boli, gdy się ją straci. Ale teraz powiedz mi: gdybyś dostała szansę, że nigdy nie spotykasz Michała, nie kochasz tak mocno, a w zamian nie cierpisz, nie tracisz... Skorzystałabyś z tego? – Miłka mocniej zacisnęła palce na drżących dłoniach przyjaciółki.

– Nie, nigdy – odpowiedziała Kornelia bez zastanowienia.

– No właśnie. Dlatego nie zabieraj siebie dziewczynkom. Nie odsuwaj się od nich, bo tak po prostu nie można. Nie można nie kochać ze strachu. A wracając do pierwszego kroku, to ja wiem, co musisz zrobić... I poczekaj, daj mi skończyć – nie dała jej dojść do głosu, widząc, że Kornelia zamierza jej przerwać. – Wczoraj powiedziałaś, że w tym mieszkaniu wszystko przemawia głosem Michała. Dziś dorzuciłaś do tego, że nie możesz pisać i że widmo bezczynności i tego, że zostaniesz tu uwięziona, cię przeraża. Dlatego najlepszym, najbezpieczniejszym rozwiązaniem będzie, jeżeli się stąd wyprowadzisz. I zajmiesz czymś i ręce, i głowę. – Miłka nawet nie zdawała sobie sprawy, że powtarza słowa, które wcześniej usłyszała od Imki. – Pracą, taką tymczasową, chwilową, która pozwoli ci jednocześnie dojść do siebie. Tak samo zresztą jak zmiana

otoczenia – zamilkła, czekając, aż do przyjaciółki w pełni dotrze to, co właśnie usłyszała.

– Nie wiem, co mam ci na to odpowiedzieć – przemówiła po chwili Kornelia i potrząsnęła głową. – Kompletnie się tego nie spodziewałam. I jeżeli mam być szczerą, to ten pomysł zakrawa na szaleństwo! Przeprowadzka? Gdzie? Bo po co, to trochę rozumiem. A tymczasowa praca? Od lat nie robiłam niczego innego niż pisanie. Nie wiem, czym mogłabym się zająć, nie mówiąc już o tym, że nikt mnie nie zatrudni...

– No i widzisz, w ten sposób dotarliśmy do *clou* programu. Bo ja mam gotowe rozwiązania i pomysły. I uprzedzając twoje kolejne słowa: tak, on też jest szalony, ale jak się temu bliżej przyjrzyysz, to w tym szaleństwie jest metoda. I twoja własna instrukcja przetrwania. Czyli coś, o czym sama wspominałaś. Otóż jakiś czas temu poszłam na drinka z moją koleżanką po fachu. Ot, chciałyśmy odreagować po pracy, zresztą bardzo ją lubię, jest z niej taki swój chłop. – Na wspomnienie Imki lekko się uśmiechnęła. – Na początku rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. Trochę mnie podpytywała o strony randkowe, bo wie, że korzystam. Ona wprawdzie nie potrzebuje, bo już kogoś ma, ale była po prostu ciekawa, jak to teraz wygląda i czy coś się zmieniło... I od tego się zaczęło. Opowiedziałam jej o mojej ostatniej randce. A było o czym mówić, bo wyglądała nawet obiecująco. Facet się starał. A przynajmniej na początku tak to wyglądało. Wiesz, kino, kolacja, ale to wszystko jakoś tak na szybko i na chybcika. Miałam wrażenie, że gość jest zniecierpliwiony. A mnie się nie spieszyło i gdy zamówiłam deser, już kompletnie przestał udawać, spojrzał na mnie oczami maltretowanego psa i zapytał, czy mogę sobie to ciasto zjeść po drodze, bo bardzo chciałby, żebym do niego wpadła, ale za dwie godziny jego kumpel i współlokator w jednym wraca z roboty, więc jeżeli chcemy wykorzystać chatę, to przydałoby się zageścić ruchy. I tu, wyobraź sobie,

poruszył znacząco brwiami, góra, dół, góra dół. – Miłka parsknęła śmiechem. – Wtedy do mnie poniewczasie dotarło, że trafił mi się typ trzy razy „k”.

– Trzy razy „k”? – powtórzyła za nią Kornelia, a Miłka z ulgą stwierdziła, że metoda jej mamy na odwracanie uwagi od największego problemu jest niezawodna. Tu też poskutkowało. Trzeba było po prostu dużo mówić o rzeczach kompletnie niezwiązanych z tematem.

– Właśnie: trzy razy „k”. Kino, kolacja, kopulacja – wyjaśniła Miłka z udawaną powagą. – Chyba nie muszę dodawać, że koleś ostatniej bazy ku swojej wielkiej rozpaczycy nie zaliczył. – Znow się roześmiała i z zadowoleniem stwierdziła, że po twarzy Kornelii też przemknął cień uśmiechu. – Ale wracając do tematu tej mojej znajomej z pracy, Imki – postanowiła, że to już najwyższy czas zająć się tym, na czym najbardziej jej zależało – to tak sobie plotkowałyśmy na wesoło, ale potem, od słowa do słowa, zmieniłyśmy temat i zgadało się o jej przyjaciółce, która jakiś czas temu wyprowadziła się z Rzeszowa. Zamieszkała w małej miejscowości, w kamienicy odziedziczonej po ciotce. Podobno jest genialnym cukiernikiem i w tej kamienicy na parterze otworzyła swoją cukiernię...

– Super, brzmi naprawdę ciekawie, ale jak na razie nic z tego nie rozumiem. – Kornelia zmarszczyła brwi. – Jaki ta historia może mieć związek ze mną?

– No właśnie: nie tylko może, ale i ma, chociaż nie dziwię się, że go nie dostrzegasz – westchnęła Miłka. – Widzisz, Imka podczas tej rozmowy powiedziała mi, że ta dziewczyna od cukierni, bodajże Klementyna, potrzebuje na listopad i grudzień kogoś do pomocy.

To było drobne przekłamanie, Klementyna przecież nikogo nie szukała, ale Miłka nie zamierzała zaprzętać sobie tym głowy. Takie przedstawienie sprawy i lekkie zmodyfikowanie rzeczywistości było niezbędne, żeby Nelia

połknęła haczyk. To był właśnie ten cel, który miał uświęcić konkretne środki, te, o których myślała wczoraj, gdy olśniło ją, jak przekonać Kornelię do planu „Miasteczko”.

– Do pomocy? W tej cukierni? – w jej rozmyślania wdarł się głos przyjaciółki.

– Dokładnie. Nic nadmiernie skomplikowanego. Ot, wykrawanie pierników, bo zapomniałam dodać, że ona się specjalizuje w pierniczkach, wyjmowanie blach z pieca, być może pakowanie zamówionych ciastek. Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie. Trzeba by się było dopytać.

– I niby że ja miałabym być tą pomocą piernikową? – dotarło w końcu do Kornelii. – To jest ten twój plan! No to powiem ci, że to jest jeszcze bardziej absurdalne, niż mogłabym sobie wyobrazić. W życiu bym czegoś takiego nie wymyśliła! Nawet w szczytowej pisarskiej formie!

– A widzisz, dlatego prawdą jest, że to życie pisze najbardziej nieprawdopodobne scenariusze. A poza tym to co ci szkodzi? – Miłka usiłowała nie pokazać po sobie, jak bardzo jest spięta. – Będziesz miała zajęcie, zmienisz otoczenie, praca jest pi razy drzwi na półtora miesiąca.

– Co mi szkodzi? – Kornelia oparła łokcie na blacie stołu i spojrzała Miłce w oczy. Już nie płakała, ale oczy nadal miała mokre. – Przecież ja kompletnie nie znam się na wypiekach!

– Doświadczenie nie jest wymagane – odparowała natychmiast. – Dawaj, kolejny argument.

– A co z mieszkaniem? Przecież musiałabym gdzieś mieszkać i...

– Dla kogoś, kogo ta Klementyna zatrudni, jest przeznaczone mieszkanie w tej samej kamienicy, w której ona mieszka. Trzypokojowe, umeblowane – przerwała jej Miłka z nieskrywaną satysfakcją.

Tu też trochę minęła się z prawdą. Mieszkanie było po prostu do wynajęcia, praca w cukierni nie była warunkiem zamieszkania

w kamienicy. Ale w obecnych okolicznościach uznała to za nieistotny szczegół.

– No dobrze... Ale musiałabym się stąd wyprowadzić i...

– A tu akurat strzeliłaś sobie w stopę. Już ustaliliśmy, że o to właśnie chodzi.

– Czy ja mogę skończyć chociaż jedno zdanie!?! – zdenerwowana Kornelia podniosła nieco głos. – Byłoby prościej i sensowniej! Chodzi mi o to, że musiałabym opuścić Rzeszów, a nie tylko mieszkanie. A przecież to niemożliwe. Basia ma tu szkołę, małe przedszkole. Jak to sobie wyobrażasz? Zabrać je stąd na półtora miesiąca czy dwa? W środku roku szkolnego?

– To akurat nie jest problem. Przecież takie sytuacje nagminnie się zdarzają, gdy na przykład rodzice wyjeżdżają do pracy na kilka czy na kilkanaście tygodni i nie chcą rozstawać się z dziećmi. Wtedy załatwia się pozwolenie u dyrektora placówki, do której dziecko uczęszcza, i można zapisać je tymczasowo tam, gdzie akurat będzie się przebywać. Mówię tu o szkole, bo z przedszkolem w ogóle nie będzie kłopotu.

– Naprawdę, już to widzę oczami wyobraźni. I oczami Basi zresztą też! Matka, do której i tak ma żal, słuszny zresztą, ledwo zaczyna być przytomna, a już, jak gdyby nigdy nic, zarządza chwilową przeprowadzkę! Żeby jeszcze bardziej namieszać i skomplikować i tak pogmatwane życie. Naprawdę uważasz, że Basia byłaby zachwycona, gdybym zasugerowała, że ma zostawić szkołę, z którą jest zżyta...

– A może najlepiej by było mnie zapytać? – głos Basi rozległ się tak niespodziewanie, że obie kobiety siedzące przy stole drgnęły.

– Basiu, skąd ty się tu wzięłaś? – wyjąkała zdumiona Kornelia, spoglądając na stojącą w progu dziewczynę.

– To ja do niej napisałam z prośbą, żeby zwolniła się z ostatnich lekcji. – Z piersi Miłki wyrwało się ciężkie westchnienie. – Najpierw chciałam porozmawiać w cztery oczy z tobą, ale później zależało mi, żeby Basia też zajęła stanowisko. Jak widzisz, pomyślałam o wszystkim. Nie sądziłam jednak, że zjawisz się tak wcześnie – zwróciła się do dziewczyny. – Chyba jakoś wyjątkowo przed czasem dziś kończycie...

– Kończymy późno, ale wiadomość od ciebie, ciociu, nie dawała mi spokoju. I tak nie mogłabym się skupić, więc po prostu poszłam na regularne wagary. I stoję tu już jakiś czas – dorzuciła prawdomównie. – Byłyście tak zajęte rozmową, że nie słyszałyście, jak weszłam.

– No to w takim razie ile słyszałaś? – Miłka rozsądnie stwierdziła, że w tym wypadku należy darować sobie kluczenie i postawić na konkrety.

– Nie tyle, żeby pojąć, o co chodzi z tym nakrytym odświętnie stołem, ale dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, co proponujesz mamie – odpowiedziała i obrzuciła przelotnym spojrzeniem siedzącą przy stole matkę.

– No to już wiesz, jaki pomysł miała ciocia Miłka... Ale nie musisz się denerwować. – Kornelia odsunęła od siebie talerz i nerwowo wygładziła nieistniejącą zmarszczkę na obrusie. – Nie zamierzam ci nawet proponować zmiany szkoły. Domyślałam się, że zdążyłaś się już zżyć z klasą, w końcu to drugi rok...

– Mamo, a jednak zamiast myśleć za mnie, tak jak wspominałam, powinnaś zapytać – Basia przerwała matce bezceremonialnie. – Bo ja mam w nosie moją klasę, z wzajemnością zresztą. Zdążyłam się zżyć! Dobre sobie! Nie miałam czasu na takie fanaberie jak pogłębianie więzi z kolegami, bo to zazwyczaj robi się po szkole. A ja wtedy... – Zamilkła na moment i spojrzała na pobladłą, prawie przezroczystą twarz matki, i pokręciła głową. Widać było, że dużo ją kosztuje, żeby trochę stonować

to, co cisnęło jej się na usta. – Wtedy byłam zajęta czymś innym – dokończyła wreszcie oględnie. – Moi koledzy mają mnie za odludka i dziwaka. I nie, nie jestem przywiązana do szkoły. W przeciwieństwie do Amelki i Emisi, bo one są dla mnie najważniejsze na świecie. Tak samo zresztą jak ty, mamó – dorzuciła po chwili przerwy. – Dlatego uważam, że powinnaś przyjąć tę pracę. – Mówiąc to, dziewczyna weszła do pokoju i przysiadła na jednym z pustych krzeseł.

– Ale jak przyjąć? Tak po prostu? Zakładając oczywiście, że to jest nadal aktualne, to przecież... No to jest szaleństwo! Basiu, ty nawet nie zapytałaś, gdzie to jest, dokąd musiałybyśmy się przeprowadzić – zauważyła Kornelia, usiłując zapanować nad zdenerwowaniem.

– A jakie to ma znaczenie, mamó? – Po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru Basia nie tylko nie odwróciła od niej wzroku, ale spojrzała jej prosto w oczy. – Najważniejsze, że będzie inaczej. Że to będzie nowy początek. Że to jest dla nas wszystkich szansa. Kto wie, może to wszystko to jest jakiś znak – dorzuciła, a Kornelia słysząc to, na moment znieruchomiała.

Znak. Prosiła o niego zaledwie wczoraj. Czyżby propozycja, z którą przyszła Miłka, była odpowiedzią? Z jednej strony nieprawdopodobne, ale z drugiej...

„Nie, jednak niemożliwe – odpowiedziała sobie natychmiast. – Znak byłby na pewno wyraźniejszy, w jakiś sposób związany z Michałem...” Misiek na pewno by się postarał, żeby ona wiedziała, że to odpowiedź od niego...

– A skoro już o tym rozmawiamy, to gdzie jest ta cukiernia, w której mama miałyby pracować? – W rozmyślania Kornelii wdarł się głos Basi, która odsunęła jeden z pustych talerzy i położyła na stole telefon, odpalając aplikację z mapami.

– To jest taka mała miejscina, podobno położona w górskiej dolinie, wpisz „Miasteczko” – odpowiedziała Miłka i wszystkie trzy pochyliły się nad telefonem.

Gdy na wyświetlaczu pojawiła się niebieska linia wyznaczająca trasę, Kornelia i Basia najpierw z niedowierzaniem wpatrywały się w komórkę, a potem jak na komendę podniosły głowy i popatrzyły sobie głęboko w oczy.

– Hej, dziewczyny, co się dzieje? – zapytała zaniepokojona Miłka, wodząc wzrokiem od jednej do drugiej. – Słyszycie? Co tam takiego zobaczyłyście? – Zabębniła palcami o blat, usiłując zwrócić na siebie uwagę.

– To Miasteczko... – zaczęła Kornelia, ale umilkła i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Co z nim? Znacie je, byliście? – zmarszczyła brwi Miłka.

– Nie, w nim nie, ale byliśmy w Jaśliskach i w Pustelni Świętego Jana, i w Dukli – Basia wyręczyła w odpowiedzi Kornelię. – To tuż obok. To jedno z ulubionych miejsc taty. Beskid Niski, tak jak jego rodzinne okolice – zakończyła cicho.

Kornelia nie dodała nic. Bo właściwie nic do dodania nie było. Poza tym, czego głośno nie mogła powiedzieć. Właśnie bowiem dotarło do niej, że jeżeli miała jakieś wątpliwości co do odpowiedzi na swoją wczorajszą prośbę, jeżeli łudziła się, że propozycja od Miłki, która padła dokładnie w tym momencie, to po prostu zbieg okoliczności – to teraz musiała zmienić zdanie. Chciała potwierdzenia, że znak, który dostanie, będzie powiązany z Michałem, że będzie tak wyraźny, że nie pozostawi żadnych wątpliwości, że jest właśnie tym, na który czeka. I bardziej wyrazistej odpowiedzi dostać nie mogła.

– Chyba oszalałam – mruknęła w końcu ni to do siebie, ni to do Basi i Miłki.

– To znaczy? – przyjaciółka spojrzała na nią z lekkim niepokojem.

– To znaczy, że czuję się tak, jakby kompletnie mi odbiło, bo jeżeli ta oferta piernikowej pomocy jest aktualna, to zamierzam ją przyjąć – wyrzuciła z siebie na wydechu.

Chciała to powiedzieć głośno, jak najszybciej, żeby nie dać sobie szansy na przemyślenie, na pojawienie się wątpliwości i na wycofanie się z decyzji, którą właśnie podjęła.

– Ale jeżeli to już nieaktualne albo z jakichś względów nie dostanę tej fuchy, co wcale nie byłoby dziwne, biorąc pod uwagę moje doświadczenie w dziedzinie cukiernictwa, to nie wracamy do tego tematu, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się podejrzanie szybko Miłka.

– W porządku – kiwnęła głową Basia.

Obie miały świadomość, że naleganie nie jest potrzebne. Miłka – bo doskonale wiedziała, że ogłoszenie jest zrobione pod Kornelię i będzie na nią czekać. Basia – bo była przekonana, że to odpowiedź na jej zeszłoroczną prośbę, którą skierowała do taty.

„Odczaruj dla nas ten czas i pozwól odzyskać prawdziwy dom. Teraz już pewnie nie zdążysz, ale spraw, żeby w przyszłe święta było inaczej” – wróciły do niej słowa wypowiedziane w zeszłym roku w świąteczny poranek.

Wszystko wskazywało na to, że stary bombkowy zegar sprawdził się w roli talizmanu. Pojawiła się szansa na odzyskanie prawdziwego domu, na prawdziwe święta, na normalne, dobre życie.

– To co, podasz mi jakieś namiary na tę specjalistkę od pierników? – zapytała Kornelia, wyrywając i Miłkę, i Basię z ich myśli.

– Pewnie, zapisałam jej numer telefonu, ale kartkę chyba zostawiłam w samochodzie, już po nią idę. – Miłka poderwała się od stołu podekscytowana.

Wszystko wskazywało na to, że plan „Miasteczko” zmierza ku szczęśliwemu finałowi.

– Ciociu, zanim pójdziesz, to czy możecie mi jakoś przystępnie wyjaśnić, o co chodzi z tym stołem? – zatrzymał ją w progu głos Basi. – Nie daje mi to spokoju. I czy mi się tylko wydaje, że on jest zastawiony jak do wigilii?

– Nie wydaje ci się, to miał być taki obraz mojego życia, długo tłumaczyć, najważniejsze, że spełnił swoje zadanie – powiedziała Kornelia.

– I właściwie pasuje, bo biorąc pod uwagę, co tu właśnie zostało ustalone, to wprawdzie nie jest wigilia Bożego Narodzenia, ale waszego nowego jutra i owszem – uśmiechnęła się Miłka.

– A czy tam na środku, na tym dużym półmisku leżą kotlety schabowe? – Basia sięgnęła po widelec i machnęła nim w odpowiednim kierunku.

– Cóż... Miały imitować karpia. Smażonego gotowca nigdzie nie mogłam dostać. A bez karpia albo przynajmniej bez jego zamiennika stół wigilijny, nawet taki farbowany, był wyjątkowo niekompletny – parsknęła śmiechem Miłka.

Potem zbiegła na dół, otworzyła samochód i na chwilę do niego wsiadła. Tak naprawdę numer telefonu do Klementyny, który podała jej Imka, już od dawna miała wpisany w telefon. Ale nie mogła podzielić się nim z Nelią. Nie, zanim sama nie zadzwoni. Bo pewne rzeczy trzeba było jeszcze raz ustalić i zmodyfikować.

Wybrała numer Klementyny i wzięła głęboki oddech. Od tej rozmowy zależało naprawdę dużo.

Na całe szczęście przyjaciółka Imki odebrała nieomal natychmiast. Miała miły, ciepły głos. W tle słychać było rozmowy, dziecięcy śmiech i szczekanie psa, którego jakaś staruszka uciszała nieco skrzekliwym, acz dobrotliwym głosem.

– No co ty, Marcepan, oszalałeś? Starą Annę chcesz zjeść? Toż zęby byś sobie stępił na jej starych kościach! – doleciało do jej uszu.

Widać starsza pani, zapewne Pogubiona Agata, musiała stać blisko jej rozmówczyni.

I Miłka, słuchając tego wszystkiego, poczuła, że nie musi zamieniać z Klementyną ani słowa, żeby wiedzieć, że Nelia trafi w dobre miejsce.

Jednak pewne rzeczy wymagały doprecyzowania. Po to, żeby plan na pewno nie spalił na panewce. Teraz zasadnicze pytanie brzmiało: czy Klementyna jest z tych, co rozumieją, że czasem nagięcie prawdy jest konieczne?

Miłka miała się o tym niebawem przekonać.

„Cóż, wóz albo przewóz” – pomyślała, biorąc głęboki oddech.

Przedstawiła się i w krótkich słowach opowiedziała o wydarzeniach z ostatnich dni.

– I widzi pani, pani Klementyno, żeby można ją było stąd wyrwać, ona musi wierzyć, że pani nic o niej nie wie. Że po prostu potrzebna jest pani pomoc w tym gorącym, przedświątecznym okresie i że z jakiegoś powodu ją pani wybrała. To będzie dla niej znak. Co do mieszkania, to nie wiem, ile wynosi czynsz, ale jeżeli Kornelia będzie miała wątpliwości co do opłat, to niech jej go pani obniży, ja ewentualnie dopłacę różnicę. Wiem, że to wszystko wygląda dziwnie i że pani może odnieść wrażenie, że nam wszystkim tutaj brakuje paru klepek, ale proszę mi wierzyć, nie prosiłabym panią o kręcenie i mataczenie, gdybym widziała jakieś inne wyjście. To po

prostu wyższa konieczność – zakończyła na wydechu, wymyślając sobie w duchu od skończonych kretynek.

Sama słyszała, jak brzmiało to, czym właśnie uraczyła specjalistkę od pierników. Idiotycznie. I to łagodnie mówiąc.

– Czy pani, pani Miłko, przypadkiem miała okazję rozmawiać z moją córką? Z Dobrochną? – zapytała ku jej ogromnemu zdumieniu Tyśka.

Miłka oczywiście spodziewała się, że jakieś pytania padną. Ale na pewno nie takie, czy nagabywała czyjeś dziecko. Albo ewentualnie czy dziecko nagabywało ją...

– Eeeee – wydukała w końcu. – Nie sędzę. A czemu pani pyta?

– Bo tylko moja córka, no i babka Agata przywołują w rozmowie ze mną wyższą konieczność. Cwaniary robią to zawsze wtedy, gdy nie mają już innych argumentów, a chcą mnie do czegoś przymusić. Wiedzą, że z kolei ja wiem, że z wyższą koniecznością po prostu się nie dyskutuje, bo na nią nie ma rady. Tak więc cóż, wyższa konieczność to wyższa konieczność. Nie mam nic do gadania. Niech pani przekazuje ten numer przyjaciółce i się nie martwi. Już moja w tym głowa, żeby była przekonana, że to czysty przypadek – dodała.

Zdumiona Miłka wydukała podziękowania, potem zamieniły ze sobą kilka niezobowiązujących uwag o pogodzie, górach, szlakach i nadchodzącej zimie. Klementyna dorzuciła, że skoro Kornelia zamieszka w Miasteczku, to zapewne ona z Miłką też się bliżej poznają. I zapewniła, że przyjaciele Imki są też jej przyjaciółmi. A potem w tle coś huknęło i jej rozmówczyni wydała z siebie serię gniewnych sapnięć.

– Pani Miłko, przepraszam, ale muszę kończyć. Policja mi zrobiła nalot...

– Policja? Nalot? Na cukiernię? – Miłka poczuła, jak jej oczy robią się okrągłe ze zdumienia.

– Gorzej, na kuchnię. W cukierni przynajmniej nie rozbiliby mi miski z wyrośniętym ciastem drożdżowym, które właśnie usiłuje zezreć mój pies... Policjant Maciuś stara się temu zapobiec, ale biedak przegrywa. Gdybym nie wiedziała, co tu się stało i o co chodzi, tobym pomyślała, że tarza się razem z Marcepanem, w sensie z psem, po podłodze... Może mi pani, pani Miłko, w dwóch sprawach uwierzyć na słowo: po pierwsze, pani przyjaciółka z całą pewnością nie będzie się tu nudzić, a po drugie, walki policjantów w surowym cieście drożdżowym na pewno by się przyjęły i miałyby ogromne powodzenie wśród staruszek. Moja babka Agata i jej dobra znajoma Stara Anna, które na to patrzą, wyglądają na zachwycone. Obie zgodnie stawiają na Marcepana. Trzeba to zapamiętać, bo wygląda na to, że odkryłam niszę, można będzie robić zakłady – dorzuciła, a w jej głosie brzmiały nutki powstrzymywanego śmiechu. – A teraz naprawdę muszę kończyć. Czekam na telefon od pani Kornelii. Do usłyszenia – powiedziała i się rozłączyła.

– Do usłyszenia – dopiero po chwili mruknęła Miłka, z trudem wracając do rzeczywistości.

Kimkolwiek była Klementyna, Miłka już ją zdążyła polubić. Jej poczucie humoru, słowotok i słyszalny na odległość dystans do świata. I gotowość niesienia pomocy.

„No właśnie: jeżeli chodzi o to ostatnie, to trzeba działać” – pomyślała, bazgrząc naprędce na kawałku serwetki numer telefonu do Klementyny. W końcu skoro nakłamała, że zanotowała go na kartce, to trzeba się było tego trzymać. Żeby Kornelia uwierzyła, że to właśnie jest ten znak, na który czekała i o który wczoraj poprosiła. „A znakiem może być wszystko – zaszumiało jej w głowie. – Nawet wymiętoszony kawałek serwetki z nabazgranym na niej pospiesznie numerem telefonu. Niby nic szczególnego, rząd cyferek, a jednak przepustka do nowego życia”.

Kornelia nawet zapaliła się do pomysłu przyjaciółki. Tym bardziej że widziała, jak bardzo ta koncepcja przypadła do gustu Basi. Tak jakby jej córka nagle odzyskała straconą dawno nadzieję – ożywiła się i nalegała, żeby Kornelia zadzwoniła pod podany numer jak najszybciej.

– Mamo, na co czekać? Przecież im prędzej się dowiesz, tym lepiej – ponaglała ją.

Kornelia, widząc błysk w jej oczach i zaróżowione policzki, nie miała serca, żeby jej powiedzieć, że między innymi dlatego, żeby za wcześnie się nie rozczarować, odwleka moment zadzwonienia do specjalistki od pierników. Bo wprawdzie im dłużej myślała o planie przeprowadzki, tym więcej widziała w nim plusów, ale też coraz wyraźniej docierało do niej, że to nie może się udać! Skoro tamta dziewczyna nie wymagała doświadczenia, oferowała zatrudnienie z mieszkaniem, to zapewne oferta jest już dawno nieaktualna. Tym bardziej że Miłka wspominała, że dowiedziała się o tym już jakiś czas temu.

W końcu zabrakło jej wymówek, a Basia patrzyła na nią wyczekująco, więc Kornelia, chcąc nie chcąc, z ociąganiem wpisała w telefon numer widniejący na skrawku papierowej serwetki.

„Jeżeli to się uda, to rzeczywiście będzie to znak i to taki, który zakrawa na cud” – pomyślała, przymykając oczy i wsłuchując się w sygnał nawiązywanego połączenia.

Odwróciła się tyłem do pokoju tak, żeby nie widzieć Basi, która siedziała na kanapie i nie spuszczała z niej oczu. Kornelia nie chciała widzieć wyrazu zawodu na jej twarzy, gdy przysłuchując się rozmowie, zrozumie, że nic z tego nie będzie.

Gdy w końcu po drugiej stronie usłyszała kobiety, nieco schrypnięty głos, tak się zestresowała, że przez chwilę miała wrażenie, że nie uda jej się wypowiedzieć ani słowa. Ale to trwało tylko kilka sekund. Kornelia opanowała się błyskawicznie, przedstawiła się i wyjaśniła, z czym dzwoni.

– I od razu pani powiem, że nie mam doświadczenia. W pieczeniu. Pierników nie robiłam nigdy w życiu – wyznała na wstępie.

– A to świetnie – usłyszała entuzjastyczne zapewnienie i zdębiała.

– Świetnie? – wydukała skonsternowana.

– Doskonale. My tu uwielbiamy przyuczać nowicjuszy, jest z tym naprawdę sporo zabawy. Zawsze to dobrze mieć kogoś od czarnej roboty.

– Aha... Czyli to nie jest problem? – upewniła się Kornelia, gęsto mrugając.

– Żaden.

– Aaa... A dzieci? Bo ja mam trójkę...

– Dobrze, lubię dzieci, nasz kościelny ma takie jedno... Straszę je, ale niestety jakieś takie odporne jest i to co inne przeraża, je bawi! To oczywiście dziewczynka, dziewczynki z natury rzeczy są bardziej rozgarnięte. Ale przy kościelnym mówię o niej dziecko, bo on tak pięknie się wtedy denerwuje...

– Babciu, czy ja dobrze widzę, że rozmawiasz przez mój telefon? – dobiegło do uszu oniemiałej kompletnie Kornelii.

– A co ja jestem okulistą, żeby ferować takie wyroki? Doktora Piotrusia zapytaj, to ci pewnie powie, czy dobrze czy źle, chociaż nie wiem, jakim cudem chirurg zna się na oczach! Ale mi ostatnio radził, żebym okulary zmieniła, to widać nam się taki wszechwiedzący trafił! A rozmawiać rozmawiam i nawet już ci zatrudniłam nową pracownicę. Dzieci ma i nie umie piec – zreferował głos radośnie, a potem w słuchawce coś

zatrzeszczało. – Halo, halo, jest tam kto? – tym razem telefon miał dużo młodszy i wyraźnie zakłopotany głos.

– Dzień dobry – Kornelia była tak zdumiona, że kompletnie zapomniała o tym, że miała się stresować.

Przedstawiła się i powtórzyła mniej więcej to samo co wcześniej, że dzwoni w sprawie pracy, ale nigdy niczego podobnego nie robiła.

– A to akurat żaden problem. Raz-dwa się pani przyuczy. Zresztą skoro nie rozłączyła się pani po rozmowie z moją babką, to znaczy, że ma pani twardego charakter. A to najważniejsze – w uchu Kornelii zabrzmiał miły śmiech. – W ogłoszeniu pisałam, to pewnie pani już wie, że nowemu pracownikowi oferuję również mieszkanie. Co do rozliczeń, pensji, to wszystko mogę podać w mailu. Jedyna sprawa, która jest nie do negocjacji, to termin. Najpóźniej musiałyby pani zacząć od siedemnastego listopada. Od tego momentu robi się naprawdę gorąco i każda para rąk jest na wagę złota. Czy to by pani pasowało? – Klementyna ów warunek wymyśliła na poczekaniu. Żeby uwiarygodnić całą sprawę. Skoro godziła się nieomal na wszystko, to dobrze było jednak czegoś, czegokolwiek oczekiwać.

A poza tym z rozmowy z Miłką wywnioskowała, że najlepiej by było, żeby Kornelia wyjechała jak najszybciej. Żeby nie zdążyła się rozmyślić.

– Oczywiście, to zrozumiałe i nie będzie z tym problemu.

– Świetnie, w takim razie jesteśmy umówione. Proszę mi wysłać esemesem adres mailowy, to prześlę wszystkie informacje. Aha, i proszę zrobić badania w sanepidzie, potrzebna będzie książeczka. Jeżeli się okazało, że na książeczkę trzeba będzie poczekać parę dni dłużej, proszę się nie przejmować. I tak na początku będzie się pani musiała przyuczyć. Najwyżej potrzymamy panią z dala od żywności. Zajmie się pani zamówieniami i obserwacją tego, co i jak – dodała i pożegnała się, zapewniawszy, że za chwilę wyśle Kornelii mail.

I to było tyle. Kornelia odsunęła od ucha telefon i spojrzała na ciemny wyświetlacz z niedowierzaniem.

Nie do końca docierało do niej, że właśnie jakimś cudem dostała pracę. W miejscu, którego nigdy w życiu nie widziała. U ludzi, o których jeszcze rano nie miała pojęcia, że w ogóle istnieją.

Trudno jej było uwierzyć, że na to całe szaleństwo zdecydowała się z pełnym rozmysłem. Co więcej – i to również było zaskoczeniem – na myśl o tych wszystkich zmianach czuła podekscytowanie. I może niewielką, ale jednak radość.

MIASTECZKO
PRZEDGRUDZIEŃ
LISTOPAD



Po skończonej rozmowie Klementyna ku swojemu ogromnemu zdumieniu poczuła spokój. A spodziewała się raczej czegoś dokładnie odwrotnego. Bo przecież powinna się denerwować. Pieczenie nadal kulało. Ciasta na pierniki przezornie nie tykała, ostatnią porcję robiła babka Agata. Wyszło jej przednie, ale to nie rozwiązywało sprawy. Bo trudno było obarczać tak wiekową kobietę hurtową ilością wypieków. Klementyna nawet nie brała tego pod uwagę. To było rozwiązanie tymczasowe. Gotowe, upieczone pierniki zdobiła, i owszem. Bez tego charakterystycznego czegoś, co pozwalało jej co roku tworzyć niepowtarzalne wzory. Ale o tym starała się nie myśleć. Przede wszystkim musiała się skupić na tym, żeby robić to, co w danym momencie mogła. Na całe szczęście była doskonałym rzemieślnikiem. Dawała radę, jej pierniki i tak były przepiękne. Ale ona wiedziała, że brakuje im tego muśnięcia niezwykłością, tego czegoś, co sprawiało, że pieczenie przestawało być tylko zajęciem, a stawało się magicznym sensem życia.

Trudno, trzeba było do rzeczywistości podejść rozsądnie. A chwilowo była z tym wszystkim sama. Kuba, który był rewelacyjnym artystą cukiernikiem i którego obecność na pewno zdjęłaby jej z pleców spory ciężar, musiał na jakiś czas zostać we Wrocławiu, a potem jeszcze jechał do swojej babci Leosi. Oczywiście była jeszcze Ruda Fela, która piekła coraz lepiej, ale nie umiała misternie zdobić ciastek ani robić marcepanowych figurek. Tak więc brak piernikowej weny dawał się Klementynie we znaki. Przyjęte już dawno zamówienia leżały odłogiem. Odkładała realizację tych, które chciała zrobić w ten jedyny, szczególny sposób. Cały czas łudziła się nadzieją, że w końcu poczuje to charakterystyczne coś, co pozwoli jej zrobić pierwszy w tym roku wyjątkowy piernikowy domek, co jakby bez

udziału jej woli sięgnie po pędzelki i farbki. Lecz jak na razie to coś jak nie przychodziło, tak nie przychodziło. A czas uciekał. I jakby tego było mało, to jeszcze przyjęła do pracy kogoś, kto będzie zapewne bardziej przeszkadzał, niż pomagał.

Wiedziała to wszystko, ale teraz po rozmowie z Kornelią zamiast większego zaniepokojenia poczuła jednak ulgę i spokój. Tak jakby jakaś jej część, dawno niewidziana i trochę zapomniana, wróciła na swoje miejsce.

„Może Imka miała rację, gdy przypomniała mi, że niedobrze, jak za dobrze – pomyślała teraz. – Może rzeczywiście to moje szczęście tak mnie oszołomiło, że zaczynałam zapominać o drugim człowieku? Zaczęłam gubić proporcje? I kto wie, może ta Kornelia, która kompletnie nie zna się na tym, co powinien mieć przecież w małym paluszku każdy pomocnik cukiernika, jest mi po prostu przeznaczona? I ma być dla mnie moim osobistym światełkiem?”

– A poza tym skoro już obiecałam, to teraz nie ma się nad czym zastanawiać – mruknęła do siebie. – Lepiej zajmę się zrobieniem kolejnego drożdżowego. Mam nadzieję, że to już nie padnie ofiarą wszędobylskiego policjanta i żarłocznego kundla – dodała, patrząc wymownie na Marcepana. – I nie rób takiej niewinnej miny, mój drogi. Rzuciłeś się najpierw na ciasto, a potem na biednego policjanta Maciusia i sam nie mogłeś się zdecydować, co masz najpierw wylizać: podłogę czy twarz naszego stróża prawa. Dylemat zniknął, gdy nasz Maciuś się wypačkał w cieście i mogłeś mieć ciastko i zjeść ciastko – dodała, wyjmując z szafki worek mąki. – Ale to wcale nie zmienia faktu, że jutro w cukierni muszę mieć drożdżowe. W końcu sama niefrasobliwie i nie wiedząc, na co się piszę, ogłosiłam listopad miesiącem drożdżówki – westchnęła i zajęła się przygotowaniem rozczynu.

Następnie odstawiła go do wyrośnięcia. Przesiała mąkę i wyjęła z zamrażarki ogromną paczkę wiśni. Jutro w cukierni od samego rana będzie serwowane drożdżowe z podgrzаныmi korzennymi wiśniami. To będzie grzeczna wersja. Druga, którą nazywała Zaczepna Wiśniówka, była odmianą dla spragnionych wrażeń i pełnoletnich. Owoce do niej gotowała w ciemnym piwie i zakrapiała kropelką rumu.

„A dodatkowo zrobimy sernik z masłem orzechowym i tak wyjdzie nam z tego wykwintna prostota” – pomyślała, wsypując wszystkie potrzebne składniki do misy robota.

Zajęta pracą nie zwróciła kompletnie uwagi, że powietrze w kuchni z minuty na minutę się zmieniało. Pachniało coraz intensywniej cynamonem i goździkami. I czymś nieuchwytnym, czymś, co przywodziło na myśl ciepłe domowe ognisko, uchylone drzwi i kogoś wytęsknionego, kto na pewno miał w nich stanąć. Gdy Klementyna wstawiła do pieca blaszki z drożdżówką, gdy wyłączyła gaz pod obłądnie pachnącymi, podgrzewanymi w szklistym korzennym wywarze wiśniami, gdy sięgała do troczków fartucha, by je rozwiązać, poczuła to. Zastygła w niedowierzaniu, wsłuchując się w siebie. Ale nie, nie wydawało jej się. Koniuszki palców u dłoni delikatnie mrowiły. A ona całą sobą czuła przyływ miłości połączonej z lekkim smutkiem i tęsknotą. Znów, jak co roku, te uczucia zawibrowały wokół jej serca. To było naprawdę to! Oto przyszedł ten moment. Moment na zrobienie pierwszego, wyjątkowego domku z piernika. Moment, który w tym roku opóźniał swoje przyście i czekał na właściwy czas. Aż wszystko znajdzie się na właściwych miejscach. Widać zgoda na przybycie Kornelii do Miasteczka była ostatnim elementem, którego tu brakowało.

Magia wróciła.

Gdy nad ranem Klementyna półprzytomna spojrzała na rezultat nocnej pracy, aż ją zatchnęło. Bo oto stał przed nią największy, najurokliwszy piernikowy domek, jaki kiedykolwiek do tej pory zrobiła. Jego dach tonął w błękitnawym, srebrzącym migotliwie śniegu. Drzwi i okna oplatały zielone marcepanowe girlandy ostrokrzewu. Na landrynkowych okiennych szybach widniały wzory do złudzenia przypominające obrazki, które malował mróz. W jednym z okien stała lampa, która jarzyła się od środka. Klementynie po raz pierwszy udało się uzyskać taki efekt, patrząc, miało się wrażenie, że z okna i lampy bije światło, które rozjaśniało prowadzącą ku domowi ośnieżoną ścieżkę.

Pierwszy tegoroczny zimowy domek z piernika był jednocześnie najpiękniejszym, jaki do tej pory wyszedł spod jej rąk. I co dziwniejsze, nie wiedziała, do kogo powinien trafić. A zwykle doskonale zdawała sobie sprawę, gdzie powędruje ten pierwszy, szczególny.

„Cóż, poczekamy, zobaczymy” – pomyślała, prostując obolałe plecy. Dopiero teraz, gdy adrenalina opadała, a uniesienie związane z pracą powoli odchodziło, czuła, jak bardzo jest zmęczona. Dziś raczej to Ruda Fela będzie musiała otworzyć cukiernię, bo ona pada z nóg i powinna złapać choć kilka godzin snu.

– Ale najpierw tu posprzątam. W międzyczasie podgrzeję miód z przyprawami... Bo chyba już mogę, co? – rzuciła w przestrzeń.

Oczywiście nie otrzymała odpowiedzi. Nie zastanawiając się dłużej, wyjęła z szafki wielki gar i zaczęła wlewać do niego miód, dodawać cynamon, goździki, kakao. Nawet nie spostrzegła się, że w trakcie tych prac zaczęła nucić. Melodia przyszła do niej sama. Niosła się po całej kuchni, ocierała miękkimi dźwiękami o gotowe piernikowe serca, unosiła się nad

buzującym korzennymi aromatami rondlem, muskała dach piernikowego domku.

Gdy Klementyna zdała sobie w końcu sprawę, że uprzątając umazane lukrem blaty, namaczając naznaczone farbkami pędzelki, śpiewa półgłosem, na moment zastygła bez ruchu.

I jeżeli miała jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy powrót piernikowej magii miał związek z nieznaną jej bliżej Kornelią, to teraz zostały one rozwiane.

Klementyna bowiem nie znała jej, ale znała jej historię. Imka opowiedziała jej o wypadku, o mężu, który odszedł tak nagle i niespodziewanie, o osamotnionych dzieciach i o tym, że Kornelia przestała odnajdywać się w życiu. A życie powoli zapominało o Kornelii.

Słowa i melodia, które w tej chwili do niej przyszły i które miały towarzyszyć jej przy tegorocznym zimowym pieczeniu, były niewątpliwie z tym wszystkim powiązane. Smutne, melancholijne, ale jednocześnie piękne i co najważniejsze – niosące nadzieję.

„A więc w tym roku pierniki będą specjalnie dedykowane właśnie tym, którym tej nadziei zabrakło – pomyślała z nagłym wzruszeniem Klementyna. – Tym, którzy już nie wierzą, że kiedykolwiek ją odnajdą, i tym, którzy tęsknią. Żeby mogli ułożyć się z tą swoją tęsknotą i oswoić lęki.

Z dedykacją ode mnie, żeby życie nigdy o nich nie zapomniało”.

Pokiwała głową i pomieszała w garze. W kuchni uniósł się jeszcze wyraźniejszy, słodki aromat goździków, cynamonu, miodu i anyżu. A ciszę przerwały cichutko śpiewane przez Klementynę słowa:

A nadzieja znów wstąpi w nas,
Nieobecnych pojawią się cienie.
Uwierzymy kolejny raz,

W jeszcze jedno Boże Narodzenie.
I choć przygasł świąteczny gwar,
Bo zabrakło znów czyjegoś głosu,
Przyjdź tu do nas i z nami trwaj,
Wbrew tak zwanej ironii losu.
Daj nam wiarę, że to ma sens,
Że nie trzeba żałować przyjaciół,
Że gdziekolwiek są – dobrze im jest,
Bo są z nami, choć w innej postaci.
I przekonaj, że tak ma być,
Że po głosach tych wciąż drży powietrze,
Że odeszli po to, by żyć,
I tym razem będą żyć wiecznie.

RZESZÓW

PRZEDGRUDZIEŃ

LISTOPAD



Kolejne dni minęły Kornelii i dziewczynkom nie wiadomo kiedy. Nawet się nie obejrzała, jak nastąpiła połowa listopada i trzeba było pakować przygotowane walizki do samochodu.

Kornelia była tym wszystkim oszołomiona. Początkowo wydawało jej się, że będzie cierpieła na nadmiar czasu. Bała się, że w pewnym momencie, zostawiona sama na samą ze swoimi myślami, da się zaszczyć wątpliwościom, które – tego akurat była pewna – pojawią się i będą próbowały ją osaczyć.

Tymczasem okazało się, że nie miała się czym przejmować. Drzwi do jej mieszkania praktycznie się nie zamykały. Ciągłe ktoś ją odwiedzał. Jak nie Miłka, która z racji pracy wpadała raczej późnymi popołudniami, przechodzącymi w wieczory, to pan Ryszard w przerwach pomiędzy kursami albo babcia Salcia, która z kolei miała mnóstwo wolnego czasu. Starsza pani chyba postawiła sobie za punkt honoru, że przypilnuje Kornelię i nie pozwoli jej poczuć się samotną.

Cóż, cokolwiek można jej było zarzucić, to na pewno nie to, że nie była skuteczna. Kornelia chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak rozrywana towarzysko. Przedpołudnia należały do Salci i Ryszarda, popołudnia do bliźniaczek, wieczory do Miłki i Basi.

I wszyscy jak jeden mąż, no może poza Ryszardem, który patrzył na to, co się dzieje, z wyraźnym rozbawieniem – i nawet nie usiłował tego ukrywać – próbowali pomóc jej w załatwieniu wszystkiego, co niezbędne, przed wielkimi przenosinami do Miasteczka.

I tak Miłka zajęła się szkołą Basi i ogarnięciem wszelkich formalności. Babcia Salcia ofiarnie zadeklarowała, że spakuje bliźniaczki, i dodała, że może oczywiście też pomóc przy kompletowaniu bagażu Kornelii. Słyszac

to, Miłka natychmiast zastrzegła, żeby nie brać za dużo, bo tam na miejscu wszystko jest umeblowane.

– Jakby czegoś zabrakło, to przecież zawsze mogę przywieźć – dodała uspokajająco.

– A co, tam nie mają sklepów? – nie wytrzymała w końcu Kornelia.

– Nie, no mają, chociaż nie liczyłabym na takie cuda jak Ikea i inne takie...

– Nie liczę. A książeczką do sanepidu i związanymi z nią czynnościami to mogę się zająć sama czy też ktoś pragnie mnie wyręczyć? – wyrwało jej się złośliwie któregoś wieczoru, gdy w mieszkaniu zebrali się wszyscy w jednym momencie.

– A co? Jeszcze tego nie ogarnęłaś? – Miłka spojrzała na nią wyraźnie spanikowana.

– Nie, bo cierpię na zaparcia – burknęła. – Nie, no żartuję – dorzuciła natychmiast, widząc minę Miłki. – Spokojnie, wszystko ogarnęłam, ale tak rzuciłam, bo skoro tak mnie pilnujecie, to może ktoś ma wątpliwości, czy dobrze sobie poradziłam...

– O ho, ho! Chyba komuś się ułało – mruknął pan Rysio, a w jego głosie zadźwięczało coś na kształt zrozumienia i współczucia pomieszanego z rozbawieniem. – Ale pani Kornelio, proszę pamiętać, że to wszystko z troski i z dobrego serca – dorzucił i posłał jej spojrzenie pełne otuchy.

I rzeczywiście tak było. Wszyscy się troszczyli o nią i o dziewczynki. W rezultacie formalności związane ze szkołą Basi, wyniki badań z sanepidu (babcia Salcia miała tam jakieś znajomości) i spakowanie niezbędnych rzeczy – wszystko to poszło jak z płatka i zostało załatwione w rekordowym tempie. W końcu piętnastego listopada przed południem Miłka zajechała po nie pod blok. Basia wyglądała na szczęśliwą,

bliźniaczki były podekscytowane czekającą je przygodą, a Kornelia tak oszołomiona, że chwilowo nie potrafiła określić, co tak naprawdę czuje.

Babcia Salcia, żegnając się z dziewczynkami, miała łzy w oczach. Pan Rysio wprawdzie się trzymał, ale i tak podejrzenie pociągał nosem.

Kornelia uścisnęła ich z wdzięcznością i poprosiła, by koniecznie do nich przyjechali.

Przez te kilkanaście dni zdążyła ich polubić. Przywiązała się do nich i była im niezmiernie wdzięczna za to, że przez tak długi czas doglądali dziewczynek.

– Zadzwonimy, jak dojedziemy – obiecała Basia.

W końcu ruszyły. Do Miasteczka dojechały w momencie, gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Miłka zaparkowała w jednej z uliczek przylegających do rynku.

– Chodźcie, najpierw zrobimy rozeznanie, gdzie jest wasza kamienica, a potem albo wrócimy po bagaże, albo spróbuję podjechać gdzieś bliżej – zarządziła.

I dopiero gdy wysiadły z auta, Kornelia poczuła, jak jej żołądek zwija się w małą, bolesną kulkę. Poczuła wszechwładniający strach.

„Co ja najlepszego zrobiłam?” – pomyślała, rozglądając się po uliczce, wzdłuż której tłoczyły się obdrapane domy.

Otoczenie nie wydawało się zbyt przyjazne. Ale, o dziwo, bliźniaczki i Basia jakby tego nie dostrzegały. Wyspały się z samochodu, gadając jedna przez drugą i robiąc zakłady, w którą stronę będą musiały iść. Kornelia, widząc je tak radosne i optymistyczne, postanowiła nie dać nic po sobie poznać.

„Ostatecznie to tylko półtora miesiąca – pomyślała, biorąc głęboki wdech. – Jakoś przeżyję”.

A potem ruszyła za Miłką, którą prowadziła nawigacja. Już po chwili wyszły z ciasnej, klaustrofobicznej uliczki wprost na rynek. Zatrzymały się na chwilę przy stromych schodkach biegnących chyżo w dół.

Miłka rozejrzała się uważnie.

– Różowa kamieniczka – mruknęła i ruchem głowy wskazała przed siebie. – Spójrzcie, to musi być ta. Innej różowej tu nie ma – dodała.

Rzeczywiście – różowy budynek był doskonale widoczny ze szczytów schodków, na których przystały. Kornelia omiotła go uważnym spojrzeniem. Był stary, gdzieniegdzie obdrapany, naznaczony zębem czasu. Sprawiał wrażenie przytulnego.

„Dobry dom – przemknęło jej przez głowę. – Taki, który przez lata nauczył się, jak chronić i kochać swoich mieszkańców...”

– Dobrze, że weszliśmy od tej strony – powiedziała, przygarniając do siebie bliźniaczki. – Ze szczytu tych schodków pięknie widać nie tylko naszą kamieniczkę, ale też cały rynek – dodała.

Zapewne zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, że w tym samym momencie ktoś inny mówi dokładnie to samo.

– Dobrze, że przyszły od tej strony – mruknęła Stara Anna, patrząc na przybyłe zza uchylonej firanki kuchennego okna w kuchni Klementyny. – Miałam nadzieję, że zobaczę je właśnie przy tych schodkach, to naprawdę dobry omen – dodała, kiwając energicznie głową.

– Może Anna jeszcze powie, że przyniosą ze sobą pierwszy śnieg – mruknęła Klementyna, podchodząc do staruszki i zaglądając jej przez ramię. – Chyba rzeczywiście to one – stwierdziła, pochylając się i przybliżając twarz do szyby.

– Pewnie, że one. Obce są. Dwie kobiety z trójką dzieci. Wszystko się zgadza. A co do pierwszego śniegu, Lalka, to ty przecież wiesz, że to tylko wasz ród ma taką moc. To twoi przodkowie zeszli...

– Tak, tak, zeszli z gór, z workami pełnymi przypraw. Przynieśli ze sobą pierwszy śnieg, zostali na stałe i otworzyli w Miasteczku cukiernię, która rozświetliła to miejsce w całej bliższej i dalszej okolicy. – Klementyna przewróciła oczami.

– No właśnie. Zupełnie nie rozumiem, czemu ty, Lalka, się wściekasz. Z dziedzictwem i przeznaczeniem nie ma co dyskutować. Powiedziałam ci to zresztą, jak tylko tu przyjechałaś. I rację miałam. Z tobą wtedy też przybył pierwszy śnieg, zupełnie jak z tamtymi, przed laty. I cukiernia wróciła na swoje miejsce. Choć zarzekałaś się, że w życiu jej nie otworzysz. Ale to było twoje, tylko twoje przeznaczenie. Jej, tej nowej, jest zupełnie inne – dodała dziwnym, jakby dobiegającym z oddali głosem.

Nie odwracała przy tym oczu od idącej grupki. Klementyna poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz. Znała dobrze Starą Annę. Wiedziała, że nie jest taka jak inni, że czasem widzi to, co dla pozostałych niewidoczne, że więcej wie i że czasem bliżej jej jest do tych, których

odwiedzała na małym cmentarzyku, niż do mieszkańców Miasteczka. Ale mimo że Klementyna to wszystko wiedziała i że przywykła do dziwactw staruszki, to jednak czasem Stara Anna budziła w niej niepokój.

– A jakie jest jej przeznaczenie? – zapytała, wzdrygając się.

– Musi je dopiero odnaleźć. Rozpalić swoje własne światło – przemówiła proroczo Anna, wpatrując się w gęstniejący mrok wzrokiem, który sięgał głębiej i dalej.

Tymczasem nowo przybyłe zniknęły w bramie, a po chwili w mieszkaniu rozległ się dźwięk domofonu pomieszany z ujadaniem Marcepana i piskiem dzieciarni, która wypadła z pokoju Dobrochny. Córka Klementyny postarała się o spory komitet powitalny specjalnie z myślą o nowych dziewczynkach.

Zaprosiła dzieciaki Rudej Feli i kilka dziewczynek ze swojej klasy.

– Kochanie, nie wiem, czy to nie jest za dużo, tak na pierwszy raz – słabym głosem wyraziła swoje wątpliwości Klementyna, gdy Dobrochna tuż po szkole wpadła do domu z całą tą rozwrzeszczaną hałastrą.

– Mamusiu, sama mówiłaś, że prawdziwy dom jest tam, gdzie czekają na ciebie twoi ludzie. I tam gdzie się na twój widok cieszą – jej córka podniosła na nią niewinne, błękitne spojrzenie. – A na te dziewczynki tam na górze nikt nie będzie czekał. A przecież to ma być ich dom. To my je przywitamy. Radośnie, że ho, ho! Trenowaliśmy wczoraj przez pół dnia wesołe okrzyki. Doktor Piotruś nas musiał pilnować, bo akurat wpadł, żeby sprawdzić, jak się ma babcia Agata, ale najpierw jak zawsze wszedł do kuchni, żeby zjeść trochę ptysiów, i trafił na nas.

– I co? Popadł w zachwyt? – spytała Klementyna z lekkim rozbawieniem.

– Wielki! Powiedział, że coraz bardziej cię podziwia, bo on już pięć razy by oszalał. No to zapytałam od razu, dlaczego akurat pięć razy, a nie

na przykład siedem, ale doktor Piotruś powiedział, że powtarzał mi już milion razy, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ja nie mogę tam trafić, bo do reszty zde, zdegn... Takie trudne słowo. – Dobrochna zmarszczyła brewki.

– Zdegenerować? – podpowiedziała Klementyna.

– O właśnie, zdegenerowałabym wszystkie diabliska. Zepsułabym je do szczeru, tak właśnie powiedział doktor Piotruś. A potem dodał, że wrzeszczymy tak radośnie, że na pewno osiągnęliśmy doskonałość. I że już naprawdę nie musimy ćwiczyć.

Teraz, słysząc dzikie wrzaski dzieciarni, Klementyna wcale się nie dziwiła zapewnieniom doktora, że Dobrochna z przyjaciółmi osiągnęła perfekcję. Ona w tej chwili niestety nie mogła nic z tym zrobić. Bowiem to wszystko było wynikiem dobrych chęci. Dobrochna była święcie przekonana, że tak właśnie ma wyglądać serdeczne przyjęcie nowych domowników. Klementyna w głębi duszy szczerze wątpiła, czy zostanie to dobrze zrozumiane.

Ale już po chwili, gdy nowi mieszkańcy kamienicy weszli do środka i nieśmiało stłoczyli się w korytarzu, wszelkie wątpliwości ją opuściły. Bo w rozgardiaszu, jaki powstał, wśród krzyczących i skaczących dzieci, przy szaleńczo ucieszonym psie, który miotał się po całym przedpokoju, nie wiedząc, kogo najpierw ma witać, przy Dobrochnie, która po prostu najzwyczajniej w świecie najpierw uścisnęła Basię i bliźniaczki, a potem zagarnęła te dwie ostatnie ramionami i poprowadziła ze sobą do pokoju, zabrakło miejsca na skrępowanie. O niezręcznej ciszy nawet nie wspominając.

Właściwie Klementyna nawet nie wiedziała, jak i kiedy Kornelia, Miłka i Basia znalazły się w kuchni. Faktem było natomiast, że po chwili wszyscy

siedzieli przy stole, pijąc herbatę, delektując się malinową nalewką i rozmawiając, jak gdyby nikt tu nie był obcy.

– No widzicie, tu u nas jest tak codziennie – zaśmiała się w pewnym momencie Klementyna, jednocześnie odsuwając jedno z wolnych krzeseł i robiąc miejsce starszej pani, która pojawiła się w progu. – Poznajcie, to moja babcia Agata, Annę już wam wcześniej przedstawiłam, a ten pan, który przyszedł z babcią, to nasz ukochany doktor Piotruś. No to chwilowo formalnościom stało się zadość – dodała, obrzucając wzrokiem postawnego mężczyznę w sile wieku, który pojawił się właśnie w kuchennych drzwiach i tęsknym spojrzeniem ogarnął zawartość stołu.

– Dzień dobry – uśmiechnął się i ten uśmiech z miejsca sprawił, że twarz mu odmłodziła. – Będę mówił cicho, żeby przypadkiem Dobrosia nie zorientowała się, że jestem – dorzucił scenicznym szeptem. – Klementyno, nie chcę cię martwić, ale jej obsesja organowa pogłębia się coraz bardziej! Poza ośleplą kiszka i bardzo krótkim jelitem teraz jeszcze nudzi mi o odpadniętych uszach! Kiedy ona w końcu zrozumie, że ja nie jestem czarodziejem i nie dam rady spełnić tych wszystkich jelitowych czy też kiszkowych fanaberii!

– Sam sobie jest doktor winien – wytknęła mu ubawiona Klementyna. – Było nie mówić, że jak nie przestanie wrzeszczeć, to niechybnie doktorowi uszy odpadną. W końcu znając jej zainteresowania, mógł doktor przewidzieć, jak to się skończy, wystarczyło skojarzyć z wyplutymi płucami – wytknęła mu.

– Fakt, ale cały czas zapominam, że to dziecko jest... łagodnie mówiąc, nieszablonowe. – Mruknął i usiadł na krześle tuż koło Starej Anny, która właśnie pochylała się do przybyłej dopiero co babki Agaty i coś tam jej tajemniczo szeptała. – No to co, nie można pozwolić, żeby takie pyszne pączki się zmarnowały – powiedział doktor z widocznym rozmarzeniem

i sięgnął po stojącą na środku stołu paterę, a potem puścił ją w obieg wśród pozostałych, zagadując to do starszych pań, to do Basi.

Tak już się przyzwyczyił, że w tym domu jest zawsze mnóstwo ludzi, że nawet nie dociekał, kto jest kim i skąd się wziął. A poza tym wiedział, że przy najbliższej okazji Dobrochna mu wszystko zrelacjonuje ze szczegółami. Bo cokolwiek można było powiedzieć o tym dziecku, to na pewno nie to, że ma kłopoty z mówieniem.

Tymczasem Klementyna obrzuciła miękkim spojrzeniem wszystkich siedzących przy stole. Na dłużej zatrzymała wzrok na Kornelii. Jej przyjaciółka Miłka właśnie wyszła na chwilę na korytarz, żeby odebrać telefon, i bez jej wsparcia Kornelia wydawała się opuszczona. Widząc jej oszołomioną minę, Klementyna uśmiechnęła się pod nosem, a potem wstała i dosiadła się do niej.

– No to powiem pani, pani Kornelio, że właśnie przeżyła pani chrzest bojowy – powiedziała, podwijając przydługie rękawy swetra.

– A może tak mogłybyśmy mówić sobie na ty? Kornelia – zaproponowała kobieta, sugestywnie unosząc kieliszek z nalewką.

– Będzie mi bardzo miło, Klementyna – odwzajemniła gest. – A co do tego, co właśnie powiedziałam, to tu jest tak codziennie – gestem ręki wskazała na siedzących. – Teraz jeszcze brakuje Rudej Feli, często wpadają policjanci, kościelny Jasiek ze swoją córeczką... Właściwie mogłabym tak wymieniać i wymieniać, ale w tej chwili nie ma to sensu. Niebawem poznasz ich wszystkich i bez trudu zaczniesz kojarzyć, kto jest kim – w roztargnieniu oparła rękę na ogromnym łąbie Marcepana, który zmęczony opuścił pokój dzieci, przyszedł i położył głowę na jej kolanach. – A mówię ci to wszystko po to, żebyś wiedziała, że tu jest miejsce dla każdego. Tu nikt nie czeka na specjalne zaproszenia, tylko przychodzi. I zobacz, wy też tu świetnie pasujecie. To od razu widać. Mam nadzieję, że po prostu

będziesz tu wpadać. Tak jak inni. Zwyczajnie, na ciastka, pogaduchy... Pomijam już zupełnie to, że czasem nie będziesz miała wyboru – dodała z przekorną miną. – Bo wiesz, cukiernia jest na dole, ale ja często pracuję tutaj. Lubię tę kuchnię, jest w niej coś takiego, czego lokal na dole, pomimo tego, że uroczy, nigdy mieć nie będzie. Chyba chodzi o taką kuchenną, domową magię bliskości... A teraz postaram się przez jakiś czas nic nie mówić i dać szansę tobie – uśmiechnęła się. – Bo pewnie masz mnóstwo pytań.

– Właściwie to jestem tak oszołomiona, że nie bardzo wiem, od czego zacząć – mruknęła Kornelia. – Ale jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju, i możesz się ze mnie śmiać, ale muszę o to spytać: o co chodzi z tą kiszka i jelitami dla Dobrochny? Bo zabrzmiało tak, jakby doktor Piotr jej to wszystko dostarczał...

– No tak – roześmiała się Klementyna i pokręciła głową. – Cały czas zapominam, że dla niewtajemniczonych to rzeczywiście może brzmieć dziwnie – dodała i opowiedziała Kornelii o wewnętrznej pasji Dobrochny, o jej nieco dziwnej fascynacji medycyną i planach matrymonialnych wobec doktora Piotrusia.

A potem rozmowa jakoś tak płynnie przeszła na to, czym Kornelia będzie się zajmować. Niby wszystko miała wypisane w mailu, ale wiadomo, że co innego teoria, a co innego praktyka.

– Myślę, że wszystkim po trochu. Przede wszystkim przyjmowanie zamówień. Bo na świąteczne ciasta zbieramy do końca listopada. No może nawet przez pierwszy tydzień grudnia, chyba że będzie jakaś klęska urodzaju, to wtedy zamkniemy listę wcześniej. Będziesz też wałkowała ciasto na pierniki, to nie jest żadna filozofia, wycinała foremkami kształty, wyjmowała to, co będzie do wyjęcia z pieca. Mamy piękny, zautomatyzowany, wszystko się na nim ustawia. Więc też nie musisz się

obawiać, on sam ci o wszystkim przypomni. A poza tym... – Zamilkła na moment. – No zobaczy się. W każdym razie nudzić się nie będziesz – zapewniła nową pracownicę.

A potem wróciła Miłka. Kornelia i Basia zawołały bliźniaczki i razem z Klementyną poszły na górę. Do nowego mieszkania.

– Właściwie to od tego powinniśmy zacząć. – Klementyna pokręciła głową. – Chyba weszło mi już w krew bycie kwoką, najpierw wszystkich gromadzę u siebie, sadzam przy stole i karmię, a dopiero potem załatwiam pozostałe sprawy. No w każdym razie mam nadzieję, że będzie wam się podobało – wręczyła Kornelii komplet kluczy. – Twoje, otwieraj – powiedziała z uśmiechem.

Kornelia otworzyła. Gdy nacisnęła klamkę, stare drewniane drzwi zaskrzypiały, ale nie było w tym dźwięku nic nieprzyjemnego. Wręcz przeciwnie – zabrzmiało trochę jak swoiste powitanie. Kornelia wyciągnęła dłoń i nacisnęła włącznik światła. Nagle zrobiło się uroczyście. W ciszy Kornelia i jej córki przekroczyły próg i rozejrzały się po dużym, jasnym, rześście oświetlonym korytarzu. Na drewnianej podłodze leżał puchaty dywan, duże, stare lustro z miejsca objęło swoją rzeźbioną ramą ich sylwetki. Przez moment stały obok siebie, dziewczynki i ich mama, i patrzyły na swoje odbicie. A potem w tej samej sekundzie uśmiechnęły się do siebie.

Zaczynały nowy rozdział. Nowy początek trwającej już historii właśnie zaczynał się pisać.

Następnego dnia Kornelia ledwo otworzyła oczy, a poczuła, że żołądek skręca jej się ze stresu. Usiadła na łóżku i rozejrzała się wokół siebie uważnie. W świetle dnia pokój wyglądał na bardziej przestronny. Dwa duże okna z szerokimi parapetami, zachęcającymi do tego, by na nich przysiądać, wpuszczały do środka mnóstwo światła. Na jednym z nich Kornelia położyła wczoraj kilka zaklejonych kopert, które tuż przed swoim odjazdem wręczyła jej Miłka.

– To dla ciebie – szepnęła jej do ucha przyjaciółka. – Twoja lista zadań. Przedświątecznych. Żebyś chociaż trochę miała tak jak bohaterki z filmów – dodała, z trudem ukrywając wzruszenie.

Teraz gdy Kornelia zahaczyła o koperty wzrokiem i pomyślała, że Miłki nie ma na wyciągnięcie ręki, że nie wystarczy zadzwonić i umówić się na wieczór, że nikt, ani Salcia, ani pan Rysio nie wpadną z poranną wizytą, poczuła się potwornie osamotniona.

Ucisk w żołądku jeszcze się pogłębił. Wzięła kilka głębokich oddechów i wróciła do szczegółowego lustrowania pokoju.

Na środku stał duży drewniany stół, otoczony troskliwie przez sześć krzeseł. Do jednej ze ścian przytulał się mały, okrągły stolik, a przy nim rozparły się dwa fotele uszaki.

Było przytulnie, widać było, że ktoś, kto meblował te wnętrza, starał się pomyśleć o wszystkim. O półkach na książki, kredensie, w którym stała zastawa z Bolesławca... Kornelia z miejsca ją rozpoznała, bo była ozdobiona wzorem, do którego miała sentyment – takie talerze były u rodziców Miłki i jej mama zawsze podawała na nich niedzielny obiad. Pod jednym z okien stała drewniana skrzynia z ciężkim wiekiem. Wszystko do siebie pasowało, ktoś, kto dobierał meble, musiał mieć dobry gust, bo

idealnie przemieszał te stare ciężkie z bardziej filigranowymi. Jasne połączył z ciemnymi w taki sposób, że wszystko tworzyło idealną całość. Było pięknie. A jednak Kornelia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że czegoś brakuje. Podniosła się z łóżka, przeszła przez przedpokój wypełniony walizkami, pudłami z zabawkami i książkami – tym wszystkim, co zdołały przewieźć autem Miłki, a co było niezbędne na początek. Resztę spakowanych rzeczy i ubrań miała dowieźć wynajęta furgonetka. Kornelia na palcach obeszła pakunki. Chciała zajrzeć do dziewczynek. W pokoju, w którym spały bliźniaczki, było ciemnowo, zaciągnięte pluszowe zasłony nie przepuszczały światła. Kornelia podeszła do ich łóżeczek, wsłuchiwała się w równe oddechy dzieci i delikatnie poprawiała kołdry. A potem zajrzała do Basi. Córka już nie spała. Tak jak przed chwilą mama – Basia siedziała na łóżku i lustrowała pokój uważnym wzrokiem. Tu pod oknem stał fotel obity materiałem w pastelowe różyczki. Młodszy, bo nieco mniejszy brat stolika, który stał w salonie – będącym zarazem sypialnią Kornelii – rozparł się w zacisznym kąciку przy oknie. Jasne regały, starodawna szafa, biurko i toaletka z lustrem. To wszystko tworzyło bardzo dziewczęcy, miły dla oka pokój. Ale tu też coś Kornelii nie pasowało. Tylko nie umiała powiedzieć co.

Uśmiechnęła się na powitanie do córki i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Właśnie to miejsce w domu było chwilowo najbardziej oswojone. Wczoraj spędziły tu dużą część wieczoru razem z Miłką i Basią, bo małe po pełnym wrażeń dniu po prostu usnęły im na kolanach i trzeba je było przenieść do łóżeczek. Teraz Kornelia nalała do czerwonego czajnika wodę, postawiła go na gaz, wyjęła z lodówki mleko, a z szafki płatki.

– Chwilowo to musi nam wystarczyć – powiedziała do Basi, która bezszelestnie pojawiła się tuż obok niej. – Musimy dziś zrobić zakupy. Wczoraj kompletnie o tym nie pomyślałam...

– Wracając ze szkoły, mogę wstąpić do sklepu – zaoferowała się Basia. – Kupię jakąś wędlinę i chleb. Ziemniaki i jajka. Na pierwszy rzut starczy, na obiad można zrobić sadzone, z ziemniaczkami i zsiadłym mlekiem. Tak na szybko. A potem, jak już skończysz pracę, możemy pójść po większe sprawunki. Teraz muszę się już ubierać. Nie chciałabym się spóźnić do nowej szkoły. To trochę tak jak początek roku w listopadzie – uśmiechnęła się.

– Basiu, ja cię odprowadzę. Obudzę dziewczynki, pospieszymy się i zdążymy...

– Mamo, pamiętasz, ile ja mam lat? – przerwała jej Basia. – No właśnie, nie możesz mnie odprowadzać. Wiesz, jakby patrzyła na mnie reszta klasy? Ale spokojnie, nie idę sama. Wczoraj umówiłam się z Isią, tą rudą dziewczyną, która była wczoraj u pani Klementyny. Ona jest córką jakiejś Feli, podobno będziecie pracować ze sobą w cukierni. Mamy pójść razem... W sensie nie z Felą, tylko z Isią – doprecyzowała.

– A no jeżeli tak, to w porządku. Tak sobie tylko pomyślałam, że nawet nie wiemy, gdzie jest ta szkoła. Nawet nie było czasu zobaczyć! Jakoś to wszystko jest postawione na głowie. – Nie mogła nie zauważyć, że pomimo starań głos jej zadrżał.

– Mamo, boisz się? – Basia podeszła do matki i zajrzała jej w oczy.

Kornelia przez moment milczała. W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, zapewnić córkę, że gdzie tam, absolutnie, niczego się nie boi i na wszystko jest gotowa. Ale dotarło do niej, że bez sensu jest udawać i kłamać. Nie komuś, kto przez ostatnie miesiące musiał w ekspresowym tempie dorosnąć. Nie komuś, komu ona osobiście ten przyspieszony kurs dorosłości zafundowała. Basia zwyczajnie zasługiwała na szczerłość.

– Tak, boję się – powiedziała przez zaciśnięte gardło. – Nagle dotarło do mnie, że to wszystko bardziej dotknie was niż mnie... Oczywiście to, co

będę robić, i przeprowadzka to dla mnie też ogromna zmiana, ja ogólnie jestem dla siebie wyzwaniem, choć prawdę mówiąc, przez ostatnie dni nie miałam kiedy się nad sobą zastanawiać ani zamęczać się pytaniami lub wątpliwościami. Wszystko działo się tak szybko, zawsze ktoś ze mną był, a wieczorami byłam tak zmęczona tym, co robiłam w ciągu dnia, pakowaniem i załatwianiem wszystkości, że nawet tabletek mi nie brakowało, bo ledwo dotykałam głową poduszki, natychmiast usypiałam – wyznała. – Ale teraz w pełni dotarło do mnie, co zrobiłam! A co będzie, jeśli w tej nowej szkole będzie ci źle? A jeżeli dziewczynki nie odnajdą się w przedszkolu? W Rzeszowie wszystko było dobrze znajome.

– Mamo, dobrze znajome nie znaczy wcale, że dobre – powiedziała cicho Basia. – I nie martw się. Ja się tej nowej szkoły nie boję. Isia zobaczyła mnie wczoraj po raz pierwszy i była sympatyczna, dlaczego inni mają być gorsi? Pewnie znajdzie się kilka dzbanów, ale tacy są wszędzie. A dziewczynki cieszą się na to nowe. One traktują to jak przygodę. Na całe szczęście nigdy nie były nieśmiałe. Zresztą pani psycholog ci powiedziała, że mają łatwość wchodzenia w grupę. I są dwie. Dadzą radę. Ty też dasz. Zobacz, jest rano, siedzimy razem przy stole i pijemy kawę. To, że jesteśmy razem, jest tego warte, mamo – zakończyła nieomal szeptem, a Kornelia, słysząc to, poczuła, że oczy jej wilgotnieją. Z wahaniem wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła córkę po policzku.

Tym razem Basia się nie uchyliła, nie uciekła, ale przytrzymała ramieniem dłoń matki przez parę sekund. Potem podejrzenie pociągnęła nosem.

– No to zaraz się rozkleimy – odchrząknęła. – A ja nie mogę iść do szkoły z oczami czerwonymi jak u królika – dodała.

– Nie możesz – przytaknęła Kornelia i natychmiast wzięła się w garść. – Zamiast tego wypij kawę, zjedz płatki i powiedz mi jedną rzecz: nie masz

wrażenia, że tu czegoś brakuje?

– To znaczy? – Basia zmarszczyła brwi.

– Właśnie nie wiem, jak to opisać. Bo tu... W sensie w domu, niby jest wszystko, co potrzebne: szafy, łóżka, stoły, fotele, pościel, ręczniki. I to wszystko jest bardzo ładne, troskliwie przygotowane. Ale jednak coś tu jest nie tak... – zawiesiła głos i rozłożyła ręce w geście bezradności. – I nie chodzi mi o to, że brakuje naszych rzeczy. Książek, zabawek dziewczynek, kosmetyków. To nie to, tylko... No właśnie, sama nie wiem co!

– A ja wiem, to akurat proste. – Basia rozejrzała się dookoła.

– Jak to proste? – zdumiała się Kornelia.

– No proste jak drut. Nie ma ocieplaczy, bibelotów, kocyków, poduszek, kwiatów – wyłożyła jej.

– Masz rację. – Kornelia rozejrzała się wokół siebie. – Masz rację! – powtórzyła. – A to mieszkanie aż się o to wszystko prosi! Chyba w najbliższym czasie trzeba będzie się tym zająć – mruknęła i pomyślała, że właściwie mogłaby poprosić Miłkę, żeby przywiozła jej trochę rzeczy z ich rzeszowskiego mieszkania. Ale natychmiast odrzuciła ten pomysł.

„Nie, niech dziewczynki wybiorą to, co będą chciały – pomyślała. – Na wspólnych zakupach. Niech to będzie nowe i tylko nasze. – Potem obrzuciła jeszcze raz uważnym spojrzeniem kuchnię. – Tu będą pasowały żółte, słoneczne dodatki – doszła do wniosku. – A fotelom w salonie idealnie będzie w zielonych pledach. O tak, trzeba będzie wybrać się na zakupy”.

Ale to na pewno nie teraz. Teraz musiała budzić bliźniaczki i okiełznać znów powracający lęk przed tym, co ją czeka.

Basia miała rację, gdy stwierdziła, że w ich mieszkaniu brakuje ocieplaczy.

I obie z Kornelią zapewne zdziwiłyby się, gdyby ktoś im powiedział, że Klementyna, przygotowując dla nich ich nowy dom, wtargała na górę pełen kosz kolorowych poduszek, miękkich pledów i wełnianych kap. Ba, kupiła nawet puchate kaptcie dla każdej z dziewczynek. Zamierzała również postawić kilka kwiatków w oknach. Nie za dużo, bo nie wiedziała, czy jej nowa lokatorka lubi rośliny.

Ale ledwo weszła z tym całym dobrem do mieszkania, dotarło do niej, że nie powinna tego robić.

„To ma być ich nowy dom – pomyślała. – Ich. I powinny go choć w części zrobić po swojemu... Żeby go oswoić i na dobre się tu zadomowić. Żeby mogły z niecierpliwością wypakować z toreb koce, którymi się owina, dobrać poduszki, porozstawiać świece”.

Przez moment jeszcze walczyła z pokusą, by jednak porozkładać te wszystkie puchatości, które przyniosła, ale coś jej mówiło, że nie powinna tego robić. Że ta część należy do Kornelii i do dziewczynek i nie powinna im tego zabierać.

I jak się okazało, miała rację.

Bo tego ranka, po raz pierwszy od bardzo dawna, Kornelia pomyślała o zakupach i o wybieraniu czegoś do domu.

Miejsca jej i dziewczynek. Miejsca, które miało je przytulić.

Jak się okazało, Kornelia niepotrzebnie obawiała się swojego pierwszego dnia w Miasteczku. Basia, tak jak mówiła, poszła do szkoły z Isią. Kornelia widziała z okna salonu, jak razem przecinają rynek. Z tego, jak się ku sobie pochylały, wywnioskowała, że gadają jak najęte. Bliźniaczki, ku jej ogromnej uldze, bez żadnych problemów pomaszerowały w przedszkolu ze swoją nową panią, która wyglądała na ciepłą i zwyczajnie miłą. Nauczycielka zapewniła Kornelię, że dziewczynkom będzie u nich dobrze.

„Właściwie to ja chyba najbardziej to wszystko przeżywam” – dotarło do niej, gdy szybkim krokiem maszerowała w kierunku rynku. Na wszelki wypadek włączyła na telefonie nawigację, ale droga okazała się dość prosta. Przedszkole było bardzo blisko różowej kamienicy.

Do domu dotarła na tyle wcześnie, że zdążyła wejść na górę i napić się herbaty. A potem z duszą na ramieniu z powrotem zeszła na dół, do cukierni.

Nie wiedziała jeszcze, co dziś będzie robić, ale Klementyna powiedziała jej wczoraj, że codziennie tuż przed otwarciem lokalu robią sobie na dole małe zebranie i tam każdy dostaje szczegółowe instrukcje.

Brzmiało groźnie.

Okazało się jednak, że zebranie jest niczym innym jak wspólną kawą. Gdy weszła do cukierni, przy jednym ze stolików siedziała już Klementyna, jej babka i jakaś nieznajoma kobieta z płomiennie rudą burzą włosów. Zanim jeszcze je sobie oficjalnie przedstawiono, Kornelia domyśliła się, że to musi być Ruda Fela.

– No to tak... Rano będę tu z wami na dole. – Klementyna pochyliła się nad rozłożonym na blacie kalendarzem. – Fela, ty to wiesz, co masz robić, nie będę sobie języka strzępić. Babciu, jakbyś mogła dziś przygotować

kolejną porcję ciasta na pierniki, toby było cudnie. A ty, Kornelia – spojrzała na nią przelotnie – zajmiesz się przyjmowaniem zamówień, będzie trochę ludzi z rana, bo najczęściej przychodzą w drodze do lub z piekarni. Jak będziesz miała czas, pomożesz Feli. W sensie: obsługiwać klientów, nakładać ciastka na talerzyk albo pakować te na wynos do kartoników. Zresztą szybko się zorientujesz. Potem po południu trzeba będzie wycinać pierniki. Ale to na górze. W tym tygodniu muszę ozdobić całe mnóstwo serc, domków i mikołajowych sań. Nawet nie chcę mówić głośno ile...

– A te zamówienia to gdzie mam wpisywać? – zapytała Kornelia, rozglądając się dookoła i obrzucając zachwyconym spojrzeniem przeszkloną ladę, za którą piętrzyły się czekoladowe trufle obtoczone kawą, wiórkami kokosowymi i pokruszonymi ciasteczkami. Do wyboru, do koloru. Tuż obok nich pyszniły się babeczki z kremem budyniowym i malinami, minibezy pavlova z owocami. Drożdżówki rumieniły się wdzięcznie kruszonką i kusily opisami: z serem i nutką pomarańczy, cynamonowe zapomnienie, migdałowy zawrót głowy.

– Tu jest zeszyt – uśmiechnęła się do niej uspokajająco Fela, wytrącając Kornelię z pełnego zachwyty zapatrzenia. – I nic się nie bój. Każdy z nas kiedyś zaczynał, dasz radę – dorzuciła przyjaźnie.

I rzeczywiście Kornelia dawała radę. Prawdę mówiąc, działało się tyle, że nie miała nawet chwili, żeby się dodatkowo zestresować.

Najpierw – tak jak przewidziała Klementyna – pojawiło się mnóstwo klientów z zamówieniami świątecznymi. W pewnym momencie zrobiła się nawet mała kolejka, bo Kornelia nie nadążała z zapisywaniem.

– Kurczę, nie sądziłam, że ludzie już myślą o świętach – powiedziała, gdy na moment zostały same. – Tyle zamówień! I to często klanowych: dla mamy, babci, cioci, kuzynki – potrząsnęła głową.

– Bo zazwyczaj jeszcze nie myślą. Ale u nas jest inaczej – mruknęła Fela, spoglądając na Klementynę, która właśnie zniosła z gór dwie blachy rozsiewające wokół siebie obłądnie obezwładniający aromat. – U nas wszyscy wiedzą, że takich ciast nie zamówią nigdzie indziej. I wszyscy chcą mieć na świątecznym stole coś, co wyjdzie spod rąk Tyśki. Taką tu mamy wiarę, że to przynosi szczęście. Że ona czaruje te swoje pierniki i makowce. Tylko wiesz, w taki dobry, ludzki sposób. Więc się spieszą z zamówieniami, żeby zdążyć.

– Fela, nie opowiadaj tego Kornelii, bo jeszcze dojdzie do wniosku, że mamy tu istną Konopielkę. A teraz weźcie to ode mnie i zanim wyłożycie, spróbujcie. – Klementyna postawiła formy z ciastami na ladzie. – Bo to eksperyment. Pierwsze to ciasto pistacjowe z malinami, a drugie śliwka z czekoladą z nutką pomarańczy i marcepanu... Właściwie marcepan jest bardziej grudniowy, ale najpierw muszę zrobić partię próbną i zobaczyć, czy się przyjmie – dorzuciła, odkrawając po sporym kawałku i nakładając na talerzyki, które postawiła przed Felą i Kornelią.

– Matko, obłądne! – mruknęła Kornelia.

– Prawda! To z pistacją numer jeden – potwierdziła Fela rozanielonym głosem.

– Nie zgadzam się! Pistacja jest pyszna, ale śliwka wręcz boska! To jest pokusa! Namowa do słodkiego grzechu! I to takiego, z którego nikt nie będzie cię rozliczał. – Kornelia przymknęła oczy.

– Aha, poza twoimi dzinsami – zaśmiała się Fela. – Przygotuj się, one nie wybaczą, ja już musiałam wymienić dużą część ciuchów. Oho, Stara Anna do nas idzie – dodała na wydechu.

– Ostatnio Annę ciągnie do żywych – mruknęła Klementyna, spoglądając w stronę przeszklonej witryny. – W zeszłym roku rzadziej schodziła do Miasteczka...

Słyszając to, Kornelia uniosła pytająco brwi i zerknęła w stronę Feli. Ta nie wydawała się zdziwiona. A Kornelia nie miała jak podpytać, o co chodzi z tym ciągnięciem do Miasteczka i do żywych, bo Anna właśnie wchodziła do cukierni.

Przywitały się z nią, Klementyna nałożyła starszej pani po kawałku ciasta i przygotowała duży kubek herbaty.

– Od razu możesz zrobić i mnie – rozległ się za ich plecami głos babki Agaty. – Zobaczyłam cię z okna, jak idziesz, więc pomyślałam, że zejść i trochę ci z rana krwi napsuję – zwróciła się do Anny.

– No to chodź, popróbujemy swoich sił, stara cholero – odpowiedziała Anna z błyskiem w oku i obie staruszki zgodnie zarechotały.

– Nie przejmuj się, to norma – mruknęła do Kornelii Ruda Fela. – One tak mają. Stara cholera to i tak najłagodniejsze z określeń, jakimi się obrzucają. Ale wiesz, kto się lubi, ten się czubi. Znają się od przedwojnia. Jak się ich posłucha, to niezłych rzeczy można się dowiedzieć. Stara Anna na przykład mówiła, że z Agaty to było niezłe ziółko. Wyobraź sobie, że podobno jak uważała, że któraś z jej koleżanek źle wychodzi za mąż, to bilecik z życzeniami rozpoczynała od słów: „Z wyrazami głębokiego współczucia”, i na ślub wkładała czarną suknię, choć wiadomo przecież, że na ślubie taka czarna sukienka to nic innego jak ściągnięcie pecha – jeszcze bardziej zniżyła głos, choć starsze panie siedziały na tyle daleko, że raczej nie mogły ich słyszeć.

– No to rzeczywiście wygląda na to, że z pani Agaty była niezła szelma...

– Nie pochlebiaj sobie, dziewczyno, nie tylko była, ale nadal jest. I nie szelma, tylko przynajmniej diabelskie nasiennie, szanujmy się – parsknęła Agata ku ogromnemu zdumieniu Kornelii.

– Nie przejmuj się – zaśmiała się Klementyna, widząc osłupiałą minę swojej nowej pracownicy. – One obie utrzymują, że są przygłuche, ale, o dziwo, zawsze słyszą, gdy jest to dla nich wygodne. A te historie wszyscy znają, żadna tajemnica, prawda, drogie panie? – zwróciła się do starszek.

– A jest co ukrywać? Kiedyś to się człowiek umiał bawić, nie to co teraz – wzruszyła ramionami babka.

– No teraz to jeszcze powinnyśmy dodać: kiedyś to było lepiej – dorzuciła ubawiona Anna. – Tym podobno łądzą się wszyscy starcy i jeszcze usiłują te brednie wmawiać innym. Oho, Stawińska idzie – dorzuciła nagle, wychylając się zza stołu i spoglądając w kierunku wystawowego okna.

Ledwo to powiedziała, do cukierni weszła pulchna kobieta, starannie umalowana, z wiśniowymi ustami w ciup, z podtapirowanymi blond włosami.

– Chciałam złożyć zamówienie, słyszałam, że już przyjmujecie – powiedziała bez wstępów.

I Kornelia już przywoływała na twarz uprzejmy uśmiech, zamierzając powiedzieć, że zaprasza tu do siebie i już wszystko zapisuje, ale nie zdążyła, bo uprzedziła ją Klementyna.

– Niestety, pani Stawińska, ale spóźniła się pani – powiedziała, stając koło Kornelii i zamykając z trzaskiem leżący na ladzie zeszyt.

– Ale jak to się spóźniłam? – zdumiała się. – Przecież ja zawsze zamawiam, od początku. I dużo biorę, i dobrze płacę! Może warto pamiętać, że o takich klientów trzeba dbać! – podniosła nieznacznie głos.

– Dbam, o tych najlepszych oczywiście dbam, jak mogę – w głosie Klementyny zadźwięczało coś, co zdumiało Kornelię.

Nie znała jej wprawdzie zbyt dobrze, prawdę mówiąc – prawie w ogóle, ale już się zorientowała, że Klementyna po prostu lubi ludzi. I ich szanuje.

Tu wyraźnie było inaczej. Wobec Stawińskiej była wprawdzie wystudiowanie uprzejma, ale jednocześnie były od niej chłód i niechęć.

– No niestety, pani Stawińska, nic z tym nie zrobię – dorzuciła stanowczo, widząc, że tamta nie zamierza rezygnować.

– Czyli co? Nie mogę złożyć świątecznego zamówienia? – widać Stawińska rzadko kiedy spotykała się z odmową.

– Tak wyszło. – Klementyna położyła splecione dłonie na ladzie i spojrzała kobiecie w oczy. – W zeszłym roku pani sąsiadka też myślała, że nie może, gdy wysłała pani do niej listonosza z taką informacją – dorzuciła pozornie niewinnym tonem. – Dobrze, że listonoszowi zrobiło się jej żal i przyszedł do mnie się za nią wstawić. Sama nie mogła, bo z ciężką gripą leżała. Ale to akurat pani wie, niepotrzebnie język sobie strzępię... – dorzuciła tak ostro, że Kornelia aż się wzdrygnęła.

Kompletnie nie rozumiała, o co tu chodzi, lecz i tak było jasne, że Klementyna właśnie wyrównuje z paniusią z ustami w ciup jakieś rachunki.

– To jest po prostu nie do pojęcia – wysyczała w końcu tamta.

– A tu się z panią zgadzam – przytaknęła ze stoickim spokojem Klementyna.

– Ja tego tak nie zostawię! Do tej pory wszystkim polecałam tę norę! Bo życzliwa jestem! Nowa przyjechała, nieobyta, to jej pomogę...

– Te, Stawińska, a kiedy ty ostatnio na cmentarzu u matki byłaś, co? – nieoczekiwanie odezwała się Stara Anna, której do tej pory awanturująca się kobieta widocznie nie widziała, bo teraz obejrzała się z wyraźnym zdumieniem na twarzy.

– O, Stara Anna – wyrwało jej się, nim zdołała się opanować.

– Dla kogo Stara Anna, dla tego Stara Anna, dla ciebie smarkulo: pani. A pamiętasz, co ci matka przed śmiercią powiedziała? Żebyś jej płyty na grobie nie kładła?

– A skąd Anna... To znaczy skąd pani to wie? – wyjąkała tamta zaskoczona.

W jej oczach zamigotał strach.

– A była u mnie ostatnio na rozstaju dróg. Przecież wiesz, że ja zawsze pierwszego listopada ogień tam palę, specjalnie z myślą o tych, którzy po zaświatach błądzą. I żaliła się na ciebie. Zastanawiała się nawet, czy ci się jakoś nie przypomnieć, za tę złamaną obietnicę, bo przecież jej obiecałaś. A oni w tej wieczności to czasu na zastanawianie się mają aż nadto – zawiesiła złowróźnie głos, czekając, aż sens wypowiedzianych właśnie słów dotrze do Stawińskiej. – Odwiodłam ją od tego, bo duchy błąkające się wśród żywych zazwyczaj zwiastują kłopoty, ale kto wie, co będzie, gdy przyjdzie następnym razem. Ona tę swoją sąsiadkę bardzo lubiła – dodała Anna i ostentacyjnie odwróciła się tyłem do kobiety.

Stawińska przez moment stała nieruchomo, a potem odwróciła się na pięcie i prawie że wybiegła z cukierni.

– No to załatwione – Stara Anna przerwała panującą w pomieszczeniu ciszę. – Już nie mogłam jej słuchać! Ta dziewucha zawsze była głupia, ale teraz to już przeszła samą siebie! Obca przyjechała! Słyszałaś, Agato?

– A pewnie, że słyszałam, chciałam jej od siebie coś dołożyć, ale przyznam, że tego tekstu z jej matką tobym nie przebiła – zarechotała wyraźnie ubawiona babka Agata i ku zdumieniu Kornelii, Klementyny i Feli staruszki przybiły sobie piątkę.

– No to dopiero pachnie Konopielką i zabobonami rodem ze średniowiecza – mruknęła Fela.

– Matko i córko, a co to w ogóle miało znaczyć? – odezwała się w tym samym momencie Klementyna.

Kornelia, niezorientowana w sytuacji, przezornie milczała.

– To my raczej mogłybyśmy zapytać, dlaczego kłamliwie twierdziłaś, że nie możesz przyjąć jej zamówienia – wytknęła jej natychmiast babka Agata.

– I ja na to zaraz wyczerpująco odpowiem. Ale najpierw wy! Anno, ty tak na serio z tą jej matką? – W głosie Klementyny słychać było wahanie.

Na co dzień raczej starała się nie wchodzić w szczegóły życia Starej Anny. Szczególnie te związane z cmentarzem i jej znajomymi z zaświatów. I tak uważała, że jak na swoje potrzeby wie zbyt dużo. Ale teraz po prostu musiała się dowiedzieć.

– Serio, nie serio, białe albo czarne... Wszystko chcecie tak doprecyzować! Chłopak od nagrobków opowiadał, że jak stara Stawińska sobie miejsce zamawiała, to mówiła, że żadnej płyty nie chce. Tylko tablicę. Stąd wiem. Chociaż Stawińska szczęśliwa nie jest. Do ognia czasem przy...

– Dobrze, starczy, bo nie wiem, czy Kornelia jest gotowa na to, co zaraz może tu usłyszeć – zamachała ręką Klementyna.

– Pewnie, że nie jest – mruknęła babka Agata. – Na nas z Anną cały wielki świat nie jest gotowy, a co dopiero jedna dziewczyna! A teraz to ty lepiej powiedz, czemu od niej zamówienia nie przyjęłaś.

– A co tu mówić – wzruszyła ramionami Klementyna. – I tak już się wszyscy domyślacie. Ale zacznę od początku. Ja mam z tą Stawińską na pieńku od momentu, gdy przyjechałam do Miasteczka. Przyszła wtedy do mnie i zamówiła makowce. Nie podobała mi się za bardzo, zarozumiała, zadufana, nos prawie że na plecach. Ale wiecie, zamówienie to zamówienie. Poza tym mogłam się przecież pomylić, nie znałam jej. A jakiś czas później przyszła do mnie taka babina. Okutana w przedpotopowy kożuch, na głowie wełniana chusta. Właściwie to spod tej chusty wyglądały tylko oczy. Zapytała, czy to ja jestem panienką od tych przedwojennych

ciastek, bo jeżeli tak, to ona przyszła ode mnie makowiec wyprosić. Tak dokładnie powiedziała: „wyprosić”, i dorzuciła, że oczywiście nie chodzi o to, że nie zapłaci, tylko że ludzie gadają, że ze mnie jest straszny nieużytek i że trzeba się potwornie o te moje ciasta naprosić, nabłagać, więc ona postanowiła od razu powiedzieć co i jak. – Na wspomnienie tamtej rozmowy Klementyna pokręciła głową i parsknęła śmiechem. – A potem powiedziała, że ma sąsiadkę, Stawińską właśnie, i że ona już sobie u mnie makowiec zaklepała. I że teraz się nad nią, w sensie babiną, pastwi, tym makowcem ode mnie. Nie rozumiecie? No widzicie, ja też nie rozumiałam. W końcu babina powiedziała, że zawsze powtarzała, że makowiec na stole wigilijnym musi być, a Stawińska do ciast ma dwie lewe ręce. I że strasznie ją denerwowało, że babinie takie ładne rumiane wychodzą, a u niej zawsze coś nie tak: a to przypaliła, a to nie dopiekła, a to z blachy nie można było ich wyjąć. I że zazdrościła babinie strasznie tych jej wypieków, a teraz tym moim makowcem jej dokucza. Nadal nic z tego nie pojmowałam, oprócz tego, że babina umie piec, więc jej powiedziałam, że przecież jej makowiec wcale nie musi być gorszy od mojego. A ona mi na to, że wcale nie mówi, że jest gorszy, ale że ona go zrobić nie może. I pokazała mi swoje ręce. Nadgarstki i dłonie powykręcane artretyzmem. Wtedy zrozumiałam. A potem babina jeszcze dorzuciła, że taki kupny ze sklepu to nie to samo co taki z sercem robiony, i rozbroiła mnie tym zupełnie. I wiecie, ja do tej pory pamiętam, co ona mi wtedy jeszcze powiedziała. Że ją to potrójnie boli. Bolą ręce, tak zwyczajnie, i że do tego idzie przywyknąć, ale boli też serce, jak patrzy na złą radość swojej sąsiadki, i boli brak makowca, takiego w domu robionego, na stole. Bo bez makowca wigilia nie będzie miała właściwego smaku, a poza tym przecież mak zapewnia dobrobyt na cały przyszły rok. I wiadomo, że obiecałam jej ten makowiec zrobić. W zeszłym roku Stawińska znów do mnie przyszła, ale potraktowałam ją jak normalną

klientkę. W końcu wszyscy zamawiali, to i ją wpisałam. A dopiero potem listonosz przyniósł mi te rewelacje. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi, że Stawińska podpuściła chłopaka, żeby zawczasu babinie powiedział, że już nie można składać zamówień. A że tamta chora leżała, to nie mogła sama do mnie przyjść. Oczywiście w rezultacie i tak dostała ode mnie i makowiec, i piernik. I w sumie to może i dobrze, że nie dotarła tu o własnych siłach, bo nie wiem, co bym zrobiła z kolejnym dowodem wdzięczności od niej. – Klementyna śmiała się już na całego.

– Przepraszam, ale tym razem to kompletnie nic z tego nie rozumiem – wyznała skonsternowana Kornelia.

– Poza tobą wszyscy wiedzą, o czym mówię, chociaż pewnie nie kojarzą. Ale wystarczy, że powiem Pasztet... – zawiesiła znacząco głos.

– Aaaa, czyli to ona – mruknęła babka Agata, a Fela i Anna zaśmiały się pod nosem.

– Ona, ona. A tobie, Nelia, z dobrego serca powiem, że jeżeli któryś z mieszkańców powie ci, że się odwdzięczy, za cokolwiek, pięć razy się zastanów, zanim się zgodzisz. Bo widzisz, jak przyjąłam to zamówienie na makowce, to babina powiedziała, że po pierwsze, to wcale nie jest ze mnie taki straszny sobek, jak mówią, a po drugie, to ona mi się odwdzięczy. I zapytała, czy lubię pasztet. Potwierdziłam, bo bałam się ją urazić, a poza tym nic przeciwko pasztetowi nie miałam. Tyle tylko że nie spodziewałam się, że dostanę zestaw do samodzielnego złożenia...

– To znaczy? – zmarszczyła brwi Kornelia.

– To znaczy królika. – Klementyna pokładała się ze śmiechu. – I żeby nie było, nie jakiegoś mikrusa, o nie! Dostałam królika rasy mięsnej! Z oczami jak paciorki i z różowym ruchliwym noskiem. Babina usłudźnie zapytała, czy ma doprawić po swojemu. Zabrałam czym prędzej kosz z królikiem z zasięgu jej rąk i tak oto mam królika Paszteta w domu. Jest

mniej więcej wielkości porządnego pieska. W sumie biorąc pod uwagę, że z kolei mój pies jest wielkości niedźwiedzia, to wszystko się zgadza. W każdym razie jak ktoś zapyta, czy lubisz pasztet, mów nie! – Klementyna otarła załzawione ze śmiechu oczy. – Wracając do meritum, to w tym roku postanowiłam być asertywna i powiedzieć Stawińskiej „nie”. A przy okazji dać jej do zrozumienia, że wiem, że chciała moją babinę oszukać. No i z waszą pomocą udało mi się. Choć jak było widać na załączonym obrazku, bycie asertywną nie jest łatwe – dorzuciła z westchnieniem.

– Łatwo, niełatwo, ale dobrze jest się jednak to „nie” nauczyć mówić – mruknęła Anna, siorbiąc z kubka herbatę. – Na pewno lepiej niż z grzeczności na wszystko się godzić. Pamiętasz młodą Zielińską? – zwróciła się do Agaty.

– A jakże miałabym zapomnieć! Tak spolegliwej istoty nigdy w życiu nie widziałam – parsknęła babka. – Na wszystko, wszysciuteńko odpowiadała po prostu: „A właściwie czemu ni, niech już tak będzie!”.

– I wyobraźcie sobie, takim właśnie sposobem za mąż wyszła – zarechotała Stara Anna. – Pamiętasz, Agato? Za Wieśka Sałatę. On też był taki trochę nie tego. A poza tym taką właściwość miał, że jak zniknął człowiekowi z oczu, to natychmiast przestawało się o nim myśleć. Taki człowiek bez właściwości. I mało konkretny był. Widać jego matka dość już miała tego jego niezdecydowania i postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Któregoś dnia przyszła do Zielińskiej. Usiadła przy stole. „A ty byś za mojego Wieśka nie wyszła? – zapytała. – Bo on za tobą od dawna oczami wodzi, ale głupie to, to i nie rozumie, że od samego patrzenia to mu się baba pod pierzyną nie pojawi. A baba to by mu się zdała. To co, Helu, pójdiesz za Wieśka?” I jak myślicie, co Zielińska na to odpowiedziała? – Stara Anna pytająco zawiesiła głos.

– No nie mówcie tylko, że powiedziała: „A właściwie czemu ni?” – Klementyna parsknęła śmiechem.

– Dokładnie tak! I dodała oczywiście to swoje nieśmiertelne: „niech już tak będzie” – zachichotała babka Agata.

– No to w takim razie stanowczo wolę ćwiczyć asertywność – mruknęła Ruda Fela.

– Ja również, nawet jeżeli jest to żmudne i trudne – zgodziła się z nią Tyśka. – Dobrze mi tu z wami, ale niestety muszę lecieć na górę, ciasta się same nie zrobią. I chyba zabiorę wam Kornelię. Teraz będzie mniejszy ruch. Fela, dasz sobie radę, a ja w kuchni mam urwanie głowy i każda para rąk się przyda – dodała.

Idąc za Klementyną, Kornelia poczuła, że żołądek znów jej się zaciska. Bała się, że sobie nie poradzi. Ale i ten lęk okazał się kompletnie nieuzasadniony. Wałkowanie ciasta na pierniki nie było trudne. Bardziej męczące, szczególnie dla kogoś niewprawnego, ale tym akurat Kornelia nie zamierzała się przejmować. Po pierwsze, skoro teraz miała się tym zajmować, to musiała przywyknąć, a po drugie, zmęczenie było jej na rękę.

„Przynajmniej jest szansa, że usnę” – pomyślała i wzięła od Klementyny przygotowane wcześniej foremki, żeby zabrać się do wykrawania ciasteczek.

I rzeczywiście po całym dniu pracy, rozmowach z ludźmi, którym kompletnie nie przeszkadzało, że wcale się nie znają, po odebraniu dziewczynek z przedszkola i zrobieniu pospiesznych zakupów, po zjedzeniu wspólnej kolacji, wykąpaniu małych i obejrzeniu filmu z Basią Kornelia ledwo dowlokła się do łóżka. Usnęła, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki. Nawet nie zdążyła pomyśleć o pigułkach na sen.

Następne dni mijały nie wiadomo kiedy. Kornelia uczyła się nowego fachu, coraz szybciej rozwałkowała ciasto, coraz sprawniej wykrawała z niego najróżniejsze piernikowe kształty. Zaczynała kojarzyć ludzi, którzy wpadali do kuchni Klementyny, i nawet nie zauważyła, że sama zaczyna ich zagadywać. I że coraz częściej się uśmiecha.

Wieczory spędzała razem z dziewczynkami, ku jej uldze Basia wyraźnie odżyła. Nadal miała ten dorosły smutek w oczach, ale przynajmniej przestała wodzić za nią nieufnym spojrzeniem, jakby tylko czekała, aż Kornelia znowu zaszyje się w łóżku. Zresztą zdarzało się, że zaglądała do niej do sypialni i czujnie zagadywała.

Kornelia chciała zapewnić córkę, że akurat tym nie musi się przejmować. Że nie zamierza po raz kolejny zapaść w sen. Że już nie sięgnie po proszki, bo nigdy w życiu nie chce ponownie stracić ich z oczu, nigdy, przenigdy nie chce doświadczyć tak wielkiego strachu jak wtedy, gdy dziewczynki zniknęły. Ale wiedziała, że takie deklaracje nic nie znaczą. Basia po prostu musiała na nowo jej zaufać, a na to potrzeba było czasu.

Do swojego rzeszowskiego mieszkania nie tęskniła w ogóle. Za ludźmi tak. Brakowało jej częstych odwiedzin Miłki, gromkiego głosu Ryszarda i cieplej, serdecznej Salci. Telefony, choć częste, nie były jednak tym samym co odwiedziny. I nawet nie chodziło o to, że czuła się osamotniona, bo w tym miejscu to było po prostu niemożliwe. Brama różowej kamieniczki praktycznie nigdy się nie zamykała, a kuchnia Klementyny, gdzie Kornelia spędzała najwięcej czasu, rzadko kiedy była pusta. Przewijali się przez nią zaprzyjaźnieni policjanci, a doktor Piotr, jak tylko nie był w szpitalu, to najczęściej siedział właśnie tam. Stara Anna zaglądała

regularnie, przychodził kościelny, żona komendanta policji, pani Srebrna, i mnóstwo innych ludzi, których Kornelia jeszcze nie kojarzyła. Na weekend wpadł też Kuba – z tego, co Kornelia zdążyła się zorientować, facet Tyśki. Widać było, jak bardzo są za sobą stęsknieni i jak ładnie się kochają. Patrząc na nich, Kornelia pomyślała ze smutkiem, że im zazdrości. Ale nie tak paskudnie i zawistnie, nie. W jej samotności zwyczajnie nie było już miejsca na takie uczucie, i tego było jej szkoda. Raz przyjechała też z Rzeszowa Imka. Przy okazji przywiozła Kornelii i dziewczynkom trochę książek, które Miłka na ich prośbę przygotowała i przekazała przyjaciółce Tyśki. Tak więc Kornelia nie mogła narzekać na brak towarzystwa albo serdeczności, ale to zwyczajnie nie byli JEJ ludzie. Choć wszyscy byli kochani. A Klementyna najbardziej. Bez żadnego wahania, cienia wątpliwości przytuliła i ją, i dziewczynki do całej swojej rodziny.

Kornelia była za to wszystko bardzo wdzięczna. Ale niezmiernie się ucieszyła, gdy któregoś dnia nieoczekiwanie wpadł Ryszard z Salcią i zostali do późnego wieczoru. Dziewczynki na ich widok o mało co nie oszalały z radości. Nawet w oczach Basi na moment zamigotały iskierki radości.

Miłka też wpadła do nich dwa razy. Ale nie mogła zostać długo.

– Pod koniec grudnia będzie lepiej – obiecała, gdy się ostatnio żegnały. – Przyjadę na święta i zostanę do Nowego Roku. A teraz tak zupełnie zmieniając temat, to pamiętasz o moich listach? Bo wiesz, ten pierwszy to mogłabyś już otworzyć – dodała, nie czekając na odpowiedź przyjaciółki.

A potem pojawiły się dziewczynki, żeby się pożegnać, i ku ogromnej uldze Neli temat nie wrócił.

Tego samego wieczoru, gdy Basia i bliźniaczki już spały, dotarło do niej, jak bardzo w ciągu tak krótkiego czasu zmieniło się życie ich

wszystkich. Bez proszków czuła je dużo bardziej, czasem obcierała się boleśnie o krawędzie i ostre kanty, ale jednocześnie była częścią tego, co dobre. Przytulała dziewczynki, czytała im na dobranoc, oglądała z nimi filmy. Była z dziećmi. Razem. I za to razem właśnie była ogromnie wdzięczna.

Podeszła do okna i spojrzała w rozgwieżdżone granatowe niebo.

– Dziękuję! Jest już lepiej – szepnęła, zastanawiając się, do kogo właściwie powinna skierować te słowa.

Do Michała, do losu, może do jakiegoś opiekuńczego bóstwa? Nie miała pojęcia, więc na wszelki wypadek postanowiła mówić tak ogólnie, żeby nikt nie poczuł się pominięty.

– Dużo lepiej... – ciągnęła. – Jeszcze mi trochę brakuje wprawy w poruszaniu się w codzienności, trochę tam u mnie w sercu jeszcze ciemno, ale w końcu i dla mnie rozbłyśnie światło i jeżeli ktoś tam mnie słyszy, to wcale się nie obrażę, jeżeli mi tę drogę oświetli – dokończyła cichutko.

I wtedy jej spojrzenie powędrowało w kierunku kopert od Miłki. Poczowała, że nie powinna dłużej zwlekać. Że jutro jest ten właściwy dzień, dzień odhaczenia pierwszego punktu z listy, która miała jej pomóc oswoić przedgrudniowy i grudniowy czas.

Pierwsza koperta, ta, którą miała otworzyć jeszcze w listopadzie, była najgrubsza.

Kornelia najpierw przesunęła po niej kilka razy palcem, a potem wzięła głęboki oddech i ją rozerwała.

– Raz kozie śmierć – mruknęła do siebie i zajrzała do środka.

Znalazła tam kolejną, nieco mniejszą, ozdobną, a w niej dwie kartki, jedną zwykłą, wyrwaną z zeszytu, złożoną na cztery, a drugą grubszą, połączoną na brzegach. Na tej ozdobnej widniało krótkie zdanie:

„Zrób nalewkę bożonarodzeniową”.

Kornelia lekko uniosła brwi.

Szczerze mówiąc, spodziewała się czegoś straszniejszego.

Chyba że to gorsze było na drugiej, złożonej na cztery kartce.

Rozłożyła ją czym prędzej.

Ale znajdował się tam wyłącznie niewinnie wyglądający przepis.

NALEWKA BOŻONARODZENIOWA – PRZEPIS:

150 g śliwek suszonych – zwykłych, nie wędzonych

150 g moreli suszonych

150 g daktyli suszonych

150 g fig suszonych

150 g żurawiny suszonej

100 g drobnych rodzynek

8 cienkich plasterków świeżego imbiru

2 cytryny

2 pomarańcze

3 mandarynki

100 g orzechów włoskich

4 łyżki miodu

200 g brązowego cukru

1–2 kawałki cynamonu dł. 5–8 cm

6 ziaren kardamonu

1 laska wanilii

7 goździków

litr spirytusu 96%

litr wody

„Sporo składników” – stwierdziła i pomyślała, że będzie musiała wybrać się dziś na zakupy. O ile oczywiście Klementyna puści ją po południu, bo w Miasteczku sklepy były czynne nie dłużej niż do osiemnastej i to też nie wszystkie.

– A dlaczego miałybyś nie móc iść? – zdziwiła się Klementyna, odstawiając na stół kubek z kawą.

– Bo to czas pracy – wyjaśniła Kornelia. – Ale otworzyłam pierwszą kopertę, wiesz, z tych, które dostałam od Miłki...

– Otworzyłaś? Nareszcie – przerwała jej wyraźnie podekscytowana Klementyna, która o tajemniczej liście zadań wiedziała już wcześniej, bo Nelia kiedyś o niej nieopatrznie wspomniała. Od tamtego czasu Tyśka nie dawała jej spokoju i cały czas dopytywała o koperty. – I jakie jest pierwsze zadanie? – W jej oczach błyszczało autentyczne zaciekawienie.

– Mam nastawić nalewkę. Muszę kupić mnóstwo rzeczy. Imbir, pomarańcze, śliwki suszone, mandarynki i takie tam, mam listę... Ale jest tego naprawdę dużo. Na bogato.

– Wiesz co, to w takim razie idź od razu – poradziła jej Klementyna. – Teraz jest jeszcze widno i może w końcu obejrzysz sobie Miasteczko, bo tak naprawdę siedzisz tu od rana do późnego popołudnia, a czasem nawet wieczorami. Mam wyrzuty sumienia, że nie masz przeze mnie żadnego życia.

– Ludzie to chyba nazywają pracą – zaśmiała się Kornelia. – I zauważ: ja nie narzekam!

– Taaa, Imka mi zawsze powtarza, że praca rujnuje ludziom życie, a potem dodaje, że życie na trzeźwo jest nie do wytrzymania. To tak w nawiązaniu do twojej nalewki... I wiesz co, tak sobie pomyślałam, że jakbyś kupiła podwójną ilość tego, co tam jest potrzebne, to może ja też bym zrobiła swoją? Albo jeszcze lepiej, wieczorem otworzę wino i razem byśmy te swoje nalewki przygotowały, co ty na to? – zerknęła na Kornelię spod oka.

– Super, brzmi rewelacyjnie – ucieszyła się Nelia.

– To co, ty leć po te wszystkie akcesoria... Tylko słoje nie kupuj. Mam kilka w spiżarni. I w ogóle masz dzisiaj wolne, bez dyskusji – zastrzegła, widząc na twarzy Kornelii wahanie. – Pamiętaj, kto jest twoją szefową – dorzuciła, zaglądając do piekarnika, w którym pyszniło się przepięknie wyrośnięte drożdżowe.

– Cóż, fakt nie opinia i nie pozostaje mi nic innego, jak ustąpić przed przemocą – zaśmiała się w odpowiedzi i już jej nie było.

Najpierw wbiegła na górę, żeby się przebrać w coś, co dla odmiany nie jest utyłane ciastem i oprószone mąką, a potem, gdy wyszła już z bramy różowej kamienicy, przez chwilę stała niezdecydowana, w którą stronę ma pójść. Czuła się niesamowicie podekscytowana, miała dzień wolny! I mogła z nim zrobić, co chce. Nie musiała się spieszyć.

W związku z tym postanowiła pójść na żywioł. Przecięła na ukos rynek i zapuściła się w losowo wybraną uliczkę.

„Niech tym dniem rządzi przypadek” – pomyślała, rażno maszerując przed siebie.

Nie miała pojęcia, że coś takiego jak przypadek nie istnieje. I że idzie dokładnie tam, gdzie tego dnia powinna trafić.

Tak już się dzieje, gdy jest się pod opieką duchów świąt i gdy wypowiada się życzenia i prośby we właściwym czasie.

Sklepek na pierwszy rzut oka wyglądał niepozornie. Wciśnięty pomiędzy kwiaciarnię i skład z narzędziami nikł i łatwo go było przeoczyć. Kornelia też najpierw przeszła obok, nawet nie patrząc na sklepek, ale zawróciła, bo jej wzrok przykuła wystawa po drugiej stronie uliczki. I wtedy to zobaczyła. Stała jak wryta. Podeszła do wystawy i wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczami. Stały tam lampy. Duża część z nich lata świetności miała już za sobą. Ktoś, kto zajmował się wystawą, nie miał do tego drygu, bo nawet te, które były dobrze zachowane, poustawiane były bez ładu i składu, tłoczyły się, wpadały na siebie. Traciły na uroku. Ale w tym momencie Kornelii to kompletnie nie interesowało, bo widziała tylko jedną z nich.

Z mlecznym kloszem, z filigranową i fantazyjną szklaną falbanką na górze i koralikowymi frędzelkami... Dokładnie taką, jaką lata temu sobie wymarzyła. Tę, którą miała nadzieję kupić w sklepiu, tym nigdy przez nich z Michałem nieznanym...

I zaraz... Jak to było? Jak to ona wczoraj powiedziała?

Że wierzy, że w końcu i dla niej rozbłyśnie światło i że jeżeli ktoś tam ją słyszy, to może jej tę drogę oświetlić?

Jakoś tak.

Chyba właśnie dostała odpowiedź. Stało przed nią jej własne, wymarzone światło.

Jak zahipnotyzowana weszła do sklepiu. Kompletnie nie interesowało ją to, że sprzedawca jest gburowaty i nieprzyjemny. Modliła się tylko, żeby lampa nie była poza jej zasięgiem finansowym.

Tym razem została wysłuchana. Zapłaciła i wyszła, trzymając przedmiot ostrożnie w ramionach. Nie zważając na to, że z poszarzałego nagle nieba

zaczyna siąpić dokuczliwa mżawka, przysiadła na pobliskiej ławce i czule pogładziła mleczny klosz.

„A może ja przez te wszystkie lata nie mogłam na nią trafić, bo nie była mi tak bardzo potrzebna? Może to musiało się wydarzyć właśnie teraz, gdy jak nigdy potrzeba mi jasności, ciepła, opiekuńczego kręgu światła, w którym można się schronić?”

Wiedziała już, gdzie lampa stanie, właściwie nie musiała się nad tym zastanawiać. Po prostu jej miejsce było na szerokim parapecie w jej sypialni. Tak żeby była widoczna z ulicy, tak żeby Kornelia, wracając do domu, mogła widzieć jej ciepły blask. Tak żeby czekało i na nią, i na dziewczynki ich własne światełko w oknie.

Gdy Kornelia w końcu otrząsnęła się ze wzruszenia i zdumienia, dotarło do niej, że siedzi na zimnej, mokrej ławce, z ciemnych chmur siąpi deszcz, a ona nadal nie ma nic do zrobienia nalewki. I że w stanie oszołomienia, w którym kupowała lampę, nie poprosiła gburowatego sprzedawcy, by ją zapakował, tak żeby mogła ją w bezpieczny i wygodny sposób zanieść do domu.

Oczywiście nadal była obok i mogła tam wrócić, ale nie bardzo chciała. Facet nie należał do nadmiernie życzliwych. I to delikatnie mówiąc. Westchnęła i jej spojrzenie powędrowało do wystawy, która przyciągnęła jej wzrok, zanim zobaczyła lampę.

No tak, miała tam podejść, bo i wystawa przyciągała oko, i nazwa sklepu była intrygująca.

„Czas Niesłusznie Miniony” – głosił zielony szyld zawieszony nad drzwiami.

Wstała z ławki i z lampą w objęciach podeszła do wystawy. Już wiedziała, że pierwsze wrażenie jej nie oszukało. Wystawa urządzona była jak miniaturowy pokój dziecięcy. Na stojącym w rogu, małym bujanym foteliku siedział stareńki pluszowy miś. Miał oklapnięte uszko, zupełnie jak Miś Uszatek, jej dobry znajomy z dzieciństwa, choć na tym klapnięciu podobieństwo do tamtego misia się kończyło, na półeczkach siedziały lalki w wytwornych strojach. Na okrągłym stoliku stała lampa dorożkarska, przerobiona tak, że idealnie pasowała do tego wnętrza.

„Będę musiała tu wrócić” – pomyślała i w tym momencie mżawka zamieniła się w ulewę.

Kornelia, niewiele się zastanawiając, z przyciśniętą do piersi lampą prawie że wbiegła do sklepu.

– Dzień dobry – powiedziała do stojącego za ladą mężczyzny i z zakłopotaniem zauważyła, że z przemoczonych włosów spływa jej woda.

– Dzień dobry, strasznie pani zmokła – powiedział ciepłym, zatroskanym głosem i Kornelia wiedziała już, że to zupełnie inny typ niż ten sprzedający lampy. – To ja może przyniosę z zaplecza ręcznik – dorzucił i nie czekając na jej odpowiedź, zniknął w pomieszczeniu obok.

– Rzeczywiście przeciwieństwo tamtego – mruknęła pod nosem i zauroczona rozejrzała się dookoła.

Zewsząd otaczały ją starodawne zabawki. A na największej ze ścian stały miniaturowe domki dla lalek. Było tam wszystko. W pełni wyposażone kuchnie, małe porcelanowe zastawy stojące na okrągłych stołach, łóżka wielkości pudełek od zapalek, na których leżały jedwabne poduszki. Na jednym z krzesełek wisiała tycia szydełkowa chusta.

Gdy odwróciła się nieznacznie i spojrzała na przeciwległą ścianę, zobaczyła stojącą pod nią, obitą zielonym pluszem kanapę. Siedziały na niej dwie porcelanowe lalki. Niby identyczne, ale jednak różniące się sposobem ułożenia włosów i czymś jeszcze. Kornelia podeszła bliżej i przykucnęła przed nimi. No tak, jedna z lalek miała oba kąciki ust nieco uniesione ku górze, a druga uśmiechała się troszkę krzywo, bardziej zawadiacko, jeden kącik podnosił jej się bardziej.

„Zupełnie jak u Amelki i Emisi” – uśmiechnęła się do siebie i w tym samym momencie właściciel sklepiku wrócił z ręcznikiem i z dwoma kubkami.

– Pomyślałem, że może napije się pani ze mną herbaty. Na zewnątrz leje, pani nie ma parasola... Ja też nie, więc nawet nie mogę pożyczyć. Najlepiej przeczekać – podał jej ręcznik. – Dziś odebrany z pralni – dorzucił, widząc jej wahanie.

– Nie, źle mnie pan zrozumiał – odpowiedziała szybko, ostrożnie postawiła lampę na ladzie i sięgnęła po pachnący lawendą materiał. – Dziękuję – dodała, wycierając mokre kosmyki. – A co do herbaty, to chętnie bym się napiła, ale nie chciałabym przeszkadzać...

– No tak, odciąga mnie pani od tego tłumu klientów – parsknął śmiechem, rozglądając się sugestywnie po pustym wnętrzu. – A poza tym i tak pani nie wypuszcze, zanim jej nie zapakuję – wskazał stojącą na ladzie lampę. – Widziałem ją ostatnio na wystawie u sąsiada. On jest trochę szorstki w obyciu, ale warto do niego zaglądać, bo trafiają się perełki. Ta lampa dorożkarska u mnie na wystawie też wzięta od niego.

„Szorstki w obyciu! Ten gbur i burak! Dobre sobie – przemknęło Kornelii przez myśl. – Trafił mi się dyplomata!”

– Właśnie się jej przyglądałam – wróciła do rozmowy. – Jest przepiękna. Można zapytać, ile kosztuje?

– Nie jest na sprzedaż – pokręcił głową. – Ale pasuje do witryny. To jak będzie z tą herbatą?

– No skoro pomimo tych tłumów mi ją pan proponuje, to nie odmówię – powiedziała. – I jeżeli rzeczywiście przy okazji zawinie mi pan w papier klosz i poratuje torbę, to będę wdzięczna. Nie pomyślałam o tym, gdy wychodziłam ze sklepu, chyba byłam za bardzo oszołomiona, bo ta lampa to spełnienie mojego dawnego marzenia... Takiego, wie pan, z zupełnie innego życia... Szukałam takiego modelu przez wiele lat i nigdy nie udało mi się znaleźć. Aż do dzisiaj – dorzuciła.

– Ja mam tak z lampą kolejową. Szukam takiej konkretnej, zaraz pani pokażę – sięgnął po telefon. – Gdzieś mam tutaj zdjęcie – mruknął, przewijając obrazki w aplikacji. – O jest, niech pani spojrzy, niewielka, ale piękna, prawda? – przesunął w stronę Kornelii telefon.

– Przepiękna! W ogóle stare rzeczy mają w sobie coś, czego w jakiś sposób brakuje tym nowym – powiedziała, przysiadając na krześle, które jej podsunął.

– To jest czas, który noszą w sobie. I historie. Złożone, wielowymiarowe. Każdy z tych przedmiotów niesie nie tylko swoją opowieść, ale opowiada też o ludziach, z którymi był związany. Na przykład tamte lalki, które pani oglądała. Wyjątkowe z wielu względów. Robione na specjalne zamówienie, żeby pasowały do dziewczynek, do których trafiły. To bliźniaczki i należały do bliźniaczek, które rozdzieliła wojna. Ale każda zabrała swoją lalkę. I po latach, proszę sobie wyobrazić, jedna z nich zobaczyła lalkę tej drugiej siedzącą w oknie. W jakimś przypadkowym mieście, gdzie zatrzymali się z mężem na obiad. Okazało się, że rzeczywiście tam mieszka jej siostra. Odnalazły się po latach... Gdyby nie ta lalka, nigdy by się nie spotkały.

– No to teraz już wiem, że bez nich nie wyjdę. Podobały mi się od samego początku, mam córeczki bliźniaczki i pomyślałam, że to byłyby dla nich piękny prezent. Ale jeszcze się wahałam. A teraz muszę je kupić. Bo one po prostu powinny trafić do bliźniaczek, to po pierwsze, a po drugie, nie powinny zostać rozdzielone. Ta historia... Pięknie pan opowiada, panie... – zamilkła, zdając sobie sprawę, że przecież nie wie, jak mężczyzna ma na imię.

– Jędrzej, bez pan – uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

– Kornelia, bez pani – podała mu dłoń.

A potem jeszcze przez dłuższy czas rozmawiali, pili herbatę. Kornelia znalazła też drobiazg dla Basi. Ozdobną secesyjną spinkę do włosów. A potem przestało padać, włosy jej przeschły, lampa i reszta zakupów zostały spakowane i nie pozostało nic innego, jak się pożegnać.

– Wiesz co, ja cię odprowadzę – zdecydował, widząc, jak bardzo jest obławiana.

– No co ty, Jędrzej, jesteś w pracy, deszcz ustał, ktoś może przyjść...

– To chwilkę poczeka, daleko mieszkasz? – uśmiechnął się, zarzucając na siebie kurtkę i odwracając wiszącą na drzwiach tabliczkę, tak żeby na zewnątrz widać było napis „Zaraz wracam”.

– Przy rynku – skapitulowała i pomyślała, że właściwie będzie jej bardzo miło pobyć jeszcze w jego towarzystwie.

Naprawdę, tak dobrze z kimś obcym i dopiero poznanym nie rozmawiało jej się od lat. Nie czuła przy nim skrępowania, nie brakowało jej słów ani tematów do rozmów. A jednocześnie Jędrzej nie zadawał krępujących i zbyt osobistych pytań. Po prostu było miło.

„O cholera, rzeczy na nalewkę – pomyślała, gdy już docierali do kamienicy. – Trudno, zaniosę zakupy na górę i pobiegnę po resztę...”

– To tutaj – zwróciła się do Jędrzeja, stając pod różową kamieniczką. – Od niedawna pracuję w cukierni.

– Tu na dole? – uniósł nieznacznie brwi.

– Dokładnie. Choć czasem pomagam Klementynie przy pieczeniu. I wtedy skoro jestem tam, to nie ma mnie tu...

– Cóż, w takim razie muszę częściej tu zaglądać. – Uśmiechnął się i podał Kornelii pakunki. – Właśnie uświadomiłem sobie, że za rzadko bywam w rynku – dorzucił. – Do zobaczenia, Kornelio – powiedział i odszedł powoli w kierunku uliczki, przy której mieścił się Czas Niesłusznie Miniony.

I gdyby Kornelia nie ruszyła od razu do bramy, tylko chwilę stała, zobaczyłaby, że Jędrzej kilka razy się za siebie ogląda. A gdyby była jeszcze bliżej, być może dostrzegłaby wyraz zastanowienia w jego oczach.

Od razu po wejściu do domu Kornelia rozpakowała lampę i postawiła ją na parapecie w pokoju, który był jednocześnie jej sypialnią i salonem. Pasowała tam idealnie. Wtuliła się w okienny kąć i gdy Kornelia nacisnęła włącznik, lampa rozjaśniła go ciepłym światłem, obejmując tym kręgiem oparcie fotela i leżące na nim książki. Zrobiło się przytulnie i jakoś tak jeszcze bardziej swojsko. Bezpiecznie.

Kornelia z czułością poruszyła koralikową zasłonką. Przez moment jeszcze rozkoszowała się widokiem zapalanej lampy, a potem wypakowała lalki i posadziła je na łóżeczkach bliźniaczek. Spinkę dla Basi położyła na toaletce w pokoju córki.

W pierwszym momencie zamierzała dać im to wszystko dopiero pod choinkę, ale potem pomyślała, że nie chce czekać. Chciała im zrobić niespodziankę. Dać coś bez okazji.

„Ucieszą się” – pomyślała, wychodząc do przedpokoju. Zmieniła wilgotny płaszcz na kurtkę i pognąła na zakupy.

W końcu na wieczór była umówiona z Klementyną. Na robienie nalewki, do której nie miała jeszcze ani jednego składnika.

Robienie nalewki okazało się niezbyt skomplikowane.

– Czekaj, najpierw trzeba przygotować słoje – Klementyna uważnie wczytywała się w kartkę, którą Nelia położyła na środku stołu. – Słój mój i słój twój obecne. Teraz rozlej wino...

– Do słoje? – zdumiała się Kornelia.

– Nie do słoje, tylko do kieliszków – zaśmiała się Klementyna, podając jej otwartą butelkę. – Stara prawda głosi, że nie można robić nalewki na sucho, bo się rozeschnie – dorzuciła, podstawiając Kornelii pusty kieliszek.

– Nie znam tej prawdy, ale skoro mówisz...

– To wiem – dokończyła Tyśka. – A teraz co dalej... Wszystko, co ma skórki (w sensie pomarańcza, cytryna i mandarynki) myjemy i kroimy w plasterki. Imbir też kroimy bez mycia – odczytała z kartki. – No to kroimy. Tylko poczekaj, najpierw przestawię Świętego Antoniego, bo mi go ktoś niefrasobliwie postawił pod ręką na szafce, a ja tutaj cały czas coś biorę, za chwilę biedny Antoni będzie musiał odszukiwać swoje kawałki, jak zleci stąd na łeb na szyję...

– A właśnie, o co chodzi z tą figurką? Bo ona nigdy nie stoi w jednym miejscu...

– Nie stoi, bo jak Antoni się tu zjawił, miał za zadanie pilnować nas wszystkich i odnajdywać tych, którzy są zagubieni, taką ma robotę. To mu ją ułatwiłszy i przenosimy go tam, gdzie najczęściej przebywamy. Żeby miał na bieżąco na wszystko oko. – Klementyna spojrzała na Nelię spod oka, zastanawiając się przez chwilę, czyby nie dodać, że ją też do tych pogubionych razem z Imką i babką zaliczyły, ale zrezygnowała. Ta wiedza Kornelii nie była potrzebna. Ważne, że Antoni wiedział.

– Słuchaj, mogę ci zadać jedno niezbyt dyskretne pytanie? – W jej rozmyślania wdarł się głos Nelii. Słysząc w nim było lekkie wahanie.

– Dawaj, najwyżej nie odpowiem – mruknęła Klementyna.

– Jak ty to robisz? – Kornelia na moment odłożyła nóż i pokręciła głową.

– Ale co? – nie zrozumiała Tyśka i spojrzała na nią pytająco.

– No to wszystko. – Nelia zatoczyła ręką w krąg. – Twój dom jest takim wymarzonym domem chyba każdego! Ludzie, zwierzęta, wszystko się do ciebie garnie! Jak to się robi, Tysia? Co powinnam wrzucić do swojego słoja?

– A tego to ja ci nie powiem. – Klementyna spoważniała i odsunęła od siebie deskę z nadkrojoną pomarańczą. – Bo nie wiem. Jak tu przyjechałam, kamienica stała praktycznie pusta. Mieszkała tu tylko Julia... Widziałas ją, bo mieszka tu nadal i przychodzi do babki Agaty. Teraz trochę rzadziej, ale kiedyś codziennie się nią zajmowała. A wracając do tego, o czym rozmawialiśmy, to to mieszkanie było puste. Byłam tylko ja, Dobrochna i babka. Jak widzisz, w moim słoju było niewiele składników. Ale potem zaczęli pojawiać się ludzie. Przychodzili. Nie pytali, czy mogą, sami włązili do tego mojego słoja... Po prostu zjawiali się i część z nich zostawała, choć gdybyś mnie zapytała dlaczego, to powiedziałabym ci, że nie mam pojęcia. Taka pani Srebrna na przykład...

– W sensie żona komendanta. – Kornelia zmarszczyła brwi.

– Tak, pani Natalia Srebrna, która marzyła, żeby zostać żoną poety, ale trafił jej się policjant, który ją kocha nad życie... W sumie jakby tak na to spojrzeć, to to jest czysta poezja – zaśmiała się Tyśka. – Zamieniła ze mną parę zdań na rynku, a potem przysłała i wręczyła mi w prezencie Świętego Antoniego, żeby już nie było problemu z odnalezieniem tego, co zagubione. No i Antoś tak sobie wziął do serca tę swoją robotę, że tych zagubionych,

odnalezionych przez niego przybywało. I nie śmieję się, on naprawdę ma moc, choć ja na początku też nie do końca w to wierzyłam. Marcepan na przykład – słysząc swoje imię, pies natychmiast uniósł łeb i pomachał ogonem, ale widząc, że nikt go nie woła, położył się z powrotem. – Skrycie podejrzewam, że w jego znalezieniu Antoni też maczał palce. Właściwie to najpierw nam się zgubiła babka. Uciekła nam, bo wtedy jeszcze uciekała, ale to nie jest opowieść na teraz. W każdym razie szukaliśmy jej wszędzie. Ja pobiegłam na rozstaje dróg, koło cmentarza, bo tam często siedzi Stara Anna, i pomyślałam, że babka może poszła do niej. Ale nie było tam ani jednej, ani drugiej. Za to był on – popatrzyła na leżącego na podłodze psa. – Leżał koło zwałonego pnia i na mój widok z trudem dźwignął się na łapy. W oczach miał przeraźliwy smutek – głos Klementyny lekko drgnął, ale szybko się opanowała. – Boki miał zapadnięte, wyglądał na ledwo żywego, ale mogłam przysiąc, że na mój widok w tych oczach zapaliły się iskierki nadziei. Niesamowite, że człowiek, pomimo tego, czego od niego doświadczył, nadal kojarzył mu się z bezpieczeństwem i z ciepłym dotykiem. Bo ja wiem, że on właśnie za tym tęsknił najbardziej. A ja po raz pierwszy widziałam wtedy psa, który kulał na wszystkie cztery łapy. Wyrzucili go z samochodu. Biegł za nim do momentu, gdy zdarł sobie poduszki. Opowiadam ci o tym, bo wtedy moją pierwszą myślą było to, że nie mogę go zabrać. Że skoro nie mogę sobie poradzić z tymi, za których już jestem odpowiedzialna, to nie nadaję się na opiekunkę kogoś kolejnego. I ja mu to wszystko powiedziałam, i on to zrozumiał. Położył mi zmaltretowaną łapę na kolanach, bo klęknęłam przed nim, potrzymał ją przez chwilę, a potem zwiesił łeb i powłócząc łapami, zaczął odchodzić. Wiesz, co do tej pory pamiętam? Jego końcówkę ogona, która kapała błotem i rezygnacją. I zrozumiałam, że nie mogę go tak zostawić. I wrócił ze mną do domu. Babka odnalazła się w tym samym momencie, gdy ja

zabierałam Marcepana... wpadł do mojego słoja, choć tego nie planowałam. I widzisz, usiłuję ci powiedzieć, że bałam się potwornie każdej odpowiedzialności, bywały momenty, że najchętniej zakręciłabym słoja na amen. Ale wiedziałam, że nie mogę wiecznie uciekać przed światem, bo w końcu i on zacznie się ode mnie odsuwać. I to jest chyba jedyny sposób na szczęście: drugi człowiek, pies, kot... No dobrze, w moim wypadku królik – uśmiechnęła się lekko. – I to, żeby nie myśleć tak bardzo o sobie, choć oczywiście nie można też o sobie zapomnieć. A czasem nie pozostaje nic innego, jak nie myśleć również o tym, co było, ani o tym, co będzie, i skupić się na tym, co tu i teraz. I zrobić to, co można w danej chwili. I wiesz co? Ani się obejrzysz, a ten dom sam się wokół ciebie obuduje. Tylko o jednym musisz zawsze pamiętać... O tym, że słoja musi być otwarty...

Potem wróciły do krojenia reszty składników. I nie poruszały już poważnych tematów. Ale to, co Kornelia usłyszała od Klementyny, zapadło jej głęboko w serce.

I pomyślała, że jej słoja też powoli się zapełnia. Choć trzymanie go otwartego wymagało wciąż dużo wysiłku i determinacji.

Listopad powoli odchodził. Nikł wśród gęstych kłębow mgły, mżawek i deszczy.

Ludzie coraz częściej uciekali przed nim do domów i do miejsc, gdzie było ciepło i przytulnie.

Nic dziwnego, że Jędrzej coraz częściej chronił się przed deszczową aurą w cukierni Klementyny. Od tamtego dnia, gdy odprowadził Kornelię do domu, bywał tam prawie codziennie.

Czekał cierpliwie, aż Nelia przysiądzie się do niego choć na chwilę. Ona też wstępowała do niego do sklepu zawsze, gdy przechodziła w pobliżu. A zdarzało się to nader często.

Lubiła szperać wśród starych rzeczy, które przywoził, wyszukiwała drobiazgi dla dziewczynek, bo bliźniaczki pokochały swoje lalki, a Basia codziennie wpinała spinkę we włosy. Kornelia uznała to za dobry znak i stwierdziła, że przedmioty z Czasu Niesłusznie Minionego przynoszą jej szczęście. W skrytości ducha wierzyła też, że to szczęście przynosi przede wszystkim właściciel tego przybytku. Lubiła go bardzo.

Ku swojemu zdumieniu polubiła również tegoroczny listopad. Przyniósł jej dużo dobrego i najchętniej zatrzymałaby go przy sobie dłużej. Jak najdłużej, bo o grudniu chwilowo wolała nie myśleć.

Choć przecież wiedziała, że on i tak nadejdzie.

I oczywiście nadszedł.

GRUDZIEŃ
MIASTECZKO



Pierwszy dzień grudnia przyniósł ze sobą zimę. Porywisty, lodowaty wiatr zatrzaskał z impetem drzwi do listopada i oddał się swojemu ulubionemu zajęciu. Gnał jak opętany po krętych uliczkach Miasteczka, łomotał niedomkniętymi bramami kamienic, wciskał się w szpary nieszczelnych okien. A potem, gdy znudziły mu się te dziecinne igraszki, zajął się tym, czym każdy poważny grudniowy wiatr powinien się zajmować: nawiewaniem nad dolinę ciemnych śniegowych chmur.

I tak oto pierwszy grudnia przywitał mieszkańców Miasteczka śnieżycą. Nie było tu miejsca na delikatne wirowanie śniegowych płatków ani na nostalgiczne obserwacje, jak ziemia okrywa się białą lekką pierzynką. Zima w tym roku była zdecydowana i szybka. Z siwych chmur leciały wielkie płyty, wszystko wokół błyskawicznie okryło się grubą warstwą śniegu, którego z minuty na minutę przybywało. Mróz się wzmacniał, wiatr wył, ciemne, ciężkie chmury wisiały tak nisko nad ziemią, że sprawiały wrażenie, że za moment się na nią osuną.

Kornelia patrzyła na ten brawurowy spektakl nadejścia zimy z okien swojej sypialni. Otulona w szlafrok trzymała w dłoniach kubek pełen parującej, aromatycznej kawy i myślała o tym, że oto nadszedł pierwszy dzień miesiąca, którego panicznie się bała.

Grudzień...

Rocznica śmierci Miśka.

Rocznica śmierci Miśka, którą po raz pierwszy miała spędzić tak daleko od Rzeszowa i od grobu męża.

Nadchodzące dzień po dniu święta.

Święta, które w końcu nadejdą. Z kulminacją w Wigilię, z choinką i ze wszystkimi należącymi się temu okresowi szykanami.

Westchnęła głęboko i potrząsnęła głową, jakby chciała przegonić tłoczące się tam i niedające jej wytchnienia myśli. Jej wzrok zahaczył o leżącą na parapecie kopertę, jedną z tych, które dostała od Miłki. „Dedykowana pierwszemu dniowi grudnia” – głosił napis w miejscu, gdzie zazwyczaj wpisywało się adres.

Kornelia położyła ją tu wczoraj specjalnie, wiedziała, że pierwszy grudniowy poranek będzie trudny, i pomyślała, że może zawartość koperty trochę odciągnie jej myśli od tego, czego tak panicznie się lękała.

Westchnęła ciężko i sięgnęła po list. W środku, tak jak w poprzednim, była mniejsza, ozdobna koperta, a w niej bladobłękitna karteczka:

„Zadanie numer dwa” – głosił nagłówek wypisany ozdobnym pismem.

„Widać kurs ozdobnej kaligrafii, na który zapisała się kiedyś Miłka, przyniósł oczekiwane efekty” – pomyślała Kornelia i zerknęła na dalszą treść listu.

Podaruj pięciu nieznanym osobom świąteczne kartki z życzeniami.

Rozpocznij koniecznie pierwszego grudnia, ale zrealizuj do szóstego.

Kocham, całuję, zawsze Twoja M

Kornelia znieruchomiała. Wpatrywała się w te kilka linijek i z sekundy na sekundę czuła narastającą panikę.

Bo niby jak miałyby komukolwiek czegoś szczerze życzyć? I to na dodatek nieznanemu? Ona?

– No to wymyśliłaś, Miłka! – mruknęła pod nosem.

„Przecież ja nie czuję świąt! I kto jest znajomym, a kto nie? Czy Jędrzejowi mogę podarować taką kartkę? Czy raczej nie? A na przykład pani z warzywniaka? Niby znam, ale nie znam... Cholera, nienawidzę grudnia!” – pomyślała ze złością i wcisnęła kopertę w szparę w oknie. Potem poszła obudzić Basię. Bliźniaczki mogły pospać dłużej, bo wczoraj wróciły z przedszkola z katarem i lekkim kaszlem, trzeba je było na wszelki

wypadek zostawić w domu. Zresztą Basię też Kornelia najchętniej namówiłby, żeby została. Biorąc pod uwagę to, co działo się za oknem, taki dzień wolny z całą pewnością byłby uzasadniony. Ale wiedziała, że Basia nawet gdyby miała własnoręcznie kopać tunel w śniegu, nie odpuściłaby wyjścia. Ku ogromnej uldze i lekkiemu zaskoczeniu Kornelii polubiła tutejszą szkołę i swoich kolegów. Były tu tak krótko, a już wracała do domu w towarzystwie nie tylko Isi, ale jeszcze dwóch innych dziewczyn. Czasem wpadały do cukierni wszystkie cztery, zamawiały ciastka i siadały przy stoliku, non stop gadając, śmiejąc się i zwierając z jakichś dziewczyńskich tajemnic.

No może z tym śmiechem akurat u Basi było gorzej. Bo Basia jeszcze się nie śmiała.

Ledwo to przemknęło Kornelii przez głowę, poczuła, jak ściska jej się serce. Tak bardzo czekała na ten moment, gdy w końcu znów usłyszy głośny, zaraźliwy śmiech najstarszej córki. Ale widać na to jeszcze nie nadszedł właściwy czas.

„Za to przyszedł grudzień” – skrzywiła się na samą myśl.

Potem ostentacyjnie zaciągnęła żaluzje w oknie i poszła budzić Basię. Sama też musiała się pospieszyć. Dziś miały z Klementyną zaplanowany huk roboty. Pierniki, pierniki i pierniki. I jeszcze dodatkowo pierniki i dla odmiany pierniki. I rzecz jasna, zakatarzone bliźniaczki. I cholerny list z zadaniem od Miłki.

„Kartki z życzeniami, też coś” – prychnęła pod nosem.

Ale w końcu był to pierwszy dzień najbardziej zniechęconego przez nią miesiąca, czego więc miała się spodziewać?

Dziś miała zaplanowany dzień pracy w kuchni u Klementyny. Ledwo tam weszła i zobaczyła, co się dzieje na blatach i na stole, ledwo spojrzała na bladą twarz Tyśki i na głębokie cienie pod jej oczami, zakasała rękawy, założyła fartuch i bez słowa zajęła się wałkowaniem ciasta. Foremki do wykrawania leżały na stole. Pracy było tyle, że dziś raczej nie miała szans na zejście do cukierni.

„Ale może i dobrze, bo dziś nie bardzo nadają się do ludzi – pomyślała posępnie. – Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę? – zastanawiała się, zagryzając dolną wargę i sięgając po dużą formę do wykrajania serc. Wiedziała, że tych Klementyna robi najwięcej. – Jak uporam się z dniem jego odejścia, jak ubiorę to cholerne drzewko i wreszcie: co mam wypisać na tych kartkach?”

– Hej, co jest? – w pełne smutku i strachu rozmyślania Kornelii wdarł się niespodziewanie głos Klementyny.

– Nic, a co ma być? – odpowiedziała i zamruwała szybko oczami.

– Właśnie o to pytam, bo na nic to mi to nie wygląda. – Klementyna znacząco spojrzała na leżący przed Kornelią zmasakrowany płat piernikowego ciasta. – Wbijasz tu te serca jak oszalała, jedno na drugim, pociachałaś te biedne pierniki w drobny mak. To jednak musi być coś... A wiesz, że babka Agata stoi na straży twierdzenia, że pierniki są bardzo wrażliwe i wszystko, co czujesz, one potem oddają w dwójnasób? A coś mi się wydaje, że twoje będą wprost dyszeć niepokojem.

– Co chcesz, dyszące pierniki mogą się okazać tegorocznym hitem, takich jeszcze nigdzie nie ma – usiłowała zażartować, ale nawet nie udało jej się wykrzesać najmniejszego uśmiechu. – A tak serio, to może po

prostu niepokoję się o dziewczynki? Zostały na górze, nie poszły dziś do przedszkola, mają katar i w nocy raz czy dwa zakasłały...

– Aaaa, dziewczynki, zakasłały. – Klementyna pokiwała głową z namysłem. – A tak serio serio? – Otrzepała ręce z mąki i wzięła się pod boki.

Kornelia nawet nie musiała pytać, o co jej chodzi. Wiedziała i wiedziała też, że Klementyna wie. Nie było sensu dłużej udawać.

– No dobrze, tak serio serio, to przyszedł grudzień! Siódmego będzie rocznica śmierci Miśka... Rozumiesz? Najpierw mikołajki, bo przecież dziewczynki i w ogóle... No nie można im tego zabrać, a dzień potem grób, świeczki, nieobecność! W tym roku nawet brak tego właściwego grobu! A potem co? Jakby nic święta. Ty, czarodziejka od pierników, kochająca wszystko, co związane ze świętami, nawet nie wiesz, jak można się ich bać! – wyrzuciła to z taką gwałtownością, że sama się siebie przestraszyła.

Oddychając, ciężko spojrzała spod oka na Klementynę. Ku jej zaskoczeniu Tyśka wcale jednak nie wyglądała na zszokowaną ani przestraszoną jej wybuchem, przeciwnie – była spokojna. Oparła się bokiem o blat szafki i przez moment w ciszy, z głębokim zastanowieniem patrzyła na Kornelię uważnie.

– No to się popisałam – mruknęła Nelia, opadając na stojące przy niej krzesło. I nie bacząc na to, że blat stołu jest umączony, oparła na nim łokcie, a twarz schowała w dłoniach.

Spodziewała się jakiejś reakcji, najpewniej pocieszenia albo zapewnień, że wszystko się ułoży, tymczasem jedyne, co usłyszała, to był szum wody. Zaskoczona uniosła głowę. Jak gdyby nigdy nic Klementyna postawiła czajnik na gazie i sięgnęła do szafki po dwa duże gliniane kubki. Oba miały brzeg ozdobiony motywem z listkami ostrokrzewu, zimowy motyw,

przywodzący na myśl święta. Wsypała do nich trochę mieszanki herbacianej i dopiero wtedy przysiadła naprzeciwko Kornelii.

– No cóż – powiedziała, patrząc jej prosto w oczy. – Szczerze mówiąc, jedyne, czemu się dziwię, to to, że tak długo wytrzymałaś. Przecież kłębiło się w tobie to wszystko od momentu, gdy tu przyjechałaś. Widziałam, jak się starasz, jak robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby zaciskać zęby i zamykać oczy w każdym momencie, gdy ktoś mówił o świętach. Nie w sensie dosłownym zamykałaś te oczy, ale wiesz, o co mi chodzi. Odcinałaś się natychmiast, nie chciałaś myśleć o niczym, co zaczynało się na złowróżbną literkę „ś” jak święta albo „w” jak Wigilia, albo „g” jak grudzień. Dużo masz tych złowrogich liter w alfabecie... I jak ktoś tylko o tym wspomniał, stawiałaś mur, który miał cię oddzielić od „ś”, „w” i „g”. I wiesz co? Ja kocham to, co robię, kocham piec, los przyniósł mi specjalny dar: robienie wyjątkowych pierników. Nie mówię tego, bo jestem zarozumiała, po prostu pierniczki, pierniki, lukrowanie, zdobienie i piernikowe domki to jest coś, co wychodzi mi najlepiej. A babka Agata nie ma sobie równych w pieczeniu ciast drożdżowych. Podobno u nas w rodzinie każda z kobiet otrzymywała swój specjalny dar. Mnie przypadł w udziale ten najbardziej kojarzący się ze świętami. Pewnie dlatego nikomu nie przyszło do głowy, że ja z Bożym Narodzeniem też mogę mieć kłopot.

– A masz? – Kornelia spojrzał na nią zaskoczona.

– Już nie. Ale miałam. I to jaki! Bo widzisz, święta to ten szczególny czas, w którym w kółko mówi się o nadziei, o drugim człowieku i miłości. I ja oczywiście kochałam moją babcię, Dobrochnę, Imkę, bo ona zawsze była moją rodziną, choć nie łączą nas więzy krwi. Ale bałam się pokochać kogoś tak, jak ty kochałaś Michała. Miałam wrażenie, że nie potrafię. Że, paradoksalnie, ja, specjalistka od serc z piernika, która umie sprawić, że po kilku dniach miękną, i te piernikowe, i te należące do tych, których nimi

obdarowuję, że ja mam to swoje serce stwardniałe niczym stary, wysuszony piernik. I że to już nigdy się nie zmieni. A w grudniu najbardziej mnie to dotykało. Bo im bliżej świąt, tym bardziej dotkliwa bywa samotność. A ona ma wiele twarzy... Jest ta, która dopada nas nagle, jak ta twoja, gdy ktoś ukochany odchodzi na zawsze, ale jest i ta, która towarzyszy nam dzień po dniu, gdy tego kogoś najbardziej ukochanego, twojego nigdy nie było, bo go nie spotkałaś. Albo spotkałaś, ale pozwoliłaś mu odejść. Ze strachu. Ja o mało co nie popełniłam tego błędu. I teraz wiedząc, ile mogłam stracić, powiem ci tylko jedno: strach nie jest dobrym doradcą. A ty się boisz. Grudnia na przykład. Ale żebyś tylko się bała, toby było prościej. Ty już się z tym lękiem pogodziłaś, tak bardzo, że sama otwierasz przed nim drzwi na oścież.

– Ale jak? Nie bardzo rozumiem...

– Zwyczajnie. Myślisz i myślisz o tym, jak bardzo nienawidzisz „g”, „ś” i „w”, jak bardzo boisz się mikołajek, świąt. A przyszło ci kiedyś do głowy, że w ogóle nie musisz się nad tym zastanawiać?

– Ale święta...

– Ale co z nimi? One same przyjdą, zobaczysz – weszła jej w słowo Klementyna. – A im mniej będziesz robiła wbrew sobie, im mniej będziesz się zmuszać, tym lepiej. Co do rocznicy śmierci Michała, to jeżeli chcesz, możesz przecież pojechać do Rzeszowa... Mogę cię zawieźć, jeżeli tego potrzebujesz – dodała.

– No właśnie nie chcę! I to mnie też męczy – wyznała w końcu Kornelia. – Męczy to za mało powiedziane. Gnębi mnie potwornie! Czuję się tak, jakbym go miała za chwilę zawieść...

– A, takie buty – Klementyna zmarszczyła brwi. – W takim razie tylko jedno przychodzi mi do głowy. Pogadaj ze Starą Anną. Ona z nas wszystkich najlepiej się zna na zmarłych. Zresztą jak sama zdążyłaś

zauważyć, że zmarłymi również – uśmiechnęła się lekko. – Kto wie, może akurat będzie wiedziała coś, co rozjaśni ci w głowie.

– No tak, masz rację... Porozmawiam z nią. I tak ogólnie, to bardzo ci dziękuję. Chyba potrzebowałam z kimś pogadać, wyrzucić to wszystko z siebie.

– Ależ proszę, a poza tym wiesz, nie miałam wyjścia, znęcałaś się nad piernikami, nie można było na to pozwolić – zaśmiała się Klementyna. – A teraz napijmy się herbaty, ja zaleję, a ty jak chcesz, to idź po dziewczynki i przyprowadź je tutaj. Dobrochna też jest lekko zakatarzona, one tyle czasu spędzają razem, że jak się czymś zaraziły, to już wszystkie trzy to mają... Przy okazji nie będziesz musiała się martwić, czy czegoś nie nawywijają... I teraz jeszcze dla spokojności sumienia zapytam: czy już w miarę w porządku? Czujesz się trochę lepiej? Serio serio? – dorzuciła, starając się rozluźnić atmosferę.

– Tak, serio serio. – Kornelia uśmiechnęła się i wstała. – I rzeczywiście, jak mogę, to przyprowadzę małe. Inaczej musiałabym cały czas do nich biegać. A tak ogólnie, to mam jeszcze tylko jedno małe pytanie... Ale spokojnie, nic ciężkiego... Wiesz, że Miłka zostawiła mi przedbożonarodzeniową listę zadań? Żeby mi było łatwiej oswoić się z tym „g” i tak dalej.

– No wiem, robiłyśmy już z niej nalewkę. Zresztą czekam na moment degustacji z wielkim utęsknieniem. Mam nadzieję, że porządnie wstrząsasz słojem.

– Możesz być spokojna, jest wstrząśnięty i zmieszany jak trzeba. Ale na dzisiaj miałam wyznaczone drugie zadanie. Mam wypisać na świątecznych kartkach życzenia i wręczyć je komuś nieznanemu... Do szóstego grudnia mam się z tym uporać. A jak na razie mam pustkę w głowie. Wiem, co mi powiedziałaś o tym zamykaniu oczu i stawianiu muru, ale tutaj

naprawdę nie wiem, jak to ugryźć. Jak życzyć komuś czegoś, do czego nie ma się serca? I komu mam dać te kartki? Ludzie pomyślą, że zwariowałam! O ile oczywiście uda mi się wypełnić choć jedną. Paradoks! Pisarka, którą opuściły słowa!

– A widzisz, a ja nie mogłam przez jakiś czas piec pierników, nie wychodziły, ni w ząb. A teraz proszę bardzo, wszystko wróciło! Do ciebie też wróci, spokojna głowa.

„Szczególnie że to dzięki tobie tegoroczne pierniki dedykowane są wszystkim, którzy stracili nadzieję” – dodała w myślach.

– Ale chwilowo na to się nie zanosি... Najwyżej wypiszę te kartki jakimiś gotowcami...

– A mowy nie ma! Zadanie to zadanie. To mają być twoje słowa. To po pierwsze. Po drugie, to chyba nawet nie muszą być takie *stricte* życzenia życzenia. Ja bym to potraktowała jak dowolny temat. I zwyczajnie wpisała tam coś miłego, ale takiego dobrego... – Tu na moment zamilkła i nagle na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Ależ mam pomysł! Nelia, zrobimy to tak, że mucha nie siada! I ludzie zaczną być dla siebie miłsi, i będzie im lepiej w życiu!

– Eeee, nadal mówimy o tym samym? O mojej kartkowej nemezis?

– Dokładnie. – Oczy Klementyny rozbłysły. – To nie będzie żadna nemezis, tylko zwyczajny, codzienny cud! Takie kocham najbardziej!

– Zaczynam się ciebie bać.

– A nie powinnaś. Posłuchaj tylko uważnie!

I Klementyna zaczęła mówić. A w jej głosie dźwięczały entuzjazm i zniecierpliwienie.

– Sto dwadzieścia kartek? Oszalałaś! Z całą pewnością masz nie po kolei w głowie!

– Ale poczekaj, tak naprawdę to jest tylko sześćdziesiąt, a biorąc pod uwagę, że będzie sześć, to wychodzi ledwo dziesięć...

– Aha... Brzmi sensownie, choć wyraźnie coś tu się ze sobą nie zgadza – mruknęła słabo Kornelia, patrząc na ożywioną Klementynę z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Wszystko się ze sobą zgadza! Tylko w tej chwili ja to wszystko widzę oczami wyobraźni i dlatego mówię skrótowo! Zawsze tak działałam, gdy jestem podekscytowana! A chodzi o to, że kupimy sto dwadzieścia kartek...

– Czyli jednak miałam rację, zwariowała – przemówiła Kornelia grobowym głosem do Marcepana.

– Daj mi wreszcie skończyć. – Klementyna zabębniła palcami o umączony blat stołu, wzniecając tym miniaturową mączną kurzawę. – Sto dwadzieścia kartek podzielić na dwa to ile?

– Sześćdziesiąt. Ale skoro je dzielisz, to może zwyczajnie zaczniemy od nabycia tych sześćdziesięciu właśnie? Albo może trzydziestu? Jak nam już tak dobrze idzie dzielenie przez dwa, to możemy też poprzestać na piętnastu... Choć to nadal niebezpiecznie przypomina jakieś pocztówkowe opętanie...

– Matko i córko, mówisz więcej niż Dobrochna, a myślałam, że to niemożliwe. – Klementyna ze zniecierpliwieniem sięgnęła po foremkę w kształcie domku i z rozpędu wycięła kilka pierniczków z leżącego przed nią rozwałkowanego ciasta. – Chodzi o to, że do każdej wypisanej kartki będziemy dołączać jedną pustą. Zrobimy taki pakiecik. Stąd ze stu

dwudziestu robi się sześćdziesiąt. Ja, ty, twoje dziewczynki i moja Dobrosia to razem sześć, tak?

– No tak – chcąc nie chcąc, zgodziła się Kornelia.

– I dlatego z tych sześćdziesięciu pakiecików, po podzieleniu na nas wszystkie, zrobi się dziesięć! Czyli praktycznie nic! Uporamy się z tym w ciągu pół godziny. A jak się uda, to zrobi się z tego piękna akcja! A uda się na pewno. – Klementyna z zadowoleniem zatarła ręce.

– Ale jak ma się z tego zrobić akcja? I po co ta druga pocztówka? – Kornelia była oszołomiona.

– A bo widzisz, zapomniałam o najważniejszym! Będziemy zachęcać, żeby na tej drugiej ludzie pisali coś od siebie i podawali dalej. Zobaczysz, część nawet dokupi i dołączy kolejną niewypisaną... Oczywiście znajdą się i tacy, którzy wyrzucą, ale dla tych, którym sprawi się radość, warto poświęcić tych parę minut! Miłka miała naprawdę świetny pomysł! A teraz biegnij po dziewczynki, zostaw je u mnie, ubierz się ciepło i leć do kiosku i do księgarni. Bo w jednym miejscu może nie być tylu kartek... Nie muszą być drogie, kup najtańsze, bo tu chodzi o przesłanie... Dodatkowo dziewczynki dostaną po koszyczku z pierniczkami... Tak żeby każdy mógł się poczęstować...

– Ty mówisz to zupełnie serio – dotarło w końcu do Kornelii.

– A jak inaczej? – uśmiechnęła się szeroko Klementyna. – I całą akcję zrobimy szóstego grudnia. Po pierwsze, zrobimy coś fajnego w mikołajki, wiem, wiem, nie lubisz, ale i tak przed nimi nie uciekniesz, a po drugie, dziewczynki do tego czasu pozbędą się kataru. No i będą miały kiedy narysować coś na swoich kartkach. Potem my tam dopiszemy jakieś jedno zdanie, na przykład: „Dobrze, że jesteś” albo „Pięknie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz”, i gotowe! To co? Lecisz?

– No a mam wybór? – zapytała Kornelia retorycznie, a jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Tak naprawdę doskonale zdawała sobie sprawę, że wybór ma, i jakby nie chciała, to mogłaby odmówić. Ale w głębi duszy chciała, i to bardzo. Bo to, co jeszcze przed momentem wydawało jej się koszmarem, teraz pod wpływem Klementyny zaczęło jej się jawić jako kawał dobrej zabawy. I to takiej niosącej radość i nadzieję. I jakby w tym wszystkim umknęło jej, że przecież do tej pory wierzyła, że nadzieja już nigdy do niej nie przyjdzie. Na pewno nie w grudniu.

Cóż, rzeczą ludzką jest się mylić.

O tym doskonale wiedziały trzy duchy świąt przeszłych, obecnych i przyszłych.

I ich trzy tegoroczne podopieczne nie miały w tym względzie zbyt wiele do gadania.

Kornelii w końcu udało się kupić sto dwadzieścia pocztówek, choć wcale nie było to łatwe. Miasteczko było niewielkie i w rezultacie musiała odwiedzić dwa kioski, księgarnię i sklep papierniczy, a i tak brakowało jej jeszcze piętnastu, ale w porę przypomniała sobie, że tuż obok Czasu Niesłusznie Minionego była kwiaciarnia, a w niej mignął jej stojak z pocztówkami.

I rzeczywiście były tam. Kupiła na wszelki wypadek dziesięć więcej i w drodze powrotnej zajrzała jeszcze do sklepu Jędrzeja. Miał klientów, ale na chwilę wyszedł do niej zza lady, wykorzystując moment, gdy elegancko ubrana pani przeglądała stare, przedwojenne czasopisma.

– Dobrze cię widzieć – uśmiechnął się. – Miałem dziś wpaść do cukierni, ale ruch jest duży i jeszcze nie udało mi się wyjść. – Obrzucił ją ciepłym spojrzeniem brązowych oczu.

– Szkoda, że nie pomyślałam, mogłam ci przynieść jakieś ciastko. Dziś w cukierni króluje wszystko, co ma w sobie marcepan, Klementyna postanowiła z przytupem wejść w grudzień. Pierniki, marcepan, żurawina i mak. To jest plan na najbliższe dni – powiedziała z uśmiechem.

– No to dopiero teraz zgłodniałem! Postaram się wpaść za jakąś chwilkę. A może będę miał szczęście i napijesz się ze mną kawy?

– Dziś pracuję na górze – powiedziała i ku swojemu zdumieniu poczuła lekkie ukłucie zawodu. – Ale jutro przed południem pewnie będę w cukierni...

– Jutro i pojutrze jeszcze jestem, ale potem muszę wyjechać na kilka dni – powiedział podejrzanie szybko i uciekł spojrzeniem w bok. – Mam do załatwienia parę spraw. Przepraszam cię, ale muszę wracać – wskazał głową na klientkę, która właśnie położyła plik wybranych gazet na ladzie. –

Jak się uda, to wpadnę jutro do cukierni, a jeżeli nie, to może ty zajrzesz do mnie, jeśli będziesz miała po drodze. Bardzo się cieszę, że mogłem cię zobaczyć – dodał. Wyciągnął rękę i opuszkami palców musnął rękaw jej płaszcza.

A potem jakby zawstydzony zrobił krok do tyłu i zanim Kornelia zdążyła się odezwać, znów stał za ladą.

Pomachała mu na odchodne i czym prędzej wyszła ze sklepu. Czuła się dziwnie. Bo i w zachowaniu Jędrzeja było coś osobliwego. Nie umiała określić, co to jest, ale nie dawało jej to spokoju.

„Muszę wyjechać na kilka dni, mam do załatwienia parę spraw” – zakołatały jej w głowie jego słowa.

A więc to ją niepokoiło. Ta dziwna tajemniczość. No bo kto tak mówi? Z reguły jak się gdzieś jedzie, to się po prostu oznajmia: jadę do siostry, brata, po samochód, na wesele...

Ale z drugiej strony Jędrzej nie musiał się jej przecież opowiadać. Dobrze im się rozmawiało, to fakt, wypili kilka razy wspólną kawę w cukierni, ona lubiła wpadać do niego do sklepu i szperać pomiędzy starymi zabawkami i innymi szpargałami. Ale to było na tyle. I niczego innego nie chciała. To jej właśnie w relacji z Jędrzejem pasowało najbardziej. O ile w ogóle można było te kilka rozmów nazwać relacją. Owszem, był pierwszą zupełnie obcą osobą, z którą czuła się tak swobodnie od momentu, gdy Michał odszedł.

„Mężczyzną” – zaszumiało jej w głowie, ale z miejsca odepchnęła tę myśl od siebie.

Bo to nie miało znaczenia. Liczyło się to, że Jędrzej po prostu był, rozmawiał z nią i jej słuchał. I o nic nie pytał. O męża, dzieci, o to, czemu jest sama i dlaczego akurat tu przyjechała.

Właściwie to ona też go o nic nie pytała. Nic o sobie nie wiedzieli...

„No więc co mnie, do diabła, obchodzi sposób, w jaki mi komunikuje, że gdzieś jedzie? – zapytała się w duchu. – Równie dobrze mógłby nic nie powiedzieć, a mnie nie powinno to obchodzić.

Jest zwyczajnie miłym człowiekiem, znajomym, właścicielem miejsca, które lubię odwiedzać... I który podobnie jak ja ma słabość do lamp. No i to by było na tyle! Dlatego bez względu na to, gdzie i do kogo jedzie, dostanie ode mnie kartkę! Bo go po prostu lubię” – postanowiła.

Wprawdzie Jędrzej był jednak bardziej znajomym niż nieznajomym, ale skoro według planu Klementyny miała obcym ludziom wręczyć dziesięć kartek, a z jakiegoś powodu kupiła ich więcej, niż było trzeba, to postanowiła podarować kilka tym, których znała i którzy byli dla niej ważni.

I jeszcze tego samego dnia wieczorem wypisała kilka pocztówek. Dla Jędrzeja, dla Klementyny, dla babki Agaty i dla Starej Anny. Tę ostatnią wpakowała od razu do torebki. Wiedziała, że będzie jej potrzebna następnego dnia.

Stara Anna jak na złość nie pokazała się w cukierni przez kolejne dwa dni. Kornelia wypatrywała jej z niecierpliwością. Sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, co Anna powie. Właściwie nawet nie do końca wierzyła w te Anine konszachty z zaświatami. A jednak potrzebowała usłyszeć od niej, co myśli.

„Cóż, może to jest taki rodzaj niezbędnego dla mnie rozgrzeszenia” – myślała teraz, stojąc za ladą w cukierni i patrząc uważnie przez wystawową szybę, czy przypadkiem gdzieś tam w głębi rynku nie mignie jej przygarbiona sylwetka staruszki.

– A ty kogo tak wypatrujesz? – usłyszała za sobą głos Klementyny.

– Starej Anny – powiedziała zgodnie z prawdą. – Długo się nie pokazuje...

– Z nią tak czasem bywa. Może jej nie być nawet przez kilka tygodni. I tak się dziwiłam, że ostatnio tak często do nas zagląda. Anna lubi chodzić swoimi ścieżkami i nad towarzystwo żywych przedkłada tych, których my nie widzimy. Tych, którzy przychodzą do niej do ognia. No wiesz, o czym mówię. – Klementyna przepasała się fartuszkiem. – Jak będziesz miała szczęście, znajdziesz ją koło cmentarza. Idź – dorzuciła.

– Ale jak to?

– No normalnie, idź załatw, co musisz, i wracaj. Przecież sama ci poradziłam, żebyś z nią pogadała, to byłabym ostatnią hipokrytką, gdybym ci to teraz uniemożliwiła. Na Annę nie ma co tutaj czekać. Przyjdzie albo nie. Sprawdź przy cmentarzu, a jak jej nie będzie, to jutro pójdę z tobą do starej chaty. Ona tam pomieszkuje, ale trudno mi wytłumaczyć, jak ją masz zlokalizować.

I Kornelia poszła. Widać szczęście jej dopisywało, bo natknęła się na Starą Annę tuż przy cmentarnej bramie.

– A, to ty – mruknęła na jej widok kobieta. – Właśnie świeczki skończyłam zapalać u tych, których nikt nie odwiedza. A ty przyszedł do nich czy do mnie?

– Do Anny – powiedziała z rozpędu. – Do pani, pani Anno – poprawiła się natychmiast, czerwieniąc się ze zmieszania. – Sprawę mam – dodała nadal zmieszana.

– No jak masz, to dawaj – staruszka spojrzała na nią wyblakłymi oczami. Dzisiaj było w niej coś, czego wcześniej Kornelia nie dostrzegła. Jakby zniecierpliwienie.

„Chyba nie ma ochoty na towarzystwo” – dotarło do niej.

– Kłopot mam – mimo wszystko postanowiła spróbować. – Za kilka dni będzie rocznica śmierci mojego męża. Jego grób jest w Rzeszowie. A ja tutaj i...

– I co, martwisz się, że do niego nie pójdziesz? Że on pomyśli, że o nim zapomniałaś? – dokończyła za nią Stara Anna.

– To też, ale Klementyna powiedziała, że mogę pojechać do niego na grób, że może mnie nawet zawieźć. Cały szkopał jednak w tym, że ja się boję tam wrócić. Boję się, że tam przy grobie znów poczuję tę straszną pustkę, że nie uda mi się ominąć naszego starego mieszkania i że jak tam wejść, to już nie uda mi się wyjść. Jednocześnie boję się tego, o czym pani Anna wspomniała, tego, że mnie tam u niego nie będzie...

– Słuchaj, mała, kilka dni temu podobną rozmowę odbyłam z twoją córką.

– Z Basią? – Kornelia nie ukrywała zdumienia.

– No przecież, że nie z żadną z tych dwóch siusmajtek. Chociaż akurat z dziećmi to różnie bywa, czasem wiedzą i widzą więcej niż dorośli, bo nie

wiedzą, że nie mogą... Ale mniejsza o to. Teraz liczy się to, że rozmawiałam z twoją starszą córką. Ona mi powiedziała, że ten wasz Michał to z Beskidu pochodził, chociaż nie konkretnie stąd, a z trochę innej strony, i że ona w Rzeszowie kompletnie nie czuje z nim żadnej więzi. Tutaj tak, tam nie bardzo. No krótko mówiąc, że na tym cmentarzu to go zazwyczaj nie ma. W takim razie spokojnie możesz dla niego postawić świeczkę tutaj. Ci, którzy stamtąd przychodzą, mają swoje ścieżki, które zawsze prowadzą ich tam, gdzie chcą się znaleźć. Będzie wiedział, że o nim pamiętasz. A kto wie, może się nawet ucieszy, że ty wreszcie naprzód ruszyłaś – pokiwała głową. – A teraz, mała, idź już. Nie zrozum mnie źle, ale nie mam dziś cierpliwości do żywych.

– Dobrze, w takim razie idę. Pani Anno, dziękuję – powiedziała i wyciągnęła z torebki pocztówkę.

Z tym zdjęciem znalazła tylko jedną. Była na niej widoczna zapalona świeca postawiona na zielonej choinkowej gałązce.

– Pasowała mi do pani – dodała nagle zakłopotana.

Anna sięgnęła po kartkę, odwróciła i przysunęła blisko do oczu.

– „Z podziękowaniem za światło w środku nocy” – przeczytała na głos i przez moment wpatrywała się w pocztówkę, a potem wsunęła ją za pazuchę kożucha, którym była okutana, i bez słowa odwróciła się, i zaczęła odchodzić wydeptaną w śniegu, wąską ścieżką.

„No to chyba Stara Anna należy do tych, którzy raczej nie będą zachwyceni naszą kartkową akcją” – pomyślała Kornelia i poczuła się jeszcze bardziej zażenowana, po czym ruszyła w odwrotną niż staruszka stronę.

Zdążyła zrobić kilka kroków, gdy usłyszała, że Stara Anna ją woła. Odwróciła się do niej.

– Mała, dla kogo pani, dla tego pani, ty mów mi Anna – krzyknęła do niej i nawet z tej odległości Kornelia widziała, że przez jej pomarszczoną twarz przemknął uśmiech, który natychmiast odwzajemniła.

W tym samym momencie poczuła się o wiele lepiej. Kto wie, może Stara Anna rzeczywiście dała jej swoiste rozgrzeszenie.

Być może, że tak właśnie było. A z kartki jednak się ucieszyła.

W końcu wyraziła to w charakterystyczny, jedyny w swoim rodzaju sposób. Dla kogo pani, dla tego pani, ale dla Kornelii od tego dnia była Anną.

Po spotkaniu ze Starą Anną Kornelia czuła się lekka. Jakby staruszka w jakiś cudowny, magiczny sposób zdjęła z jej ramion i serca ogromny, zalegający tam od dawna ciężar. Nawet brnięcie przez śnieg, którego w nocy znów przybyło, jej nie przeszkadzało. Swoją drogą, zima w Miasteczku była piękna. Nijak się miała do tej miastowej, szarej i brudnej, naznaczonej błotem, w które zamieniał się rozjeżdżany na ulicach śnieg. Tu, w dolinie otoczonej ośnieżonymi górami, zima była inna. Szlachetniejsza. Naznaczona specyficzną ciszą. Takiej ciszy Kornelia nigdy w życiu w mieście nie doświadczyła. Teraz szła w kierunku rynku, do stromych schodków, tych samych, przy których stanęła pierwszy raz po przybyciu do Miasteczka, i czuła radość z tego, że za moment zobaczy różową kamienicę, z dachem przysypanym śniegiem, że spojrzy w głąb rynku i...

Spojrzała i znieruchomiała. Na środku, gdzie jeszcze przed jej wyjściem był pusty plac, stała wielka zielona choinka. Kręcili się przy niej jacyś ludzie i stał podnośnik.

– A co tam, pani Kornelio, też pani czeka, aż odpalą światełka? – rozległ się za nią kobiecy głos.

Odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach piekarni panią Grażynkę. Z trudem przełknęła ślinę, myśląc, że powinna coś odpowiedzieć.

– A, tak tylko... – ledwie tyle zdołała z siebie wykrzesać, ale to właścicielce piekarni wystarczyło.

– Ja też czekam, co roku, bo to cały plac zaraz inaczej wygląda – rozgadała się. – Ale to nie ma co stać na zimnie, z okien cukierni też będzie wszystko dobrze widać. A właśnie, pani Kornelio, wzięłaby pani dla Klementyny chleb? Właśnie przywieźli ten, który zamówiła.

– Pewnie, nie ma problemu – Kornelia otrząsnęła się w końcu i weszła za panią Grażynką do piekarni.

Gdy wychodziła, dzierżąc w ręku spory pakunek, natknęła się na doktora Piotra, który właśnie zmierzał do cukierni i zaczął dopytywać o zdrowie dziewczynki i o to, czy to prawda, że Klementyna ma już gotowe piernikowe kamieniczki na grudniową wystawę.

– Ona zawsze robi taką piernikową witrynę. Co roku rynek jest pięknie odwzorowany i przybywa moc nowych szczegółów. Na przykład jak się naszemu kościelnemu córeczka urodziła, to w grudniu przy jego figurce pojawił się wózek, identyczny, w jakim jeździła mała. A widzi pani, bo nie wspomniałem, że mieszkańcy, ci, których Klementyna zna, mają swoje maleńkie marcepanowe sobowtóry i wszyscy przychodzą i codziennie patrzą, czy ich figurka się pojawiła. Pewnie pani i dziewczynki też się tam znajdziecie – zakończył, przytrzymując Kornelię za łokieć i ratując ją przed upadkiem, bo właśnie się poślizgnęła.

– Dziękuję – mruknęła i niebacznie uniosła oczy. Spojrzała prosto w morze zielonych gałązek. I nic się nie wydarzyło. Stała po prostu naprzeciwko choinki, z doktorem Piotrusiem, który nie wiedząc o jej świątecznych traumach, myślał, że zatrzymała się, żeby przyjrzeć się drzewku.

– Ono dopiero będzie piękne, jak je udekorują – powiedział, kiwając głową. – Podobno w tym roku ma być temat anielski – dodał i lekko pociągnął Kornelię w stronę cukierni.

Szczerze mówiąc, marzył mu nogi i był szalenie głodny. Jak zawsze, gdy w perspektywie miał wizytę u Klementyny. I chciał jak najszybciej tam dotrzeć.

Gdy już byli w środku, w cukierni, Kornelia zdjęła płaszcz i podeszła do oszklonych drzwi. Wzrok miała wbity w podłogę.

„Nie zamykaj oczu, nie twórz murów” – powtarzała sobie w duchu. Po chwili uniosła oczy i spojrzała prosto na drzewko.

Było tam. Wokół zaczęły gromadzić się dzieciaki, młodsze i starsze. Przystawali też dorośli, przyglądając się, jak panowie w podnośniku montują na choince światełka. Nie było w tym nic strasznego. Ba, właściwie Kornelia widziała tam tylko radość. Uśmiechnięci ludzie, podekscytowane dzieciaki. I dotarło do niej, że głupio by było bać się radości...

Pokiwała głową, a potem poszła umyć ręce i pomaszerowała na górę. W cukierni była Fela, Kornelia wiedziała, że bardziej przyda się Klementynie.

– Przyniosłam chleb, a na rynku postawili choinkę – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

– No popatrz, postawili choinkę – powtórzyła Klementyna za nią i uśmiechnęła się pod nosem.

A potem podeszła do Kornelii i mocno ją przytuliła.

– Jestem z ciebie dumna – powiedziała wprost do jej ucha.

Ona wiedziała, ile te niby zwyczajne słowa znaczą w życiu Kornelii. Wiedziała też, że nareszcie nie tylko Nelia przypominała sobie o życiu, ale życie również zaczynało dostrzegać Kornelię.

Tego wieczoru Kornelia poczekała, aż bliźniaczki usną, i poprosiła Basię, żeby miała na nie oko.

– Wyjdę tylko na chwilę, muszę złapać odrobinę powietrza – powiedziała, wsuwając rękę do kieszeni płaszcza i sprawdzając, czy na pewno jest tam to, co być powinno.

Wyszła z kamienicy i obrzuciła spojrzeniem choinkę stojącą na środku placu. Chwilowo ozdobiona była tylko światełkami, bombki miały zostać zawieszane dopiero w połowie grudnia. Kornelia podeszła do drzewka i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. W końcu wyciągnęła rękę i pogładziła zielone gałązki. Zapachniało mroźnym lasem. Zerwał się lekki wiatr. Zaszumiał w gałązkach oświetlonego drzewka. I w tej chwili jedno z okien w różowej kamienicy się otworzyło, i popłynęły z niego słowa pastorałki:

Całą noc padał śnieg
Cichy, cichy, cichuteńki
Przyszedł świt, a tu świat
Cały biały, bielusieńki
Jakby ktoś świata skroń
Gładził chłodem białej ręki
I powiedział szeptem doń
Nic się nie bój, mój maleńki.

I Kornelia poczuła się tak, jakby te słowa skierowane były specjalnie do niej.

– Już się nie boję – wyszeptała. – A przynajmniej nie tak bardzo...

A potem szybkim krokiem przecięła placyk i zanurzyła się w jedną z wąskich uliczek. Tę, przy której mieścił się sklepik Jędrzeja. Stała przed staroświecką wystawą, popatrzyła w oczy wiekowemu misiowi,

opierającemu nieco wyliniały boczek o drewniane krzeselko, na którym spoczywał rzucony niedbale kapelusik z woalką. Tuż za misiem stała choinka ubrana w robione ręcznie papierowe ptaszki i ozdobiona lukrowanymi pierniczkami i małymi rumianymi jabłuszkami. Pod choinką nie było prezentów, zamiast nich leżał plik pożółkłych listów przewiązanych wypłowiałą różową wstążeczką. Na ich widok na twarzy Kornelii pojawił się ledwo widoczny uśmiech. Już bez cienia wahania sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła z niego kopertę, w której schowała jedną ze świątecznych pocztówek. Przez moment gładziła ją pieczołtliwie kciukiem, a potem zdecydowanym ruchem wsunęła w szparę pod drzwiami.

– Miej dobry dzień, załatw wszystko, co masz do załatwienia, i wracaj do domu – wyszeptała i ruszyła w drogę powrotną.

Gdy wchodziła do bramy kamienicy, z nieba znów zaczęły spływać białe miękkie płatki.

Padał śnieg, biały, biały, bieluteńki.

„Zupełnie tak jak w piosence” – pomyślała i zanim zamknęła za sobą bramę, uśmiechnęła się do jarzącej się ciepłym blaskiem choinki.

Tegoroczne mikołajki okazały się dla mieszkańców Miasteczka niezapomniane. Po pierwsze, tej nocy nie spadł ani jeden płatek śniegu i po raz pierwszy od pierwszego grudnia wszyscy, którzy zwykle zmuszeni byli odśnieżać podjazdy, drogi, chodniki i ulice, odetchnęli z ulgą. Po drugie, na wystawie cukierni pojawiły się pierwsze kamieniczki i figurki. A w ofercie słodkości można było się dopatrzeć piernikowych serc ozdobionych poszczególnymi domkami stojącymi w okolicach rynku. Rozpoznawano je bez trudu, Klementyna na każdym z nich umieściła coś, co nie pozostawiało wątpliwości, o które domy chodzi. I tak na przykład w tym należącym do starszej pani w oknie wylegiwały się dwa rude kocury, w innym na podwórku poniewierały się szczątki rozebranego traktora, w jeszcze innym na lukrowanym ganku stały trzy identyczne wózki. Tylko jeden dom miał taką werandkę i tylko tam niedawno urodziły się trojaczki. A po trzecie, po południu przed cukiernią wyszły Klementyna z Dobrochną i Kornelia z Basią, Emisią i Amelką. Dobrosia i bliźniaczki dzierżyły przed sobą koszyczki wypełnione po brzegi małymi pierniczkami. I pocztówki ozdobione z tyłu rysunkami i życzeniami. Kornelia, Klementyna i Basia miały tylko widokówki. Rozdawały je przechodzącym, zerkającym ciekawie ludziom.

Wbrew obawom Kornelii na pierwszą linię wysuwało się właśnie to zaciekawienie, nikt nie zdawał się posądzać ich o to, że postradały zmysły.

– Przeczytajcie, a potem wypiszcie tę, która jest pusta, i przekażcie dalej – mówiły, obserwując reakcję obdarowywanych.

W większości były to odzewy optymistyczne i radosne. Czasem pełne niedowierzania, a raz czy dwa nawet pojawiły się łzy wzruszenia.

Kartki rozeszły się w błyskawicznym tempie. Zupełnie tak jak przepowiadała Klementyna. Ale nawet ona nie przewidziała jednego: że oprócz tego, że obdarowani przełożą swoje życzenia innym, dodatkowo będą wypisywać specjalne kartki dla nich. Od tego momentu każdego dnia na wystawowej szybie znajdowały przyklejone taśmą pocztówki dla Klementyny, dziewczynek albo Kornelii. Niektórzy wrzucali je do skrzynki na listy albo wsuwali pod bramę prowadzącą do różowej kamienicy.

Przy takiej ilości dobrych życzeń trudno było nie spojrzeć na grudzień łaskawszym okiem.

Trudno było choć trochę go nie polubić.

Może właśnie dlatego, że grudzień rozpoczął się inaczej niż zwykle, a może dlatego, że mikołajki nie tylko jej nie przeraziły, ale sprawiły, że poczuła się dużo, dużo lepiej, i przypomniały jej, jak dobrze jest sprawiać komuś radość, która jednocześnie uszczęśliwia tego, kto ją podarowuje. A może w końcu dlatego, że siódmego grudnia poszła na cmentarz, wybrała jeden z opuszczonych grobów, postawiła tam zapalony znicz i po raz pierwszy uśmiechnęła się do wspomnienia Michała. Może z tych powodów bez żadnego lęku i wahania kilka dni potem otworzyła kolejną kopertę od Miłki.

Ale wystarczyło, że spojrzała na karteczkę w środku, a poczuła przebiegający po plecach nieprzyjemny dreszcz.

„Postaw małą choinkę w mieszkaniu”.

Jedno krótkie zdanie, a potrafiło wyprowadzić ją z równowagi.

Znów przed oczami stanęła jej podłoga rzeszowskiego mieszkania cała usiana poucinanymi gałązkami.

Znów...

W tym momencie nagle poczuła bunt.

– O nie – mruknęła pod nosem. – Mowy nie ma!

„Mam postawić choinkę, to ją postawię. Jeszcze nie wiem, jaką i jak to przeżyję, ale pomyślę o tym później! Teraz pójdę piec pierniki i nie będę się nad sobą roztkliwiać! I cholera przestanę być takim obrzydliwym tchórzem!”

Ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. W kuchni Klementyny jak zwykle pełno było mąki, pachniało piernikami i na wszystkich czekało mnóstwo roboty. W takich wypadkach zwykle to wystarczało, żeby się wyłączyć i zająć myśli na tyle, żeby odsunąć od siebie niewygodne tematy. Tu Miłka

bezwzględnie miała rację: pieczenie zajmowało i ręce, i głowę. I było tak wyczerpujące, że żadne proszki na sen nie były potrzebne. Ale widać zdarzały się przypadki, wobec których nawet pierniki bywały bezradne.

– Kurwa, kurwa, kurwa – wyrwało się w pewnym momencie Kornelii, a wycięta gwiazdka, którą przносиła na przygotowaną blachę, zwinęła jej się w rękach w przerażony rulonik. – Kurwa! Grudzień, święta, Wigilia, prezenty, pieprzona choinka! – wyrzuciła z siebie.

– Cóż za zadziwiające zestawienie – usłyszała za sobą rozbawiony głos Klementyny. – Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi w tym świątecznym rzucaniu mięsem?

– Ćwiczę! – parsknęła ze złością. – Sama mówiłaś, że boję się nawet wymówić tych słów, to proszę bardzo!

– Aaaa, to szanuję, to dawaj, poćwiczmy razem ten nietypowy zestaw. Jak to było? Kurwa, kurwa, kurwa! I jeszcze raz kurwa! Grudzień, święta, Wigilia, prezenty, pieprzona choinka! – Klementyna śmiała się na całego.

– Mamusiu, czy mi się tylko wydaje, czy mówicie z cicią Nelusią świąteczne brzydkie słowa? – rozległ się za ich plecami czysty głosik Dobrochny.

– Nie wydaje ci się, niestety – mruknęła Klementyna, z trudem opanowując kolejny atak śmiechu.

– I jest nam wstyd – dorzuciła natychmiast Kornelia.

– A czemu mówicie brzydkie słowa? – drażyła Dobrosia, stając przed nimi i przewiercając je błękitnym jasnym spojrzeniem, i kompletnie ignorując kajające wyznanie Neli.

– Eee, właściwie... Właściwie to... – Kornelia jako główna sprawczyni całego zamieszania poczuła się wywołana do tablicy i usiłowała naprędce wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, ale jak na złość miała pustkę w głowie.

A jakby tego było mało, w tym samym momencie do kuchni wkroczyły bliźniaczki i potoczyły po zebranych zaciekawionymi spojrzeniami. „Może one przynajmniej nie usłyszały” – pomyślała Kornelia z nadzieją.

– Nasze mamy mówią brzydkie słowa – poinformowała je w tym samym momencie Dobrochna. – ŚWIĄTECZNE BRZYDKIE SŁOWA – podkreśliła.

Nadzieja znikła tak prędko, jak się pojawiła.

– Dlaczego? – zmarszczyła jasne brewki Emisia.

– O to samo pytam. – Dobrochna pokiwała główką.

– Bo czasem nie ma wyboru – przemówiła w końcu Klementyna stanowczym tonem. – Jak dorośnięcie, to zrozumiecie!

Ale jeżeli myślała, że to zakończy sprawę, była w błędzie.

– Mamusiu, przecież zawsze jest wybór. Kazałaś mi to ostatnio dobrze zapamiętać – wytknęła jej Dobrochna.

– Ale widocznie zapomniałam, stara jestem i mam sklerozę – zdenerwowała się Tyśka. – A w ogóle to co wy tu robicie? Dlaczego nie jesteście w szkołach i przedszkolach?

– Bo ja mam dziś na dziesiątą, a doktor Piotruś odprowadza nas wszystkie hurtem. Sama wczoraj mówiłaś...

– Mówiłam, to mówiłam! Dlaczego, do choroby, teraz jest rano, a nie wieczór? Gdyby był wieczór, to posłałabym was do łóżek i miałabym spokój!

– Zawsze możesz nas wysłać do mojego pokoju, biedna mamusiu ze sklerozą – poradziła jej dobrotliwie Dobrochna.

– Ja cię, dziecko, kiedyś ubiję – zapowiedziała Klementyna, wznosząc oczy do sufitu. – A teraz weźcie sobie talerzyk z pierniczkami i zmykajcie. Musimy pracować, żebyście potem mogły w godnych warunkach nas dręczyć – dorzuciła.

– Co robić? – nie zrozumiała Amelka.

– Chodź, ja ci to wszystko wyjaśnię, ale nie tutaj. – Dobrochna wzięła ją za rączkę. – Starzy ludzie muszą mieć spokój – usłyszały jeszcze Kornelia i Klementyna, gdy dziewczynki zniknęły za drzwiami kuchni.

– No i jak tam, staruszczo? Lepiej? – Klementyna usiadła na stołku i parsknęła śmiechem. – Możesz mi teraz przystępnie wyjaśnić powody swojej frustracji?

– Zadanie od Miłki – powiedziała krótko. – Wiem, nudzę... Ale mam postawić choinkę w mieszkaniu. Małą. Ja wiem, przygotowuję się na to wewnętrznie, że tuż przed Wigilią drzewko będzie musiało stanąć u mnie w domu. Zresztą znając Miłkę, to właśnie to napisała w ostatniej kopercie. Ale na litość wszystkiego, czemu już teraz? Nie chcę teraz kupować żadnej choinki, nie chcę jej ubierać, przystrajać! I gdyby nie to, że obawiam się gumowych uszu naszych ukochanych dzieciątek, to dorzuciłabym dla podkreślenia to słowo na „k”. Mało świąteczne, ale dosadne!

– Wiesz co, Nelia, ty to jednak masz dar do wmawiania sobie problemów – ku jej zaskoczeniu powiedziała Klementyna.

Kornelia spojrzała na nią zaskoczona. Po raz pierwszy Tyśka zbagatelizowała i obcesowo potraktowała jej lęki i uczucia.

– No tak, przepraszam – usztywniła się natychmiast, choć w duchu pomyślała, że się Tyśce nie dziwi. W końcu ile można słuchać tego samego...

– Ej, nie obrażaj się, bo ja właśnie usiłuję powiedzieć ci, że nie masz żadnego kłopotu. – Klementyna trąciła ją przyjacielsko łokciem. – Rozejrzyj się! Co widzisz? Co od kilku dni non stop wycinasz?

– No pierniki – wybąkała skonsternowana.

– Gwiazdki wycinasz! Różnej wielkości! – wyłożyła jej Tyśka ze zniecierpliwieniem. – A ja potem robię z nich... No co?

– Choinki – wyszeptała Klementyna i klepnęła się z rozmachem w czoło.

– No właśnie, choinki. Gdzie w tym zadaniu masz napisane cokolwiek o ubieraniu? Albo że to musi być prawdziwe drzewko? Choinka piernikowa też jest choinką. Jak chcesz, to po południu, jak dziewczynki wrócą do domu, zapędzimy je wszystkie do roboty. One złożą swoje piernikowe choinki, a ja pomogę ci zrobić twoją, taką na wypasie, dużą. I ozdobimy ją lukrem i marcepanowymi wstążeczkami. Żadnych bombek, obiecuję! Nic, co miałyby okrągły kształt. Umowa stoi?

– Stoi – mruknęła Kornelia, wymyślając sobie w duchu od kretynek.

Nie pojmowała, jak sama mogła na to nie wpaść, i było jej wstyd, że posądziła Klementynę o brak serca.

Cóż, Tyśka miała rację, gdy jej powiedziała, że strach jest złym doradcą. Nie dość, że zawęził pole widzenia, to jeszcze fatalnie wpływał na słownictwo.

I tak tego dnia dopiero późnym wieczorem wróciły do siebie do domu. Każda z nich: Basia, bliźniaczki i ich mama, niosła swoją własną piernikową choinkę. Ta, którą pomagała zrobić Kornelii Klementyna, wyglądała jak piernikowe dzieło sztuki i Nelia wątpiła, czy odważy się ją zjeść, jak sugerowała specjalistka od pierników. Bo drzewko było przepiękne. Lukrowane gwiazdki, czerwone marcepanowe wstążeczki i złożony orzech laskowy na czubku. Orzech wyglądał jak prawdziwy, ale też był zrobiony z marcepanu.

I tak zamiast jednej choinki ustawiły na kuchennym parapecie cały choinkowy las.

Nagle zrobiło się tak jakoś cieplej. Zapachniało cynamonem, goździkami i kardamonem. I jeszcze czymś nie do końca uchwytnym, ale

bardzo, bardzo przyjemnym. Tak właśnie pachniał prawdziwy, pełen życia i nadziei na przyszłość dom.

Tegoroczny duch świąt powoli, powolutku zaczynał się tu rozgaszczać.

Kornelię od jakiegoś czasu dręczył niepokój. Jędrzeja nadal nie było.

„Ale przecież mówił podczas ostatniego spotkania, że musi wyjechać na kilka dni. No mówił – przywoływała sama siebie do porządku. – Ale ile to jest kilka? Tydzień czy dłużej? A jak mu się coś stało?” – raz obudzona obawa nie chciała dać się uciszyć.

Dwa dni temu Czas Niesłusznie Miniony nadal był zamknięty. Na drzwiach wisiała ta sama karteczka: „Będę, jak wrócę”.

„Cholerny dowcipniś – pomyślała teraz i zabębniła palcami o parapet, przy którym stała, wpatrując się posępnie w zaśniewany uroczo rynek. – Chyba jednak powinnam pójść sprawdzić, czy nadal nic się nie zmieniło...”

– Basiu, nie przesłabyś się ze mną na spacer połączony z małymi zakupami? – zapytała starszej córki, która właśnie pojawiła się w salonie.

– Miałam cię zapytać o to samo – uśmiechnęła się Basia. – Chcę kupić kilka brakujących drobiazgów pod choinkę.

I poszły. Ubrane w identyczne czapki i szaliki. Bliźniaczki też miały takie same. Kupiły je razem podczas jednych z zakupów. „Razem” powoli stawało się ulubionym słowem Kornelii.

– To może zaczniemy od Czasu Niesłusznie Minionego? – zagadnęła Nelia, starając się, żeby zabrzmiało to lekko i naturalnie. – Tam jest zawsze dużo pięknych, nietuzinkowych rzeczy. No chyba że nadal jest zamknięte. Jędrzej chyba gdzieś pojechał...

– No pojechał. Po nowy stary towar do Lublina, Łodzi i Warszawy. Tę ostatnią zostawił sobie na koniec, bo tam odwiedza brata. Wiesz, że on, ten brat, poderwał panu Jędrzejowi narzeczoną? I że uciekł z nią do Warszawy. Brzmi jak z powieści, prawda? – rozgadała się, a Kornelia wstrząśnięta milczała. – Pan Jędrzej długo nie mógł się po tym otrząsnąć. Nie mógł

wybaczyć ani jej, ani bratu. No ale w końcu chyba trochę wybaczył, bo raz na rok, w grudniu właśnie, do nich jeździ. Choć łatwo mu nie jest. Podobno robi to głównie dla mamy...

– A skąd ty to wszystko wiesz? Opowiedział ci? – Kornelia w końcu odzyskała głos.

W tej chwili zaczynała rozumieć, czemu Jędrzej podczas ostatniego spotkania był nieswój.

– Nie, no coś ty. Przecież ja dla niego jestem za smarkata, nie opowiadałby mi tragicznych dziejów swojego życia. Stara Anna opowiadała babce Agacie, a ja słyszałam. – Basia schyliła się i zaczęła poprawiać sobie coś przy bucie. – A wrócić, już wrócił. Wczoraj. Mamo... – zawiesiła głos.

– No co tam? – Kornelia spojrzała na nią uważnie.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że ja go lubię... I dziewczynki też – dorzuciła, nie podnosząc głowy znad buta. – No to tak... Idziemy? – dorzuciła jakby nigdy nic, podnosząc się z kucek.

– Chyba tak. – Kornelia potrząsnęła głową, nie wiedząc, jak ma zareagować na to zaskakujące wyznanie Basi, i ruszyła za córką.

„Jednak trzeba to wyjaśnić” – doszła do wniosku, zagryzając wargę.

– Basiu, ja też Jędrzeja lubię. Jest sympatyczny, dobrze się z nim rozmawia, to dobry kolega, może nawet przyjaciel – powiedziała i dogoniła dziewczynę.

– Aha. – Basia zerknęła na nią spod oka.

Nie powiedziała nic więcej, bo po pierwsze, właśnie dotarły do Czasu Niesłusznie Minionego, a po drugie, widać mama jeszcze niczego nie zauważyła. Jak to powtarzała babcia Salcia? Główny zainteresowany zwykle dowiaduje się ostatni.

A tu nie było chyba sensu niczego przyspieszać. „Niech więc będzie przyjaźń” – pomyślała i uśmiechnęła się do mamy uspokajająco. A potem weszły do sklepu, na którego drzwiach tym razem wisiała zwykła tabliczka z napisem:

„Otwarte”.

Na widok Jędrzeja stojącego za ladą Kornelii spadł kamień z serca.

– Dobrze, że wróciłeś – wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć, i natychmiast się spieszyła. – Trochę się martwiłam. „Będę, jak wrócę” to taka bardzo płynna data powrotu – dorzuciła natychmiast.

I poczuła, że się uśmiecha.

– Musiałem pojechać po towar – oddał jej uśmiech, nachylił się w jej stronę nad ladą i zajrzał w oczy. O bracie nie wspomniał, ale temu akurat Kornelia w ogóle się nie dziwiła. – Ale teraz już nigdzie się nie wybieram. I jutro wpadnę na kawę. A właśnie, Basiu, mam dla ciebie całe pudełeczko biżuterii do przejrzania. Specjalnie nic jeszcze stamtąd nie wystawiałem, żebyś mogła pierwsza obejrzeć – zwrócił się do dziewczyny. – Stoi na zapleczu, na biurku, niebieska skrzyneczka – dodał.

Basi na tę wiadomość zaświeciły się oczy.

– Ooo, dziękuję ślicznie, to ja lecę – rzuciła i zniknęła na zapleczu.

– Straszna zrobiła się z niej sroka – zaśmiała się Kornelia, odprowadzając córkę rozbawionym wzrokiem.

– Ale gust ma przedni, wybiera najładniejsze rzeczy – zauważył Jędrzej.

– I przepuszcza na nie całe kieszonkowe. Chociaż ostatnio dorabia sobie u Klementyny. Mamy poślizg z pakowaniem pierniczków, a Basia ma do tego dryg. Ja w życiu tak ładnie niczego nie ułożę, nie zawiążę ani nie zawinę... Duże to pudełko z biżuterią? – zmieniła temat. – Bo nie wiem, czy mam zdejmować kurtkę, czy niekoniecznie...

– Zdejmij, bo i tak zamierzałem namówić cię na herbatę. Mam migdałową i cynamonową. Do wyboru, a poza tym mam coś, co chciałbym ci pokazać – dorzucił, pomagając Kornelii wyplątać się z szalika i zabierając od niej kurtkę, którą odruchowo odłożył na oparcie krzesła. –

Mam wrażenie, że to na pewno spodoba się i tobie, i dziewczynkom, chodź – dodał i poprowadził Nelię w głąb sklepu. – Spójrz tylko – powiedział i wyciągnął coś z zacienionego kąta.

Odsunął się i oczom Kornelii ukazał się drewniany, misternie zrobiony koń na biegunach. Grzywę miał wyrzeźbioną w ten sposób, że miało się wrażenie, że rozwiewa ją wiatr. Biały, z czarną grzywą, z siodłem, które zapraszało, żeby w nim usiąść, a potem przytulić się do drewnianego karku i zakołysać.

Marzenie każdego dziecka.

„I dorosłego” – przemknęło przez głowę Kornelii.

– Piękny – powiedziała cicho.

– Wyjątkowy – uśmiechnął się Jędrzej. – I dlatego właśnie musi trafić do ciebie... Do was – poprawił się natychmiast, widząc na twarzy Kornelii popłoch.

– Nie, ja nie mogę go przyjąć. Przecież...

– To jest prezent ode mnie na mikołajki – przerwał jej stanowczo. – Wiem, że już były, ale mnie nie było, to po pierwsze, a po drugie, nie miałem nic, co by do was pasowało. A on pasuje. Ledwo na niego spojrzałem, a już wiedziałem, że jest dla was. I ucinając twoje protesty, dodam, że jeżeli będziesz się opierać, to zwyczajnie pokażę go bliźniaczkom. I powiem, że muszą cię przekonać, bo nie chcesz go przygarnąć.

– To jest szantaż – pokręciła głową. – Przecież doskonale wiesz, że one nie będą miały żadnych oporów i zamęczą mnie na śmierć, i będę musiała się zgodzić!

– Dlatego rozsądnie zgódź się teraz – roześmiał się. – Unikniesz długiego, bolesnego i głośnego przekonywania...

– Kogo do czego? – rozległ się za nimi głos Basi.

– Mamy do konia na biegunach. To prezent dla was wszystkich. Ode mnie na mikołajki.

– Jest cudny, dziękujemy. – Basia przyklękła obok konia i z zachwytem pogładziła jego drewniany bok. – Ale jak my go zatargamy do domu?

– No to chyba decyzja została podjęta – śmiał się już na całego Jędrzej.

– Na to wygląda – mruknęła Kornelia. – Ale nadal jest mi głupio. Przecież ja dla ciebie nic nie mam!

– Jutro postawisz mi w cukierni ciastko, wypijesz ze mną kawę i już. Dodam, że tego nie znalazłbym nigdzie indziej, bo jeszcze nie spotkałem miejsca poza naszą cukiernią, gdzie mógłbym liczyć na towarzystwo tej konkretnej Kornelii. A jeżeli chodzi o transport, to mogę go podrzucić. Samochód mam pod sklepem, bo rozładowywałem towar.

– Ale super! – Basia klasnęła w ręce. – To co, mamó? Idziemy? Bliźniaczki będą zachwycone, gdy wrócą z przedszkola...

– No to wy się ubierajcie, a ja pójdę po auto. Podjadę pod wejście, będzie łatwiej załadować.

– Panie Jędrzeju, ja jeszcze muszę się z panem rozliczyć, bo znalazłam bransoletkę i broszkę, bez których moje życie na pewno straci sens – zawołała za nim Basia.

– To pokażesz mi które, policzymy się przy następnej okazji – machnął ręką i zniknął za drzwiami.

– No co, mamó? – Basia spojrzała na matkę spod oka. – Co się dzieje?

– Nie wiem... Jakoś tak mi niezręcznie. Nic dla Jędrzeja nie miałam... – „poza kartką, którą wsunęłam mu pod drzwi”, dodała w duchu. Ale ona nie była podpisana. I skoro Jędrzej o niej nie wspomniał, to pewnie nie domyślił się, że jest od niej.

– Mamo, to nie jest koniec świata. Przecież jeszcze będzie okazja, podarujemy mu coś na święta. A poza tym tak to wygląda pomiędzy przyjaciółmi. Czasem dają niespodziewane prezenty – dorzuciła chytrze.

A potem wrócił Jędrzej i siłą rzeczy musiały przerwać rozmowę.

Gdy koń znalazł się u nich w mieszkaniu, przydźwigany tam przez Jędrzeja, i Kornelia odprowadziła mężczyznę do samochodu, gdy patrzyła, jak odjeżdża, pomyślała, że dobrze, że już wrócił i że jutro znów wpadnie na poranną kawę.

Bez niego było jakoś pusto.

W cukierni.

W Miasteczku.

I u niej w sercu.

Ale przecież tak to jest, kiedy się tęskni za przyjacielem.

Po prostu przyjaźń tak już ma.

Bliźniaczki na widok konia nie były zachwycone. One wprost oszalały z zachwytu!

– Będziemy na nim jeździć!

– I go przytulać!

– Mamo, czy on może stanąć u nas w pokoju?

– Będzie spał ze mną w łóżeczku!

– O nie, ze mną!

– Będzie stał w salonie, bo to jest prezent dla nas wszystkich – Kornelia zdusiła w zarodku rodzącą się awanturę. – A poza tym nie zmieściłby się do waszych łóżeczek i jakbyście nie zauważyły, jest drewniany. Doskonały do jeżdżenia, ale do bycia przytulanką już niekoniecznie.

– A widziałyście, że on ma obok siodła wyrzeźbione wieńce świąteczne? – powiedziała Basia, oglądając konia uważnie.

– Naprawdę? Nie zauważyłam. – Kornelia podeszła do dziewczynek i spojrzała na wskazywane przez Basię miejsce.

Rzeczywiście, były tam. Pomalowane w ten sposób, że trzeba się było przyjrzeć, żeby je zobaczyć.

– W takim razie mamy świątecznego konia. Może on zna Świętego Mikołaja – westchnęła z przejęciem Emisia.

– Trzeba by go było przystroić, żeby mu nie było smutno. Mamusiu, czy możemy mu zawiesić na szyi bombeczki? – Amelka spojrzała na matkę z nadzieją.

– Możecie, tylko trzeba jakieś kupić, a potem, jak będziecie się na nim bujać, to trzeba je będzie zdejmować – uśmiechnęła się do dziewczynek.

– Aaaaa, możemy zapytać cioci Tysi? O bombki? Ona ma ich pełno na strychu, prosimy, prosimy, prosimy. – Emilka złożyła błagalnie rączki.

– Możecie, pewnie, że możecie – Kornelia nie miała serca im odmówić.

Dwa razy nie trzeba było im powtarzać – pognały na dół do mieszkania Klementyny i po chwili wróciły razem z Dobrochną i Tyską.

– Rzeczywiście jest niesamowity. – Klementyna na widok konia pokręciła głową. – W życiu takiego nie widziałam. Ale wiecie co, ja to mam inny pomysł... Widziałam ostatnio na strychu coś, co będzie idealnie pasować. Zaraz wracam – dodała i wyszła na klatkę.

Zatupała na schodach prowadzących na strych i po chwili była z powrotem. W rękach trzymała przystrojony małymi dzwoneczkami i kokardkami wieniec. Założyła go na końską szyję.

Kornelia pokiwała głową z uznaniem. Koń z pięknego konia na biegunach przeobraził się w najpiękniejszego świątecznego rumaka. I ku zaskoczeniu wszystkich odmienił też cały pokój.

Nie było w nim jeszcze choinki. Nie było stroików. A jednak zrobiło się magicznie i świątecznie.

A gdy koń poruszony którąś z dziecięcych rączek zakołysał się miarowo i rozległ się dźwięk dzwoneczków, wszyscy to poczuli. Nadchodziło coś dobrego. Ciepłego i kojącego. Coś, co najwyraźniej można było poczuć właśnie w takich przesyconych magią chwilach.

Nadchodziły nadzieja i miłość, a one nie potrzebowały przepychu. Bo zwyczajnie mieszkały w ludzkich sercach.

Mijały dni. Śnieżne, mroźne, pachnące piernikami, naznaczone coraz większym oczekiwaniem na to, co nadchodziło.

W pewnym momencie Kornelia ze zdumieniem spostrzegła, że jej dom, bez szczególnego udziału jej samej, przygotowuje się na święta. Przybywało w nim serc z piernika, które dziewczynki same zdołały pod okiem Klementyny, kartek z akcji kartkowej zapoczątkowanej przez nie w mikołajki i hulającej po miasteczkowym rynku aż miło przez cały czas.

Któregoś dnia, gdy wykończona całodziennym stanem przy stolnicy wróciła do domu, zaskoczona zobaczyła, że na jej drzwiach wejściowych wisi wieniec. Zielony, świerkowy, bez żadnych ozdób.

– Prezent od babki Agaty i Starej Anny – szepnęła jej następnego dnia Klementyna, sięgając za siebie i wręczając Kornelii skrzata w czerwonej czapeczce, z perkatym, okrągłym noskiem. – A to ode mnie, żeby o was dbał – powiedziała oględnie, choć Kornelia wiedziała, że zdaniem Klementyny skrzaty mają konkretne zadania i mają dbać o miłość i pieniądze.

Widać w tym wypadku wołała wyrażać się oględniej.

Z kartek od Miłki, tych z zadaniami, została już tylko jedna. Nawet nie otwierając jej, Kornelia wiedziała, jakie zadanie znajdzie w środku.

W końcu pewnego ranka poczuła, że jest gotowa. Zbliżała się Wigilia. Nie było na co czekać. Poza tym Kornelia czekać wcale nie chciała. Wiedziała już, jak sobie z tym poradzi.

Tak jak przypuszczała, ostatnie zadanie dotyczyło choinki.

Nie miniaturowej, nie dowolnej, ale prawdziwej.

– Może ci pomóc? – zaproponowała Klementyna, słysząc, gdzie i po co się wybiera.

– Nie ma potrzeby. Wybrać muszę sama, a potem Jędrzej mi pomoże dostarczyć drzewko do domu – zapewniła spokojnie.

– No to jak tam chcesz albo w tym wypadku jak nie chcesz... Wiesz, gdzie sprzedają choinki?

– Wiem. Dam radę – uśmiechnęła się.

I rzeczywiście dała. Choć wzbudziła w sprzedawcy drzewek konsternację.

– Ale na pewno? Niech się pani jeszcze zastanowi. Ja jestem uczciwy człowiek. Przecież to bez sensu, szczególnie jak się ma wybór...

– I ja panu bardzo dziękuję i doceniam, ale właśnie z tego wyboru chcę skorzystać – powiedziała stanowczo.

I uśmiechnęła się, bo w tym samym momencie przypomniała sobie opowieść babki Agaty i Starej Anny o spolegliwej Zielińskiej, co to na wszystko odpowiadała: „A właściwie czemu ni”.

„Może po prostu nikt jej nigdy nie powiedział, że ma wybór” – pomyślała, płacąc za choinkę.

A potem zadzwoniła po Jędrzeja. Gdy na niego czekała, patrzyła na wybrane przez siebie drzewko.

Jedno było pewne: takiego jeszcze nigdy nie miały.

– To to? – w głosie Jędrzeja słycać było zdumienie.

– Nie żadne to, tylko choinka – sprostowała Kornelia.

– Przepraszam cię bardzo, ale to badył. I to badył w doniczce. Uschnięty.

– Nie uschnięty, tylko podeschnięty, a to różnica. A w doniczce, bo może jak podleję, to ożyje i...

– O nie, tylko nie mów, że to jest związane z czymś w rodzaju: jak uda mi się utrzymać ją przy życiu, to wszystko mi się ułoży. Bo jeżeli tak, to ja protestuję. I absolutnie nie przyłożę do tego ręki! Ona jest uschnięta... No dobrze, podeschnięta na amen. Żadne podlewanie jej nie pomoże!

– No i trudno. Na całe szczęście nie przyszło mi do głowy uzależniać cokolwiek od tego, czy ona odżyje. A zresztą to są święta, zmartwychwstanie...

– Nelia, ja wprawdzie nie jestem zbyt biegły w tych tematach, ale widzę, że coś ci się z czymś pokręciło!

– Nic mi się nie pokręciło. Każde święta są od cudów, a Boże Narodzenie już w szczególności. Dlatego dam jej szansę na ten cud właśnie. A teraz czy możesz pomóc mi zanieść ją do domu? Daleko nie jest, ale sama nie dam rady...

– Skoro się upierasz. Ale napra...

– Jędrzej! – powiedziała ostrzegawczo.

– No dobrze, dobrze, już nic nie mówię. I rzeczywiście chodźmy, bo za moment powinienem być w sklepie, przyjeżdżają nowe rzeczy, muszę je odebrać – dźwignął donicę. – Jak na takiego cherlaka to sporo waży. – A nie mógł ci jej pan obwiązać siatką? – zapytał, usiłując wyjrzeć znad gałązek.

– Powiedział, że nie może, bo obawia się, że jak ją ściśnie, to nawet to, co na niej zostało, odpadnie – wyznała prawdomównie Kornelia.

– Cóż, trudno odmówić mu racji – mruknął Jędrzej. – Podzielam jego obawy. W takim razie damy radę i bez siatki – dodał i ruszył przed siebie.

Gdy dotarli do mieszkania Kornelii, był nieźle zziązany. Postawił drzewko w salonie, popatrzył na nie uważnie i pokręcił głową.

– A jednak nadal ma igły – w jego głosie słychać było autentyczne zdumienie.

– Bo to jest bardzo dobre drzewko. Tylko wy się nie znacie – powiedziała Kornelia, patrząc na swoją choinkę z zadowoleniem.

– Właściwie to im bardziej na nią patrzę, tym bardziej mi się podoba – pokiwał głową i schylił się, żeby podnieść suchą gałązkę, która właśnie odpadła. – I tak sobie myślę, że nawet gdyby była całkiem sucha, to i tak bym się do niej przekonał – dorzucił.

– A to czemu? – zainteresowała się Kornelia.

– Bo jest twoja – uśmiechnął się, trącił ją lekko palcem w nos i zerknął na zegarek. – Cholera, muszę lecieć! Wpadnę jakoś na kawę – zawołał z przedpokoju i już go nie było.

Kornelia też poszła do korytarza, przekręciła zasuwę i wróciła do choinki. Dopiero wtedy zauważyła, że pod drzewkiem leży zapakowana w ozdobny papier paczka. Przyklęknęła, wyciągnęła ją i zerknęła na przyczepiony do pakunku bilecik:

Dla Kornelii, Neli, Noelki
Otwórz mnie w Wigilię.

Odczytała i mimowolnie się uśmiechnęła.

To był cały Jędrzej. Trudno go było nie lubić.

Ona też już miała przygotowany dla niego upominek.

„Może uda się spotkać rano w Wigilię” – pomyślała i schowała prezent od Jędrzeja do szafy. W domu, gdzie są dziewczynki, które wierzą w Świętego Mikołaja, takie rzeczy mogły się pojawić pod drzewkiem dopiero w wigilijny wieczór.

– To to? – Klementyna, która przyszła na oględziny drzewka, chodziła dookoła niego niebotycznie zdumiona.

– Czy wyście się zmówili, czy jak? – parsknęła Kornelia. – Jędrzej na jej widok zareagował dokładnie tak samo!

– No wiesz, trudno mu się dziwić. Ale czemu tak? Rozumiem, nie chcesz wielkiej ani takiej bez korzeni, ale ta... – Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– No co ta? Jej na pewno nikt by nie wziął, a ten facet od drzewek wyrzuciłby ją na śmietnik. A ja już ją podlałam i przynajmniej ma szansę. Poza tym tak właśnie sobie założyłam. Że wezmę największą bidę, jaką znajdę. Ale w doniczce, żeby miała chociaż minimalną szansę. To jest taka moja próba odkupienia tego, co zrobiłam w zeszłe święta.

I w kilku krótkich zdaniach opowiedziała Klementynie o tym, jak zniszczyła choinkę, jak była przerażona, gdy zdała sobie sprawę, co właściwie zrobiła, i jak później sama siebie ukarała, wycofując się z życia.

– To było strasznie głupie, nieodpowiedzialne i złe – westchnęła. – Ale wtedy, w stanie, w jakim byłam, kompletnie tego nie dostrzegałam. Jeszcze niedawno, dwa miesiące temu tego nie widziałam... Mniejsza o większość, opowiedziałam ci to, bo chciałam, żebyś zrozumiała tę choinkową traumę. I to, że w tym roku moja choinka musi być inna. Zresztą kto wie, może mi się uda odratować tę – dorzuciła. – Poza tym zobaczycie: jak ją przystroimy, ubierzemy w łańcuchy, otulimy anielskim włosem, będzie z niej prawdziwa piękność!

– No cóż, moja wyobraźnia tak daleko nie sięga – Klementyna pozostawała sceptyczna. – Ale skoro mowa o strojeniu drzewka, masz bombki?

– No właśnie... Mam w domu. Nie wzięłam ich ze sobą, bo nie sądziłam, że będę w stanie na nie patrzeć. Ale już wiem, już do mnie dotarło, że nie tylko zniosę ich widok, ale że bardzo chcę właśnie nimi przyozdobić to drzewko. Odkąd zaczęliśmy spędzać święta z Michałem, dostawałam od niego jedną bombkę na każde święta. Potem, gdy na świat przysły dziewczynki, każda z nich dostawała swoją. To była taka nasza rodzinna świąteczna tradycja. Mam bombkę z każdej wspólnej Wigilii. Poza jedną, brakuje tej z roku, w którym Michał odszedł. Bo w zeszłym dziewczynki o mnie pamiętały... I teraz wiem, że bardzo bym chciała właśnie nimi przyozdobić choinkę. Ale chyba się nie uda... Nie mam jak ich przywieźć. Miłka wprawdzie przyjeżdża do mnie na wigilię razem ze swoimi rodzicami, ale będą dopiero późnym wieczorem, bo wcześniej jeszcze odwiedzają siostrę jej taty... Pan Rysio i babcia Salcia, którzy też by mi mogli podrzucić pudło, będą z kolei dopiero pierwszego dnia. Więc raczej nie mam wyboru i muszę kupić nowe ozdoby...

– A widzisz, za szybko się poddajesz. Będiesz miała to swoje pudło. Imka do mnie przyjeżdża w Wigilię rano. Niech Miłka jej przekaże, co trzeba, w końcu wigilijny poranek to idealny czas na przystrojenie drzewka. A co do samej wigilii, to oczywiście razem z dziewczynkami zejdziecie do nas.

– Ale przecież...

– Jakie przecież! Nie chcę tego słuchać! Jak już później dotrze do ciebie Miłka i jej rodzice, to pójdziecie na górę. Ale mowy nie ma, żebyście siedziały same przez cały wieczór. A co więcej, jak chcesz, to możemy po części ugotować wspólnie te wszelkie świąteczne dobra. I mówię ci, absolutnie nie odmawiaj, bo wykazałabyś się wielką głupotą. Bo widzisz, u mnie jest tak, że wszyscy wiedzą, że do ostatniej chwili będę pracowała przy piernikach, w cukierni i przy wigilijnych zamówieniach. I w rezultacie

zazwyczaj nawet się nie zdążę obejrzeć, a wszystko jest zrobione. Fela ulepi pierogi i uszka, babcia Leosia, nie znasz jej, to jest babcia mojego Kuby, przywiezie kutię i barszcz czerwony, i Bóg jeden wie co jeszcze, ale pewnie coś kresowego, bo ona pochodzi ze Lwowa, wszystko w ilościach hurtowych. Imka i jej rodzice przywiozą takie ilości śledzi i karpia, że nad tym to się w ogóle nie zastanawiaj. Będziesz miała pełną lodówkę przez całe święta. O ciastach nie wspominam, bo to się rozumie samo przez się. Coś tam oczywiście zostanie do zrobienia, zawsze zostaje, ale to są takie drobiazgi, że nawet nie warto wspominać. To co, jesteśmy umówione? Wigilia będzie o dziewiętnastej – uśmiechnęła się szeroko i poklepała oszołomioną Kornelię po ramieniu. – Mówisz, że ona będzie ładnie wyglądać – dodała, jeszcze raz spoglądając na choinkę. – Cóż, naprawdę nie mogę się doczekać, aż to zobaczę...

W wigilijny poranek cała kamienica pachniała tym czymś charakterystycznym dla wigilijnych poranków właśnie. Kapustą z grzybami, wanilią i cynamonem, lasem i rzecz jasna, oczekiwaniem. Tym ostatnim szczególnie we wszystkich pokojach, w których mieszkały dzieci.

U Kornelii bliźniaczki zerwały się skoro świt i cały czas siedziały z nosami przyklejonymi do szyby, czekając, aż pod kamienicę podjedzie samochód Imki. To przecież ona miała przywieźć bombki i dopóki się nie pojawi, nie będzie można się zabrać do ubierania drzewka. W końcu się doczekały i z piskiem runęły na dół, żeby przejąć upragnione pakunki.

– Poczekajcie, przecież to trzeba ostrożnie, żeby nie pobić – krzyknęła za nimi Kornelia.

– Spokojnie, nad wszystkim czuwam – odkrzyknęła z dołu Imka. – Wy bierzcie mniejszy, o, Dobrosia, ty tutaj? No to masz, pomożesz, bierz tę siatkę z łańcuchami, a ja się zajmę tym największym pudłem – komenderowała pewnym głosem. – No i już – po chwili Imka, bliźniaczki i Dobrochna były z powrotem w mieszkaniu Kornelii. – O matko, rzeczywiście jest specyficzna – mruknęła Imka na widok choinki.

– Dajcie spokój, ona już wygląda o niebo lepiej! Moim zdaniem zaczyna ożywać. – Nelia pogładziła drzewko po łysawej gałązce.

– Jeżeli ona w tej chwili wygląda lepiej, to naprawdę nie chcę wiedzieć, jak wyglądała wcześniej – prychnęła Imka. – Ale jedno mnie ciekawi: jak dzieci przyjęły tego drapichrusta?

– Dzieci, moja droga ciociu, bardzo go lubią – widać Dobrochna postanowiła wyręczyć Kornelię w odpowiedzi. – To jest najpiękniejsze, najbardziej świąteczne drzewko na świecie!

– Hmm, a to mnie trochę zaskoczyłaś. – Imka spojrzała na nią z niedowierzaniem. – A dlaczego?

– Bo go nikt nie chciał. Było biedne, opuszczone i zziębnięte. Dopiero ciocia Nelia go przygarnęła, otworzyła przed nim drzwi! To taki choinkowy zbłąkany wędrowiec!

– No to rzeczywiście daleko posunięte skojarzenia – mruknęła Imka. – To co, ja w takim razie was tu zostawiam z tym choinkowym zbłąkańcem, a sama idę na dół. Będę pilnować kapusty i babki Agaty. Raczej w odwrotnej kolejności. Dobrochna, a ty zostajesz?

– Tak, ja pomagam ubierać choinkę – oświadczyła dziewczynka stanowczo.

– Tak było umówione – przytaknęła Kornelia. – Ubieramy choinkę, a ja potem lecę pomagać w cukierni. Bo dziś czynna do czternastej. Później przyjdę do was robić, co będzie trzeba.

– Wy już z Klementyną zrobiliście swoje. Ciasta upieczone, kapusta przygotowana, zupa rybna też, nawet sałatka jest skrojona, choć mówiłam, że jak przyjedziemy, to się to ogarnie. Pierogi ulepione, uszka również. Czy wy w ogóle miałyście czas spać? – zapytała podejrzliwie.

– Tak trochę – uśmiechnęła się wymijająco Kornelia.

Bo rzeczywiście ostatnio na sen nie zostawało dużo czasu.

– Dyplomatka – pokręciła głową Imka i zniknęła za drzwiami.

Kornelia wróciła do pokoju, gdzie dziewczynki pod czujnym okiem Basi rozwijały przywiezione przez Imkę bombki.

Były tak piękne, jak je zapamiętała. A ich widok wcale a wcale nie sprawiał jej przykrości. Przeciwnie – patrząc na nie, odczuwała wzruszenie. Podeszła i wybrała spośród wszystkich tę, którą lubiła najbardziej, pierwszą. Stary zegar. Powiesiła go na jednej z górnych gałązek. Dziewczynki uwijały się przy tych niższych. W tym momencie Kornelia

poczuła na sobie czujne spojrzenie Basi. Podniosła wzrok i spojrzała córce prosto w oczy. A potem podeszła do niej i mocno ją przytuliła.

– Wszystko dobrze – szepnęła jej do ucha. – Naprawdę wszystko dobrze.

I rzeczywiście było dobrze. Gdy Basia zawiesiła na gałęzce pierwszą bombkę, obie miały łzy w oczach. Wiedziały, jak długą drogę przebyły, żeby teraz móc stać razem koło siebie. Razem ubierać choinkę. Razem pić kawę.

Razem. Ich ulubione słowo. Idealne na co dzień i od święta.

Kornelia ukradkiem otarła wilgotne oczy i skupiła się na ozdobach. I poczuła, jak z każdą powieszoną bombką staje się spokojniejsza. Jej palce muskały każdy miniony, szczęśliwy rok. Czas miniony.

Teraz przyszedł moment na ten, który właśnie trwał.

Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej pięć małych pudełek. W każdym z nich była bombka na ten rok. Dla każdej z dziewczynek, również dla Dobrochny. I dla niej samej również, tak żeby tradycji stało się zadość.

I gdy te tegoroczne zostały zawieszane, choinka rzeczywiście zaczęła wyglądać pięknie. Tylko na jednej gałęzce brakowało ozdoby.

„Trzeba będzie coś znaleźć” – pomyślała Nelia i w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

Basia poszła otworzyć.

Do pokoju weszła Klementyna. W rękach trzymała pudełko.

Na widok choinki stanęła oniemiała.

– Choroba, miałaś rację! To drzewko wygląda pięknie – powiedziała po chwili, z niedowierzaniem kręcąc głową. – I rzeczywiście jakby ożyło! Powiem ci, że to jest prawdziwy cud!

– Ale raczej przedwigilijny – uśmiechnęła się ze wzruszeniem Kornelia.

– A to akurat nie ma żadnego znaczenia. Cud to cud. Trzeba go odpowiednio docenić. Właśnie, skoro już o tym mowa, to chciałam od siebie dołożyć małą cegiełkę – wyciągnęła w kierunku Neli pudełko. – Mówiłaś, że dwa tygodnie temu nie dostałaś bombki. A tak się złożyło, że ja dwa tygodnie temu się tu wprowadziłam i kupiłam to, no dalej, otwórz – przynagliła Kornelię.

Obdarowana obróciła trzymane w dłoni pudełko i z lekkim wahaniem uchyliła wieczko. W środku spoczywała bombka w kształcie serca z piernika.

– To z myślą o tym, żebyś już nigdy nie straciła ciągłości. Od dziś nie ma żadnych dziur w czasie! – powiedziała.

– I na choince też – dorzuciła wzruszona Kornelia, po czym powiesiła bombkę na ostatniej wolnej gałązce i zerknęła na Klementynę znów zawilgotniałymi oczami.

Zobaczyła, że Tyśka też ma łzy w oczach.

– No dobrze, porozklejałyśmy się trochę, ale teraz dość. Trzeba zejść do cukierni i zmienić Felę – mruknęła w końcu Klementyna, biorąc się w garść i gęsto mrugając. – Powzruszamy się jeszcze wieczorem, nie wiem jak ty, ale ja zawsze płaczę, gdy na stole pojawia się opłatek...

Kornelia nic na to nie odpowiedziała, bo kompletnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Te święta były całkowicie inne niż dotychczas jej znane. Szczerze mówiąc, trochę obawiała się tej wspólnej wielkiej wigilii u Klementyny.

„Ale tym pomartwię się później” – postanowiła.

Tym oraz tym, że wieczorem miał do niej wpaść Jędrzej.

Z życzeniami. W wigilijny wieczór. Niby nic niezwykłego, ale nie wiedzieć czemu, Kornelia czuła się tym wszystkim bardzo zaniepokojona.

Tego wieczoru Kornelia długo czesała włosy dziewczynek, wiązała na kucykach kokardki. Odwlekała wyjście.

Czuła się wyjątkowo szczęśliwa i to właśnie było powodem wzmożonego strachu.

A co, jeśli pula szczęścia właśnie się wyczerpała? Kobieta z niepokojem zerknęła na choinkę i na leżącą pod nią stertę prezentów.

„Uspokój się – przywołała samą siebie do porządku. – Przecież to nie zniknie! – Odetchnęła głęboko. – I czego ja się, do choroby, boję? Ludzi, którzy na co dzień są dla mnie dobrzy, którzy stali się dla mnie ważni?” – zapytała się w duchu, ale tak naprawdę nie o to chodziło.

Prawdę mówiąc, w głębi serca wiedziała, czego się boi.

Bała się zejść na dół, bo bała się łez wzruszenia, które mogą popłynąć... Ale jeszcze bardziej lękała się, że nie poczuje nic. Dużo łatwiej było te lęki bagatelizować, gdy do wigilii były dwa dni czy nawet dwie godziny...

Nie wiadomo, ile jeszcze by się tym wszystkim gryzła, gdyby nie Basia.

Dziewczyna wstała z fotela i podeszła do matki, która nie zważając na to, że Amelka coraz bardziej się wierci, po raz enty poprawiała jej kucyk.

– Mamo, niezależnie, jak długo będziesz je czesać, ten moment nadejdzie. Będziemy musiały w końcu stąd wyjść, a przypominam ci, że powinniśmy być na dole pięć minut temu. – Położyła Kornelii dłoń na ramieniu. – I zrobimy tak: ja już teraz zejdem z dziewczynkami, a ty zrób to, co duże dziewczynki chcą zrobić przed wyjściem na bardzo miłe i przyjazne przyjęcie. Może podmaluj oko i daj trochę rózu? – Lekko trąciła matkę łokciem, usiłując dodać jej otuchy.

Kornelia tylko pokiwała głową. Chciała coś powiedzieć, ale gardło miała ściśnięte. Zamiast tego przytuliła córkę mocno.

– Uduśisz mnie – mruknęła Basia. – I nie musisz nic mówić, ja i tak wiem – dodała. – A teraz naprawdę idziemy, a ty masz pięć minut i ani sekundy dłużej! Przecież tam na nas czekają. – Złapała bliźniaczki za rączki i niczym trójgłowy smok dotarabaniły się do drzwi.

Nagle ktoś głośno zapukał.

– Już otwieram. – Basia uwolniła się z uścisku siostrzyczek i otworzyła.

W drzwiach stała Ruda Fela. Ona, ale jak nie ona... W przepięknej, lekko skrzęcej się błyskami srebra sukience i w związanych włosach wyglądała zjawiskowo. Tylko jej sposób bycia się nie zmienił.

– Czy macie w domu zegarek? – zapytała, patrząc spod oka na tłoczący się w korytarzu babiniec.

– No mamy, ciociu... – jedna z bliźniaczek (Fela się do tego nie przyznawała, ale jeszcze nie do końca rozgryzła, która jest która) wskazała rezolutnie na duży, wiszący na ścianie zegar.

– No i w komórce, mama i Basia mają w komórce... – dodała zaaferowana druga.

– Skoro macie tyle zegarów, to dlaczego was jeszcze nie ma na dole?

– O, Fela, jesteś – rozległ się za nią głos Klementyny. – O, i widzę, że dziewczynki też już są gotowe. Pójdziecie na dół, bo tam trzeba wszystkim zarządzić, a ty, Fela, najlepiej się orientujesz, gdzie kto siedzi. Ja pospieszę Kornelię – dodała, usiłując ukryć widoczną na twarzy troskę.

Poczekala, aż za Felą i dziewczynkami zamkną się drzwi, i zajrzała do salonu. Wystarczyło jedno spojrzenie i wszystko było jasne.

– A my co? – przysiadła obok Kornelii. – Boimy się?

– Ty raczej nie, ja to inna para kaloszy...

– Chcesz popłakać? – rzeczowo zapytała Tyńska.

– Nie, będę cała opuchnięta – to zadane prosto z mostu pytanie otrzeźwiło ją błyskawicznie. – Po prostu miałam atak paniki... Boję się, bo to będą zupełnie inne święta niż dotąd. A co, jak się okaże, że ja do was nie pasuję?

– No to powiedziałaś, co wiedziałaś – parsknęła Klementyna. – Jeżeli chodzi o tę twoją ostatnią obawę, to możesz sobie odpuścić. Pasujesz do nas, bo jesteś nasza. Po prostu nasza. A co do świąt... To tak, będą inne. Z innymi ludźmi. Niektórymi takimi, których będziesz widziała pierwszy raz w życiu. Z potrawami, których po raz pierwszy spróbujesz. I z takimi, które dobrze znasz. Ale wiesz, co w tym wieczorze jest najważniejsze? Że wy tam jesteście. Ty i dziewczynki. Razem. I że dobre życzenia mają to do siebie, że można je składać każdemu. Nawet jeżeli tego kogoś nie znasz. A im ich więcej, tym lepiej. Niech się mnożą i spełniają. A jak się popłaczesz, to najgorsze, co cię może spotkać, to że ktoś cię po prostu przytuli. Bo święta od tego są. Żeby być dobrym dla drugiego człowieka... A teraz naprawdę musimy iść. W przeciwnym razie karp się spali, a uszka porozkleją... A to nam może nie zostać wybaczone.

I poszły. Klementyna miała rację. Nie było się czego bać. Nawet nie musiały się tłumaczyć ze spóźnienia, bo okazało się, że któreś z dzieci, a uzbierała się ich całkiem spora gromadka, rozlało dzbanek czerwonego barszczu na stół i teraz naprędce zmieniano obrus. Dobrochna na nowo upychała pod niego siano w takich ilościach, że gdzieniegdzie tworzyły się wyrzuszenia. Ktoś z kuchni krzyknął, że kapusta się przypaliła, starsza pani, której Kornelia nie знаła, podeszła do niej i stanęła tuż obok.

– Jak co roku – powiedziała z uśmiechniętą zadumą. – Jak co roku... Niby tak samo, a jednocześnie tak pięknie inaczej.

Mówiąc to, zapewne nie wiedziała, że tym jednym zdaniem rozwiąła wszystkie lęki Kornelii.

Potem było łamanie się opłatkiem, składanie sobie życzeń, rozdawanie prezentów. Chyba wszyscy mieli łzy w oczach – i nikt za bardzo się z tym nie krył.

Bo o to przecież chodziło w święta. O łzy wzruszenia, o zrozumienie i o drugiego człowieka. O to, że tak jak co roku tego dnia znów na świat przyszła mała miłość, która miała tylko jedno pragnienie: zostać wśród ludzi i dawać im nadzieję.

I rzeczywiście starsza pani miała rację: właściwie było jak co roku. Niby tak samo, ale zupełnie inaczej. Ale wciąż pięknie.

Kornelia była jeszcze z dziewczynkami u Klementyny, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i lekko uniosła brwi. Siedząca obok Tyśka mimowolnie zerknęła.

– No odbierz. Na co czekasz? – Trąciła ją przynaglająco łokciem.

– No już – mruknęła, czując, że serce jej przyspiesza. Nacisnęła zieloną słuchawkę, przyłożyła telefon do ucha i przez chwilę słuchała uważnie kogoś, kto coś do niej mówił. – Aaaa, to cudownie, nie, absolutnie nie, nie przeszkadzasz, już idę – powiedziała cicho i się rozłączyła. – Słuchaj, ja muszę... Na chwilę – wyszeptała w kierunku Klementyny.

– Idź, nie daj mu czekać. – Tyśka uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Ale to nie tak, to zupełnie nie to, co myślisz. – Kornelia poczuła wypływający na policzki rumieniec.

– Nie chcesz wiedzieć, co myślę – zaśmiała się. – Ani o co poprosiłam dla ciebie pod choinkę. A teraz zmykaj, dziewczynki są chwilowo tak zajęte sobą, że nawet nie zauważą, że cię nie ma – dodała i porozumiewawczo mrugnęła do niej okiem.

Kornelia nic już nie powiedziała, tylko wymknęła się cichaczem od stołu.

– A ona gdzie? – usłyszała za sobą głos Imki.

– Ciiii, wariatko, nic nie mów, bo wszystko zepsujesz – dobiegł ją jeszcze głos Klementyny uciszający przyjaciółkę.

Nawet się nie obejrzała z obawy, że jednak ktoś ją zatrzyma. Wybiegła na klatkę i zbiegła na dół. Niewiele myśląc, szeroko otworzyła drzwi wejściowe. Stał tam. Ręce miał włożone w kieszenie, włosy potargane. Patrzył na nią miękko i ciepło. Kornelia pomyślała, że gdyby nie przyszedł, to ten wieczór byłby niepełny.

– Wejdiesz? – zapytała w końcu, przerywając ciszę. – Wejdz, proszę, bo tak się złożyło, że pod choinką coś na ciebie czeka... No i ja też na ciebie czekałam, właściwie to już myślałam, że nie przyjdiesz – zawiesiła głos.

– Przepraszam, nie dałem rady wcześniej. Mam nadzieję, że nie jest za późno...

– Jest idealnie, wejdz – ponowiła zaproszenie i ramię w ramię weszli na klatkę.

Było coś niesamowicie wzruszającego w echu ich wspólnych kroków i w tym, jak Jędrzej wchodził do pokoju Kornelii, gdzie stała przystrojona odświętnie choinka. Czekwały pod nią pięknie zapakowane paczki. Kornelia pochyliła się i wyciągnęła jedną z nich. Owiniętą w lśniący zielony papier.

– Czekaj. – Jędrzej chwycił ją za rękę i chwilę przytrzymał jej dłoń w swojej. – Bo ja też mam coś dla ciebie – dodał, puścił jej rękę i zza pazuchy wyciągnął zgrabny pakunek.

– Jędrzej, przecież ja już dostałam od ciebie prezent – pokręciła głową, usiłując ukryć wzruszenie. – I nawet nie zdążyłam go otworzyć. Bo wiesz, był przykaz, żeby to zrobić w Wigilię, a my jeszcze jesteśmy przed rozpakowywaniem naszych paczek...

– Ale nic się nie stało, naprawdę. – Pokręcił głową. – To, co tam jest, na pewno się nie przeterminuje... Nelka... – Znów popatrzył jej w oczy. – Widzisz, dziś jest Wigilia...

– Zauważyłam – przytaknęła, z trudem zachowując powagę, bo nagle opanowało ją rozbawienie.

– Ty kpisz – zauważył z wyrzutem, ale w kącikach ust pojawił mu się uśmiech.

– Troszkę, bo ja zawsze reaguję kpiną w sytuacjach, które są ważne, i gdy się denerwuję – wyznała.

– No to może ja się streszczę, bo nie mam zamiaru cię denerwować. – Westchnął. – Tylko że ja niestety, Kornelio, nigdy nie byłem dobry w wygłaszaniu uroczystych mów...

– To nic, nie przejmuj się, możesz mówić zupełnie nieuroczyście.

– Kamień z serca. A więc dziś jest Wigilia, ani słowa – powiedział, widząc, że Kornelia nabiera powietrza, by znowu mu przerwać. – Jest Wigilia i dlatego musiałem do ciebie przyjść, bo to taki szczególny dzień, kiedy powinno odwiedzić się ludzi, za którymi na co dzień się tęskni. Nie mogę dodatkowo tęsknić za tobą w święta – dorzucił miękko i zajrzał jej w oczy.

Kornelia nie odwróciła wzroku, ale twarz jej spoważniała.

– Jędrzej, ty nic o mnie nie wiesz – powiedziała cichutko i zagryzła dolną wargę. – Nie pytałeś, a ja nie mówiłam. I teraz to też nie jest najlepszy moment na opowiadanie całego swojego życia. Ale chciałabym, żebyś wiedział, że naprawdę cię lubię. Bardzo! Ale nie wiem, co będzie dalej. Czy wrócę do Rzeszowa, czy tu zostanę. Jeszcze nie jestem pewna... – dokończyła prawie bezgłośnie.

– Ale ja to wszystko wiem – uśmiechnął się do niej. – Domyśliłem się i nie spodziewałem się niczego innego. I doskonale to rozumiem. Nie oczekuję deklaracji. Chciałbym tylko być blisko ciebie. Chciałbym wiedzieć, czy bez względu na to, gdzie będziesz: tutaj, w Rzeszowie czy gdzieś na końcu świata, to gdy się pojawię, a pojawię się na pewno, i poproszę, byś poszła ze mną do kina albo na spacer, to czy mogę liczyć na to, że się zgodzisz?

– Tak. – Kornelia poczuła, że wzruszenie ściska jej gardło. – A ty wiedz, że gdziekolwiek będę: tutaj, w Rzeszowie czy na końcu świata, będę cię wypatrywać – dodała i w tym momencie rozległ się dzwonek domofonu. – Przepraszam cię, to pewnie moja przyjaciółka Miłka i jej

rodzice, przyjechali do mnie na wigilię – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Muszę otworzyć.

– Otwórz, ja też muszę lecieć. – Wyciągnął rękę i pogłodził ją po policzku. – To w takim razie dobrych świąt, Nelio, Nelko, Noelko... – powiedział i już go nie było.

„Dobrze, że nie zapomniał o prezencie” – pomyślała Kornelia, naciskając guziczek domofonu. Paczki od Jędrzeja, tę pierwszą, która już od dawna na nią czekała, i tę dzisiejszą, wigilijną wsunęła pod łóżko. Coś jej mówiło, że prezent od niego powinna otworzyć w samotności.

Miłka i jej rodzice, pomimo że to Kornelia ich wpuściła, nie dotarli do niej na górę. Zostali przechwyceni przez Klementynę i Imkę i w rezultacie cały wigilijny wieczór aż do północy wszyscy spędzili u Tyśki.

– Dajcie spokój, w tej kamienicy wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną – wszelkie protesty zdusiła w zarodku Imka. – Zresztą macie serce je stąd zabierać? – zapytała, wskazując brodą na dziewczynki, Emisję, Dobrochnę i Amelkę, które właśnie z dzikim kwikiem ganiały Marcepana wokół choinki.

Choć po minie tego ostatniego można było wywnioskować, że w jego pojęciu to on gania je. Nikt jednak nie zamierzał wnikać w szczegóły – najważniejsze było, że wszyscy bawili się doskonale. W rezultacie gdy w końcu Kornelia z dziewczynkami, Miłką i jej rodzicami poszli na górę, byli ledwo żywi. Odpakowali prezenty, chwilę posiedzieli i powędrowali do łóżek.

– Ja mogę siedzieć aż do rana – zadeklarowała dzielnie Miłka, tłumiąc ziewanie.

– Przecież widzę, że lejesz się przez ręce – uśmiechnęła się do niej Kornelia. – Nie ma sensu się męczyć, tym bardziej że jutro też jest dzień. I to taki, który zaczynamy o szóstej, bo na dziewiątą przyjeżdżają babcia Salcia i pan Rysio. Dziewczynki nie mogą się już doczekać.

– I co, zerwą nas o szóstej, żebyśmy robiły komitet powitalny? – Miłka spojrzała na nią z przerażeniem.

– A skąd! One dopiero poszły spać, o szóstej wołami ich z łóżek nie wyciągniesz. To ja we własnej osobie cię wywelekę z pieleszy rankiem świtkiem. Ktoś mi musi pomóc w przygotowaniu śniadania i obiadu bożonarodzeniowego. A roboty jest huk, bo dziś jeszcze cukiernia była

czynna do czternastej i miałam niewiele czasu na ogarnięcie świąt – wyznała, ziewając rozdzierająco.

– No to mnie przekonałaś! Idę spać, skoro jutro będę wykorzystywana jako siła robocza. Na całe szczęście jutro nadrobimy. I wigilię, i Boże Narodzenie...

– W pełnym tego słowa znaczeniu. Bliźniaczki specjalnie z myślą o was przygotowały swoją wersję jasełek. Nie wiem, co to dokładnie oznacza, bo owiane jest tajemnicą. Jedynie Basia i Isia zostały dopuszczone do próby generalnej i wyszły z niej, płacząc ze śmiechu, więc to naprawdę będzie coś dużego...

– No to zapowiada się prawdziwe Boże Narodzenie – parsknęła śmiechem Miłka. – To co, kto idzie pierwszy pod prysznic?

– Idź – zaśmiała się Kornelia. – Ja poczekam...

Rzeczywiście poczekała, aż przyjaciółka się położy, ale nie poszła do łazienki. Gdy została sama, wyciągnęła paczki od Jędrzeja i najpierw gładziła papier, a dopiero po chwili pociągnęła za wstążeczki. W pierwszej, mniejszej paczuszce znajdował się oprawiony w skórę kajet. Grubaśny, stareńki dziennik, zachował się w doskonałym stanie. Pożółkłe kartki, które cierpliwie czekały, żeby je zapisać. Kornelia z czułością go otworzyła i wzruszona dostrzegła wpisaną dedykację:

Z życzeniami powrotu słów
Jędrzej

Poczuła, że oczy wypełniają jej się łzami. A to nie był jeszcze koniec, bo gdy kartkowała zeszyt, wysunęła się z niego pocztówka. Identyczna jak ta, którą podrzuciła do sklepu Jędrzeja. Tyle tylko że ona na swojej napisała krótko: „Dobrze, że jesteś”, a na tej dostała dużo dłuższą odpowiedź:

– A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść? – spytał Krzyś, ściskając Misiową łapkę. – Co wtedy?

– Nic wielkiego – zapewnił go Puchatek. – Posiedzę tu sobie i na ciebie poczekam. Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika.

Przeczytała i już nie udało jej się powstrzymać łez. Popłynęły jej po policzkach, a w uszach zaszumiały jej słowa, które dziś usłyszała od Jędrzeja: „Bez względu na to, gdzie będziesz: tutaj, w Rzeszowie czy gdzieś na końcu świata, pojawię się na pewno”. I zrozumiała, że kartka w połączeniu z tymi słowami to jedno z piękniejszych wyznań.

Potem dotarło do niej, że jednocześnie to słowa, które mogłaby powiedzieć Miśkowi.

„Ty też nigdy nie znikniesz – wyszeptała cichutko. – Bo wszyscy cię bardzo kochamy. Tylko musimy dalej żyć. I nadal umieć kochać...”

Otarła oczy i sięgnęła po drugą, dużo większą paczkę, i pokręciła z niedowierzaniem głową. To była lampa, latarenka przerobiona z dorożkarskiej – dokładnie ta, którą zachwyciła się kiedyś u niego na wystawie. Wtedy po raz pierwszy rozmawiali.

„Ciekawe, czy Jędrzej spodziewa się tego, co znajdzie w paczce ode mnie – pomyślała. – I czy pamięta, że właśnie wtedy powiedział mi, że też ma ogromną słabość do lamp i że marzy mu się taka kolejarska”. Właśnie taką, malutką, mu kupiła.

Teraz wyciągnęła swoją z kartonu i zauważyła malutki bilecik: „Niech stanie w oknie i niech zawsze wskazuje ci drogę do domu” – przeczytała.

„W takim razie już nawet nie muszę szukać ci miejsca” – mruknęła, podnosząc latarenkę i stawiając ją na parapecie. Tuż obok tej, na którą natknęła się tuż po swoim przyjeździe, w sklepie ze starymi lampami. Zapaliła obie i cichutko wyszła do przedpokoju. Starając się nie robić najmniejszego hałasu, włożyła płaszcz, wsunęła stopy w śniegowce

i wymknęła się z domu. Nie spieszyła się. Przecięła zasypany śniegiem rynek, potem wspięła się stromą uliczką w górę i stanęła przed niewielkim domem. Zadarła głowę i uważnie spojrzała w okna. W jednym z nich odnalazła to, czego szukała: jarzącą się ciepłym światłem kolejową lampę.

W tym momencie zrozumiała, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Swoją ulubioną i idealny koniec świata. Miejsce, gdzie świeci i dla niej, i dla jej dzieci ich prywatne, własne światełko w oknie.

Ledwo to pomyślała, poczuła coś, czego nie czuła od wielu, wielu miesięcy. Do domu wracała, podbiegając. Schody pokonała, przeskakując po dwa stopnie. Uwolniła się z płaszczem, rzuciła go niedbale na stojący w korytarzu stołeczek i pospiesznie zdjęła buty.

A potem usiadła przy stole, sięgnęła po brulion i napisała:

Światełko w oknie. Dla nieobecnych i dla tych, którzy właśnie się pojawili. Żeby zawsze mogli znaleźć drogę do domu.

Słowa wróciły.

Jędrzej widział Kornelię w świetle latarni, jak stoi pod jego domem i patrzy w okno, w którym postawił podarowaną mu przez nią latarnię.

Miał ogromną ochotę wybiec do niej, wziąć ją w ramiona i już nigdy nie wypuścić.

Ale wiedział, że nie powinien tego robić. Jeszcze nie teraz.

Kornelia go nie znała. Nie mogła go znać. Ale on znał Kornelię. I jej historię.

W zeszłym roku w weekendy dorabiał sobie jako Święty Mikołaj. I tam po raz pierwszy ją zobaczył. Tam usłyszał szarpiące za serce życzenie bliźniaczek. A potem Kornelia pojawiła się w Miasteczku. I zrozumiał, że ją kocha. Ale nie zamierzał niczego przyspieszać. Wierzył, że gdy będzie gotowa, sama mu wszystko opowie. A on miał czas i chciał na nią czekać.

To dla niej chciał co wieczór zapalać światełko w oknie. Tak jak napisał na bileciku: żeby już nigdy nie zgubiła drogi do domu.

Ani do jego serca.

Klementyna miała rację. Święta same przyszły.

Trzeci z kolei grudzień.

Trzy kobiety: Kornelia, Klementyna i Basia.

Ubierały swoje prośby w różne słowa, ale każdej chodziło o to samo: o szczęście, miłość i prawdziwy dom. I to wszystko właśnie spokojnie rozgaszczało się w różowej kamienicy, w cichą, spokojną noc, którą rozświetlały jarzące się w oknach światła.